

Tom XII /2014

Autor: Aleksander Ścios (pseudonim)

Tytuł: „BEZ DEKRETU”.

Blog: <http://bezdekretu.blogspot.com> lub

Od 809 - 869

Spis treści

| | |
|--|----|
| STYCZEŃ | 3 |
| 809. HISTERIA W INTERESIE MOSKWY | 3 |
| 810. PRZED PRAWEM..... | 4 |
| 811. TO, CO ZOBACZYLIŚMY W WSI BYŁO OBRAZEM Z NASZYCH NAJGORSZYCH SNÓW | 5 |
| 812. JAK POWSTAWAŁA III RP - LIST URBANA..... | 7 |
| 813. REAKTYWACJA - WYBORCZE MYTO | 8 |
| LUTY | 9 |
| 814. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (1) | 9 |
| 815. MAKOWSKI I „PROJEKT OKRĄGŁEGO STOŁU” - aneks nr 24..... | 11 |
| 816. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (2) | 13 |
| 817. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (3) | 14 |
| 818. AGENTURA - WYCHOWANIE DO NIENAWIŚCI | 17 |
| 819. DLA TYCH KTÓRZY NIE MAJĄ WYJŚCIA..... | 19 |
| 820. KTO MA O TYM GŁOŚNO POWIEDZIEĆ ? | 20 |
| 821. KALENDARIUM PAŃSTWA POLICYJNEGO. SUPLEMENT | 21 |
| 822. W PUŁAPCE „GEOREALIZMU” | 23 |
| MARZEC | 25 |
| 823. DWIE LISTY | 25 |
| 824. O DYLEMATACH NIEPRZEZWYCIĘŻONYCH..... | 26 |
| 825. NA ŚCIEŻKACH PEERELU. OD SB DO PLATFORMY | 27 |
| 826. NIM WRÓCIMY DO JAŁTY..... | 29 |
| 827. BELWEDERSKI GWARANT BEZPIECZEŃSTWA..... | 30 |
| KWIECIEŃ | 32 |
| 828. ILE KOSZTUJE „ROK ROSJI” ? | 32 |
| 829. ZBRODNIA - LOGIKA PUTINA..... | 33 |
| 830. TRZEBA WYKORZYSTAĆ TRAGEDIĘ SMOLEŃSKĄ..... | 35 |
| 831. DLACZEGO MAMY SIĘ NIE LĘKAĆ ? | 36 |
| 832. OD SMOLEŃSKA DO ROKU ROSJI | 36 |
| MAJ..... | 37 |
| 833. MY i ONI - O WSPÓLNOCIE W KTÓREJ NIE MA MIEJSCA DLA UPIORÓW..... | 37 |
| 834. 2015 - WYBÓR W CIENIU ROSJI | 40 |
| 835. WOJNA Z TERRORYZMEM - WOJNA Z ROSJĄ | 41 |
| 836. JAK POWSTAWAŁA III RP - TRZY RAZY NIE! | 43 |
| 837. TRZEBA ZAMKNAĆ GRANICĘ Z KALININGRADEM..... | 47 |
| 838. NIE BYŁOBY HAŃBY | 48 |
| CZERWIEC | 50 |
| 839. O FAŁSZYWYM ZMARTWYCHWSTANIU CZŁOWIEKA SOWIECKIEGO | 50 |
| 840. PROCES | 51 |
| 841. BELWEDERSKA PIĘŚĆ | 53 |
| 842. GRA PUTINA CZY OFENSYWA BELWEDERU ? | 54 |
| LIPIEC | 55 |
| 843. OFFSET - CZYLI JAK ZAROBIĆ NA DRUGĄ KADENCJĘ | 55 |
| 844. BELWEDER IDZIE NA WOJNĘ..... | 56 |
| 845. TERRORYZM-NARZĘDZIE PUTINA..... | 57 |
| SIERPIEŃ | 59 |
| 846. IN MEMORIAM..... | 59 |
| 847. NIE BĘDZIE „CUDU NAD WISŁĄ” | 60 |
| 848. WYGRAĆ - BY OBALIĆ III RP | 61 |
| 849. UDERZENIE Z BELWEDERU | 62 |
| WRZESIEŃ..... | 63 |
| 850. BEZ ZAMAZANIA | 63 |
| 851. ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA III RP - Zabójstwo Księdza Jerzego Popietuszki | 64 |
| 852. NUDIS VERBIS - 1 Diagnoza | 66 |
| 853. NUDIS VERBIS - 2 Terapia..... | 68 |
| 854. O KLUCZENIU I KUŁACZENIU | 69 |
| PAŹDZIERNIK | 71 |
| 855. PRZECIWKO MITOLOGOM DEMOKRACJI | 71 |
| 856. NIEDYSKRETNY UROK REŻIMU PREZYDENCKIEGO | 72 |
| 857. ZA WSZYSTKICH KTÓRZY NIE DAJĄ SIĘ ZWYCIĘŻAĆ ZŁU..... | 73 |
| 858. SZPIEDZY TACY JAK MY..... | 74 |
| 859. JAKIE WOLNE MEDIA?..... | 75 |
| LISTOPAD | 77 |
| 860. STRATEDZY BEZBRONNOŚCI | 77 |
| 861. „RUSKIE SERWERY” I SWOJSKA GŁUPOTA | 79 |
| 862. W PERSPEKTYWIE MECHANIZMÓW OSZUSTWA | 80 |
| 863. O UWOLNIONYCH OD ILUZJI..... | 81 |
| GRUDZIEŃ | 82 |
| 864. DYKTATURA | 83 |

| | |
|---|----|
| 865. PUŁAPKA DEMOKRACJI | 83 |
| 866. DLACZEGO W III RP NIE MA MIEJSCA DLA ANTYSYSTEMOWEJ OPOZYCJI | 84 |
| 867. STAN GOTOWOŚCI | 86 |
| 868. DLACZEGO MILCZELIŚCIE ?..... | 87 |
| 869. CZYM BYŁA AFERA MARSZAŁKOWA. ROLA B.KOMOROWSKIEGO..... | 89 |
| 870. POLSKIE WIGILIE | 92 |
| 871. ŻYCZENIA NOWOROCZNE | 95 |

STYCZEŃ

809. HISTERIA W INTERESIE MOSKWY

Straszenie iskanderami należy do stałego repertuaru rosyjskich mistyfikacji militarnych. Kremlowscy propagandyści doskonale wiedzą, jakie reakcje wywoła wzmianka o rozmieszczeniu rakiet w pobliżu granicy z Polską, i od wielu lat umiejętnie rozgrywają identyczną sekwencję. Wypada się jedynie dziwić, że ta prymitywna gra wciąż okazuje się skuteczna i za każdym razem prowokuje zachowania pożądane przez Rosjan.

Już w roku 2009 prezydent Rosji Miedwiediew groził, że „w razie budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce i w Czechach, Moskwa rozmieści dodatkowe rakiety krótkiego zasięgu w Obwodzie Kaliningradzkim.” Poskutkowało, bo Barack Obama podjął wkrótce decyzję o odstąpieniu od budowy tarczy w wersji preferowanej przez administrację republikańską. Rok później, informacja o iskanderach ponownie posłużyła do szantażu. Na tyle skutecznie, że Amerykanie przenieśli datę rozmieszczenia baterii antyrakiet w Polsce na lata 2018–2020, a nawet zaproponowali Moskwie zapoznanie się ze szczegółami systemu przeciwrakietowego. W styczniu 2012 r. "Rossijskaja Gazieta" i "Niezawisimaja Gazieta" z powodzeniem straszyły obecnością iskanderów w Obwodzie Kaliningradzkim. Miały się tam również znaleźć radary nowej generacji typu Woroneż-DM oraz systemy naprowadzania S-400 Triumph.

Warto przypomnieć, że w tym samym czasie rząd Donalda Tuska z żelazną konsekwencją realizował rosyjsko-niemiecki projekt otwarcia granicy z Obwodem Kaliningradzkim i uczynienia z tego najbardziej zmilitaryzowanego miejsca na świecie, rosyjskich „drzwi do Europy”. U podstaw projektu (wytyczonego w roku 2009 przez Ławrowa), leżała koncepcja reaktywacji Prus Wschodnich. Pozostając pod władzą Rosji, obwód chłonąłby niemiecki kapitał dając w zamian dostęp do rynku rosyjskiego i stając się głównym narzędziem w umacnianiu politycznego przymierza Rosji i Niemiec. Pomysł był aktywnie wspierany przez związek „wypędzonych” z Prus Wschodnich i należał do priorytetów polityki Angeli Merkel. Wykonanie przedsięwzięcia powierzono polskiemu „koniowi trojańskiemu” i stało się ono jednym z najważniejszych elementów misji „*usuwania przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich*” – jak podkreślał Donald Tusk

Podawana cyklicznie informacja o iskanderach w pobliżu polskiej granicy oraz wiele innych wrogich gestów kremlowskiej administracji nigdy nie wpłynęły na rewizję tych planów. Radosław Sikorski przy każdej okazji zabiegał o przyspieszenie inicjatywy Ławrowa, nazywając pomysł otwarcia granicy „*wspaniałą rzeczą dla Rejonu Morza Bałtyckiego, Litwy, Polski i Rosji*”. Dlatego można zadumać się nad naiwnością tych, którzy oczekują dziś od szefa MSZ jakiegokolwiek reakcji na doniesienia niemieckiego tabloida.

Publikacja „Bilda” jest w sposób oczywisty związana z putinowską koncepcją stosowania „miękkiej siły” – czyli używania dezinformacji na taką skalę, by obejmowała nie tylko działania dyplomatyczne, ale prowadziła do wytworzenia fałszywej wizji rosyjskiego militarysty i mocarstwa. Służy temu m.in. szereg publikacji ukazujących się w Polsce i na Zachodzie, których autorzy straszą czytelników planami modernizacji armii rosyjskiej oraz gigantycznymi wydatkami przeznaczanymi na zbrojenia. Niezależnie, czy publikowane są one w dobrej wierze, czy stanowią celową dezinformację - wpisują się w strategię kremlowskiej mistyfikacji. Nieliczne, trafne opinie ekspertów, w których podkreśla się ekonomiczną zapaść Rosji, wskazuje na absurdalne deklaracje dotyczące nakładów na zbrojenia oraz informuje o katastrofalnym stanie armii, nie mogą zrównoważyć powszechnego przekonania, że mamy do czynienia z potęgą militarną zdolną do prowadzenia globalnych działań wojennych i kierowania losami świata. Systematycznie przypominana agresywność Rosji utwierdza natomiast w przeświadczeniu, że jest to państwo w dużym stopniu nieobliczalne, które w obronie swoich interesów gotowe jest do totalnej konfrontacji. Nie powinno zatem dziwić, że kwestia zbrojeń i rozbudowy potencjału militarnego oraz straszenie rakietami wymierzonymi w europejskie cele, jest jednym z głównych obszarów, w którym Rosja sięga po broń dezinformacji.

Robi to tym chętniej, że igrasza o „silnej i nowoczesnej armii” stanowią prostą kontynuację dezinformacji sowieckiej, na której ZSRR opierał swoją rolę światowego hegemonu. Im słabszy był reżim kremlowski, im bardziej rdzewiały sowieckie tanki, a czerwonoarmiści przymierali głodem, tym częściej uruchamiano rozliczną agenturę, straszono Zachód rakietami nuklearnymi i rozsiewano wiadomości o zagrożeniu globalnym konfliktem.

Pułkownik KGB -wierny kontynuator tradycji sowieckiej, nie jest nowatorski. Wykorzystuje tylko te same mechanizmy i eksploatuje te same lęki.

Może sobie na to pozwolić, bo niewiele osób dostrzega, że ma do czynienia z lokalnym watażką, który najbardziej obawia się otwartej, zbrojnej konfrontacji, a swoją siłę czerpie z dezinformacji i propagandowej ofensywy oraz ze słabości zachodnich i amerykańskich przywódców. Jeśli Rosja musi imitować mocarstwo, sięgać do arsenału komunistycznych środków i straszyć nas retoryką sowieckich bandytów – oznacza to tylko tyle, że państwo Putina staje się coraz słabsze. Nic też nie wskazuje, by to państwo mogło sprostać globalnemu konfliktowi lub miało dążyć do jego sprowokowania. Taka konfrontacja przyniosłaby Rosji militarną klęskę i spowodowała utratę jej najważniejszej broni - ekspansywnej sieci intryg i dezinformacji oplatającej współczesny świat.

W odniesieniu do obecnej mistyfikacji, nieczęsto można usłyszeć głos tak rozsądny, jak wypowiedź Wiktora Suworowa, który pytany - jak powinno zareagować NATO na iskandery w Kaliningradzie odparł: „*Jak na głupią demonstrację siły. Idiotycznych ruchów nie ma co traktować ze zbytnią atencją*”. Zwrócił również uwagę, że rosyjska armia znajduje się w agonii i dysponuje przestarzałym sprzętem, jeszcze z czasów Związku Sowieckiego. Do tej trzeźwej refleksji należałoby dodać, że Rosjanie mają spore zapasy paliwa, mogą nas zatem straszyć iskanderami nawet co kilka godzin. Tyle bowiem trzeba, by drogą morską, lądową lub lotniczą przetransportować pojazdy-wyrzutnie i ustawić je w pobliżu polskiej granicy. Wówczas nic nie stoi na przeszkodzie, by kolejne zdjęcie satelitarne i publikacja w zaprzyjaźnionych mediach wywołała pożądaną reakcję.

Znacznie częściej „wrzutka” niemieckiego „Bilda” jest komentowana w tonie historycznym lub służy podkreśleniu atmosfery zagrożenia. To praktyka nienowa i coraz bardziej niepokojąca. Szczególnie, jeśli dotyczy mediów, które deklarują swoją niezależność od głównego nurtu. Od takich bowiem mamy prawo oczekiwać informacji rzetelnych, pozbawionych płytkiej demagogii i emocjonalnego blichtru. W kontekście kolejnej (trudno zliczyć której) moskiewskiej zagrywki, straszenie Polaków rosyjską napaścią lub sugerowanie, że wobec iskanderów tarcza antyrakietowa staje się bezużyteczną zabawką – nie ma nic wspólnego z rzetelną informacją.

Przypomina raczej rezonowanie w rytm kremlowskich intencji i utwierdza odbiorcę w fałszywych ocenach. Zamiast budować realny obraz Rosji i jej potencjału, takie relacje zakłámują rzeczywistość i służą umocnieniu tezy o groźbie militarnej interwencji. W sensie propagandowym nie różnią się niczym od argumentacji stosowanej przez juntę Jaruzelskiego.

Z całą pewnością, współczesna Rosja jest państwem groźnym, ekspansywnym i nastawionym wrogo wobec Polski. Niebezpieczeństwo ze strony Putina nie dotyczy jednak militarnej napaści na kraj natowski, lecz działań rosyjskiej agentury, wywierania wpływu na decyzje polityczne i gospodarcze, stosowania dezinformacji i prowadzenia wojny informacyjnej. Nie iskandery u granic III RP są groźne, lecz ludzie zależni od Moskwy i partie polityczne założone przez funkcjonariuszy sowieckich służb. Warto sobie uświadomić, że straszenie Polaków wizją rosyjskiego militarizmu leży nie tylko w interesie samej Moskwy, ale przede wszystkim w interesie tych, którzy po tragedii smoleńskiej zbudowali swoje rządy na pakcie z Putinem.

810. PRZED PRAWEM...

Przed prawem stoi strażnik. Do strażnika zgłasza się człowiek ze wsi i prosi o pozwolenie wejścia do prawa. Ale strażnik powiada, że na razie nie może mu pozwolić na wejście. Człowiek zastanawia się, a potem pyta, czy wobec tego będzie mu wolno wejść później.

- To możliwe - mówi strażnik - ale teraz nie.

Ponieważ brama do prawa stoi otworem, jak zawsze, a strażnik ustępuje na bok, człowiek pochyla się, aby zajrzeć przez bramę do środka. Gdy strażnik to spostrzega, śmieje się i mówi:

- Jeśli cię to tak nęci, spróbuj wobec tego wejść pomimo mego zakazu. Lecz zapamiętaj sobie: jestem potężny. A jestem tylko najniższym strażnikiem. Lecz przed każdą salą znajdują się strażnicy coraz potężniejsi. I nawet ja nie mogę już znieść widoku trzeciego strażnika.

Człowiek ze wsi nie spodziewał się takich trudności; prawo powinno być przecież dostępne dla wszystkich i zawsze, myśli sobie, lecz gdy dokładniej ogląda teraz strażnika w kozuchu, gdy widzi jego wielki szpiczasty nos i jego długą, rzadką, czarną tatarską brodę, postanawia jednak raczej zaccękać, aż otrzyma pozwolenie na wejście. Strażnik podaje mu stołek i pozwala mu usiąść z boku przed bramą. Siedzi tam dniami i latami.

Podejmuje wiele prób, aby wpuszczono go do środka, i zamęcza strażnika prośbami. Strażnik poddaje go często małym przesłuchaniom, wypytuje o jego ojczyznę i o wiele innych spraw, ale są to pytania obojętne, takie, jakie stawiają wielcy panowie, a na koniec wciąż mu powtarza, że jeszcze nie może go wpuścić.

Człowiek, który dobrze zaopatrzył się na tę podróż, oddaje wszystko, nawet to, co najkosztowniejsze, aby przekupić strażnika. Ten przyjmuje wprawdzie wszystko, lecz mówi przy tym:

- Biorę to tylko dlatego, abys był spokojny, żeś nie zaniedbał niczego.

W ciągu długich lat człowiek obserwuje strażnika prawie bez przerwy. Zapomina o innych strażnikach i ten pierwszy wydaje mu się jedyną przeszkodą do wejścia do prawa. Przez pierwsze lata przeklina swój nieszczęśliwy los brutalnie i głośno, Później, gdy się już postarzał, mruczy tylko coś do siebie. Dziecinnieje, a ponieważ dzięki długoletniej obserwacji strażnika poznał nawet pchły na kołnierzu jego kozucha, prosi więc także pchły, aby mu przyszły z pomocą i zmieniły humor strażnika. Wreszcie wzrok jego słabnie i nie wie już, czy to wokół niego robi się ciemno, czy też oczy go oszukują. Ale dobrze widzi teraz w ciemności blask, który bez przerwy bije z bramy prawa. Niewiele mu już teraz życia pozostało. Przed śmiercią wszystkie doświadczenia całego tego czasu zlewają się w jego głowie w jedno pytanie, którego dotychczas nie postawił jeszcze strażnikowi. Przyzywa go, gdyż nie może już wyprostować swego zesztyniałego ciała. Strażnik musi się pochylić ku niemu bardzo głęboko, ponieważ różnica ich wzrostu zmieniła się bardzo na niekorzyść człowieka.

- Cóż jeszcze teraz chcesz wiedzieć? - zapytuje strażnik. - Jesteś nienasycony.

- Wszyscy przecież pragną prawa – powiada człowiek - jak więc to się dzieje, że przez te wszystkie lata nikt inny poza mną nie domagał się wejścia?

Strażnik poznaje, że nadchodzi koniec człowieka, i aby osiągnąć jeszcze jego zanikający słuch, krzyczy do niego:

- Tędy nie mógł przejść nikt inny oprócz ciebie, gdyż to wejście było przeznaczone tylko dla ciebie. Teraz odchodzę i zamykam je.

...I SPRAWIEDLIWOŚCIĄ

Apolog Kafki nie jest tekstem politycznym. Nie da się dopasować go do spraw bieżących; spuentować nim afer, opisać działania służb, zanalizować politycznych strategii. Książ, który opowiedział tę przypowieść Józefowi K. wyraźnie zaznaczył: „*Łudzisz się co do sądu. We wprowadzeniach do prawa jest mowa o takiej pomyłce...*”.

Dlatego nie będę protestował, gdy jako pomyłkę uznają go ci, którzy oczekiwali innego komentarza, a w jego miejsce otrzymują kawałek literatury. Pasujący raczej do podręcznika licealisty niż politycznego blogu bezdekretu.

Przyznaję: nie znalazłem trafniejszych słów, by powiedzieć o tym co jest. I co być może, jeśli wybierzemy złudzenia. Bo alegoria Kafki nie kończy się „przed Prawem”. Jak twierdził Herling Grudziński, wymaga dopełnienia o ostatnie słowa „Procesu”:

„Logika wprawdzie jest niewzruszona, ale człowiekowi, który chce żyć, nie może się ona oprzeć. Gdzie był sędzia, którego nigdy nie widział? Gdzie był wysoki sąd, do którego nigdy nie doszedł? Podniósł ręce i rozwarł wszystkie palce. Ale na gardle jego spoczęły ręce jednego z panów, gdy drugi tymczasem wepchnął mu nóż w serce i dwa razy w nim obrócił. Gasnącymi oczyma widział jeszcze K., jak panowie, blisko przed jego twarzą, policzek przy policzku, śledzili ostateczne rozstrzygnięcie. "Jak pies!" - powiedział do siebie: było tak, jak gdyby wstyd miał go przeżyć.”

811. TO, CO ZOBACZYLIŚMY W WSI BYŁO OBRAZEM Z NASZYCH NAJGORSZYCH SNÓW

„Media szeroko pisały o politycznym aspekcie likwidacji WSI, niesłusznie pomijając bardziej drastyczny aspekt merytoryczny, w tym aspekt technologiczny. To, co zobaczyliśmy w WSI w 2006 r. było obrazem z naszych najgorszych snów.” – napisał w kwietniu 2008 roku śp. profesor Jerzy Urbanowicz, ówczesny wykładowca KUL, kierownik Katedry Kryptografii i Algorytmicznej Teorii Liczb, pracownik w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk, doradca w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Tekst Urbanowicza - „Budowaliśmy nowoczesne służby ochrony państwa” opublikowany na Salonie24 nie doczekał się należytej ekspozycji i został skwapliwie ukryty przez administrację tego „niezależnego portalu”. Dziś próżno poszukiwać go na S24.

Było to świadectwo wyjątkowe, bo pochodzące od człowieka, który brał bezpośredni udział w tworzeniu nowej służby kontrwywiadowczej. Miało tym większą wartość, że autor nie był politykiem i nie mógł być kojarzony z jakąkolwiek opcją polityczną. To, co szczególnie cenne w tekście prof. Urbanowicza dotyczyło wskazania solidnych, merytorycznych przesłanek, które w sposób dostateczny uzasadniały likwidację nieudolnej i szkodliwej dla Polski służby. Obraz WSI (i kilku innych formacji), jaki wyłania się z relacji Urbanowicza, tworzy wizję całkowicie nieznaną odbiorcom medialnych igraszek rodem z TVN i TVP.

W przededniu kolejnej kampanii „przywracania dobrego imienia WSI” zainicjowanej przez lokatora Belwederu oraz zapowiedzi aktu soldokrackiej zemsty – powołania „komisji śledczej ds. działalności Antoniego Macierewicza” warto przypomnieć ten arcyważny tekst śp. Jerzego Urbanowicza.

10.04.2008 r.

BUDOWALIŚMY NOWOCZESNE SŁUŻBY OCHRONY PAŃSTWA

Od kilku miesięcy obserwujemy intensywne działania prowadzące do rozmontowania budowanej przez nas z wielkim trudem Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Brałem udział w budowie fragmentu tych służb obejmującego Kryptografię, Telekomunikację i Informatykę. Naszym celem było zbudowanie pierwszych w Wolnej Polsce, prawdziwych, nowoczesnych służb specjalnych. Taką służbą, w naszym najgłębszym przekonaniu, nie była Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, o czym świadczy liczba poważnych wpadek, kompromitacji i niedociągnięć w pracy tej agencji.

Nie dzieliliśmy żołnierzy i pracowników cywilnych na nowych i z b. WSI. Jedynym kryterium była przydatność ich pracy dla kraju. Dziesiątki oficerów z byłej WSI awansowało w SKW na wyższe stopnie (do pułkownika włącznie). Wzmocniliśmy ich nowymi ludźmi, kładąc solidne fundamenty pod nowoczesne służby wojskowe wyposażone w większą wiedzę i bardziej nowoczesne, dokładnie sprawdzone technologie.

Nasze służby certyfikacyjne i akredytacyjne były znacznie lepsze niż odpowiadające im jednostki w ABW. Na naradzie dla wszystkich rodzajów wojsk w listopadzie 2006 r. (zorganizowanej miesiąc po powołaniu SKW!) oszacowaliśmy potrzeby armii w zakresie Kryptografii, w tym w relacjach sojuszniczych. Z naszej inicjatywy, stworzyliśmy wspólnie z ABW wymagania bezpieczeństwa dla urządzeń kryptograficznych. Był to przełom w dotychczasowych działaniach w zakresie certyfikacji tych urządzeń.

Naszą dumą było laboratorium badania ulotu elektromagnetycznego. Pracujących tam wychowanków legendarnego płk Biesa z Wojskowego Instytutu Łączności wzmocniliśmy, przyjmując zdolnych nowych ludzi. Żołnierze ci, świetnie wyszkoleni w NATO, reprezentują obecnie najwyższy europejski poziom i to oni a nie ABW narzucają obowiązujące standardy w kraju. Takich sukcesów (również w relacjach sojuszniczych), o których trudno publicznie dyskutować, mieliśmy znacznie więcej.

Zafundowano Polsce spektakl oszczerstw, tzw. wycieków informacji do mediów oczerniających kierownictwo SKW, w czym celował były funkcjonariusz ABW p.o. Szefa SKW płk Grzegorz Reszka bezsensownie niszczący wszystko, co nawinie mu się pod rękę. Jako jedni z pierwszych zostali przez niego usunięci z SKW ludzie tworzący biuro zajmujące się teleinformatyką i kryptografią.

Do swojej poprzedniej amerykańskiej firmy, wrócił (bezpowrotnie) nowy Dyrektor tego biura, inżynier po elektronice na Politechnice Warszawskiej, wybitny specjalista od Internetu. Ściągnaliśmy go do SKW przez ponad pół roku. Zgodził się (z pobudek patriotycznych) pracować dla nowych służb, tracąc na tym finansowo.

Charakterystycznym przykładem braku wyczucia i odpowiedzialności płk Reszki było usunięcie z SKW młodego, niezwykle zdolnego absolwenta Akademii CISCO, który nie był związany z żadną opcją polityczną. Ten młody człowiek zrzekł się (bezpowrotnie) obywatelstwa zachodniego, aby poświęcić się pracy dla Polski. Mam pytanie do zwolenników PO. Czy tak ma wyglądać praktyczna realizacja obietnic PO skierowanych do powracających z emigracji Polaków?

Głęboko przekonany o krzywdzie, którą wyrządził płk Reszka wielu przyzwoitym ludziom z SKW, chciałbym przypomnieć, że podobne działania w UOP w latach 90. zakończyły się zapaścią Narodowej Kryptografii i skandaliczną sprzedażą narodowej infrastruktury telekomunikacyjnej TP SA. Ośmieszyło to Polskę na arenie międzynarodowej. Służby ochrony państwa nie mogą być zabawką w rękach żadnej grupy politycznej. Mają służyć niepodległej Polsce.

Sadzę, że sytuacja dojrzała do tego, aby poddać publicznej ocenie kondycję służb ochrony państwa sfery cywilnej i wojskowej w III Rzeczpospolitej. Nie mam wystarczająco głębokiej wiedzy i przygotowania, aby wystawiać laurki lub krytykować poszczególne osoby. Nie zajmowałem się, jak insynuowała Trybuna, weryfikacją żołnierzy i pracowników WSI. Grzebanie w teczkach pisanych przez esbeków byłoby dla mnie koszmarem. Mogę za to, bez trudu, ocenić przygotowanie technologiczne UOP/ABW/WSI do tego, do czego zostały powołane - do ochrony państwa.

Media szeroko pisały o politycznym aspekcie likwidacji WSI, niesłusznie pomijając bardziej drastyczny aspekt merytoryczny, w tym aspekt technologiczny. To, co zobaczyliśmy w WSI w 2006 r. było obrazem z naszych najgorszych snów. Brak Kryptografii Narodowej, rosyjskie firmy obsługujące łączność WSI, zagraniczne urzędy kryptograficzne z wątpliwymi certyfikatami lub

bez certyfikatów do przetwarzania informacji narodowej dla najważniejszych osób w państwie i dla armii, borykające się z problemami polskie firmy zajmujące się kryptografią a w tle zbudowany za miliony złotych zdekonspirowany strategiczny system obrony państwa (polskiego) podarowany innemu państwu.

Kształceni w Związku Sowieckim oficerowie z mentalnością sowiecką nie byli w stanie oszacować zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa i ryzyka działań (i zaniedbań) podejmowanych przez kolejne rządy. W rezultacie Polska jest dzisiaj znacznie bardziej bezbronna niż we wrześniu 1939 r.

II Rzeczpospolita była w stanie zbudować silne i ideowe służby ochrony państwa, których wizytówką była złamana Enigma. Służby ochrony państwa III Rzeczpospolitej zajmowały się wszystkim tylko nie ochroną państwa. Ich wizytówką jest tzw. Narodowy System Kryptograficzny budowany przez ABW od 2002 r. dla ok. 50 najważniejszych osób w państwie, w oparciu o (nie do końca zbadane) urządzenia kryptograficzne sprowadzone z zagranicy do Polski z udziałem osoby o ewidentnie kryminalnej przeszłości, skazanej w przeszłości za okrutne zabójstwo.

Przytaczam również fragmenty tekstu prof. Urbanowicza - „**HUCPA I HARASSMENT**”. Powstał pięć dni później, w reakcji na zarzuty, że jako były pracownik SKW nie powinien ujawniać informacji na portalu internetowym. Autor napisał wówczas:

Gdybyśmy żyli w normalnym kraju a nie w kraju, gdzie poniża i łyż się publicznie przyzwoitych ludzi, którzy narażali swoje zdrowie i życie dla Polski, przyznałbym im rację. Przyznałbym im rację, mimo, że nie byłem funkcjonariuszem, moje nazwisko nie było tajne i byłem jawnym doradcą SKW ds. kryptografii i teleinformatyki.

Gdy Minister Macierewicz, którego znam od 1981 r., poprosił mnie o pomoc w tworzeniu nowoczesnych służb ochrony państwa, nie wahałem się ani przez chwilę. Minister przyjął moje warunki. Wiedziałem doskonale, co mam robić, gdyż pracowałem wcześniej dla armii. Wiedziałem też, że odejdę ze służb po wykonaniu zleconej mi pracy. Jestem w tej komfortowej sytuacji, że nigdy nie wiązałem swojej przyszłości ze służbami. Jestem wolnym człowiekiem i pewne zachowania naturalne dla służb są dla mnie zbyt krępujące. Robiłem, co robiłem, ponieważ tak się złożyło.

Nikt nie lubi być poniżany a jeśli już jest, ma święte prawo do obrony. Oszczercze, oszołomskie ataki na moich kolegów z SKW a przede wszystkim na Ministra Macierewicza, który jest dla mojego pokolenia „Solidarności” 1980/1981 legendą walki o Wolną Polskę i przez ostatnie 30 lat wielokrotnie udowadniał, że jest zdolny do największego poświęcenia dla kraju, były zwykłym, ordynarnym poniżaniem ludzi. Również ja czułem się poniżany. SKW i MON nie tylko nie stanęły w naszej obronie, ale metodą tzw. wycieków podgrzewały atmosferę. Jest to typowy harassment potępiany we wszystkich cywilizowanych armiach na świecie. Milczał też Rzecznik Praw Obywatelskich zobowiązany do reakcji w takich przypadkach.

Największą hucpą były występy w mediach b. szefa WSI. Szkolony w Związku Sowieckim ekspert od służb specjalnych miał odwagę opluwać bohatera „Solidarności” A. Macierewicza. Człowiek ten powinien milczeć do czasu wyjaśnienia jego działań i zaniedbań w BBN/WSI, gdyż wyrządził wiele szkód krajowi. Wystarczy wspomnieć opisane w Raporcie Macierewicza naginanie ustawy o ochronie informacji niejawnych w celu wprowadzenia zagranicznych, niecertyfikowanych w Polsce urządzeń kryptograficznych do przetwarzania informacji narodowych w armii, innych niż wspomniane w ostatnim akapicie mojego poprzedniego tekstu i skandaliczne zaniedbania związane ze sprzedażą TP S.A.

Żyjemy, gdzie żyjemy i musimy przyjąć konwencję, jaką narzucił nam przeciwnik. Jesteśmy bardziej odpowiedzialni niż minister, który zapowiadał dorżnięcie watahy i ujawniał tajemnice państwowe, tłumacząc się, że nie ma zamiaru ukrywać czyichś głupot. Nie będziemy ujawniać żadnych tajemnic, ani służbowych, ani państwowych, w tym głupot wspomnianego ministra, gdyż nie mamy zamiaru ani nikogo dorżynać, ani psuć niepodległego państwa, o które kiedyś walczyliśmy.

Nie podamy, więc do wiadomości publicznej, jakie kolejne zagraniczne urządzenia sprowadzał wspomniany minister na wyposażenie armii. Nie muszę mówić, jaką wesołość wzbudzało to w SKW, szczególnie wśród żołnierzy b. WSI, którzy byli przedtem w opozycji do kierownictwa WSI, gdyż nie zgadzali się na wprowadzenie w armii niecertyfikowanych urządzeń zagranicznych do przetwarzania informacji narodowych. Stawiali tym urządzeniom podobne wymagania, jakie stawia się w innych cywilizowanych krajach. Byli to ludzie świetnie wyszkoleni w NATO i doskonale wiedzieli jak jest w tych krajach. Dopiero objęcie służb wojskowych przez ministra Macierewicza pozwoliło tym ludziom normalnie pracować.

Dzięki interwencjom ministra Macierewicza, ABW rozpoczęła w zeszłym roku, opisywaną w prasie, budowę systemu łączności utajnionej opartego na polskich urządzeniach kryptograficznych. Jest to wielki sukces PiS, o którym za mało się mówi. Minister Macierewicz jako pierwszy szef służb ochrony państwa sfery wojskowej był zainteresowany budową sieci łączności dla armii opartej na polskich certyfikowanych urządzeniach kryptograficznych. Wielkim sukcesem PiS i Ministra Macierewicza są decyzje podjęte w tym kierunku przez Ministra Obrony Narodowej (A. Szczygło).

Kilka osób pytało mnie o stosunek do oficerów, którzy ukończyli szkolenia w Związku Sowieckim. Moja odpowiedź jest tu jednoznaczna. Takich osób nie powinno być w służbach ochrony państwa w niepodległej Polsce. Z Raportu Macierewicza widać, że kierownictwo WSI składało się w większości z osób szkolonych przez Sowieców i stąd zapewne wynikała większość patologii, które doprowadziły do likwidacji WSI. Nie spotkałem się z żadnym przypadkiem, żeby osoba szkolona w Związku Sowieckim miała unikalne umiejętności przydatne do pracy w służbach. [...]

Minister Macierewicz miał precyzyjny plan budowy nowych służb. Postawił na technologię, która jest piętą achillesową naszej armii. Wyjaśnił wiele nieprawidłowości w MON i zaniedbań ze strony kierownictwa WSI. Odnosił tu kilka spektakularnych sukcesów. Gdyby nasza działalność nie została przerwana, SKW byłaby dzisiaj znacznie bardziej nowoczesna i znacznie lepiej przystosowana do współpracy w relacjach sojuszniczych.

Minister A. Macierewicz spowodował, że polskie firmy zajmujące się kryptografią zaczęły śmiało wchodzić do armii. Już w grudniu 2006 r. (niecałe dwa miesiące po utworzeniu SKW), po interwencjach Ministra Macierewicza, pojawiły się w ABW długo oczekiwane certyfikaty dla polskich urządzeń IP Krypto, na które wcześniej monopol miała firma wymieniona w moim poprzednim tekście, która jako jedyna posiadała takie certyfikaty. Było to bezpośrednio po tym jak twardo zażądaliśmy recertyfikacji urządzeń tej firmy z wglądem w ich kompletną dokumentację. [...]

A. Macierewicz wniósł do służb ochrony państwa nadzieję na zmiany. Ludzie nie liczyli godzin pracy. Zmienialiśmy służby i było to widoczne gołym okiem. SKW wzmocniła czynności sprawdzające i zaczęły się pojawiać nowe firmy polskie firmy niepowiązane z żadnymi podmiotami zagranicznymi. Dlaczego nie zrobiono tego przez ostatnie 15 lat?

Polska kryptografia stała od lat na przyzwoitym europejskim poziomie. Wystarczy wymienić silne ośrodki w Poznaniu i Wrocławiu. Do tego dochodzą ośrodki w Warszawie: znaczący ośrodek związany z Politechniką Warszawską, skupiony wokół konferencji Enigma, silne grupy w WAT, WiŁ, na Uniwersytecie Warszawskim i w instytutach PAN, a także na uczelniach w Gdańsku i Katowicach. Zaczęliśmy tworzyć również ośrodek w KUL. Grupy te współpracują z najlepszymi ośrodkami europejskimi i światowymi. Dlaczego państwo nie zainwestowało w tych zdolnych ludzi części olbrzymich pieniędzy wydanych

na wątpliwe zagraniczne urządzenia kryptograficzne? Może to jest powód tego, że młodzi ludzie zajmujący się kryptografią po ukończeniu studiów wyjeżdżają na zawsze z kraju a potem wzmacniają bezpieczeństwo innych państw. Na zakończenie, chciałbym serdecznie podziękować wszystkim przyjaciołom SKW, pierwszych nowoczesnych służb specjalnych w Polsce. Jestem głęboko przekonany, że nie uda się zniszczyć wszystkiego, co zrobiliśmy w tak krótkim czasie. Wierzę, że zbudujemy nową Polskę, którą Premier Jarosław Kaczyński nazwał umownie IV Rzeczpospolitą. Wierzę, że żubra obudzonego przez J. Kaczyńskiego nie da się łatwo zatrzymać.

812. JAK POWSTAWAŁA III RP – LIST URBANA

W jednym z wydań miesięcznika „Poza Układem”, redagowanego przez Joannę i Andrzeja Gwiazdów w latach 1984-1990, ukazał się fragment szczególnie interesującego tekstu. Ten nieznanymi dziś dokument to list Jerzego Urbana –ówczesnego rzecznika rządu PRL z dn. 3 stycznia 1981 roku, skierowany do I sekretarza PZPR Stanisława Kani.

Dokument ten (tłumaczenie z kwartalnika „Uncaptive Minds” wydawanego przez Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej) zamieszczono w numerze specjalnym „Poza Układem” z maja 1989 roku, poświęconym tzw. wyborom kontraktowym.

Tekst Urbana streszcza koncepcję „stworzenia rządu koalicyjnego” z częścią opozycji i środowiskami kościelnymi oraz swoistą wizję kompromisu rozumianego jako „zgodę na pewne żądania w zamian za całkowitą likwidację innych żądań.” Są w nim zawarte kapitalne stwierdzenia, pozwalające nie tylko zrozumieć intencje komunistycznych namiestników, ale na nowo odczytać niektóre z procesów politycznych zachodzących w latach 80.

To niemal całościowy plan działań, których realizacja doprowadziła do stworzenia koncesjonowanej opozycji, obrad „okrągłego stołu”, sfingowania „wolnych i demokratycznych wyborów”, a w konsekwencji - do legalizacji PRL-u i uczynienia z komunistów „pragmatycznej i nowoczesnej politycznej organizacji, otwartej na współczesny świat”. Można powiedzieć, że tekst Urbana zawiera polityczne podwaliny tworu nazywanego później III RP.

W roku 2014 lokator Belwederu i skupione wokół niego środowisko chce zafundować Polakom propagandowy spektakl pod hasłem „obchodów dnia wolności 6 czerwca”. Fałszywa wizja, w której wysiłek wielu pokoleń Polaków przelewających krew za Niepodległą, zrównuje się z zaprzaństwem grupki „przyjaciół” Kiszczaka przelewających z komunistami wódkę w Magdalence, będzie dominowała w całym przekazie ośrodków propagandy i już dziś niesie zapowiedź uczynienia z farsy wyborczej 1989 roku, daty równorzędnej lub zastępczej wobec autentycznego Święta Niepodległości.

„List Urbana” jest pierwszym z tekstów, w których mam zamiar przedstawić szereg dokumentów i świadectw przeczących tej kłamliwej, ahisterycznej wizji.

List Jerzego Urbana do I sekretarza KC PZPR z dn. 3 stycznia 1981r. - fragmenty, tłumaczenie z Uncaptive Minds - listopad - grudzień 1988.

[...] Dlatego błędem jest myśleć w oparciu o prostą alternatywę "podać się czy nie podać się" (chodzi o PZPR - przyp. tłum.) ponieważ obie możliwości prowadzą do tego samego. Według mnie jedynym naszym wyjściem jest kompromis. Kompromis to nie to samo co koncesje. Koncesje oznaczają utratę a kompromis nie oznacza przegranej. Koncesje to oddawanie po kawałku różnych rzeczy z dnia na dzień, gdzie tylko druga strona zyskuje. Przez kompromis rozumiem położenie kresu obecnej próbie siły; oznaczenie obszaru praw politycznych, i ograniczenie aspiracji sił politycznych działających w Polsce oraz dojście do porozumienia jak wszystko ma działać i jak będzie funkcjonowało państwo. Dla nas kompromis oznaczałby zgodę na pewne żądania w zamian za całkowitą likwidację innych żądań. Nasi przeciwnicy muszą zaakceptować zobowiązanie pohamowania sił, którym przewodzą. Więc z jednej strony władze będą zobowiązane do pewnej rekonstrukcji rządu a z drugiej strony partner rządu musi zgodzić się na niewysuwanie jakościowo innych żądań, położenie kresu strajkom, nieatakowanie w pewnych dziedzinach, niewymiatanie ludzi z aparatu itp.

Aby do takiego kompromisu doszło, należy mieć partnera, z którym można do kompromisu dojść. Innymi słowy, tylko wtedy ma to sens gdy partner jest w stanie kontrolować masę jak i również swoich własnych radykałów oraz nie ogłosi w dzień po podpisaniu porozumienia, że społeczna baza umknęła spod jego kontroli. Może okazać się konieczne zaufanie możliwościom Wałęsy i Wyszyńskiego co do kontroli sytuacji. Może nawet okazać się konieczne sprawdzenie tych możliwości przez wstępne zgodzenie się na kompromis. Również nasz partner musi chcieć zgody na taki kompromis, powstrzymać swoje siły i wypełnić uczciwie postanowienia ugody. Sądzę że poprzez środki polityczne będzie można wyrzucić presję w tym kierunku. [...]

Mam na myśli utworzenie rządu koalicyjnego z niewielką większością członków Partii - takich, których społeczeństwo mogłoby przełknąć najłatwiej - jak i również reprezentantów Kościoła i umiarkowanego nurtu "Solidarności". Takie koalicje byłyby utworzone w tym samym czasie na szczeblach wojewódzkich, miejskich i wiejskich.

Ale nie na tym koniec. W przeszłości, w 1956 i 1970-71, okresy niepokoju społecznego kończyły się, ponieważ była jakaś data, symbol - miesiąc, łańcuch wydarzeń, który dla społeczeństwa oznaczała zakończenie jednej fazy i rozpoczęcie następnej. Społeczeństwo wtedy przyjęło, że oczekiwane zmiany ogólnie nastąpiły i powoli następował okres spokoju. Obecna sytuacja wymaga zmiany bardziej dogłębnej ale sądzą, że ten pomysł można wykorzystać jeszcze raz. Pokróćce, należy zainicjować jeszcze jeden punkt zwrotny, gdyż społeczeństwo nie chciało uznać, że taki punkt zwrotny nastąpił we Wrześniu 1980.

W przeszłości, głównym wydarzeniem - lub odzwierciedleniem – różnych punktów zwrotnych była zmiana na szczycie przywództwa Partii. Obecnie zmiana w tym zakresie nie jest potrzebna, gdyż ważna, o ile nie całkowita zmiana, już się dokonała; poza tym oczekiwania społeczne są zwrócone w : innym kierunku (co, przy okazji, wskazuje, że nadzieje społeczeństwa nie są już związane z władzą Partii). Zmiany osobowe w aparacie nie są więc konieczne, żeby zdobyć opinię publiczną, lecz raczej należy uczynić rząd bardziej „efektywnym”.

Głównym elementem tego punktu zwrotnego byłoby stworzenie rządu koalicyjnego opartego na porozumieniu takim, że cała koalicja pojawi się na jednej liście wyborczej. To rozwiązałoby problem wyborów, który wisi nad nami, gdyż wybory byłyby "wolne i demokratyczne" (cudzyśłów pochodzi od Urbana - przyp. tłum.) a jednocześnie nie zagrażałyby wyginięciu politycznemu PZPR. W tym samym czasie różnorodne wydarzenia polityczne powinny nastąpić. Może nowa konstytucja?

Rozwiązanie Sejmu? Szeroko nagłaśniane procesy pewnych członków poprzedniej ekipy rządowej? Moim zdaniem spora liczba takich wydarzeń powinna nastąpić w przeciągu krótkiego okresu czasowego żeby stworzyć wrażenie, że oczekiwany punkt zwrotny nadszedł.

A wybory, jeżeli nadejdą szybko i będą oparte na jednej liście kandydatów, wyprzedzą żądania nowych wyborów, z którymi "Solidarność" i inni przeciwnicy rządu mogą wystąpić lada dzień. Musimy pamiętać, że zła wola skierowana przeciwko obecnemu niereprezentatywnemu Sejmowi (pomimo jego wysiłków) może okazać się głównym czynnikiem w najbliższej przyszłości.[...]

Nie jestem "całkowitym demokratą" i nie mam ochoty widzieć katolików uczestniczących w rządzie. Właściwie, sędzę, że w ogólnym programie rozwoju i modernizacji Polski osiągnięcie naszych celów będzie trudniejsze do przeprowadzenia przy ich uczestnictwie.[...] żywię silną awersję do katolików, ich programu, idei i mentalności. Paradoksalnie, jednak, widzę szansę na odbudowę autorytetu i siły PZPR w koalicji rządowej z nimi. Oczywiście, nasza Partia powinna ulec poważnym przerażeniom w dziedzinach ideologii, programu i stylu. Obecnie PZPR ponosi całą odpowiedzialność za rządzenie a tymczasem inne siły poza partią nieodpowiedzialnie krytykują i wywierają nacisk jak tylko i im się to podoba.

W rządzie koalicyjnym, te siły polityczne, które otrzymają zaufanie z racji postaw opozycyjnych, staną się odpowiedzialne za działalność rządu i w ich stronę skieruje się część gniewu społecznego. Społeczeństwo zobaczy – ponieważ, oczywiście, rzeczy nie pójdą łatwo - że nie ma przyrodzonej wady w komunistach, powodującej że rządzą kiepsko. Pogląd, że grupy katolickie i "Solidarność" są lepsze, będzie zdyskredytowany. Utracą oni swój szacunek w oczach społeczeństwa; mit że wszyscy są dobrzy z wyjątkiem komunistów, zniknie. Jeżeli pod względem programowym Partia stanie się twórczą a zarazem atrakcyjną siłą, zostaną położone podwaliny pod odbudowę pozycji Partii w społeczeństwie jako pragmatycznej i nowoczesnej politycznej organizacji, otwartej na współczesny świat. Funkcjonowanie wewnątrz koalicyjnego rządu ożywi Partię, uczyni ją bardziej otwartą na nowe idee i ułatwi wewnętrzną zmianę.

Skany oryginałów tekstu:

<http://www.sw-trojmiasto.pl/Prasainna.html>

http://www.sw-trojmiasto.pl/Prasainna/PU89_5specjakny_1.jpg

http://www.sw-trojmiasto.pl/Prasainna/PU89_5specjakny_2.jpg

http://www.sw-trojmiasto.pl/Prasainna/PU89_5specjakny_3.jpg

813. REAKTYWACJA - WYBORCZE MYTO

Od chwili objęcia stanowiska prezydenta, Bronisław Komorowski konsekwentnie dąży do budowy i umocnienia reżimu prezydenckiego. Ogólne założenia belwederskiej koncepcji przedstawił przed dwoma laty szef BBN, gen Koziej: „*Z konstytucji wynika, że są dwa ośrodki władzy wykonawczej – rządowy i prezydencki. Bierzemy jednak pod uwagę, że w przyszłości może się pojawić wola zmiany konstytucji i na przykład przejście na system prezydencki albo gabinetowy*”. To stwierdzenie belwederskiego ministra można odczytać jako wyraźną zapowiedź ewolucji w stronę reżimu prezydenckiego.

Podczas pierwszego „etapu strategicznego” (tzw. wnioski i rekomendacje Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego) powstały pseudonaukowe podwaliny pod zbiór kilku komunałów, nazwanych przez szefa BBN „doktryną Komorowskiego”. Komunałów groźnych, bo za rozważaniami o „zagrożeniach aterytorialnych”, „zdolnościach przeciwzaskoczeniowych” i „sytuacjach trudnokonsensusowych” nietrudno dostrzec niezwykle krytyczną ocenę NATO, wspartą na egzotycznej koncepcji „usamodzielnienia systemu bezpieczeństwa”. W ramach tej koncepcji istnieją mocne przesłanki zmiany dotychczasowych priorytetów oraz działań w kierunku dezintegracji Sojuszu lub wręcz wyjścia Polski z NATO.

Zakończenie etapu SPBN pozwoliło przejść do kolejnego kroku, podczas którego dokonano tzw. reformy systemu kierowania i dowodzenia armią oraz niemniej ważnej reformy służb specjalnych. Kilka legislacyjnych posunięć zwiększyło wpływy Belwederu na armię (w tak newralgicznych kwestiach, jak obsada stanowisk, rozbudowa „potencjału obronnego” i modernizacja przemysłu zbrojeniowego) i dało podstawę do wdrożenia prezydenckiej „konceptji kułaka”, w której znacząco ograniczono uprawnienia zwykłego wywiadu i kontrwywiadu, utworzono nową służbę MON (Narodowe Centrum Kryptologii) i umocniono formacje wojskowe. Przeprowadzone w ramach tego projektu roszady personalne, polegały na zastąpieniu złych, nieudolnych (lecz powiązanych z PO) szefów służb i ministerstw, ludźmi „drugiego szeregu”, równie bezbarwnymi, jak bezwolnymi wobec dyspozycji Belwederu. Nie tylko osłabiło to władzę Tuska i jego marionetkowych ministrów, lecz pozwoliło przesunąć centrum decyzyjne w sprawach bezpieczeństwa narodowego w stronę środowiska belwederskiego. Projekty, nazwane szumnie „doktryną Komorowskiego” (w tym np. pomysł budowy „polskiej tarczy antyrakietowej”), tylko pozornie wydają się nonsensowne. Posłużą bowiem generowaniu olbrzymich środków na rzecz środowisk związanych z przemysłem zbrojeniowym i mają związek z reaktywacją wpływów byłych WSI. Zamysł powierzenia ludziom „wojskówki” nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie tego środowiska w procesy gospodarcze związane z modernizacją Sił Zbrojnych, mogą być częścią tych planów. Reżim prezydencki znajdzie zatem silne oparcie w armii i wojskowych służbach specjalnych.

Stwierdzenie gen. Kozieja, iż - „*wojsko to nasza polisa ubezpieczeniowa*”, nabiera wówczas szczególnego znaczenia.

W perspektywie działań podejmowanych przez Belweder głęboko nieprawdziwe są opinie, jakoby prezydentura Bronisława Komorowskiego polegała głównie na popełnianiu gaf i kreowaniu pozycji „malowanego prezydenta”. Takie oceny nie tylko nie oddają prawdy o intencjach lokatora Belwederu, ale ułatwiają ukrycie rzeczywistych zamysłów środowiska skupionego wokół Komorowskiego.

Teza o wiodącej roli tego środowiska, znajduje dziś kolejne potwierdzenie. Medialne wypowiedzi Komorowskiego, w których ostro zaatakował Antoniego Macierewicza i wydał dyspozycję reżimowym organom ścigania, zostały natychmiast podchwyczone przez ośrodki propagandy i zainspirowały grupę rządzącą. Pomysł powołania "sejmowej komisji śledczej ds. działalności Antoniego Macierewicza" oraz dywagacje o „rozliczeniu” Komisji Weryfikacyjnej WSI niosą nie tylko zapowiedź sołdoackiej zemsty, ale stanowią logiczną kontynuację procesu budowy reżimu prezydenckiego. Fakt, że oficjalne inicjatywy podejmuje partia pośła na P.- przyjaciela i „alter ego” Komorowskiego, potwierdza jedynie, że mamy do czynienia z zamysłami Belwederu i ludzi byłych WSI.

Na stronie internetowej stowarzyszenia „Sowa” znajduje się tekst radcy prawnego w Inspektoracie Wojskowej Służby Zdrowia MON płk. Leszka Proskina poświęcony „odpowiedzialności pracowników organów państwowych za działania w obszarze bezpieczeństwa państwa”, w nim zaś rozdział zatytułowany „Prawo to nie sprawiedliwość”, w którym m.in. wskazano „aspekty prawne” odpowiedzialności Antoniego Macierewicza. Konkluzja radcy prawnego MON jest jednoznaczna: „Mamy spisany i opublikowany raport na podstawie nierzetelnych informacji, mamy przepisy prawa karnego głoszące, że takie działanie jest działaniem przestępczym, mamy osoby poszkodowane w efekcie tak spisanych i opublikowanych informacji, mamy straty skarbu państwa, i co najważniejsze, znamy z imienia i nazwiska osoby, którym możemy przypisać tak naganne zachowanie. Nie można niestety podziękować im adekwatnie do ich czynu”.

Próba zainicjowania „podziękowań adekwatnych do czynów” ma oczywisty związek z procesem „przywracania dobrego imienia” WSI, o co od dawna zabiegali oficerowie tej formacji. W czerwcu 2011 roku, gen. Dukaczewski w piśmie do premiera Tuska wyrażał nadzieję, że „sprawa skrzywdzonych przez Raport Antoniego Macierewicza i Komisje Weryfikacyjna żołnierzy i pracowników WSI zostanie w końcu rozwiązana zgodnie z zasadami obowiązującymi w demokratycznym państwie”.

Warto przypomnieć, że od wielu miesięcy celów trwają przygotowania do uchwalenia nowelizacji ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego. Wspierany przez Belweder projekt MON z 16 października 2012 roku, w którym zawarto procedury „uzupełnienia raportu” z Weryfikacji WSI, przewiduje również środki prawne mające ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy tej służby. Nowela jest obecnie przedmiotem zaawansowanych konsultacji i uzgodnień, do których zaproszono również żołnierzy byłych WSI, skupionych w stowarzyszeniu „Sowa”.

Ataki na Antoniego Macierewicza i zamiysł powołania speckomisji, są zatem elementem szerszej kombinacji zmierzającej do reaktywacji układu byłych WSI. Społeczeństwo ma się dowiedzieć, że likwidacja tej służby była nie tylko błędem, ale poważnym przestępstwem i zagrażała bezpieczeństwu państwa. Forsowanie takiej propagandowej tezy znakomicie ułatwi proces budowy reżimu prezydenckiego. Kto wówczas ośmielił się przeciwstawić rehabilitacji „pokrzywdzonych” soldokratów lub krytycznie oceni działania Belwederu o obszarze bezpieczeństwa? Wprawdzie ludzie PO mogą obawiać się publicznego roztrząsania tematyki „rosyjskiego peryskopu”, zaś umocnienie pozycji Komorowskiego jest niekorzystne dla grupy Tuska, to również w tym przypadku zdecydują racje ośrodka prezydenckiego. Powodzenie operacji będzie bowiem zależało od szczelności osłony medialnej i dyspozycyjności rządu.

W wyniku tej operacji, Komorowski - obrońca i polityczny patron WSI, wyrośnie na postać „męża stanu”, tego, który „przywrócił porządek” i zapewnił Polakom bezpieczeństwo. Proces musi zostać domknięty do 2015 roku. Choćby po to, by zapewnić lokatorowi Belwederu reelekcję, która bez wsparcia środowiska związanego z WSI (media, oligarchia, służby) byłaby znacznie utrudniona.

LUTY

814. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (1)

Wkrótce minie dziesiąta rocznica śmierci pułkownika Ryszarda Kuklińskiego (14.02.2004), człowieka, o którym dyrektor CIA William Casey powiedział: „Nikt na świecie, w ciągu ostatnich 40 lat, nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak. To on przyczynił się do utrzymania pokoju”.

Wspominając postać polskiego bohatera, chciałbym przypomnieć fragmenty kilku tekstów, opublikowanych przed laty pod wspólnym tytułem „Skazany przez III RP. Rzecz o Pułkowniku”.

Państwo, które mieni się wolnym i niepodległym wielokrotnie skazywało Ryszarda Kuklińskiego. Nie tylko w sensie prawnym, jak w roku 1995, gdy ścigano pułkownika za zdradę PRL, czy rok później, gdy rozesłano za nim listy gończe. Zaocznym wyrokiem tego państwa i jego „elit”, pułkownik Kukliński został skazany na zapomnienie, a prawda o jego czynach, na zafalszowanie.

Od roku 1997, gdy po raz pierwszy NSZZ Solidarność wystąpiła do władz o nadanie pułkownikowi najwyższego odznaczenia państwowego i awansowanie na stopień generała, III RP konsekwentnie odmawia uhonorowania polskiego bohatera. Jeśli już wspomina się o nim – to w sposób wyznaczony esbeckimi dyrektywami Zespołu Analiz MSW z roku 1987, lub słowami takich świadków, jak Stanisław Koziej, dla którego Ryszard Kukliński „dopuszczył się czynu trudnego do zaakceptowania dla ludzi w mundurach, tzn. służby dla obcego państwa”.

Wraz z odziedziczoną po PRL-u propagandą, do dziś powielane są łgarstwa o „zdradzie Kuklińskiego”, a jego postać uznaje się za „kontrowersyjną” i „niejednoznaczną”. Ta niewolnicza mentalność nie dopuszcza myśli, że sprzeciw wobec okupanta nie może być aktem zdrady, zaś wiernopoddańcza służba w armii zarządzanej przez okupanta, nigdy nie będzie powodem do chwały.

Refleksja nad minionym ćwierćwieczem skłania do konkluzji, że dobrze się stało, iż państwo zakorzenione w spuściźnie komunizmu nie oddało honorów polskiemu bohaterowi.

To sprawia, że w sposób naturalny, pułkownik Ryszard Jerzy Kukliński jest dla Polaków prawdziwym bohaterem. Dla tych zaś, którzy stworzyli to państwo i mienią się jego elitą – niech pozostanie zdrajcą.

1.

Są w najnowszej historii Polski postaci, których III RP nigdy nie uzna za heroiczne i nie przydzieli im miejsca w panteonie narodowych bohaterów. Niezależnie – kto i w jakiej konfiguracji rządzi państwem – te postaci pozostaną w cieniu, a ich czyny będą skazane na zapomnienie.

Dzieje się tak, bo twór zbudowany na sojuszu zdrajców z katami musi bać się każdej, autentycznej wielkości. Nadto obnaża ona nędzę tych, którzy zafundowali Polakom namiastkę niepodległości.

Stosunek III RP do pułkownika Ryszarda Kuklińskiego dowodzi, że państwo to jest bezpośrednim sukcesorem PRL-u i podobnie, jak w sprawie „mordu założycielskiego” na księdzu Jerzym istnieje haniebna „zmowa elit”, tak w przypadku pułkownika Kuklińskiego mamy do czynienia z fundamentalnym i systemowym zafalszowaniem. [...]

Gdybyśmy chcieli dociec przyczyn tego zachowania, należałoby wskazać kilka istotnych przesłanek. Najważniejsza z nich to ta, iż działalność Kuklińskiego dowiodła zaprzaństwa komunistycznych namiestników i pozwoliła zrozumieć, czym naprawdę był twór zwany „ludowym wojskiem” i państwo zwane PRL-em. [...]

„Jedną z naczelnych zasad naszej doktryny operacyjnej stał się pogląd, że broń jądrowo – raketowa jest obecnie głównym środkiem rozwiązywania zadań... W przyszłej wojnie światowej walka toczyć się będzie w sensie politycznym o istnienie lub nieistnienie jednego ze światowych systemów społecznych...”

Taką zasadę głosiła „Doktryna Obronna Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, a faktycznie doktryna wojenna Układu Warszawskiego, zawarta w dokumencie przeznaczonym jedynie dla wąskiej grupy generałów. [...]

Szczegóły planów nuklearyzacji Polski znalazły się wśród materiałów, które dostarczył Amerykanom pułkownik Ryszard Kukliński. Jako szef Oddziału Planowania Obronno-Strategicznego w Sztabie Generalnym LWP, Kukliński miał wgląd w strategiczne plany Układu Warszawskiego. Znał dyslokację wojsk i trasy ich przemarszu, przez jego ręce przechodziło setki tajnych dokumentów. Dariusz Jabłoński – twórca filmu „Gry wojenne” przypominał, że w 1979 roku wszystkie kraje Układu Warszawskiego przyjęły statut na wypadek wojny. Dokument ten stanowił, że w wypadku konfliktu zbrojnego dowództwo przechodzi w ręce szefa Zjednoczonych Sił Zbrojnych, którym był trzeci wiceminister obrony narodowej ZSRR.

„Polskim” frontem działań wojennych miała stać się Dania i niemiecki Hanower. W myśl planów sowieckich, generałowie LWP dostaliby koperty z Moskwy i zostali zmuszeni do wykonywania sowieckich rozkazów. Połowa polskiej armii została by w pierwszym rzucie skierowana na świetnie uzbrojone Niemcy Zachodnie i Danię. Ponieważ znajdowały się tam m.in. pasy min jądrowych – straty byłyby kolosalne. Druga połowa zginęłaby na terenie kraju w odwetowych nuklearnych atakach amerykańskich, próbując osłonić drugi rzut Armii Czerwonej przechodzącej przez Polskę. [...]

Sowieci zakładali, że przez Polskę ruszy na zachód masa wojsk i sprzętu – blisko milion pojazdów i ponad dwa miliony ludzi. Wojska sowieckie miały pójść 26 wytyczonymi trasami. Zatrzymanie tego natarcia musiałyby nastąpić na obszarze naszego kraju, w miejscu powstawania zatorów, podczas postojów i przepraw mostowych. Celem amerykańskich ataków nuklearnych stałyby się zatem miasta położone nad Wisłą i Odrą - Warszawa, Kraków, Gdańsk, Wrocław. [...]

Jest oczywiste, że założenia sowieckiej doktryny skazywały nasz kraj na całkowitą zagładę. To zaś oznacza, że najwyżsi dowódcy „ludowej armii” z pełną świadomością akceptowali fizyczną eksterminację Polaków i w imię „obrony przyjaźni ze Związkiem Radzieckim” godzili się na uśmiercenie milionów rodaków.

Ujawniony przez płk. Kuklińskiego dokument „Doktryny Obronnej PRL” potwierdzał taką tezę:

„Doktryna operacyjna polskich sił zbrojnych jest podporządkowana ogólnej doktrynie strategicznej socjalizmu. Nie negując znaczenia obrony, oddajemy priorytet działaniom zaczepnym. Operacyjne zadania Polski w ramach Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego przewidują, że po wybuchu konfliktu zbrojnego Wojska Polskie mają rozwinąć operację zaczepną na północnonadmorskim kierunku operacyjnym, operacyjnym, na głębokości 500 do 800 km, w pasie 200 do 250 km, w tempie 60 do 80 kilometrów na dobę. [...]

Trzeba przewidywać, że przeciwnik będzie dążył do wykonania strategicznych barier jądrowych. Za przypuszczalne obiekty uderzeń jądrowych należy, wydaje się, uznać: Śląski Okręg Przemysłowy, Warszawę, rejon Trójmiasta, Łódź oraz Poznań, Szczecin, Wrocław, Kraków. Uderzenia na komunikacji najbardziej prawdopodobne w rejonie granicy polsko-radzieckiej. Dokładna prognoza skali uderzeń jest trudna. Jeżeli jednak przeliczyć dla pierwszych dni wojny przybliżoną liczbę 50 do 60 uderzeń jądrowych o ogólnej mocy 25 do 30 megaton, to straty spowodowane tymi uderzeniami miałyby wynieść milion dwieście, do 2 milionów ludzi, a bardzo rozległy obszar kraju uległby skażeniu promieniotwórczym.”

Plany sowieckie przewidywały, że uderzenia atomowe spowodują straty do 50 proc. w dywizjach pierwszego rzutu strategicznego sił Układu Warszawskiego- czyli głównie wśród polskich żołnierzy.

Ważne informacje dotyczące doktryny ZSRR i roli LWP ujawnił przed kilkoma laty Józef Szaniawski – pełnomocnik pułkownika Kuklińskiego. Przypomniał wówczas, że „ludowe wojsko” miało wystawić do ataku na Zachód dwie armie - pancerną i zmechanizowaną. Wspierał je miały tak zwane ABROT, czyli Armijne Brygady Rakiet Operacyjno- Taktycznych oraz myśliwce bombardujące. Od 1964 r. Polska dysponowała odrzutowcami Su-7, zgrupowanymi w Bydgoszczy, które zakupiono specjalnie z myślą o atakach jądrowych. ARBOT-y uzbrojone w rakiety R-170, a potem R-7 i R-300 oraz 5. pułk lotniczy z Bydgoszczy, wyposażony w samoloty Su-7 teoretycznie powinny otrzymać od Rosjan głowice atomowe i bomby nuklearne na wypadek wojny. Polaków jednak nigdy nie dopuszczono do ćwiczeń z prawdziwą bronią jądrową, a wojsko trenowało jedynie na atrapach. Procedura przekazania głowic i bomb była jedną z najściślej strzeżonych w PRL tajemnic. Sekrety nuklearyzacji Polski znajdowały się w zalakowanych kopertach przechowywanych w sejfach kolejnych pierwszych sekretarzy PZPR i były opatrzone inskrypcją: „Otworzyć w przypadku wojny”. Koperty te zniszczono w 1989 r. na rozkaz gen. Jaruzelskiego.

Gdy tzw. wymiar sprawiedliwości III RP roztrząsa rzekomo sporną kwestię odpowiedzialności Jaruzelskiego za wprowadzenie stanu wojennego, całkowicie pomijany jest fakt, że ten człowiek i podległe mu dowództwo „ludowego wojska” – w imię okupacyjnej „doktryny strategicznej socjalizmu” wyrażało zgodę na zagładę własnego społeczeństwa i uczynienie z polskiej armii „mięsa armatniego”. [...]

Z tej perspektywy - nienawiść wyższej kadry dowódczej LWP do pułkownika Kuklińskiego, staje się całkowicie zrozumiała. Czyn pułkownika w sposób oczywisty obnażał rolę sowieckich zdrajców, skazujących rodaków na zagładę. [...]

III RP, czyniąc z Kiszczak i Jaruzelskiego „ludzi honoru” musiała zatem wypracować cały system tez propagandowych, by zniekształcić i zakłamać prawdę o dokonaniach pułkownika Kuklińskiego. Kłamstwa na jego temat, powtarzane wielokrotnie przez „autorytety” tego państwa, mają swoje źródło w retoryce komunistycznej i były inspirowane przez ludzi policji politycznej PRL. W zasobie archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, zespole akt byłego rzecznika prasowego URM Jerzego Urbana (sygnatura URM BPR 403) zachowały się dokumenty wskazujące na tę propagandową sukcesję. Dotyczą one koncepcji „propagandowego przeciwdziałania” na wywiad Ryszarda Kuklińskiego udzielony paryskiej „Kulturze” w kwietniu 1987 r., zatytułowany „Wojna z narodem widziana od środka”.

Miały one dostarczyć Urbanowi argumentów służących zdezwuowaniu Kuklińskiego i przedstawionej przez niego wersji wydarzeń.

Pierwszy z dokumentów został sporządzony w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, drugi w Głównym Zarządzie Politycznym LWP. Zaprezentował je Grzegorz Majchrzak w publikacji „Zneutralizować Kuklińskiego”, zamieszczonej w Biuletynie IPN nr.3(38) z marca 2004 r.

Dokument pierwszy, pochodzący z Zespołu Analiz MSW nosił datę 14.04.1987 r. i zawierał m.in. tezy związane z planowanym przez komunistów „porozumieniem narodowym”. Już wówczas zdawano sobie sprawę, jakie zagrożenie dla planów „transformacji ustrojowej” niesły wypowiedzi Kuklińskiego, w których ujawniał rolę sowieckich namiestników wystrojonych w polskie mundury. Analizy z SB zatytułowały ten dokument „Notatka dot. argumentów i tez kontrpropagandowych wobec wywiadu R. Kuklińskiego dla „Kultury”. Czytamy tam m.in.:

„1. Podstawowym pytaniem w związku z ukazaniem się wywiadu Kuklińskiego w „Kulturze”

jest pytanie – dlaczego akurat teraz? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Oto przesłanki dla wypracowania takiej odpowiedzi:

- tekst jest wymierzony personalnie przeciw tow. gen. armii Wojciechowi Jaruzelskiemu;
- drugi cel dywersyjny – to odnowienie i nasilenie nastrojów antyradzieckich w sytuacji oczywistego i powszechnie komentowanego zbliżenia Polski i ZSRR w trakcie przeprowadzania wewnętrznych reform;
- wyprzedza i utrudnia otwarcie w publicystyce i historycznych pracach naukowych i popularyzatorskich tzw. trudnych tematów dot. wspólnej historii Polski i ZSRR – co przygotowywano;
- pojawia się tuż po „spektaklu amerykańskim” przeznaczonym dla opinii międzynarodowej i własnych wyborców, jakim było zniesienie restrykcji;
- stwarza przeciwwagę, odnawia negatywne emocje za granicą wobec polskich władz w sytuacji prowadzonej z powodzeniem ofensywy dyplomatycznej dla przebiccia sztucznej izolacji naszego kraju;
- pojawia się przed wizytą papieża, w kontekście jego pobytu m.in. w Chile i stwarza oczekiwania oraz psychologiczną presję na odnowienie problemu „Solidarności” i jej „spacyfikowania” podczas pobytu papieża w Polsce;
- uderza w procesy polaryzacji politycznej tzw. opozycji, a zwłaszcza [w] takie próby rozszerzenia praktyki porozumienia narodowego jak utworzenie Rady Konsultacyjnej oraz efekty polityczno-psychologiczne, zwolnienia tzw. więźniów politycznych;
- pojawia się w trakcie podjęcia w Polsce próby radykalnej efektywizacji gospodarki, co daje jedyną szansę trwałej stabilizacji wewnętrznej i umocnienia socjalizmu.”

Wszystko wskazuje na to, że Zachód nie wypracował jeszcze zwartej i jednolitej koncepcji reakcji na zmiany zachodzące w ZSRR oraz w Polsce, że wciąż trwa „okres przejściowy” – sondaże, wzajemne oglądanie się na siebie zachodnich partnerów, coraz bardziej pogłębiane drobiazgowo analizowanie stanu i perspektyw gospodarczych przy różnych wariantach rozwiązań wewnętrznych. Na tym tle doskonale widać walkę „realistów” oraz kół „radykalnych” i nieprzejednanych, wykazujących zaślepione i odporne na wszelką ewolucję, zacietrzewione antypolskie stanowisko

„Specjaliści” z SB zaproponowali również „kilka dalszych tez i chwytów kontrpropagandowych, mogących posłużyć w kampanii na tle wywiadu Kuklińskiego”. Znalazły się tam twierdzenia o „teczce agenta CIA” oraz wiele innych kłamstw, powielanych następnie w III RP:

„Część danych wzięto z „teczki agenta” prowadzonej pewnie gdzieś w rezydenturze CIA, a w tym ze szczegółowego życiorysu, który musiał napisać dla swych pryncypałów, łącznie z takimi detalami, jak to gdzie i z kim chodził do szkoły podstawowej, ulice, na których [sic!] kolejno mieszkał, charakterystyka znajomych, współpracowników, sąsiadów...

-Megalomania i besserwisersztwo K[uklińskiego] są wręcz odrażające: on się zorientował, że akcja [wojsk] U[kładu] W[arszawskiego] w Czechosłowacji to „inwazja”, on wiedział, że jest to sprzeczne z interesem narodu polskiego, on chciał „ostrzec świat!” – tyle że „było to trudne w jego sytuacji.

- Zdrajca Kukliński ironizuje przy tym i naśmiewa się z faktu, że polscy wojskowi byli dumni, iż w operacji 1968 roku obyło się bez strat, że pod gąsienicami polskiego czołgu zginęło jedno czechosłowackie [sic!] dziecko – i to przez absolutny przypadek, że polscy żołnierze spełniali najlepiej pojmowany obowiązek, pamiętając o tym, że są w zaprzyjaźnionym kraju, aby go chronić, a nie pacyfikować.

- Rzekomy „ideowiec”, zbawca Polski, superszpieg Kukliński ubolewa, że w 1970 roku nie było nikogo, kto odmówiłby wykonania rozkazu strzelania na Wybrzeżu. Wylewając te krokodyle łzy dziś, gdy partia ma obiektywną ocenę konfliktu 1970 roku, gdy oficjalnie składa się kwiaty przy pomniku poległych w Gdańsku – Kukliński się budzi ze swym dość cuchnącym morale. [...]

- W 1980 roku Kukliński „po prostu powiedział NIE” – cóż za „skromność” i „bohaterstwo”.

Pozostaje pytanie – za ile \$ i komu powiedział to swoje prywatne, cichutkie „TAK”?

- Kłamstwem jest stwierdzenie Kuklińskiego, że „od początku kryzysu Związek Radziecki zajął publicznie stanowisko, że to, co dzieje się w Polsce, jest kontrrewolucją”. Liczy on na niewiedzę i niepamięć. Nawet znany, zdecydowany w tonie list KC KPZR nie zawiera takich ocen globalnych – wprost przeciwnie, podkreśla konieczność uporządkowania spraw w Polsce w w[edług] koncepcji polskich komunistów i samodzielnie, ostrzega przed próbami ingerencji w polskie sprawy wewnętrzne

- Kukliński twierdzi, że gdyby polscy przywódcy powiedzieli w 1980 roku Rosjanom „NIE” to wtedy „Solidarność” zmieniłaby front i zajęła się „obroną suwerenności”. Kukliński jest więc w dalszym ciągu prymitywnym prowokatorem i dowodzi, że istotnie chodziło mu o powtórzenie scenariusza czechosłowackiego, który wiązał się z próbą wystąpienia z U[kładu] W[arszawskiego] i RWPG i świadomego naruszenia w ten sposób równowagi sił w Europie. Po drugie – Kukliński opluwa i szkaluje „Solidarność”, która jako całość nigdy nie dałaby się wciągnąć w tak samobójcze dla narodu poczynania. Najprostszy fizyczny robotnik – członek „S” był politycznie mądrzejszy od ekspuikownika.”

Drugi z dokumentów, nazwany „Koncepcją zdyskontowania publikacji R. Kuklińskiego w czasie konferencji prasowej” zawierał stwierdzenia, które do chwili obecnej są stosowane w publikacjach i dyskusjach na temat Kuklińskiego [...]

Postać pułkownika miała być przedstawiana według następującego wzorca:

„Kukliński jest amerykańskim szpiegiem, zdrajcą narodu skazanym prawomocnym wyrokiem na karę śmierci. Z agentem obcego państwa pozbawionym praw obywatelskich. nie uchodzi dyskutować nie tylko przedstawicielowi rządu, ale nawet prawemu obywatelowi naszego państwa,

– w odniesieniu do treści materiału można a priori stwierdzić, iż amerykańscy mocodawcy szpiega Kuklińskiego spreparowali materiał w celu siania dywersji i destrukcji wśród społeczeństwa w okresie postępującej stabilizacji w Polsce. W takich okolicznościach szersze ustosunkowywanie się do materiału jawnie wrogiego wobec Polski jest bezprzedmiotowe.”

CDN...

815. MAKOWSKI I „PROJEKT OKRĄGŁEGO STOŁU” – aneks nr 24

Występy byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa A.Makowskiego w ośrodkach propagandy wywołały już rozliczne reakcje publicystów i polityków. Tym samym, cel tych występów został osiągnięty. Opinia publiczna po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że ludzie komunistycznej bezpieki mogą być recenzentami życia politycznego, a nawet mają prawo oceniać działalność organów państwa i w niewybredny sposób ganić i atakować polskich polityków.

Można wprawdzie pokusić się o refleksję, że taka sytuacja jest niewyobrażalna w żadnym cywilizowanym państwie, jednak w realiach III RP byłaby to czcza uwaga.

Niewielu Polaków zrozumiałoby, że podejmowanie polemiki bądź dyskusji z byłymi esbekami, jest rzeczą niedopuszczalną i zbędną. Legitymizacja takich postaci lub przydawanie im wywodom waloru wiarygodności, hańbi każdego rozumnego człowieka.

Trzeba natomiast zastanowić się – dlaczego reżim III RP sięga po pomoc konkretnych „fachowców” z SB i przy pomocy ośrodków propagandy nagłaśnia ich dywagacje? Dlaczego właśnie występy A.Makowskiego mają ułatwić proces reaktywacji układu byłych WSI?

Być może odpowiedzi trzeba szukać w życiorysie byłego esbeka. Raport z Weryfikacji WSI, który ponownie wywołuje wściekłość obcej agentury, zawiera m.in. aneks nr 24 (str.367 – 374), zatytułowany „Notatka na temat płk Aleksandra Makowskiego”.

W tym krótkim zestawieniu zawarto najważniejsze informacje na temat funkcjonariusza SB. Rozległa skala aktywności Makowskiego, jego kontaktów z czołowymi postaciami koncesjonowanej opozycji oraz „zaangażowanie w projekt „okrągłego stołu” i „eliminacji ‘radykalnych’ działaczy podziemia” sprawiają, że można go uznać za postać szczególnie bliską pewnym środowiskom biznesowym i grupom politycznym III RP.

Sądzę, że ten dokument i zawarte w nim informacje nie tylko znakomicie ułatwią rozeznanie obecnej gry, ale pozwalają zrozumieć proveniencję tych, którzy zwodzą Polaków esbeckimi opowieściami.

Aneks nr 24

Notatka na temat płk. Aleksandra Makowskiego

Płk dr Aleksander Makowski (ur. 7.02.1951) – w latach 1972-1990 funkcjonariusz Departamentu I MSW:

- ♣ 1972-1975 – Wydział I (amerykański) Departamentu I MSW
 - ♣ 1975-1976 – studia podyplomowe na Harvard School of Law (pod legendą doktoranta Instytutu Nauk Prawnych PAN – w ramach wymiany naukowej), interesował się wówczas centralą CIA;
 - ♣ 1 XI 1976-28 II 1978 – II Sekretarz Stałego Przedstawicielstwa PRL przy ONZ w Nowym Jorku, przeszedł do pracy w sekretariacie ONZ;
 - ♣ VI 1985-1988 – Naczelnik Wydziału XI Departamentu I MSW;
 - ♣ 1988-1990 – pracownik Ambasady PRL w Rzymie;
 - ♣ 1990 – zwolniony z MSW;
 - ♣ X 1992 r. – współpracownik Zarządu I UOP (wywiad) do 2001 r.;
 - ♣ przez cały okres od 1990 r. związany z służbami cywilnym i wojskowymi RP (chwali się tym, że jest wykorzystywany jako ekspert i konsultant);
 - ♣ 1990-1995 pracownik Inter Commerce Sp. z o.o.;
 - ♣ 1995-1998 pracownik Impart Sp. z o.o.;
 - ♣ w 1997 r., kiedy premier Jerzy Buzek chciał powołać Jacka Merkla na Ministra Transportu i kiedy pojawiły się głosy, że współpracował on z SB, Makowski został poproszony przez premiera o wyjaśnienia. Certyfikat niewinności wystawił Makowski Merkelowi kilkakrotnie (m. in. w 1991 r. kiedy Merkel stracił funkcję ministra w Kancelarii Prezydenta RP);
 - ♣ 1998-2000 pracownik Inter Commerce Sp. z o.o.;
 - ♣ od 2000 r. współwłaściciel i pracownik Konsalnet S.A. (wspólnie m. in. z Andrzejem Arendarskim i byłym szefem UOP Jerzym Koniecznym);
 - ♣ od VIII 2003 Prezes Zarządu Instytutu Bezpieczeństwa Biznesu Sp. z o.o. (firma należąca do grupy Konsalnet, przewodniczącym Rady Naukowej jest prof. Jerzy Konieczny);
 - ♣ wiele z biznesowych przedsięwzięć realizuje wspólnie z Rudolfem Skowrońskim, który założył Polską Korporację Handlową (m. in. wspólnie z „FMT”, spółką należąca do Grzegorza Żemka). Był (jest?) członkiem do rady nadzorczej PKH;
 - ♣ bliskimi współpracownikami Makowskiego w biznesie są ludzie PRL-owskiej dyplomacji i służb specjalnych odpowiedzialni za szpiegowanie w USA: Wiesław Bednarz (następca Makowskiego w Wydziale XI Dep. I MSW) – Prezes Zarządu Konsalnet S.A., Absolwent Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, w latach 1980-84 sekretarz Ambasady RP w Waszyngtonie, w latach 1989-92 konsul w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku; Tomasz Banaszkiwicz (Dep. I MSW) – Wiceprezes Zarządu Konsalnet S.A., absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, w latach 1987-91 konsul w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku. Współpracuje też ze Sławomirem Petelickim, który był jego zastępcą w Wydziale XI;
 - ♣ niedawno w prasie było głośno o tym, że firma Makowskiego Konsalnet S.A. obsługuje i pomaga Centrum Informacji Aferalnej Andrzeja Lepera;
 - ♣ Makowski uchodzi obecnie za specjalistę od spraw terroryzmu, rzadko występuje w mediach, ale publikuje w prasie (m. in. w „Tygodniku Powszechnym”); przedstawia się jako zaufany człowiek Amerykanów, a na dowód pokazuje dokumenty CIA dot. operacji antyterrorystycznych w Pakistanie sami Amerykanie zdecydowanie się odeń odcinają podkreślając, że jest niewiarygodny a informacje pochodzące od niego są niepewne. Jest to zarówno oficjalne stanowisko CIA jak i najpoważniejszych ekspertów takich jak Romerstein i Rowny związanych obecnie ze Szkołą J. Lenczowskiego.
- Informacje ogólne:
- ♣ płk Aleksander Makowski był jednym ze zdolniejszych oficerów SB. Na przełomie lat 70. i 80. jego pracą interesowali się osobiście kolejni ministrowie spraw wewnętrznych i najważniejsze osoby w państwie: m. in. Stanisław Kowalczyk, gen. Mirosław Milewski, gen. Czesław Kiszczak, gen. Władysław Pożoga i gen. Wojciech Jaruzelski;
 - ♣ płk Aleksander Makowski zasłynął przede wszystkim jako Naczelnik Wydziału XI Departamentu I MSW (powstał w styczniu 1978 r.) – przeznaczony był do walki z „dywersją ideologiczną”, po wprowadzeniu stanu wojennego zyskał nową formułę (był jakby jednocześnie wywiadem i kontrwywiadem) stając się, obok Biura Studiów MSW, „okrętem flagowym” MSW. W latach 80-tych Wydział XI Dep. I MSW prowadził działania na terenie państw zachodnich (głównie Europa Zachodnia, Skandynawia i USA) oraz kraju (zwłaszcza w Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu, Szczecinie i Poznaniu);
 - ♣ bezpośrednim przełożonym płk. Aleksandra Makowskiego był gen. Władysław Pożoga, a efekty pracy Wydziału XI Dep. I przekazywano bezpośrednio KGB;
 - ♣ płk Aleksander Makowski osobiście nadzorował takie sprawy jak:

)/ rozpracowanie Biura Brukselskiego „Solidarności”, w którym plasował swoją agenturę (m. in. Zdzisława Pietkuna ps. „Irmira” – działacz RMP, szef gabinetu politycznego Aleksandra Halla w rządzie T. Mazowieckiego);

)/ poprzez rozpracowanie kanałów łączności pomiędzy organizacjami polonijnymi i emigracyjnymi przedstawicielstwami „S” próbował dotrzeć do centrali CIA dążąc w ten sposób do doprowadzenia do takiej sytuacji, że łącznikiem pomiędzy CIA a krajem (chodziło o odbiór i przerzut pieniędzy dla podziemnej „S”) będzie osobowe źródło informacji MSW (podobno realizacja tego przedsięwzięcia nie w pełni się powiodła);

)/ rozpracowanie TKK i kanałów przerzutu sprzętu i pieniędzy (pomocny okazał się przede wszystkim TW ps. „Irmira”);

)/ prowadził działania zmierzające do przejęcia kontroli nad informatycznym system łączności pomiędzy częścią TKK (grupa Jacka Merkla) a Brukselą (Jerzym Milewskim);

)/ przynajmniej od 1987 r. prowadził dialog operacyjny z Jackiem Merkle, który odpowiadał za finanse i łączność TKK z Brukselą;

)/ w 1986 r. płk. Makowski przejął na kontakt (to częsta praktyka Wydziału XI Dep. I MSW) Grażynę Trzosowską TW ps. „Sara Virtanen”, działaczkę RMP i „S” z Gdańska, którą w 1982 r. Wydział III KW MO w Gdańsku pozyskał do współpracy, a która okazała się tzw. źródłem manewrowym, docierając szybko i zyskując sympatię Jacka Kuronia, Adama Michnika a przede wszystkim Janusza Onyszkiewicza. W 1988 r. została wysłana do Kanady;

)/ znał kulisy i sumy przekazywanych pieniędzy przez Ambasadę USA w Warszawie Bronisławowi Geremkowi, Jackowi Kuroniowi i Januszowi Onyszkiewiczowi;

)/ na przełomie 1984/1985 płk. Makowski był zaangażowany (choć sam w nich nie uczestniczył) w organizację spotkań i rozmów Jacka Kuronia z gen. Kiszczakiem w MSW przy ul. Rakowieckiej (legenda – wezwania na przesłuchania);

)/ 1987/1988 zaangażował się w projekt „okrągłego stołu”, co polegać miało na eliminacji „radykałnych” działaczy podziemia z tzw. głównego nurtu opozycji. Działania operacyjne Wydziału XI zmierzały w takim kierunku, by stało się rękoma znanych i szanowanych działaczy podziemia;

)/ w 1988 r. uznał, że wszystko jest już przygotowane i „poukładane”, powrócił więc do „dyplomacji” i wyjechał na placówkę do Rzymu;

)/ interesował się i nadzorował proces niszczenia dokumentacji Wydziału XI Dep. I (w IPN znajduje się mikroskopijna część tej dokumentacji). W związku z tą sprawą publicznie pozwala sobie na słowa krytyki pod adresem gen. Pożogę, który wyniósł i sprywatyzował sporą część materiałów Wydziału XI, i czasem publikuje dokumenty Wydziału XI (np. w książkach Henryka Piecucha).

Obsada Wydziału XI Dep. I MSW (powstał w styczniu 1978 r.) – przeznaczony był do walki z dywersją ideologiczną, jak też w latach 80-tych prowadził działania na terenie:

- Sławomir Lipkowski (1978-1981)
- Czesław Jackowski (1981-1982)
- Henryk Bosak (1982-1985)
- Aleksander Makowski (1985-1988)
- Wiesław Bednarz (1988-1989)
- Tadeusz Chętko (1989-1990) – potem Chętko został pierwszym konsulem generalnym w Zagrzebiu (w nowopowstałej Chorwacji).

Amerycanie ostrzegają przed kontaktami z Aleksandrem Makowskim, którego uznają za bardzo niebezpieczną postać, która w okresie zimnej wojny wyrządziła Stanom Zjednoczonym wiele szkód.

Tym zaś, którzy chcieliby poznać okoliczności tzw. operacji ZEN i dowiedzieć się o wiarygodności funkcjonariusza SB A.Makowskiego, polecam lekturę rozdziału 12 Raportu z Weryfikacji WSI (str.152 i nast.), w którym obszernie opisano dokonania tego esbeka.

http://www.iniejawna.pl/pomoce/przyc_pom/raport.pdf

816. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (2)

2.

Do dziś w narracji publicznej na temat pułkownika Ryszarda Kuklińskiego obowiązują zasady ustalone przez esbeckich propagandystów, a następnie utrwalone w wystąpieniach rzecznika peerelowskiej junty Jerzego Urbana. Dokumenty, w których sformułowano te zasady przypomniałem w pierwszej części cyklu. Z tego zasobu pochodzą podstawowe epitety, jakimi opisuje się postać pułkownika. „Zdrajca”, „dezter”, „agent i szpieg CIA”, „megaloman i prowokator”, „rzekomy ideowiec i zbawca Polski”, „człowiek który opluwa i szkaluje Solidarność” – to tylko niektóre z określeń zaproponowanych Urbanowi przez SB.

III RP kontynuując kłamstwa PRL-u przedstawia osobę płk Kuklińskiego w zgodzie z tym wzorcem i przez dwie dekady utrzymuje Polaków w przeświadczeniu, iż mają do czynienia z postacią „kontrowersyjną” i „niejednoznaczną”. Warto wspomnieć, że na podobnym fundamencie wsparta jest interpretacja przyczyn wprowadzenia stanu wojennego. Wzorcem były argumenty zawarte w tajnym opracowaniu: „Propozycje działań związanych z ósmą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego w Polsce” z listopada 1989 roku, przygotowanym w tzw. Zespole Programującym KC PZPR, MON, MSW i Prokuratury Generalnej. Tam właśnie sformułowano generalną tezę historiozofii III RP, w której stan wojenny nazywa się „mniejszym złem”: „W propagandzie należy łączyć rzeczową analizę przyczyn wprowadzenia stanu wojennego z ukazywaniem tego, w jaki sposób przerwanie groźnego biegu wydarzeń z 1981 r. umożliwiło późniejsze porozumienie, a w efekcie „okrągły stół” i głęboką transformację systemu politycznego Polski. Szczególnie mocno powinien być wyeksponowany motyw „mniejszego zła”.

Jedno z najbardziej ordynarnych kłamstw związanych z osobą pułkownika Kuklińskiego dotyczy zarzutu nieprzekazania informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego. Po raz pierwszy argument ten pojawił się na konferencji prasowej Urbana w roku 1986, gdy rzecznik wojskowej junty szkalował skazanego na śmierć pułkownika, działając ściśle według

esbeckich instrukcji. Urban dowodził wówczas, iż Amerykanie (i Kukliński) zachowali się „nielojalnie” nie zawiadamiając ani „Solidarności”, ani Kościoła w Polsce o planowanym stanie wojennym, o czym przecież dzięki Kuklińskiemu doskonale wiedzieli. Interpretacja zmierzała do wykazania, iż nie informując „polskich sojuszników” o zamiarach rozwiązań siłowych Amerykanie chcieli doprowadzić w ten sposób do rozlewu krwi, zaś sam pułkownik okazywał obojętność wobec losu zdradzonych rodaków.

Urban twierdził też, że prezydent Reagan *„mógł zapobiec aresztowaniom i internowaniom”* przywódców „Solidarności”, ale nie zrobił tego, gdyż miał nadzieję sprowokować *„krwawą łaźnię na europejską skalę”*. Miał zamiar użyć „Solidarności” jako narzędzia w geopolitycznej rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Reagan - dowodził Urban - nie był przyjacielem Polski, a jego polityka była *„moralnie odrażająca”*.

Identyczną argumentację odnajdziemy w artykule Andrzeja Brzezieckiego *„Zachód wiedział, niewiele powiedział”*, opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” z roku 2009, w którym autor pytał:

„Co „Solidarność” zrobiłaby z wiedzą o stanie wojennym? I tak musiałaby ulec przemocy. [...] Kukliński nie znał dokładnej daty wprowadzenia stanu wojennego, ale „Solidarność” mogłaby w porę zabezpieczyć część sprzętu, wycofać pieniądze związkowe z kont, mogłaby wreszcie nie zwoływać beztrzesko do Gdańska całej Komisji Krajowej. Wszystko to wpłynęłoby kapitalnie na formę działalności opozycji po 13 grudnia. [...] Tej szansy nie dał jednak „Solidarność” Waszyngton.” Autor GW twierdził, jakoby *„Kukliński był przekonany, że Amerykanie uprzedzili o stanie wojennym Polaków. Amerykanie tego nie zrobili. I to pokazuje, jak instrumentalnie traktowali i Kuklińskiego, i Polskę.”* oraz dywagował *„W cynicznej postawie Zachodu ginie bohaterstwo Kuklińskiego. Per saldo stan wojenny opłacił się Waszyngtonowi, był argumentem na rzecz wyścigu zbrojeń, pozwalał grzmieć na komunistów z moralnych wyżyn, ale nie zmuszał do ryzyka bezpośredniego zaangażowania.”*

Wprawdzie w roku 2000 historyk CIA Benjamin B. Fischer w artykule *„Utracona część pułkownika Kuklińskiego”*, (*„Studies in Intelligence”* nr 9, 2000) przedrukowanym przez „Rzeczpospolitą” (nr 299/2000) skutecznie rozprawił się z tezami komunistycznej propagandy i wykazał na czym polegało urbanowskie kłamstwo – do dziś jednak pokutuje przeświadczenie, że w roku 1981 Amerykanie i Kukliński *„zdradzili polskie społeczeństwo”*.

Jak bardzo bano się ujawnienia prawdy niech świadczy fakt, że w roku 1994 dokonano włamania do redakcji „Tygodnika Solidarność”, gdzie znajdowały się kopie dokumentów przekazanych przez Kuklińskiego dziennikarce tygodnika Marcie Miklaszewskiej. Z redakcji skradziono wówczas kopie telegramów podpisanych przez Jacka Stronga (pseudonim Kuklińskiego) informujące właśnie o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego.

Sam Ryszard Kukliński zdawał sobie sprawę z wagi tych oskarżeń. W wywiadzie udzielonym paryskiej „Kulturze” (nr 4/475, z kwietnia roku 1987), wiele miejsca poświęcił wyjaśnieniu przyczyn swojej postawy i podkreślił, że zdecydowałby się na publiczne ujawnienie planów stanu wojennego, gdyby w ocenie skutków tej decyzji kierował się wyłącznie emocjami. Warto przypomnieć ówczesną argumentację pułkownika i podkreślić fakty, o których milczą współcześni apologetci urbanowskich łągawstw.

Kukliński dowodził, że decyzja o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, podjęta w początkach listopada 1981 roku była nieodwołalna, a operacje stanu wojennego miały prowadzić wyłącznie siły policyjno-wojskowe.

„Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów nie były one w stanie złamać oporu społeczeństwa, do akcji miały wkroczyć czekające u granic Polski w pełnej gotowości dywizje radzieckie, czeskie i niemieckie. W dniu 7 listopada 1981 roku (gdy Kukliński opuścił Polskę, przyp. moje) do uruchomienia całej policyjno-wojskowej maszyny wystarczyło tylko naciśnięcie przysłowiowego guzika. Jedynym problemem do rozwiązania pozostało spreparowanie [...] pretekstu do rozpoczęcia konfrontacji oraz wybór najlepszego momentu uderzenia.” Wnioski były logiczne: *„Ujawnienie przeze mnie planów uderzenia nie mogło ich w żadnym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć.”* – uznał Kukliński i zauważył, że *„jeśliby Solidarność uwierzyła w to ostrzeżenie, wówczas niemal na pewno doszłoby do natychmiastowego ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni”*. *„Wiedziałem – twierdził pułkownik, że w takiej sytuacji [...] musiałoby nastąpić uderzenie sił pancernych, przede wszystkim czołgów; ze wreszcie przy ewentualnym powszechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również pozostające w strategicznych rezerwach dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie”*.

Konkluzja ujawniała tragizm dylematu, przed którym stał wówczas Kukliński:

„Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za tego typu posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby to uczynić tylko wbrew mojej opinii. Zdawałem sobie sprawę, że powstrzymanie się od takiego ostrzeżenia może się kiedyś w przyszłości spotkać z krytyką. Krytykę tę przyjmuje w pokorze. [...] Dziś - mimo ciężącego na mnie wyroku śmierci - śpię spokojnie, dlatego, że na moim sumieniu nie ciąży żadne ludzkie życie.”

Tego samego nie mogą powiedzieć twórcy stanu wojennego, którzy w imię obrony interesów sowieckiego okupanta skazali na śmierć setki naszych rodaków. Nie mogą tego powiedzieć również ci z propagandystów III RP, którym urbanowskie kłamstwa były bliższe niż świadectwo polskiego bohatera.

Józef Szaniawski opowiadając przed laty o śmierci pułkownika przypominał, że była ona następstwem wylewu, jakiego Kukliński doznał, gdy pracował nad odpowiedzią na artykuł Bartosza Węglarczyka z „Gazety Wyborczej”. Gazeta zamieściła wówczas recenzję książki Benjamina Weisera *„Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne”*. Recenzja została tak skonstruowana, iż wynikało z niej, że Kukliński potwierdza motywy wprowadzenia stanu wojennego, o których mówi Jaruzelski.

W ten sposób, komunistyczne kłamstwo, które w latach 80. ubiegłego wieku miało zabić prawdę o bohaterstwie pułkownika i skazać go na miano zdrajcy, dopadło go po latach w „wolnej Polsce”.

CDN...

817. SKAZANY PRZEZ III RP. RZECZ O PUŁKOWNIKU (3)

Wkrótce minie dziesiąta rocznica śmierci pułkownika Ryszarda Kuklińskiego (14.02.2004), o którym dyrektor CIA William Casey powiedział: *„Nikt na świecie, w ciągu ostatnich 40 lat, nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak. To on przyczynił się do utrzymania pokoju”*.

Wspominając postać polskiego bohatera, chciałbym przypomnieć fragmenty kilku tekstów, opublikowanych przed laty pod wspólnym tytułem „Skazany przez III RP. Rzec o Pułkowniku”.

Państwo, które mieni się wolnym i niepodległym wielokrotnie skazywało Ryszarda Kuklińskiego. Nie tylko w sensie prawnym, jak w roku 1995, gdy ścigano pułkownika za zdradę PRL, czy rok później, gdy rozesłano za nim listy gończe. Zaocznym wyrokiem tego państwa i jego „elit”, pułkownik Kukliński został skazany na zapomnienie, a prawda o jego czynach, na zafalszowanie.

Od roku 1997, gdy po raz pierwszy NSZZ Solidarność wystąpiła do władz o nadanie pułkownikowi najwyższego odznaczenia państwowego i awansowanie na stopień generała, III RP konsekwentnie odmawia uhonorowania polskiego bohatera. Jeśli już wspomina się o nim – to w sposób wyznaczony esbeckimi dyrektywami Zespołu Analiz MSW z roku 1987, lub słowami takich świadków, jak Stanisław Koziej, dla którego Ryszard Kukliński „dopuszczył się czynu trudnego do zaakceptowania dla ludzi w mundurach, tzn. służby dla obcego państwa”.

Wraz z odziedziczoną po PRL-u propagandą, do dziś powielane są łgarstwa o „zdradzie Kuklińskiego”, a jego postać uznaje się za „kontrowersyjną” i „niejednoznaczną”. Ta niewolnicza mentalność nie dopuszcza myśli, że sprzeciw wobec okupanta nie może być aktem zdrady, zaś wiernopoddańcza służba w armii zarządzanej przez okupanta, nigdy nie będzie powodem do chwały.

Refleksja nad minionym ćwierćwieczem skłania do konkluzji, że dobrze się stało, iż państwo zakorzenione w spuściźnie komunizmu nie oddało honorów polskiemu bohaterowi.

W sposób naturalny pułkownik Ryszard Jerzy Kukliński jest dla Polaków prawdziwym bohaterem. Dla tych zaś, którzy stworzyli to państwo i mienia się jego elitą – niech pozostanie zdrajcą.

3.

Gdy w 1975 roku pułkownik Kukliński został oddelegowany na elitarny kurs dowódczy w Akademii Radzieckich Sił Zbrojnych w Moskwie (tzw. Woroszyłówki), pewnego dnia pokazano mu dom, w którym przed aresztowaniem mieszkał Oleg Pieńkowski – oficer GRU, który w latach 60. podjął współpracę z Amerykanami. Opiekun z KGB poinformował Kuklińskiego, że Pieńkowski po aresztowaniu, torturach i procesie sądowym został spalony żywcem przez swoich dawnych towarzyszy. Skrępowanego, obnażonego do połowy wsuwal do hutniczego pieca z surówką, robiąc to bardzo powoli i kręcąc przy tym film, pokazywany następnie nowym rocznikiem Akademii.

Miało to odstraszyć ewentualnych naśladowców Pieńkowskiego.

Pułkownik Kukliński musiał wiedzieć, że w przypadku zdemaskowania podzieliłby los oficera GRU, a w najlepszym przypadku mógł liczyć na rozstrzelanie w podziemiach Rakowieckiej, czy na moskiewskiej Łubiance. Z tą świadomością żył przez blisko 10 lat, do czasu ucieczki z Polski w dniu 7 listopada 1981 roku. *"Z okien swego gabinetu w Sztabie Generalnym przy ulicy Rakowieckiej widziałem osławione więzienie mokotowskie. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby wykryła mnie bezpieka, dostałbym się do tego więzienia i żywy nigdy bym z niego nie wyszedł. Chyba, że przekazaliby mnie KGB do Moskwy, na Łubiankę..."* - wspominał Kukliński.

Oceniając swą misję napisał zaś:

"Armia Czerwona była najpotężniejszą, największą i najbardziej nieludzką machiną wojenną jaką znała ludzkość. Wiedziałem jakie cele mają sowieccy marszałkowie i generałowie. Niektórych z nich znałem osobiście. Zdawałem sobie sprawę, że tym ludobójczym, zaborczym, agresywnym planom mogą przeciwstawić się jedynie Stany Zjednoczone, a i to w ramach sojuszu NATO. Wysiłek USA spowodował, że świat uniknął atomowego holocaustu, który Moskwa przewidywała w swych strategicznych planach. Wiedza o tym, co ma się stać, gdy zacznie się wojna, była przerażająca. Latami przyklejałem na wielkich sztabowych mapach symbole grzyba wybuchu atomowego: niebieskie tam, gdzie uderzenia miały paść z Zachodu, czerwone tu, gdzie miały paść nasze.

Nie mogłem nie myśleć, co te grzybki oznaczają. Przecież nie mogłem tego robić bez wyobraźni! Widziałem tę wojnę w całej brutalnej, katastroficznej dokładności. Widziałem Polskę zalewaną lawiną stali, która płynie na Zachód, wchodzi w przerwy po pierwszym rzucie wojsk sowieckich i sięga po Atlantyk. Wszystkie moje najgorsze przypuszczenia znajdowały potwierdzenie. A do tego Europa krzyczała, że lepiej być czerwonym niż martwym.

Musieliśmy coś zrobić! Wszystko co w życiu robiłem - robiłem z myślą o Polsce. Nawet jeśli mój czyn był niewielki, to stałem po właściwej stronie. A nawet jeśli było to niewiele, gdy rozważyć rzeczy w szerszej perspektywie, to było to wszystko, co miałem. W istocie było to całe moje życie".

Wiemy, że ucieczka z Polski nastąpiła w momencie, gdy Sowietci posiadali już informacje, że ktoś ze ścisłego kierownictwa Sztabu Generalnego przekazuje ich plany Amerykanom. W książce "Generał Kiszczak mówi prawie wszystko", szef policji politycznej PRL przyznaje, że wiedza na ten temat pochodziła od agenta ulokowanego wysoko w hierarchii Watykanu. Podobnie, Dariusz Jabłoński, twórca filmu „Gry wojenne” pytany: czy prawdą jest, że informacje dotarły do polskich służb ze źródeł w Watykanie – odpowiada twierdząco:

„Tak mówią ludzie z CIA i potwierdzają to polscy generałowie. Przeciek przyszedł z Rzymu. Kukliński miał świadomość, że jego informacjami dzielono się z Watykanem. To było niesamowite – w kraju przez dziesięć lat udało mu się zachować tajemnicę, a przeciek z Watykanu omaal nie kosztował go życia.”

Fakt ten potwierdza również sam pułkownik. W książce "Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne" Benjamina Weisera z przedmową Jana Nowaka-Jeziorańskiego, amerykański reportażysta, opierając się na tajnych dokumentach wywiadu oraz na prowadzonych przez wiele lat rozmowach z Kuklińskim i oficerami CIA, ujawnia m.in. kulisy ucieczki pułkownika z Polski. Wiadomośc, jaką Kukliński przekazał Amerykanom 2 listopada 1981 roku brzmiała: *"Dzisiaj [Skalski] powiadomił wąską grupę osób, że władze odebrały wiadomość od informatora z Rzymu, iż CIA dysponuje najnowszą wersją planów dotyczących wprowadzenia stanu wojennego. Zwracam się z pilną prośbą o instrukcje w sprawie ewakuacji z kraju mnie i mojej rodziny. Proszę wziąć pod uwagę, że granice państwowe są już prawdopodobnie dla nas zamknięte".*

Gdy w 1978 roku, kardynał Karol Wojtyła został wybrany na papieża, doradca prezydenta USA Zbigniew Brzezinski przyjechał do Rzymu i w imieniu prezydenta Cartera obiecał papieżowi, że będzie miał dostęp do wszystkich spraw, które mogą go interesować, w tym do spraw dotyczących Polski. Wśród informacji, które otrzymywał papież były prawdopodobnie również takie, które pochodziły z raportów płk Kuklińskiego. Oczywiście, Ojciec Święty nie mógł wiedzieć, kto jest ich autorem.

Życzeniem pułkownika było, by zdobyte przez niego plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zostały przekazane osobom, których wpływ i autorytet mógł uchronić społeczeństwo polskie przed eskalacją wewnętrznego konfliktu. W ocenie pułkownika, bezpośrednie ostrzeżenie członków „Solidarności” przed stanem wojennym mogło spowodować totalny opór całego społeczeństwa lub wywołać zbrojne powstanie, co skończyłoby się przelewem krwi i wejściem do Polski armii

sowieckiej. Dlatego w październiku 1981 roku, dokumenty zdobyte przez Kuklińskiego zostały przekazane osobiście przez ówczesnego szefa CIA Williama Caseya, osobie najwyższego zaufania – papieżowi Janowi Pawłowi II. W Polsce dostęp do tych dokumentów miała jedynie wąska grupa osób. Materiał określany mianem "ostatecznej wersji" był najbardziej kompletnym zbiorem planów dotyczących operacji wprowadzenia stanu wojennego, zawierającym ostatnie poprawki wniesione przez Jaruzelskiego. Istniały tylko dwie kopie dokumentu i jedynie kilku oficerów miało do nich dostęp. Kukliński opracowywał oryginalną wersję u siebie i przechowywał w swoim sejfie. Druga kopia leżała w sejfie gen. Puchały. Dotarcie do osoby, która przekazała plany Amerykanom, było tylko kwestią czasu.

Informacja pochodząca od watykańskiego agenta, niosła w sobie wyrok na pułkownika Kuklińskiego i w krótkiej perspektywie musiała doprowadzić do jego zdemaskowania.

Przed kilkoma miesiącami były oficer amerykańskiego wywiadu John Koehler, autor książki "Chodzi o papieża. Szpiegzy w Watykanie" przypomniał, że peerelowska policja polityczna - zarówno wojskowa, jak cywilna miała doskonałe źródła w Watykanie. Postawił również tezę, że w zamach na Jana Pawła II zamieszani są także polscy duchowni. Wskazywać na to miały informacje zdobyte przez watykańskiego jezuitę o Roberta Grahama, który od czasu II wojny światowej zajmował się demaskowaniem szpiegów działających w otoczeniu papieża. Po śmierci o. Grahama w 1997 roku, jego archiwum – na wyraźne życzenie Jana Pawła II zostało złożone w watykańskim Sekretariacie Stanu i utajnione. Niewykluczone, że w dokumentach zgromadzonych przez jezuitę zawarte są również informacje dotyczące działalności agenta w najbliższym otoczeniu papieża. Jak twierdzi Koehler, praca Roberta Grahama musiała być skuteczna, skoro już po dwóch latach od zamachu z maja 1981 roku, sowieckie służby przestały otrzymywać raporty z Watykanu pochodzące z najbliższego otoczenia papieża. „Wiele wskazuje więc na to – twierdzi Koehler, że papież Jana Paweł II, który wiedział jak działają służby specjalne, doprowadził do zdemontowania kanału informacyjnego. Po prostu pozbył się kretów, czyli szpiegów. I w tym niewątpliwie jest zasługa o. Grahama.”

Jeśli chcemy zrozumieć okoliczności, w jakich agent komunistycznych służb dowiedział się o działalności pułkownika Kuklińskiego, nie sposób pominąć relacji zawartej w liście Adama Ocytko, prezesa polonijnego Światowego Kongresu Polaków Katolików skierowanym w czerwcu 2007 roku do Benedykta XVI i wielu polskich osobistości. W liście tym czytamy m.in.:

„Piątą prawdą związaną z działalnością pułkownika Ryszarda Kuklińskiego jest sprawa agentury komunistycznej w polskim Episkopacie. Pan Pułkownik przekazał Amerykanom pełne plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego wraz z życzeniem by zostały one przekazane jako ostrzeżenie dla władz "Solidarności". Władze USA prośbę pułkownika Ryszarda Kuklińskiego spełniły. Te dokumenty zostały dostarczone Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II w październiku 1981 roku. Przywiózł je osobiście wspomniany ówczesny szef CIA William Casey. Niestety - trafiły do rąk najważniejszego sowieckiego szpiega w Watykanie, uprzednio agenta SB i IW, polskiego księdza działającego w najbliższym otoczeniu Jana Pawła II - i stały się przyczyną zadencjonowania Sowietom faktu, że istnieje polski oficer mający dostęp do najtajniejszych sowieckich tajemnic wojskowych. Ten agent w sutannie ponosi też odpowiedzialność jako pierwotna przyczyna za wymordowanie członków rodziny pułkownika Kuklińskiego. Jak amoralnym był jego czyn pokazuje, że nie było możliwe, by nie miał świadomości, że wydaje polskiego bohatera i naraża go na straszne tortury i śmierć. Sprawa ta pokazuje, jak w soczewce, czym była komunistyczna agentura, jaki był stopień jej zbrodniczości i szkodliwości dla Polski, pokoju i świata. My Polacy żyjący poza granicami ojczyzny mamy nieco inną optykę widzenia wielu spraw. Zdajemy sobie sprawę, że komuniści, gdyby nie mieli pewności, że całkowicie kontrolują Episkopat Polski, nigdy by nie podpisali tzw. układu okrągłego stołu. Sprawa wydania pułkownika Kuklińskiego woła nie tylko ku tronowi Bożej Sprawiedliwości, zgodnie ze słowami Pisma Świętego: "Krew sprawiedliwych głośno woła do Mnie z ziemi!" - ale też przypomina o konieczności skutecznego przeprowadzenia dzieła oczyszczenia i polskiego Kościoła i Polski z tej agentury.

W sprawie ustalenia tożsamości agenta, który wydał Sowietom pułkownika Kuklińskiego prowadzimy od ponad roku korespondencję z Jego (Świątobliwością Benedyktem XVI. Powołaliśmy także własny zespół roboczy, który ustalił ważne fakty. Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o osobę nadal pełniącą jedną z najwyższych godności w Kościele polskim”.

W pełnej wersji tego listu, znalazły się również inne, ważne informacje:

„Amerykanie szybko dowiedzieli się o 'watykańskim przecieku'. W sprawie tej było prowadzone śledztwo. O ile nam wiadomo, również Ojciec Święty Jan Paweł II był zainteresowany wyjaśnieniem tej sprawy. Pewne informacje na temat tych dochodzeń mamy w Chicago. Wskazują one na zabójstwa oficerów Gwardii Szwajcarskiej, którzy byli bliscy ujawnienia prawdy, lub, na których próbowano zrzucić winę. Agent 'Krew na rękach' był prawdopodobnie bardzo cenny dla Sowietów i dla ochrony jego tożsamości byli gotowi zabijać...”

W liście do Benedykta XVI znajdujemy wzmiankę o innym, tragicznym wydarzeniu z życia pułkownika Kuklińskiego – stracie dwóch synów. Warto przypomnieć, że w wywiadzie, jakiego Dariusz Jabłoński, twórca filmu „Gry wojenne” udzielił niezależnej.pl znalazła się wypowiedź:

„ - Amerykanie w Pana filmie twierdzą, że śmierć synów była nieszczęśliwym wypadkiem.

- Zaskoczyło mnie, że ludzie ci mówili bardzo otwarcie o wszystkich sprawach do momentu, kiedy pojawiała się sprawa śmierci synów. Miałem wtedy wrażenie, że natrafiłem na jakiś mur. Kamera to wychwytuje. Tak samo reagował generał Kiszczak. Nie udało mi się tej tajemnicy wyjaśnić. Nie wiem, czy komukolwiek się uda.”

By wskazać kontekst tych tragicznych zdarzeń, trzeba przedstawić opinię Józefa Szaniawskiego, zawartą w artykule „Nieznany list pułkownika Ryszarda Kuklińskiego”.

Autor opisuje w nim okoliczności, związane z zaproszeniem pułkownika do Polski w roku 1993. To wówczas, prezes Porozumienia Centrum Jarosław Kaczyński, jako pierwszy polityk III RP wystosował w imieniu partii opozycyjnych i organizacji prawicowo-niepodległościowych zaproszenie, by pułkownik przyleciał na obchody rocznicy agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku. „Sytuacja Ryszarda Kuklińskiego – pisał Szaniawski - była wówczas dramatyczna. Od 12 lat przebywał w Stanach Zjednoczonych, ale nawet tam musiał się ukrywać. Był pilnie chroniony przez służby specjalne USA, aby nie dosięgnęła go zemsta KGB. [...] nadal bowiem ciążył na nim haniebny wyrok sądu stanu wojennego, skazujący go na karę śmierci, degradację, pozbawienie praw publicznych oraz utratę całego mienia. Kolejni prezydenci III RP - Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa, publicznie wypowiadali się o pułkowniku, nazywając go zdrajcą, a "Gazeta Wyborcza" publikowała liczne wypowiedzi opluwające Kuklińskiego. Trudno się więc dziwić, że był on wtedy bardzo głęboko rozgoryczony”.

Reakcję Kuklińskiego na zaproszenie do Polski, Szaniawski przedstawia w krótkich słowach:

„Zaproszenie od Jarosława Kaczyńskiego wręczyłem pułkownikowi Kuklińskiemu w Chicago 29 lub 30 lipca 1993 roku. Pamiętam, że po przeczytaniu z miejsca zapowiedział -lece! Był jak uskrzydłony, tak jakby oczekiwał tego zaproszenia od Kaczyńskiego już od dawna. Mówił, jakimi liniami będzie leciał, a nie mógł to być z oczywistych względów LOT, a także jak

będzie się musiał przesiadać ze względów konspiracyjnych i logistycznych, zanim doleci do Warszawy. Wrócił też natychmiast do Waszyngtonu, aby zatwierdzić niezbędne formalności. I nagle w kilka dni później, dosłownie ze łzami w oczach (!) oświadczył mi zduszonym głosem: "Zabronili mi".

Więcej miejsca poświęca Szaniawski odpowiedzi na pytanie - jak doszło do tego, że Ryszard Kukliński nie przyjechał do Warszawy w 1993 r. i dopiero pięć lat później mógł pojawić się po raz pierwszy w Ojczyźnie:

„ To wprawdzie Amerykanie - Departament Stanu oraz CIA - przekonali pułkownika, aby nie leciał do Polski, ale na Amerykanów zupełnie niesłychaną wywarł presję ówczesny rząd Hanny Suchockiej i ugrupowania z nim związane, głównie Unia Wolności. Ambasada USA w Warszawie otrzymała kilka nieoficjalnych sugestii oraz oficjalną interwencję od szefa Urzędu Rady Ministrów ministra Jana Rokity, że rząd polski będzie uważał wizytę pułkownika Kuklińskiego za prowokację polityczną, a sam pułkownik może zostać aresztowany na lotnisku Okęcie, nadal bowiem ważny jest wyrok sądu i listy gończe za nim ze stanu wojennego. Potwierdził to publicznie minister sprawiedliwości i prokurator generalny Jan Piątkowski. Trzeba podkreślić, że tego typu interwencje dyplomatyczne są wyjątkowe i mają miejsce jedynie w sprawach szczególnie istotnych dla interesów państwa.”

Kilka zdań dalej, Józef Szaniawski przypomniał bardzo ważną hipotezę dotyczącą zabójstw synów pułkownika Kuklińskiego:

„Niecałe pół roku później, w nocy z 31 grudnia 1993 r. na 1 stycznia 1994 r. zaginął w Key West na Florydzie w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach pierwszy z synów pułkownika - Bogdan. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Kilka miesięcy później, we wrześniu 1994 r. w podobnie dziwnych okolicznościach zginął drugi syn - Waldemar. Został śmiertelnie potrącony przez samochód. W porzuconym aucie służby amerykańskie nie wykryły odcisków palców kierowcy...”

O sprawstwo w obu przypadkach podejrzewano Sowieców, ale pojawiła się też hipoteza, że mogły w tym uczestniczyć wojskowe służby polskie, "nietknięte" po 1989 r., uznające Kuklińskiego za wroga i zdrajcę. Polityka prezydenta Wałęsy i rządu Suchockiej wobec Kuklińskiego była aż nadto jednoznaczna. **Śmierć synów miała być dla Kuklińskiego czytelnym sygnałem: siedź w Ameryce i nie wracaj do Polski.**” (wytl.moje)

Nie wiemy - czy i na ile prawdziwe są przypuszczenia o współdziałaniu służb wojskowych III RP w zabójstwie synów pułkownika Kuklińskiego. Podobnie, pomimo istnienia wielu hipotez, nie można dziś jednoznacznie stwierdzić - kim był agent z najbliższego otoczenia Jana Pawła II, który przyczynił się do ujawnienia działalności pułkownika.

Te kwestie nadal są okryte ponurą tajemnicą, której pilnie strzeże państwo zwane III RP.

Dopóki istnieje, nie ujawni tajemnic skrywanych w ludzkiej pamięci. Nie może tego uczynić, ponieważ prawdziwym dysponentem tych tajemnic są władcy Kremla. Ta wiedza - niczym depozyt zbrodni, ma moc jednoczącą i decyduje o kształcie współczesnej Polski.

Tekst o pułkowniku Kuklińskim chciałbym zakończyć opisem wydarzenia, które w relacji faktów nie ma istotnej wagi historycznej. Wierzę jednak, że zawarty w tym opisie obraz ma niezwykłą moc, zrozumiałą dla każdego, kto zechce patrzeć głębiej niż pozwala na to perspektywa doczesności. W moim przekonaniu tkwi w nim nadzieja, że nadejdzie czas, gdy ofiara życia pułkownika Kuklińskiego zostanie przez Polaków oceniona w prawdzie.

Kilka lat temu, Józef Szaniawski w rozmowie z Łukaszem Kazimierczakiem zamieszczonej w „Przewodniku Katolickim”, przywołał taki obraz:

- *Po śmierci drugiego syna Kukliński został zaproszony do Watykanu. Jan Paweł II spotkał się z nim w Bibliotece Watykańskiej, ja w tym czasie siedziałem z ks. Dziwiszem w poczekalni. Rozmowa miała trwać dziesięć minut. Kiedy mijala dwunasta, ks. Dziwisz zaczął nerwowo spoglądać na zegarek, mijaly kolejne minuty, a w tym czasie jakaś delegacja już czekała na spotkanie z Ojcem Świętym. Nikt jednak nie śmiał wejść do prywatnej biblioteki papieskiej. Po 50 minutach wyszedł zapłakany Kukliński, z zaczerwienionymi oczami, Papież też był wyraźnie poruszony. Okazało się, że w trakcie rozmowy - właśnie gdy Kukliński wstawał w tej dziesiątej minucie - Ojciec Święty zapytał: „A może pan pułkownik chciałby traktować tę rozmowę jako spowiedź?” W ten sposób Papież przy swoim biurku wyspowiadał Kuklińskiego.”*

818. AGENTURA - WYCHOWANIE DO NIENAWIŚCI

Fragment jednego z rozdziałów mojej książki „BEZPIEKA O MITOLOGII SŁUŻB SPECJALNYCH PRL” wydanej w roku 2013 przez wydawnictwo Bollinari Publishing House.

„GPU dokonało największego cudu wszechczasów. Zdołało zmienić naturę Rosjanina, bowiem po raz pierwszy w Rosji uznano donosicielstwo za cnotę, a funkcjonariuszy tajnej policji za bohaterów” - głosił w roku 1925 główny ideolog partii bolszewickiej Nikołaj Bucharin.

Donosicielstwo - uznane za synonim „uspołecznienia” stanowiło jedną z podstawowych norm funkcjonowania systemu sowieckiego. Podniesione do rangi postawy cenionej i prospołecznej stało się głównym czynnikiem ułatwiającym kontrolowanie i represjonowanie społeczeństwa. *Sekretnyjnje sotrudniki* (zwani *seksotami*) stanowili nieocenione „oczy i uszy” władzy komunistycznej, na nich również wspierała się działalność organów bezpieczeństwa. „Każdy pracujący jest funkcjonariuszem NKWD” - mógł deklarować Anastas Mikojan w przemówieniu z okazji 20-lecia istnienia służb sowieckich.

„Polskim” komunistom instalującym w naszym kraju zbrodniczy system, nigdy nie powiódł się zamysł stworzenia „społeczeństwa socjalistycznego”, w którym zdrada i donosicielstwo byłyby uznane za cnotę.

Kolaboracja z bezpieczeńką, donoszenie na sąsiadów i bliskich - zawsze uważane było za hańbiące i naganne. Donosiciele się bano, ale obdarzano ich pogardą, zaś ujawnienie zdrady groziło zwykle ostracyzmem i środowiskowym wykluczeniem. Nawet w latach największego terroru nie udało się zaszczepić Polakom norm „człowieka sowieckiego”. Zdecydowana większość odrzucała mentalność zdrajcy i gardziła *seksotami* bezpieki.

Warto mieć świadomość rzeczywistej skali tego zjawiska. W roku 1949 z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego współpracowało już ponad 53 tys. ludzi, w tym 5 tys. agentów i 48 tys. informatorów. Wielu z nich to ludzie „odziedziczeni” po Gestapo, jak np. Danko Redlich, przedwojenny komunistyczny agent, który po współpracy z Niemcami, donosił później dla Urzędu Bezpieczeństwa. W następnych latach liczba współpracowników uległa zwielokrotnieniu i w roku 1953 było ich już blisko 120 tys.

Jak podaje Filip Musiał w opracowaniu - „Mity historyczne - mity polityczne” (w pracy zbiorowej „Rzeczpospolita 1989-2009: zwykłe państwo Polaków? - Ośrodek Myśli Politycznej 2009r): „u schyłku 1988 r. SB miała „na kontakcie” 98 tys. tajnych

współpracowników. Do tej liczby należy dodać pozostałe kategorie osobowych źródeł informacji pionów SB działających w kraju (kontakty operacyjne, konsultantów), tzw. wywiadu MSW oraz służb wojskowych. Mówimy zatem o liczbie znacznie przekraczającej 100 tys. osób, które w chwili wydarzeń 1989 r. tajnie wspierały komunistyczny aparat represji. Liczba ta jednak wciąż nie jest ostateczna, bowiem musimy do niej dodać wszystkie te osoby, które w 1989 r. nie utrzymywały już kontaktów z SB czy służbami wojskowymi, jednak wcześniej – z różnych względów, w różnych okolicznościach i w różnym zakresie – były uwikłane w tajne kontakty z komunistycznym aparatem represji. Ostrożnie szacując mówimy zapewne o kilkuset tysiącach osób (wśród których liczni byli reprezentanci byłej opozycji, środowisk naukowych, twórczych, artystycznych, dziennikarskich itp.), które nie były zainteresowane publicznym ujawnianiem swych kontaktów z komunistyczną policją polityczną.”

Istnieją również opracowania, z których wynika, że do roku 1989 bezpiecznie udało się pozyskać ponad 3 miliony tajnych współpracowników, przy czym chodzi tu o całą kartotekę TW, a nie stan na jeden rok.

„Cud wszechczasów”, którym chwalił się Bucharin dokonał się dopiero po rzekomym upadku komuny, gdy esbecy i ich pomagierzy przedzierzgnęli się w moralne „autorytety” i na mocy ustaleń „okrągłego stołu” stali elitą nowego państwa. Z perspektywy ostatnich dwóch dekad, wyraźnie widać, że okres III RP uczynił w świadomości Polaków większe spustoszenie niż 50 lat sowieckiej indoktrynacji. Wprawdzie komunistom nie udało się zbudować społeczeństwa agenturalnego, to ich sukcesorom powiodła się próba uodpornienia nas na dżumę donosicielstwa.

Może właśnie „mit nieważności donosicielstwa” (jak celnie nazwał tę chorobę Waldemar Łysiak) – jest największym zwycięstwem komunistycznej zgrai i pośmiertnym tryumfem ubeków. To, co nie udało się przez lata jawnej komuny, bez najmniejszego problemu narzuciły nam ośrodki propagandy i rzesze parcianych „autorytetów”.

Gdy Łysiak pytał - „Czy można unieważnić donosicielstwo? Usprawiedliwić cokolwiek denuncjowanie kolegów, familiantów i ludzi mniej lub bardziej znajomych?” - jest to dziś tylko pytaniem retorycznym, na które odpowiedź zna każdy obserwator życia publicznego.

Gdyby po roku 1989 nie można było „unieważnić donosicielstwa” - nie powstałby żaden z rządów tego państwa, nie byłoby ministrów z przesłoniętą kapusią ani prezydentów denuncjujących kolegów. Gdyby nie „unieważnienie donosicielstwa” - nie słuchalibyśmy ćwierćinteligentów obsadzonych w rolach autorytetów i nie czytali belkotu seksotów nazywanych dziennikarzami.

W roku 2008 autor „Mitologii świata bez klamek” mógł jeszcze napisać:

„Autorytety” są więc wśród nas, chwilowo pół anonimowe, bez szyldu TW. I coraz mniej boją się ujawnienia, gdyż wiedzą, że błogosławiony salonowy mit o nieważności kolaboracji i o chwalebny męczeństwie kolaborantów nabiera rozpędu orlego. Jeszcze trochę, a donosicielstwo zostanie przez Salon zaliczone - jak niegdyś przez KGB na obszarze ZSRR - do kanonu cnót.”

Dziś to już słowa nieaktualne, bo rządzący III RP reżim przekroczył kolejne granice, nadając pospolitym kapusiom nimb cnoty, a nawet „opozycyjnego” bohaterstwa.

Być może kiedyś poważni socjologowie spróbują odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Polacy zaakceptowali donosicieli na najwyższych stanowiskach i przyzwolili na rządy miernot, których jedynym atutem była kolaboracja z bezpieczeństwem? Skąd wzięło się to społeczne przyzwolenie na panoszenie kreatur, którym w czasach komuny nikt nie podałby ręki?

Będą musieli wówczas uwzględnić rolę byłych esbeków i zdefiniować mity funkcjonujące w polskim społeczeństwie.

To za sprawą ludzi „służb specjalnych” PRL wmówiono Polakom, że współpraca z organami represji była zaledwie „pomocnictwem w działalności polskich służb wywiadowczych”, a donoszenie na przyjaciół i znajomych „mieści się w granicach postawy obywatelskiej”. Posłużono się załaganą logiką - skoro każdy z esbeków wiernie „służył Polsce”, ich seksotom przysługuje przecież miano patriotów.

Wprawdzie nietrudno dostrzec, że rozpowszechniając te łgarstwa esbecy bronili własnych życiorysów i usprawiedliwiali służbę okupantowi, kłamstwo to jest najmocniejszym fundamentem współczesnej nieważności donosicielstwa.

Widząc kapusie na najwyższych stanowiskach, oglądając ich codziennie w telewizji bądź czytając w prasie – większość Polaków jest gotowa wierzyć, że współpraca z bezpieczeństwem nie była niczym kompromitującym, a policja polityczna to zwykła instytucja porządku publicznego nieróżniąca się od służb specjalnych działających w wolnym świecie.

Z tej samej przyczyny pokutuje mit, jakoby większość donosów była tylko nieszkodliwą makulaturą gromadzoną przez zapobiegliwych esbeków w celu „sprawozdawczości” i wykazania się przed zwierzchnikami. Sami zaś kapusie (dopiero pod wpływem niezbitych dowodów) przyznają, że – owszem donosili, ale nikomu nie zrobili krzywdy i nie pomagali w prześladowaniu rodaków. Niemal każdy TW twierdzi, że jego współpraca była incydentalna lub on sam nie miał wiedzy o zarejestrowaniu przez bezpieczeństwo. Innym powszechnym argumentem, jest wskazywanie na brak zobowiązania do współpracy lub brak pokwitowań odbioru wynagrodzenia, jako rzekomego dowodu niewinności. Esbecy z kolei bagatelizują najczęściej znaczenie tajnych współpracowników lub insynuują, że dochodziło do fałszowania akt i nadużyć, a rola TW w ich pracy nie miała istotnego znaczenia.

Rozpowszechnia się też kłamstwo o „społecznej przydatności” donosicielstwa, sugerując jakoby miało ono służyć ochronie interesów gospodarczych, bezpieczeństwu zwykłych obywateli, a nawet bezpieczeństwu Kościoła i samego papieża – czym byli TW tłumaczą kapownictwo podczas pielgrzymek papieskich czy uroczystości kościelnych.

Do pospolitego donosicielstwa dorabia się nawet tanią ideologią, bredząc o „chęci niesienia pomocy”, „motywacjach patriotycznych” lub „prowadzeniu własnych gier z bezpieczeństwem”.

Wokół takich mitów toczą się kampanie dezinformacyjne, budowane z twierdzeń o fałszowaniu dokumentacji operacyjnej (przede wszystkim agenturalnej) i powszechnych praktykach funkcjonariuszy, którzy wprowadzali w błąd swoich przełożonych, m.in. produkując teczki nieistniejących współpracowników.

[...]

O rzeczywistym znaczeniu agentury, musi świadczyć fakt, że organy bezpieki niezwykle serio traktowały „proces wychowawczy”, jakiemu poddawany był tajny współpracownik. Osoby podejmujące współpracę nie tylko instruowano, uczono określonych zachowań i procedur, ale poddawano wyjątkowej formacji mentalnej, czy - jak byśmy to dziś określili – praniu mózgu.

Ten szczególny proces związany z pozyskiwaniem donosicieli, świadczy w największym stopniu o powielaniu sowieckich wzorców pracy z agenturą. Jest również dowodem, że narzucony z zewnątrz system dążył do stworzenia społeczeństwa agenturalnego, w którym donosicielstwo nie tylko miało być cnotą, ale rodzajem misyjnego „powołania” w służbie „ludowej ojczyzny”.

Posługiwano się przy tym całym arsenalem metod, począwszy od „*wytworzenia atmosfery zaufania*”, po prowadzenie szkoleń ideologicznych, stosowanie systemu nagród i kar. Każda z dyspozycji zawartych w instrukcjach operacyjnych bezpieki świadczy o doskonałej znajomości ludzkiej psychiki i podkreśla intencje towarzyszące tworzeniu sieci agenturalnej.

Określenie tajnego współpracownika mianem - *wiernego, oddanego nam człowieka*, użyte w pierwszej instrukcji operacyjnej z roku 1945, wynika najprawdopodobniej z tłumaczenia rosyjskiego rozporządzenia, na którym opierała się instrukcja. Bez wątplenia – właśnie ta nazwa najlepiej charakteryzuje ludzi podejmujących współpracę z reżimem i niezwykle trafnie oddaje istotę relacji łączących donosicieli z esbekami.

[...]

Instrukcja nr 04/55 o zasadach pracy z agenturą w organach bezpieczeństwa publicznego PRL stanowiła:

„Wyniki pracy agenturalnej zależą od prawidłowego kierowania i umiejętnego wychowania agentów, informatorów i rezydentów.

Wychowanie tajnych współpracowników polega na systematycznym wpajaniu im uczucia miłości do Polski Ludowej i nienawiści do jej wrogów (wytł.moje), jak również na przygotowywaniu agentury do wykonania trudnych i odpowiedzialnych zadań, zleczanych przez organy bezpieczeństwa publicznego.

[...]

Komunistyczna bezpieka werbowała donosicieli nie tylko w celu „*realizacji zadań organów bezpieczeństwa*” lecz rozbudowie sieci agenturalnej towarzyszył swoisty zamysł wychowawczy. O ile w latach powojennych kładziono nacisk na „*uświadomienie polityczne*”, o tyle po roku 1956 można zauważyć, że akcenty położono głównie na „*zacieśnianie więzi TW ze służbą bezpieczeństwa*”. W praktyce oznaczało to najczęściej uzależnianie tajnego współpracownika od kontaktów z oficerem prowadzącym.

Uzależnienie to mogło przyjmować różne formy, począwszy od utożsamiania się TW z zadaniami bezpieki, (co było postawą najwyższej ocenianą) po wytworzenie silnych relacji płatnik-wykonawca. W każdym przypadku stosowano bodźce psychologiczne: metodę nagród i kar, szantażu lub pochwały, które miały wychowywać TW i uzależniać go od współpracy z bezpieką. Warto zauważyć, że zawarty w instrukcjach nakaz „*zjednywania tajnego współpracownika i wiązania go z nami*” podyktowany jest głębszymi potrzebami, niż wynikałoby to z „*realizacji zadań*”.

System wychowawczy, stosowany przez aparat bezpieczeństwa szedł bowiem znacznie dalej i w swojej warstwie psychologicznej bardziej przypominał proces tresury i przysposobienia do niewolnictwa niż kształtowania postaw przydatnych w pracy operacyjnej.

Tego rodzaju „*dydaktyki*” próżno szukać w dokumentach regulujących pracę innych wywiadów i kontrwywiadów. Po raz kolejny trzeba zauważyć, że nie ma na świecie służb specjalnych, które w swoich instrukcjach pracy operacyjnej zawierałyby nakaz „*wpajania miłości*” do „*ludowej ojczyzny*”, a jednocześnie „*wychowywały do nienawiści*”. [...]

Sens takich określeń staje się zrozumiały dopiero w perspektywie celów, do jakich powołano organy bezpieki - czyli wówczas, gdy do działalności owych „*służb specjalnych*” przyłożymy miarę sowieckiego planu, w którym zniewolenie Polaków i stworzenie „*społeczeństwa socjalistycznego*” zajmowało poczesne miejsce.

Tajny współpracownik SB miał nie tylko donosić na swoich bliskich, ale przede wszystkim – być narzędziem w procesie zaplanowanym przez okupanta. Jako współuczestnik organu represji miał być narzędziem bezwzględnie posłusznym i podporządkowanym „*sprawie socjalizmu*”. Trwałość tego podporządkowania do dziś zatruwa polską rzeczywistość. [...]

Nie jest prawdą, jakoby sformułowania „*dydaktyczne*” zawarte w dokumentach normatywnych SB wynikały z ówczesnych „*uwarunkowań politycznych*”, powszechnego stosowania komunistycznej nowomowy lub były efektem sztucznego ideologizowania pracy bezpieki. Opracowania naukowe podejmujące problematykę pracy z agenturą, pomijają zwykle ten wątek lub traktują „*aspekt wychowawczy*” marginalnie, jako uboczny produkt komunistycznej terminologii, niemający głębszego związku z pracą tajnych współpracowników. [...]

Takiej klasyfikacji zjawiska przeczy przede wszystkim obserwacja dzisiejszych zachowań i postaw ludzi, którym dowiedziono współpracy z bezpieką. Szczególnie tych, którzy zajmują eksponowane stanowiska i mają możliwość oddziaływania na sprawy polskie. Odczuwają oni nie tylko poczucie silnej więzi z rzeczywistością PRL (ujawniające się np. w relatywizowaniu zbrodni komunistycznych), ale stanowią najsilniejszą grupę broniącą interesów byłych esbeków i funkcjonariuszy partii komunistycznej. Poczucie lojalności wobec magdalenkowych towarzyszy, czy historyczną obronę ustaleń „*okrągłego stołu*” trzeba widzieć jako oczywistą konsekwencję długoletniego „*procesu wychowawczego*”.

Ze wszystkich poleceń i instrukcji przewijających się przez dokumenty bezpieki wytworzone w czasie 50 lat istnienia „*służb specjalnych*” PRL - ich funkcjonariusze najlepiej wykonali zadanie „*wychowania do nienawiści*”.

Aleksander Ścios „*BEZPIEKA. O MITOLOGII SŁUŻB SPECJALNYCH PRL*” Wydawnictwo Bollinari Publishing House 2013.

819. DLA TYCH KTÓRZY NIE MAJĄ WYJŚCIA

Zgoda Jarosława Kaczyńskiego na telewizyjną „*debatę*” z Donaldem Tuskiem stwarza całkowicie „*nową jakość*” w relacjach reżim-opozycja i wyznacza koniec pewnego etapu posmołeńskiej rzeczywistości.

Na moim blogu miał dziś znaleźć się tekst o „*Programie Prawa i Sprawiedliwości 2014*”. Programie tyleż dobrym dla państwa prawa i demokracji, co całkowicie nieprzydatnym w III RP. Porażającym polityczną schizofrenią i niekonsekwencją, w którym wymienite czasem stwierdzenia kłócą się z fatalnymi receptami i strategią samobójcy.

Informacja o propozycji „*debaty*” z Tuskiem może prowadzić do wniosku, że partia Jarosława Kaczyńskiego nie traktuje tego programu serio, a tym bardziej nie oczekuje krytycznych ocen. Jeśli prezes Prawa i Sprawiedliwości składa taką deklarację dzień po ogłoszeniu dokumentu, w którym napisano: „*Podstawową siłą „systemu Tuska” są media, które przez długi czas bezwzględnie i niezależnie od okoliczności go popierały, a i dziś, choć popierają go nieco słabiej, ciągle uczestniczą w procederze dezawuowania opozycji, a dokładnie jedynej realnej opozycji.*” – mamy do czynienia z lekceważeniem własnych diagnoz albo z pogardą dla wyborców.

To bodaj najważniejsza konkluzja z obecnej sytuacji.

Nie da się również pogodzić propozycji „*rzeczowej dyskusji*” z innym stwierdzeniem „*Programu*”: „*System Tuska jest wypaczeniem istoty demokracji zarówno w odniesieniu do jej treści, jak również procedur i mechanizmów charakteryzujących*

ten ustrój polityczny. Ponadto „system Tuska” ujawnił już swój antyrozwojowy charakter, blokujący możliwości osiągnięcia pozytywnych zmian gospodarczych i społecznych. Z tych powodów program Prawa i Sprawiedliwości na najbliższe lata nie jest wyrazem ani kontynuacji, ani reformowania dotychczasowego systemu. Jesteśmy zwolennikami głębokich i konsekwentnych zmian.”

Tak wyrazista deklaracja musi prowadzić do postawienia pytania: po co zatem i o czym rozmawiać z tymi ludźmi? Skoro nie znajdujemy innych odpowiedzi poza „standardami demokracji”, wrażenie niekonsekwencji jest tym bardziej przygnębiające.

Nie ma więc sensu tracić czasu i uwagi czytelników na roztrząsanie dokumentu, którego tezy mają zostać poddane młynom propagandy i stanowić okazję do medialnego „zaistnienia” kilku panów z PiS.

Trzeba jednak skomentować to szczególne wydarzenie – jeśli nawet do upragnionej „debaty” nie dojdzie. Jest to wskazane tym bardziej, że podobnych ocen nie możemy oczekiwać ze strony przedstawicieli „naszych” mediów oraz tzw. ekspertów. Z łatwością przychodzi im mówić o „praktykach z PRL-u”, deliberować o „metodach bezpieki” i „propagandzie rządowych mediów”, a nawet zachwycać się twardymi słowami prof. Cieszewskiego. Trudniej - przyjmując konsekwencje tych słów, zdobyć na adekwatne reakcje lub na nazwanie propagandystą kolegi- „dziennikarza”.

Nawet świadomość, że „*polityka wizerunkowa jest w istocie masowym systemem manipulacji służącej promocji osoby premiera i jego otoczenia, (...) nieprzebiegającej w środkach w dyskredytowaniu głównej siły opozycyjnej i alternatywy programowej.*”, zaś „*manipulacja o podobnie wielkim zasięgu jest możliwa tylko przy poparciu udzielanym przez grupy interesu, które bezpośrednio lub pośrednio dysponują mediami*” (z programu PiS) - nie chroni „naszych” środowisk przed akceptacją pomysłu „debaty”.

Jakie są konsekwencje tego wyboru? Przede wszystkim burzy on dotychczasowe granice moralnego konsensusu wyznaczone słowami Jarosława Kaczyńskiego z dnia 10 lipca 2010 roku. Prezes Prawa i Sprawiedliwości powiedział wówczas: „*Nie będę współpracował z nikim, kto był nie w porządku wobec mojego brata i innych poległych. Bo zachowania wobec nich były haniebne, one politycznie i moralnie wykluczają współpracę. Absolutnie wykluczam mój udział we współpracy do czasu daleko posuniętej ekspiacji z ich strony*”.

Propozycja „debaty” z człowiekiem, wobec którego wielokrotnie wysuwano zarzut osobistej odpowiedzialności za kampanię nienawiści i pogardy, której rezultatem była tragedia smoleńska, człowieka, który nigdy nie dokonał najmniejszego aktu ekspiacji i od którego nazwiska Prawo i Sprawiedliwość wywodzi nazwę patologicznego systemu III RP – stanowi bez wątpienia „nową jakość” i przesuwą te granice poza normę przyzwoitości.

Nie chcę twierdzić, że Jarosław Kaczyński właśnie zdezwuouwał ustalone przez siebie zasady i przekreślił powagę własnych deklaracji, ale przyznaję, że taka ocena nie byłaby pozbawiona podstaw.

„Otwarcie” na rozmowę z politykami reżimu ma bezpośredni związek z zabobonną „wiarą w demokrację”, w media oraz tzw. wyniki sondaży. To druga, fatalna dla nas wiadomość.

W „Programie” PiS napisano: „*Sytuacja zmieniła się jednak, gdy Prawo i Sprawiedliwość w sondażach wyprzedziło PO, co wiązało się zarówno ze znaczną utratą poparcia przez partię rządzącą, jak i ze wzrostem siły opozycji. Coraz gorsze oceny zaczęły otrzymywać rząd, a z czasem także sam premier. Prawo i Sprawiedliwość wyszło na prowadzenie w sondażach i nie straciło go po ostrym ataku medialnym. Musiało to dodatkowo zwiększyć niepokój i wywołać przeświadczenie, że władze jednak można stracić*”.

Nietrudno zrozumieć, że pomysł „debaty” z Tuskiem jest efektem przeświadczenia genialnych strategów PiS-u, iż podczas transmisji telewizyjnej dojdzie do publicznego obnażenia słabości i ograniczeń premiera, co w konfrontacji z „rzeczymi argumentami” prezesa Kaczyńskiego wywoła korzystny dla opozycji efekt wizerunkowy.

Przekonanie to jest oczywiście sprzeczne z elementarnym doświadczeniem.

Prezes PiS-u najwyraźniej zapomniał swoją debatę z Bronisławem Komorowskim, z czasu kampanii prezydenckiej. Wprawdzie operował faktami i racjonalną argumentacją, wprawdzie rozgromił wówczas rozmówcę, zostawiając go z pustą szklanką i z pustą głową, to Polakom zafundowano dwudniowy spektakl propagandowy, w którym funkcjonariusze medialni prześcigali się w zapewnieniach o wygranej Komorowskiego. Ilustracją tej hucpy był sondaż telefoniczny GfK przeprowadzony natychmiast na zlecenie „Rzeczpospolitej”, w którym zwyciężcą okrzyknięto marszałka Sejmu.

Od wielu lat wiadomo, że podobne „debaty” nie mają najmniejszego znaczenia informacyjnego. Ich końcowe przesłanie jest zależne wyłącznie od ocen dokonywanych przez funkcyjne media. Cokolwiek zatem powie Kaczyński i jakkolwiek skompromituje się Tusk, ośrodki propagandy okrzykną zwyciężcą polityka PO i taki przekaz otrzymają Polacy.

Dlatego wyborców PiS powinna szczególnie zasmucić wiadomość, że politycy tej partii nawet po siedmiu latach srogich doświadczeń nie wyzbyli się zabobonnej wiary w magię „szklanego ekranu” i równie zgubnej wiary w „mechanizmy demokracji”.

Widok prezesa Prawa i Sprawiedliwości traktującego z atencją bełkot ludzi PO, potyczka faktów z blagierstwem, wiedzy z głupotą - szczególnie ucieszy ośrodki propagandy. Obraz ten zostanie wykorzystany jako propagandowy glejt i posłuży uwiarygodnieniu polityki rządzącej. Będzie swoją legitymizacją dla „systemu Tuska” i zostanie użyty do podważenia moralnych fundamentów, na których opozycja zbudowała ocenę tego systemu.

Przekaz z takiego wydarzenia, nie tylko nie przyniesie korzyści Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale zdecydowanie osłabił jego wizerunek – jako człowieka o trwałych, moralnych zasadach.

Dla tych wyborców PiS, którzy uwierzyli, że „zasługują na więcej”, może być to nie do zaakceptowania.

Przed kilkoma laty, Tomasz Sakiewicz podzielił się taką uwagą: „*Ostatnio znany z dyplomatycznych talentów polityk PiS Adam Lipiński przekonywał mnie, że wyborcy nie mają wyjścia i muszą poprzeć jego partię i wyznaczonego przez nich kandydata na prezydenta: bez względu na to, co PiS robi i z kim się zbrata.*”

Myślę, że pan Lipiński oraz wielu innych polityków Prawa i Sprawiedliwości, nadal trwają w takim przeświadczeniu. Tym łatwiejszym, że znajdują wsparcie w przyzwalającym milczeniu „naszych” środowisk, którym każda krytyczna uwaga na temat PiS wydaje się niedopuszczalna.

Do kolejnego „testu demokracji” dzieli nas zaledwie rok. Można go roztrwonić na uprawianie partyjniactwa i politycznej mitologii. Można uwierzyć w głupotę naszych rodaków oraz wierność tych, „którzy nie mają wyjścia”.

Nie wolno jednak zapomnieć, że przegrane wybory nie będą zaledwie „porażką” polityków opozycji, ale tragiczną, historyczną klęską Polaków. Taką, której się nie wybacza.

Na wstępie deklaracja. Przeznaczona dla tych, którzy nie znają poglądów autora lub żyjąc w odrębnej rzeczywistości, postrzegają III RP jako państwo prawa i demokracji.

Od ludzi obecnego reżimu oczekuję jednej rzeczy: by zniknęli z mojego kraju na zawsze i zostali osądzeni podług swoich czynów. Przez współczesnych i następne pokolenia Polaków. Dlatego na tym blogu nie znajdzie się żaden postulat pod adresem rządu, Pałacu Prezydenckiego bądź funkcjonariuszy ośrodków propagandy. Kierowanie takich postulatów uważam za rzecz uwłaczającą ludziom rozumnym i niegodną człowieka honorowego.

Proszę zatem przyjąć, że moje uwagi wobec partii Jarosława Kaczyńskiego nie są efektem ulegania pokusie krytykanctwa bądź ambjonalnych mrzonek, lecz wynikają z rozważnej i racjonalnej postawy: to środowisko uznają za reprezentantów polskiej racji stanu, a wielu przedstawicieli tej partii, za ludzi prawych i oddanych sprawie polskiej. Uważam więc, że jeśli mamy celnie kierować swoje postulaty, to tylko do tych, których możemy obdarzyć szacunkiem i zaufaniem. Nigdy zaś wobec tych, którymi gardzimy.

Sprawa wojny domowej na Ukrainie jest dziś probierzem dla wielu postaw, intencji i politycznych wyborów. Dla nas – Polaków ma ona znaczenie wyjątkowe, bo dotyczy relacji znanych nam z najnowszej historii: walki z obcym reżimem i ludźmi zależnymi od Moskwy oraz prawa do samostanowienia. Dlaczego wojna na Ukrainie jest sprawą polską, nie trzeba tłumaczyć nikomu, kto zna własną historię i dostrzega w niej – szczególnie na przestrzeni ostatnich dwóch dekad, trwałą obecność „czynnika rosyjskiego”. Tam, gdzie jest on obecny, zawsze dochodzi do zbrodni, fałszerstw, aktów przemocy i bandytyzmu.

Warto dostrzec, że cytowane w tych dniach wielokrotnie słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego - „*dziś Gruzja, jutro Ukraina, a potem być może i Polska*” nie mają już wymiaru politycznego wizjonerstwa, ale tragicznego faktu.

Zakładam, że politycy Prawa i Sprawiedliwości patrzają na Ukrainę z tej samej perspektywy i dostrzegają, że popełnione dziś zaniechania i błędy mogą wkrótce zaważyć na naszych, polskich sprawach. Tam gdzie zło pozostaje nienazwane, a prawdę skrywa się za dyplomatycznym bełkotem, rośnie nie tylko zuchwalstwo bestii, ale krąg jej wpływów i liczba ofiar. Ta świadomość musi nakładać szczególnie poczucie odpowiedzialności. Na tyle specyficzne, że niedostępne dla tych, którzy tworzą dziś grupę rządzącą i są poddani „*silnemu mechanizmowi uzależnienia od Rosji*”, jak określono ten stan w dokumencie programowym PiS.

Tymczasem obserwując zachowania polityków partii Jarosława Kaczyńskiego w sprawie ukraińskiej, można dojść do wniosku, że są one formą ucieczki od takiej, historycznej odpowiedzialności. To bardzo łagodne nazwanie tego, co widzieliśmy w ostatnich dniach.

Deklaracje o współpracy i współdziałaniu z „systemem Tuska” (nazwa z Programu PiS) mają może wartość dla partyjnych macherów lub na chwilę zastopują jazgot aparatu propagandy, nie przyniosą jednak żadnych korzyści ani Ukrainie ani sprawie polskiej. Wprawdzie opozycja nie prowadzi polityki zagranicznej rządu, nie może jednak ulegać złudzeniom, że współuczestnictwo w politycznym szalbierstwie jest drogą do zdobycia władzy.

Partia opozycyjna właśnie zrezygnowała z dwóch arcyważnych praw: prawa do ukazania Polakom, do czego prowadzi wsparcie polityki na „silnych mechanizmach uzależnienia od Rosji” oraz prawa do odcięcia się od złego, antypolskiego modelu polityki zagranicznej, uprawianej przez reżim.

Witold Waszczykowski, który dziś mówi o „*poczuciu satysfakcji i nadziei, że polski rząd wróci do polityki wobec Ukrainy*” jeszcze przed dwoma miesiącami twierdził: „*sześć lat temu ten rząd postawił na bezpośrednią współpracę z Rosją. Uznał, że dalsze patronowanie europejskiej drodze Ukrainie czy Gruzji koliduje z prorosyjską polityką. Od 2008 r. można było zauważyć to odejście od „polityki jagiellońskiej*”.

Nie pytam nawet – jak to się stało, że wektory polityki zagranicznej Tuska zostały przestawione w tym czasie tak dalece, by zasługiwały dziś na oklaski i wyrazy „satysfakcji i nadziei”, ale pytam: jak to możliwe, że „system Tuska” oskarżany przez opozycję o podporządkowanie Rosji i rolę współnika kłamstwa smoleńskiego, ma stać się reprezentantem sprawy polskiej w kwestii wojny na Ukrainie? Gdyby to pytanie było zbyt zawiłe, zadam je panom z opozycji bardziej obrazowo: jak chcą wytłumaczyć moim rodakom, że ci, którzy oddali śledztwo Rosji, którzy śmiali się podczas przylotu ciała prezydenta i „piąstkowali” do pułkownika KGB, którzy łączyli wspólnie z Rosjanami i drwili z polskich lotników, ci sami, którzy podpisali z Putinem wienopoddańcze umowy i składali mu deklaracje „przyjaźni” -ci ludzie mają być wyrazicielami polskiej racji stanu, mają nieść pomoc walczącej Ukrainie i stanąć przeciwko interesom Moskwy?

Takie pytania trzeba dziś stawiać. Nie dlatego, by wykorzystując tragedię naszych sąsiadów zdobyć kilka punktów lub pognębić grupę rządzącą, ale z tej przyczyny, że obowiązkiem Prawa i Sprawiedliwości jest skuteczna pomoc Ukrainie i działanie w imię polskiej racji stanu.

Jedno i drugie staje się nieosiągalne, jeśli partnerem w tym dziele ma być „system Tuska”.

Realna pomoc Ukrainie wymaga bowiem spełnienia podstawowego warunku: skierowania wszelkich żądań, restrykcji i sankcji w stosunku do Rosji, nie zaś w stronę marionetkowego reżimu Janukowycza.

Ma to dwojakie znaczenie: stawia kwestię Ukrainy w kontekście bandyckiej polityki Kremla oraz zabezpiecza nasze interesy, chroniąc Polskę przed podobnym scenariuszem.

Ten postulat nigdy nie zostanie sformułowany przez tzw. przywódców państw Zachodu, tym bardziej nie pojawi się w kręgu polityków PO-PSL. Pierwsi tkwią mentalnie w roku 1939, drugich zaś nie stać nawet na cień samodzielnej refleksji. Godząc się z takim ograniczeniem, PiS przyznaje rację wyznaniu uczynionym wczoraj przez Donalda Tuska: „*Próba nakłonienia UE do działania przeciwko Rosji nie spotkałaby się ze zrozumieniem...*”. Wyznaniu, które wprawdzie koresponduje z interesami UE i zadowala formację Tuska, ale jest śmiertelne dla Polski.

Dostosowując swoją narrację do bezskutecznego bełkotu owych gremiów, PiS nie tylko staje się zakładnikiem cynicznego łgarstwa, w którym kwestie pomocy sprowadza się do „wyrazów oburzenia” i „sankcji wobec Janukowycza”, ale działa wbrew interesom narodu ukraińskiego. Uważam, że również wbrew interesom Polski.

Ludziom, którzy giną na Ukrainie nie chodzi przecież o „dialog” z bandycką władzą i ułożenie się z Janukowyczem lecz o wyzwolenie spod wpływów Rosji i władzy rosyjskich rabów. Ta prawda umiera dziś na majdańskim bruku.

Kto ma o tym głośno powiedzieć „światu”, jeśli nie ci, którzy sami doświadczają takich wpływów i wkrótce mogą stać się kolejną ofiarą?

W październiku 2012 roku, na łamach Gazety Polskiej opublikowałem listę zdarzeń świadczących o wzroście represyjności systemu policyjno-sądowego. Ilość i ukierunkowanie incydentów mogły sugerować, że mamy do czynienia z działaniami rozmyślnymi, których celem jest zastraszenie obywateli i represjonowanie Polaków za określone poglądy i zachowania.

Poniższy suplement, ograniczony tylko do reprezentatywnych faktów, potwierdza taką tezę. Ofiarami aparatu ścigania i tzw. wymiaru sprawiedliwości padają najczęściej osoby, które w jakiegokolwiek formie wyrażały sprzeciw wobec reżimu lub manifestowały niezależność poglądów. Dotykają one również ludzi najsłabszych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w polu zainteresowania instytucji „stojących na straży prawa” III RP.

- Donos jednego z parafian spowodował interwencję policji wobec ks. Tomasza Duszkiewicza, wikariusza we wsi Sadowne w powiecie węgrowskim. Kazanie księdza wygłoszone z okazji Święta Niepodległości i nawiązujące do Smoleńska, tak dalece nie spodobało się miejscowym stróżom prawa, że odwiedzili księdza nawet w szpitalu. Rzecznik policji w Węgrowie potwierdziła: „Przeprowadzono rozmowę i sporządzono notatkę. Księdzu zwrócono uwagę, że jego słowa dotyczące policji nie były prawdą”.

- Wypowiedź Grzegorza Brauna - „Wiara, że tu można cokolwiek załatwić, jeśli się nie wyprawi na tamten świat tuzina redaktorów *"Wyborczej"* i dwóch tuzinów drugiej gwiazdy śmierci, TVN”, spowodowała wszczęcie postępowania przez Prokuraturę Rejonową Warszawa-Śródmieście o czyn z art.255 k.k. (nawoływanie do popełnienia zbrodni).

- Ta sama prokuratura prowadziła w tym czasie śledztwo „w sprawie publicznego pochwalania przestępstwa” przeciwko szefowi Narodowego Odrodzenia Polski Adamowi Gmurczykowi, który w Internecie skomentował wrocławskie zajścia, do jakich doszło w tzw. sqaucie w dniu Święta Niepodległości, słowami: *"Jako człowiek - dziękuję im za to. Nie ustawajcie!"*.

- W grudniu 2012 funkcjonariusze policji i ABW, strasząc i grożąc, przesłuchiwali sześciu licealistów z Krakowa - pasjonatów historii, którzy zawiązali młodzieżową grupę z inicjatywy krakowskich kombatanów ze środowiska Narodowych Sił Zbrojnych. Chodziło rzekomo o sprawę Brunona K. Funkcjonariusze interweniowali w szkole, do której chodzili chłopcy, i przeszukali mieszkania ich rodziców. Zatrzymanych licealistów wypytywano o poglądy polityczne, opinie na temat Unii Europejskiej i NATO oraz straszono, że prowadzona przez nich działalność *"ma wszelkie znamiona działalności terrorystycznej"*.

- Wyemitowanie „Roty” przez radio szkolne samorządu uczniowskiego Zespołu Szkół nr 3 w Szczytnie stało się powodem zawieszenia działalności radia przez dyrekcję szkoły. Z informacji zamieszczonych w Internecie wynikało, że w szkole zorganizowano "dzień języka niemieckiego", podczas którego uczniowie zamiast niemieckich piosenek puścili polską pieśń patriotyczną.

- Wyjazdy sympatyków Prawa i Sprawiedliwości na Marsz Wolności i Solidarności do Warszawy 13 grudnia 2012 roku odbywały się pod szczególną „ochroną” policji. Autokary wiozące uczestników były wielokrotnie kontrolowane, zaś policjanci pytali organizatorów nie tylko o liczbę autobusów, ale także o dane osobowe i listy uczestników.

- Przed Sądem Rejonowym w Białymstoku toczył się proces z wniosku policji o ukaranie 29 kibiców Jagiellonii Białystok. Policja zarzuciła im „demonstracyjne okazywanie lekceważenia konstytucyjnym organom RP poprzez wykrzykiwanie obraźliwego hasła dotyczącego prezesa Rady Ministrów oraz zakłócanie spokoju i porządku publicznego *"krzykiem i hałasem"*. Sędzia Andrzej Kochanowski skazał 11 kibiców na grzywny od 500 do 1000 zł za, jak określili ten czyn Piotr Lisiewicz w GPC– „ujawnienie tajemnicy państwowej poprzez wznoszenie okrzyku: *"Donald, matole"*.

- Na początku 2013 roku, Sąd Rejonowy w Stargardzie Szczecińskim skazał architekta Daniela Sosina na 4 miesiące ograniczenia wolności i 1000 zł nawiązki za to, że nazwał radnego SLD *komunistą*. Do zdarzenia doszło podczas happeningu w sprawie usunięcia „Kolumny Zwycięstwa” ku czci Armii Czerwonej.

- Podczas przeszkania w gabinecie wójta Skarbimierza Andrzeja Pulita, policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu zabezpieczyli twardy dysk komputera i płyty CD z nagraniem rozmowy prominentnych polityków PSL. Płyty te wójt chciał przekazać dziennikarzom w trakcie konferencji prasowej. Uniemożliwiła to interwencja policji podjęta na podstawie postanowienia Prokuratury Okręgowej w Legnicy o zajęciu materiałów związanych konferencją.

- Raport Polskiej Fundacji Pomocy Dzieciom „Maciuś”, w którym ujawniono ogromny problem niedożywionych i głodnych dzieci, wywołał natychmiastową reakcję władz. Wojewoda pomorski Ryszard Stachurski zapowiedział przeprowadzenie kontroli w fundacji.

- W kwietniu 2013 r. Jarosław Kaczyński oskarżył władze o szykanowanie działaczy Prawa i Sprawiedliwości i wskazał na nękanie kontrolami wójta gminy Pcim w Małopolsce, Daniela Obajtki. Pomimo choroby, Obajtek został zatrzymany przez CBA. Podczas zatrzymania stracił przytomność i został przewieziony do szpitala. Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego, liczono na to, że wójt przyzna się do stawianych mu zarzutów.

- Mieszkanca Ołtarzewa w woj. mazowieckim została skazana na dzień aresztu przez sąd w Pruszkowie za „obraźliwe zachowanie wobec sędziów”. Po aresztowaniu policja umieściła kobietę w szpitalu psychiatrycznym. Sąd Rejonowy w Warszawie przyznał, że kobieta została bezprawnie pozbawiona wolności.

- Za zorganizowanie akcji protestacyjnej przed sklepem TK MAXX w Szczecinie, w którym sprzedawano koszulki z sierpem i młotem oraz napisem SOVIET, młodzi uczestnicy protestu zostali zatrzymani i przesłuchani przez policję, w związku z „udziałem w nielegalnym zgromadzeniu”.

- Sąd w wielkopolskiej Słupcy skazał dziennikarzy *"Kuriera Słupckiego"* na kary grzywny w zawieszeniu za zniesławienie polityka PSL Eugeniusza Grzeszczaka. Dziennikarze napisali o finansowaniu z budżetowych pieniędzy firmy syna Grzeszczaka.

- Po dwukrotnym uniewinnieniu, w trzecim procesie dziennikarka *"Gazety Polskiej"* Dorota Kania została zaocznie skazana (na karę tysiąc złotych grzywny i 2000 zł nawiązki oraz nakaz zwrotu kosztów) w sprawie jaką wytoczył jej Janusz Kaczmarek.

- Zarzuty „zakłócenia spokoju i porządku” postawiono 15 osobom, zatrzymanym w trakcie wykładu byłego majora KBW Zygmunta Baumana, który odbył się na Uniwersytecie Wrocławskim. Policja interweniowała ponieważ grupa młodych osób wznosiła okrzyki: *"Precz z komuną"*, *"Dutkiewicz, kogo zapraszasz"*, *"Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę"*. Kilka dni później Prokurator Generalny Andrzej Seremet uznał, że za hasło *"raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę"* należy karać jak za *"nawoływanie do przestępstwa"*.

- W efekcie brutalnej interwencji policji działającej w obronie tzw. pomnika wdzięczności Armii Czerwonej w Katowicach, poturbowany został lider KPN Adam Słomka. Nieprzytomny trafił do lecznicy MSW. Zatrzymanym uczestnikom protestu postawiono zarzut „znieważenia pomnika”.

- Policjanci z Komendy Miejskiej w Kielcach, przy udziale Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Kielcach zatrzymali dwóch 18-latków za to, że „przełamali zabezpieczenia komputera sterującego ekranem, a następnie umieścili na nim obraźliwe treści”.

Po ich wyświetleniu, cały czas obserwowali swoje dokonania, a po wszystkie poszli na pizzę." Chodziło o napis „Tusk dziwka Putina”, który pojawiał się na wyświetlaczu ledowym w centrum Kielc.

- Grupa młodych ludzi z częstochowskiego oddziału Młodzieży Wszechpolskiej trafiła przed sąd za publiczne wystawienie transparentu: „Wszechpolscy pamiętają – Bohaterów wystawiają” w rocznicę Powstania Warszawskiego. Transparentem zainteresowała się policja i po wylegitymowaniu narodowców zabrala ich na komisariat.

- We wrześniu 2013 roku sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Jacek Matusik nakazał na nowo zająć się sprawą sprawców wykonania na pomniku „Czterech Śpiących” napisu „czerwona zaraza”. Sąd Rejonowy wcześniej uznał, że nie było przestępstwa, gdyż tzw. Pomnik Braterstwa Broni nie jest pomnikiem, a więc obiektem godnym czci i szacunku. Zdaniem sędziego Matusika, Sąd Rejonowy podjął swoją decyzję „bez wzięcia pod uwagę poglądów innych ludzi”.

- W tym samym czasie, policja w Legnicy zatrzymała (na 48 godzin) w areszcie Piotra B. – za to, że oblał czerwoną farbą „Pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej”. Do zdarzenia doszło podczas pikiety w sprawie usunięcia pomnika.

- Policjanci z Supraśla zatrzymali uczestników harcerskiej akcji wigilijnej Betlejemskiego Świątełka Pokoju. Małe dzieci zostały potraktowane jak pospoliccy przestępcy. Policjanci zgonili je w jedną gromadkę i zabrali skarbonki, które dzieci własnoręcznie zrobiły. Rzecznik podlaskiej policji potwierdził, że „funkcjonariusze otrzymali zawiadomienie o nielegalnej zbiórce pieniędzy”. Zarekwirowali więc skarbonki i przesłuchali dorosłych uczestników kwesty. Pieniądże zabrane dzieciom zostały przeliczone i przekazane prokuraturze jako „materiał dowodowy”.

- Rafael Budzbon, autor zdjęć transparentu o treści: "Sikorski, odpowiesz za Smoleńsk" umieszczonych następnie w Internecie został wezwany przez bydgoską policję na przesłuchanie w charakterze świadka "w sprawie wykroczenia z art. 63a kw". Od Budzbona chciano uzyskać informacje o autorach transparentu.

- Policja w Olsztynie skierowała do sądu zarzuty wobec organizatorów happeningu przeciwko blokowaniu przez Tadeusza Iwińskiego (SLD) uchwały upamiętniającej Grzegorza Przemyka. Jacka Adamasa, artystę plastyka i działacza opozycji antykomunistycznej oskarżono o to, że „w dniu 29 maja 2013 ok. godz. 10.00 w Olsztynie na budynku przy ul. Kopernika 45 wspólnie i w porozumieniu z Katarzyną Adamas i Alfredem Surma umieścił tablicę z napisem 'Komitet Wojewódzki PZPR w Olsztynie, Tow. Sekretarz Iwiński', bez zgody zarządzającego tym miejscem”.

- Sejmowa Straż Marszałkowska zaatakowała rodziców, którzy po odrzuceniu przez Sejm wniosku o przeprowadzenie referendum w sprawie 6-latków, chcieli rozwinąć transparent o treści "Demokracja kwitnie". Jarosław Kaczyński ujawnił, że wobec rodziców przebywających na trybunach sejmowych użyto siły.

- Dwóch kibiców oskarżonych w związku z zamieszkami w dniu meczu Polska-Rosja podczas Euro 2012 jest sądzonych za „pomocnictwo w stosowaniu przemocy na tle narodowościowym”, choć po meczu prokuratura nie postawiła nikomu zarzutów o stosowanie takiej przemocy.

- Student ASP, autor rzeźby przedstawiającej sowieckiego żołnierza gwałcącego kobietę w ciąży, usłyszał zarzuty prokuratorskie za „znieważenie miejsca publicznego urządzonego w celu upamiętnienia zdarzenia historycznego”.

- Sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Agnieszka Zakrzewska podczas procesu w sprawie generałów SB Ciastonia i Sasina, nakazała wyrzucić siłą obecnych na sali opozycjonistów, gdy próbowali rozłożyć transparent „Komunistyczne zbrodnie – hańbą sądu”. Represjonowani w stanie wojennym ludzie byli wleczeni po podłodze i usunięci z sali sądowej. Jak stwierdziła mec. Anna Bogucka-Skowrońska - „sędzia doprowadziła do eskalacji atmosfery, która przypominała klimat z procesów politycznych stanu wojennego.”

- W grudniu 2013 roku trzem młodym ludziom prokuratura postawiła zarzut, iż „wspólnie i w porozumieniu usiłowali nawoływać do nienawiści na tle różnic narodowościowych oraz próby publicznego znieważenia obywateli Federacji Rosyjskiej. Zastosowano wobec nich areszt i dozór policyjny za to, że podczas wizyty ambasadora Rosji Aleksandra Aleksiejewa w Wałbrzychu usiłovali rozwinąć transparent z napisem: „Za Wilno, za Katyń, Grodno, za Lwów zapłaci czerwona hołota”. W dniu wizyty Aleksiejewa, młodzież była zatrzymywana przez patrole policyjne, legitymowana i zastraszana. Grupa młodzieży w wieku 15-18 lat przebywająca przed cmentarzem wojsk sowieckich została zmuszona do opuszczenia terenu przy cmentarzu po słowach funkcjonariuszy policji: „Wyp....., bo was zawiniemy i zrobimy sprawę”.

Nie ma wątpliwości, że podobnych zdarzeń będziemy doświadczać coraz częściej. Wskazuje na to logika działań obecnego reżimu, praktyka sądowo-prokuratorska oraz poczucie całkowitej bezkarności ludzi policji i służb specjalnych. Truizmem byłoby przypomnienie, że gdyby choć jeden z przedstawionych faktów miał miejsce przed 2008 rokiem, wywołałyby wrzask ośrodków propagandy i historyczne reakcje tzw. autorytetów prawniczych. Tępe milczenie tych gremiów, to dostateczny dowód, że nie chodzi o pojedyncze incydenty lecz celową praktykę, w pełni akceptowaną przez „elity” III RP.

Procesu eskalacji przemocy nie powstrzymają publicystyczne opisy ani wyrazy oburzenia. To środki skuteczne w demokracji, a zatem nie w kraju, w którym władza wykonawcza działa bez nadzoru niezależnych organów, zaś władza sądownicza - poza normą prawa i rozumu.

Nim pojawią się kolejne kalendaria państwa policyjnego, trzeba zdobyć się na odważną zmianę w postrzeganiu III RP. Skoro rządzący okazują nam pogardę, sięgają po metody bezpieki, zastraszają i prześladują polską młodzież – nie czas na dywagowanie nad „zagrożeniem” nieistniejących wartości. Brnięcie w akademickie rozważania ośmieli jedynie małych i większych zamordystów i ułatwi drogę do dalszych aktów przemocy, które w takich państwach jak III RP są zawsze dokonywane pod osłoną „prawa i demokracji”.

Te zdarzenia są również wyzwaniem dla opozycji, bo to ona ma obowiązek powiedzenia Polakom, w jakim kraju dziś żyją i na jaką „miarę wolności” mogą liczyć. Rzecz nie dotyczy bowiem naszej mobilizacji w walce o fałszywą pseudodemokrację III RP, ale sprzeciwu wobec groźnym namiastkom, które każe się nam za demokrację uznawać.

822. W PUŁAPCE „GEOREALIZMU”

„Wielka jest zdolność rezygnacji i przystosowania do warunków, właściwa naturze ludzkiej. Ale żaden realizm nie powinien pozbawiać ludzi poczucia wyobraźni, gdyż przestanie być realizmem. Porównanie zaś obyczajów świata z roku 1912 z obyczajami r. 1962, daje nam dopiero niejaką możliwość, choć oczywiście nie w zarysach konkretnych, wyobrazić sobie tego jakiego układu rzeczy ludzie będą mogli być jeszcze zmuszeni "rozsądnie" się przystosować, w roku 2012! Jeżeli do tego czasu ognisko psychicznej zarazy nie zostanie unicestwione.” – pisał Józef Mackiewicz w zakończeniu „Zwycięstwa prowokacji”.

Ponieważ stało się tak, że „ognisko psychicznej zarazy” nie tylko nie zostało unicestwione, ale przeżywa dziś propagandowy renesans i dzięki słabości „wolnego świata” wprawia się w stan mocarstwowego upojenia – po raz kolejny uczymy się przystosowania swoich myśli, opinii i marzeń do właściwej „miary rozsądku”.

Sprawa Ukrainy, która zaprzęta dziś uwagę „naszych” środowisk i rozpala wyobraźnię publicystów ujawniła, jak mocne korzenie zapuścił w Polakach tzw. realizm geopolityczny, w którym lęk przed Rosją stanowi jeden z najważniejszych dogmatów.

Ten rodzaj „realizmu” wynika z akceptacji powojennego porządku, w którym dominacja sowiecka miała być nieuniknionym efektem „historycznych uwarunkowań”, zaś Polska miała stanowić przedmiot w grze światowych mocarstw. To pogląd ugruntowany - narzucony kulami sowieckich karabinów i pałkami policji politycznej, wsparty na pseudohistorycznej, kazuistycznej argumentacji, która zawsze osłaniała postawy pospolitych tchórzów i łajdaków.

Co sprawia, że tak wielu ludzi zatrąwa dziś prawdę o bohaterstwie Ukraińców toksycznym lękiem przed Rosją i z tego historycznego doświadczenia wywodzi tylko jedno przesłanie: co ma uczynić Ukraina, co jeszcze może zrobić „świat”, by nie dopuścić do „rosyjskiej interwencji”.

Takie myślenie wynika nie tylko ze spuścizny komunistycznej indoktrynacji, ale jest pokłosiem dwóch dekad nauczania „ojców założycieli” III RP. Postawy ludzi takich jak Michnik, Geremek, czy Mazowiecki, zawsze determinowała świadomość, że Rosja jest światowym hegemonem, którego polityczna i militarna obecność wyznacza granicę nieprzekraczalną dla polskich aspiracji, a wszelkie koncepcje istnienia Niepodległej muszą mieć na uwadze interes rosyjski. *„Co to znaczy dzisiaj chcieć niepodległości”* – pytał w roku 1989 Adam Michnik. I odpowiadał sobie: *„Znaczy to konsekwentnie, krok po kroku, przebudowywać Polskę; znaczy to pracować, by doktryna Breżniewa została pogrzebana na zawsze. Jednak nie drogą rozpalania antyrosyjskiej nienawiści ani urządzaniem antysowieckich demonstracji. Wytwarzanie obrazu Polski dyszącej potrzebą antysowieckich akcji jest sprzeczne z polskim interesem narodowym i godzi w politykę rządu Tadeusza Mazowieckiego.”*

Tenże zaś „nasz premier” zaledwie 20 lat wcześniej, w 10 numerze miesięcznika *„Więź”* wywodził że *„polska droga zakłada wierność zasadzie sojuszu z ZSRR, który określa nasze miejsce na mapie politycznej świata. Dziś zasada sojuszu polsko-radzieckiego staje się elementem narodowego myślenia politycznego”*.

Uwspółcześniona koncepcja „georealizmu” kazała Bronisławowi Komorowskiemu w orędziu przed Zgromadzeniem Narodowym wyznać: *„nie będzie stabilnego rozwoju naszego regionu bez współpracy z Rosją”* i mówić o *„interesie nas wszystkich w pojednaniu z Rosją”*.

To myślenie leży u podstaw całej koncepcji tzw. bezpieczeństwa narodowego III RP, w której Rosję nakazuje się przyjmować *„taką, jaka jest”*. W dokumencie *„Prognoza interesów narodowych i celów strategicznych w dziedzinie bezpieczeństwa w perspektywie 20 lat”*, który stanowił jeden z tekstów belwederskiego SPBN, napisano: *„Bez ułożenia stosunków z Rosją nie będzie możliwe pełne zagwarantowanie naszego bezpieczeństwa narodowego oraz zwiększenie pozycji Polski wśród sojuszników i partnerów, a także efektywne zwiększenie ról odgrywanych na arenie międzynarodowej. W stosunkach z Rosją należy zaprzestać eksponowania czynnika historycznego, dążyć do przewyciężenia polskich lęków i fobii oraz przyjąć bardziej pragmatyczną, a przez to racjonalną politykę”*.

Z tej „racjonalnej” koncepcji bierze się przeświadczenie, jakoby Rosja posiadała jakieś szczególne prawo do ingerowania w sprawy innych narodów, zaś dogmat „interesów rosyjskich” miał wyznaczać tym narodom obszar wolności i samostanowienia. Dlatego w niewolniczym wpatrywaniu się w dzisiejsze reakcje Moskwy, tkwi nie tylko lęk przed „interwencją”, ale przekonanie, że zawsze należy liczyć się z tym, jak zareagują kremlowscy władcy i podług ich reakcji kształtować decyzje polityczne.

To zachowanie wiele pożądanego i korzystnego dla Rosji. Wyhodowanie rzeszy „georealistów” jest bodaj największym, historycznym osiągnięciem komunizmu i jego sukcesorów. Samonapędzająca się machina strachu nie zważa na realną pozycję Rosji; nie przyjmuje do wiadomości danych ekonomicznych i socjologicznych, nie dostrzega stanu zapaści i cywilizacyjnego zacofania, nie wierzy w słabość militarną i technologiczną. By usprawiedliwić własne ograniczenia karmi się wyobrażeniami o „wielkim mocarstwie”, wnioskuje z mitów i propagandowych wizji, czerpie z lęku, jaki niewolnik odczuwa przed gniewem „pana”.

Gdy widzę reakcje na „casus Ukrainy”, mam przeświadczenie, że ten lęk stanowi dziś jedną z głównych przeszkód na drodze do wyzwolenia spod władzy „czynnika rosyjskiego”. Rozgrywanie „georealizmu” nie przypadkiem następuje w czasie, gdy Polacy zobaczyli, jak obala się reżim kremlowskich marionetek. Lekcja ukraińska druzgocze nie tylko mitologię „okrągłych stołów”, ale obnaża fikcję tzw. mechanizmów demokracji – całkowicie martwych w państwach zawłaszczonych przez „partię rosyjską”.

Środowiska medialne, którzy uczestniczą w utrwalaniu tego lęku są zatem ważnym wspornikiem putinowskiej narracji, ale równie skutecznie pracują na rzecz rodzimych „janukowiczów”. Ich rządy sankcjonują bowiem „masy niewolników” - z bagażem fałszywej dialektyki i obłędnym wpatrywaniem w reakcje Moskwy. Przyjmując ten przekaz, łatwo zapominały, że *„nie byłiby panami, gdyby nie masy niewolników, którzy ich za panów uznali”*.

Fatalne wrażenie zniweczenia doświadczeń lekcji ukraińskiej, potęguje dziś zachowanie partii opozycyjnej, której przedstawiciele nie tylko nie zadbali o odważne przedstawienie stanowiska zgodnego z polską racją stanu, ale żyrując tragiczną politykę zagraniczną reżimu Tuska, stracili szansę na uwolnienie się od ograniczeń „georealizmu”.

By zrozumieć, jak wielką przepaść dzieli dzisiejsze postawy opozycji od dziedzictwa polskiej myśli politycznej, przypomnę słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego wypowiedziane w czasie napaści Rosji na Gruzję. Być może nieprędko Polacy usłyszą taki głos:

„Jesteśmy po to, żeby podjąć walkę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nasi sąsiedzi z północy, dla nas także z północy, ze wschodu, pokazali twarz, którą znamy od setek lat. Ci sąsiedzi uważają, że narody wokół nich powinny im podlegać. My mówimy nie! Ten kraj to Rosja. Ten kraj uważa, że dawne czasy upadłego, niecałe 20 lat temu, imperium wracają. Że znów dominacja będzie cechą tego regionu. Otóż nie będzie. Te czasy się skończyły raz na zawsze. Nie na dwadzieścia, trzydzieści, czy pięćdziesiąt lat! Wszyscy w tym samym okresie, lub w okresach nieco innych poznaliśmy tę dominację. To nieszczęście dla całej Europy. To łamanie ludzkich charakterów, to narzucanie obcego ustroju, to narzucanie obcego języka. Stykałem się jako polityk już i jako prezydent mojego kraju z takim przekonaniem, że Rosja ma jakieś szczególne prawo do godności. Ja chciałem zapytać, skąd ona się bierze? Kto Rosji dał to prawo? Dlaczego największe państwa europejskie sugerują, jakby Rosja miała tego rodzaju prawo, dlaczego Rosja może komuś dawać nauczki, to jest rzecz, którą trzeba odrzucić i dziś jest dobra okazja do tego, żeby to powiedzieć.”

MARZEC

823. DWIE LISTY

Gdyby na drewnianym koniu, Achajczycy wyryli słowa „wróg jest wśród was”, tylko głupiec mógłby sądzić, że mieszkańcy Troi skorzystają z takiego upominku. Mianem głupca trzeba zatem określić każdego, kto z zachowań konia trojańskiego próbuje wywodzić wnioski sprzeczne z elementarnym doświadczeniem i wiedzą o III RP.

Od czasu tzw. transformacji ustrojowej, podstawowy system polityczno-ekonomiczny tego państwa, budowany był przez ludzi zależnych od Moskwy, przy czym formy uzależnienia przybierały kształt różnorodny: od członkostwa w partii komunistycznej i służby w formacjach siłowych okupanta, po mniej lub bardziej zaawansowane relacje agenturalne ludzi tzw. opozycji demokratycznej. Nową „elitę” wsparto rzeszą pospolitych dorobkiewiczów i różnej maści cwaniaków dokooptowanych w trakcie bandyckiej „kapitalizacji” majątku narodowego. Ludzie ci stali się żarliwymi „bojownikami o wolność”, piewcami pluralizmu politycznego, zwolennikami integracji z NATO i Unią Europejską. To oni stanowili „awangardę” zmian politycznych i gospodarczych, zaludnili banki, uczelnie i instytucje, przejęli prasę i telewizję, najzacieklej bronili „młodej demokracji” i gromko głosili hasła „otwarcia na Europę”. Pozwoliło to uwiarygodnić się w oczach sojuszników z Zachodu i przekonać Polaków, że mają do czynienia z ludźmi „nowej generacji”.

Największym zwycięstwem tej grupy, opiewanym do dziś w mitologii III RP, było wprowadzenie Polski do struktur NATO i Unii Europejskiej oraz utrwalenie powszechnego przekonania, że zrodzona w zaciszu Magdaleny komunistyczna hybryda należy do „rodziny państw demokratycznych”. Dzięki szczelnej osłonie propagandowej, uwadze Polaków wciąż umyka fakt, że najważniejsze procesy tej „integracji” są nieodmiennie kontrolowane przez grupę założycielską, zaś główne pożytki z owych procesów płyną do wąskiej, uprzywilejowanej kasty cwaniaków.

Trwale zasługi w takiej mistyfikacji ma obecna koalicja rządząca, złożona z satelickiej (wobec PZPR) tzw. partii ludowej oraz z przedstawicieli formacji stworzonej przy współudziale byłych esbeków. O znaczeniu tej grupy świadczy fakt, że nigdy wcześniej w historii III RP powołanie nowego rządu nie spotkało się z tak entuzjastyczną reakcją Rosjan, jak w roku 2007, gdy do władzy doszła koalicja PO-PSL. Stwierdzenie Putina, iż *„problemy z Polską dadzą się rozwiązać dzięki Tuskwowi”* ujawnia oczekiwania, jakie Rosja wiązała z tym rządem. Najpełniej wyraził je jeden z głównych ideologów Kremla Fiodor Łukianow, który uznał, że *„jeśli nie będzie dużych błędów z rosyjskiej strony, to stosunki między Rosją i Polską będą co raz bardziej pragmatyczne. To jest wygodne dla Rosji gdyż Polska przez długi czas była główną przeszkodą dla realizacji europejskiej polityki Rosji”*.

Począwszy od roku 2007, „pragmatyczne” decyzje rządu PO-PSL przynosiły uzasadnienie dla rosyjskiego entuzjazmu. Zniszczenie nowych służb ochrony państwa, reaktywacja wpływów WSI, odrzucenie projektu amerykańskiej tarczy antyrakietowej, polityczny „reset” w relacjach Rosją, kampania nienawiści wobec Lecha Kaczyńskiego, propagandowa „wojna na górze”, nagonka na opozycję, wasalna umowa gazowa – były nie tylko widomym znakiem powrotu ludzi „partii rosyjskiej”, ale kamieniami węgielnymi pod budowę kolejnego konia trojańskiego, który miał zapewnić Rosji realizację jej „europejskiej polityki”.

Gdy w październiku 2007 roku, tuż po wygranej PO, przewodniczący komisji spraw zagranicznych Rady Federacji Rosyjskiej Michaił Margielow wyraził nadzieje *„na normalizację stosunków między Moskwą a Warszawą”*, dodał także, że *„problemów w stosunkach rosyjsko-polskich przy Jarosławie Kaczyńskim nagromadziło się wiele, a ich likwidacja będzie wymagać czasu”*.

Rzeczywiście – „likwidacja problemów” wymagała trzech lat i znalazła swój tragiczny finał w zbrodni smoleńskiej. To wydarzenie nie tylko „usuwało przeszkody” stojące na drodze wpływów rosyjskich, ale budowało nowy fundament, na którym oparto relacje warszawsko-moskiewskie.

Od dziesiątek lat Rosja rozgrywała swoje najważniejsze interesy bazując na logice „zakładników zbrodni”. Zgodne z tą logiką, depozyt kłamstwa katyńskiego narzucony tuż po wojnie państwom „wolnego świata” stanowił istotną gwarancję nienaruszalności wpływów Rosji Sowieckiej, zaś ukrywanie prawdy o mordzie założycielskim „Polski ludowej” czyniło ze wszystkich rządów PRL współników rosyjskiej zbrodni. Ci, którzy wiedzieli o ludobójstwie w Katyniu i otaczali je znową milczenia, stawali się narzędziem kłamstwa i niewolnikami kremłowskich bandytów.

Jeśli ten sam mechanizm zastosowano wobec grupy rządzącej III RP, powierzona im rola „zakładników kłamstwa smoleńskiego” daje dziś Rosjanom trwałą gwarancję podległości i tworzy taki rodzaj więzów, których nie sposób zrzucić.

Wszystko, co wiemy o zachowaniach przedstawicieli reżimu po 10 kwietnia, skłania do postawienia tezy o całkowicie świadomym ukrywaniu istotnych okoliczności zbrodni smoleńskiej. Tych ludzi obciąża nie tylko paktowanie z Putinem przeciwko polskiemu prezydentowi, nie tylko oddanie śledztwa Rosji, współuczestnictwo w rosyjskich łgarstwach i wprowadzanie w błąd polskiej opinii publicznej, ale przede wszystkim dobrowolne przyjęcie wynaturzonej i potwornej w swojej zbrodniczej logice narracji o „pojednaniu polsko-rosyjskim”. Ta próba narzucenia Polakom szczególnego piętna zniewolenia, w którym ofiara zostanie upodlona aktem „przyjaźni” z katem, jest dla mnie jednym z najmocniejszych dowodów rosyjskiego sprawstwa i świadczy o roli, jaką powierzono ludziom „partii rosyjskiej”.

Gdy Józef Mackiewicz pisał, że *„okupacja niemiecka zrobiła z nas bohaterów, okupacja sowiecka robi z nas gówna”*, chciał podkreślić tę właśnie, najbardziej nieludzką cechę rosyjskiej dominacji, która nie poprzestaje na pohańbieniu niewolnika ani na zamordowaniu wroga, ale zmusza niewolnika do składania deklaracji przyjaźni, a na grobie wroga każe urządzać barbarzyńskie bachanalia. Ci wszyscy, którzy tuż po 10 kwietnia nawotywali Polaków do „pojednania zrodzonego z krwi” i zachłystywali się wspaniałomyślnością reżimu Putina nie zasługują na inne określenie, niż te, którym posłużył się Mackiewicz. To za ich przyczyną Polacy mieli zostać upokorzeni wyznawaniem „pojednania” z bestialskim reżimem i zmuszeni do uznania odwiecznych ciemności na przyjaźni. To oni są winni spektaklom nienawiści, walce z krzyżem smoleńskim i niszczeniu pamięci o ofiarach zbrodni.

Gdyby zachowania grupy rządzącej były efektem słabości, błędu lub braku rozeznania, nie mogłaby towarzyszyć im wrzaskliwa kampania „pojednania”, do której zaprzęgnięto dziesiątki „autorytetów”, polityków, hierarchów i propagandystów. Ta szatańska batalia najpotworniejszych łgarstw i odpychających aktów poddaństwa jest nieomylnym znakiem rozpoznawczym rosyjskich rabów i na zawsze będzie hańbić imiona tych ludzi.

Można zapomnieć o politycznym szkodnictwie grupy rządzącej, niszczeniu polskiej kultury i fałszowaniu historii, o zaprzepaszczeniu tysięcy szans, pysze i arogancji. O tym jednak, że chcieli nas jednać z ludobójcami i głosili pochwałę niewolnictwa – zapomnieć nie wolno.

Z odrazą przyjmuję dziś głosy publicystów próbujących poszukiwać usprawiedliwienia dla postaw Tuska i Komorowskiego. Z pogardą traktuję wypowiedzi polityków opozycji, ich zapewnienia o „wspólnych stanowiskach” i „wspólnych drogach”. Tego wyboru nie tłumaczy żadna strategia, „powaga chwili” ani polityczny pragmatyzm. W tak ważnym momencie naszej historii, nie wolno wspierać ludzi szkodzących Polsce. To wyraz tchórzostwa i braku szacunku wobec tych, którzy uwierzyli, że „*Polacy zasługują na więcej*”.

Za szczególnie groźne uważam insynuacje, jakoby Komorowski i Tusk swoją obecną postawą w sprawach Ukrainy zasłużyli na umieszczenie na „liście wrogów” Putina. Stanisław Janecki, który ujawnił tę niebywałą tezę, wsparł ją domysłem, że „*śłużby Putina będą chciały jakoś dezawuować Donalda Tuska, Radosława Sikorskiego i Bronisława Komorowskiego robiąc wrzutki, być może także w mediach, i to koniecznie poza Rosją, bo gdyby to się znalazło w rosyjskich mediach, osłabiałoby skuteczność takich działań*”.

Nietrudno zrozumieć, że gdyby w niedalekiej przyszłości pojawiły się materiały ukazujące rolę tych osób w kontekście tragedii smoleńskiej, byłby uznane za rosyjskie kompromatały, którymi wściekły Putin chce pograć naszych dzielnych przywódców.

Nie zapytam – co uprawnia do formułowania tych nonsensownych hipotez ani czym wyjątkowym mieli narazić się piewcy „pojednania” z Rosją. Pan Janecki i grono „niezależnych” publicystów mają prawo nie przyjmować reguły konia trojańskiego oraz odrzucać logikę „zakładników kłamstwa”. Muszą jednak wiedzieć, że polityczna „rehabilitacja” ludzi reżimu poprzez umieszczanie ich na urojonych „listach wrogów” Putina, jest więcej niż niewybaczalnym błędem. Taka lista bowiem rzeczywiście istnieje i od 10 kwietnia została wypełniona nazwiskami ludzi, którzy ponieśli śmierć na nieludzkiej ziemi. Nie godzi się w imię własnych wyobrażeń bądź politycznej koniunktury mieszać rzeczy nieprzystawalnych, równać dobre i złe czyny, mylić honor z zaprzaństwem.

Smoleńska „lista Putina” jest niepodważalnym dowodem, że prawdziwym wrogiem Rosji może być tylko ten, kogo Rosja się boi, nigdy zaś ktoś, kim Rosja zaledwie gardzi.

824. O DYLEMATACH NIEPRZEZWYCIEŻONYCH

Ponieważ kolejny tekst poświęcony krytyce poczynań opozycji byłby wysoce niestosowny i niestrawny, w trosce o zdrowie i samopoczucie czytelników blogu, zrezygnuję z tej uciążliwej poetyki. W poniższym tekście, ostrze krytyki zostanie zastąpione życzliwym (i, jak sądzę poprawnym) wnioskowaniem oraz poddane wymogom lżejszej formy literackiej.

Proponuję bowiem prosty eksperyment myślowy. Przyjmijmy, że w obecnej sytuacji międzynarodowej kooperacja opozycji z rządem jest działaniem racjonalnym i pragmatycznym, korzystnym z punktu widzenia interesów naszego kraju i bezpieczeństwa Polaków. Przyjmijmy, że Prawo i Sprawiedliwość wykazuje wielką mądrość polityczną deklarując „*wspieranie wysiłków rządu*” w sprawie Ukrainy oraz wyciągając „*rękę do tych, którzy w nowych okolicznościach są gotowi zmienić zdanie, są gotowi stanąć po stronie prawdy, są gotowi stanąć po stronie Polski*”. Przyjmijmy, wreszcie, że w imię „racji wyższych” należy dziś poniechać wewnętrznych sporów i krytyki układu rządzącego i w obliczu zewnętrznego zagrożenia zachować postawę „zgody narodowej”.

Akceptacja tak rewolucyjnych tez musi wywołać określone konsekwencje i na potrzeby naszego eksperymentu warto je uwidocznic.

Po pierwsze – musimy założyć, że działania podejmowane przez rząd Tuska na arenie międzynarodowej mogą zapewnić nam wyższy status bezpieczeństwa, mogą być korzystne z punktu widzenia polskiej racji stanu oraz mogą mieć pozytywny wpływ na sytuację na Ukrainie. Mogą – oznacza tu choćby potencjalną zdolność osiągnięcia takiego stanu. To oczywiste, że gdyby opozycja chciała pominąć lub zbagatelizować to założenie, nie miałyby prawa zastosować obecnej strategii ani wspierać jej na argumentach propanństwowych.

Po drugie więc – musimy zakładać, że ten rząd posiada jednak sprawność do prowadzenia efektywnych działań, a prowadząc je kieruje się wyłącznie interesem Polski. Więcej – ten rząd musi wykazywać taką sprawność w odniesieniu do polityki globalnej, w której krzyżują się dziś interesy wielkich graczy, ale też, w odniesieniu do samej Rosji, przeciwko której ma występować.

Odmienne założenia (co trzeba mocno podkreślić) pozbawiałyby naszą tezę jakiegokolwiek racjonalności i dowodziły istnienia pozamerytorycznych przesłanek.

W każdym obszarze życia, zatem również w polityce, można wytyczyć uniwersalne zasady: popierać – będziemy tylko to, co prowadzi do jakiegoś dobra (jakkolwiek byśmy je pojmowali), zaniechać krytyki – wolno wówczas, jeśli mogłaby być przeszkodą w osiągnięciu tego dobra, a „wyciągnąć rękę” – można tylko w tę stronę, gdzie jakieś dobro dostrzegamy.

Przyjmując powyższe warunki napotykamy natychmiast na dwa nieprzezwyciężone (pozornie) dylematy: jak pogodzić je z wieloletnią i wielowątkową krytyką działań tego rządu w wykonaniu partii opozycyjnej (tu: dokument Program PiS 2014) oraz, jakie dobro miałyby wynikać z działań rządu i ugodowej postawy opozycji?

W przypadku pierwszego pytania, istnieje dodatkowa trudność. Sprawa Ukrainy dotyczy przede wszystkim relacji z Rosją i ocena potencjału rządu Tuska musi być bezpośrednio powiązana z całością dotychczasowych stosunków polsko-rosyjskich. Te zaś – w opinii opozycji, były prowadzone „*w sposób nieudolny*”, przyczyniły się (w związku z tragedią smoleńską) do „*wielkiego upokorzenia państwa polskiego i Polaków*” oraz powstania „*dyskretnego, ale silnie oddziałującego mechanizmu uzależnienia*”.

Jeszcze gorsze oceny opozycja wystawiła rządowi w kontekście całościowej polityki zagranicznej. Dokument programowy mówi o „*autodegradacji, która jest fatalna dla naszych interesów międzynarodowych, ale spójna z mechanizmami typowymi dla „systemu Tuska*”.

Nasz dylemat można zatem pokonać tylko przy dwojakim założeniu: albo opinie partii opozycyjnej były błędne, albo stosunki tego rządu z Rosją uległy radykalnej (i pozytywnej) zmianie i nabył on umiejętność samodzielnego działania. Tylko wówczas wspieranie go jest sensowne i potrzebne, bo służy to polskim interesom, wzmacnia nasze bezpieczeństwo i pomaga w rozwiązaniu „konfliktu ukraińskiego”. Ponieważ partia opozycyjna nie przyznaje się do błędu, ale chce wspierać rząd Tuska, należy przyjąć, że akceptuje drugie założenie. Gdyby miała zamiar je odrzucić, musiałaby również zanegować logikę całej „strategii wsparcia”. Bo, czy wolno nam podejrzewać, że w tak wyjątkowej sytuacji, opozycja mogłaby popierać rząd nieudolny i zależny od Moskwy?

Drugi dylemat, można przezwyciężyć w podobny sposób czyli przyjmując, że efekty działań rządu Tuska na arenie międzynarodowej odpowiadają pojęciu dobra w rozumieniu partii opozycyjnej lub (przynajmniej) nie są z nim sprzeczne. Nie da się przecież wspierać czegoś, co w naszym odczuciu nie może prowadzić do dobra.

W przypadku Prawa i Sprawiedliwości, dobro to zostało precyzyjnie zdefiniowane: „*W dzisiejszym świecie nie ma bardziej oczywistych zadań dla polskiej polityki zagranicznej niż te, które formułował śp. Prezydent Kaczyński: bezpieczeństwo państwa polskiego, umacnianie naszej międzynarodowej obecności, państwowej i społecznej, zarówno w wymiarze dwustronnym, wielostronnym jak i w organizacjach międzynarodowych oraz zagwarantowanie Polsce wysokiego statusu państwa – niezbędnego uczestnika międzynarodowych decyzji.*” Dodajmy do tego równie ważną wykładnię: „*Zdecydowanie odrzucamy poglądy, które zakładają niezdolność Polski do samodzielnego działania na arenie międzynarodowej i wynikające stąd poszukiwania oparcia w stolicach innych krajów, bądź też sprowadzanie polskiej polityki zagranicznej do roli elementu w polityce działań zewnętrznych Unii Europejskiej, co w istocie oznacza podporządkowanie jej interesom najsilniejszych państw unijnych.*”

Partia opozycyjna, która wspiera rząd w tak istotnym obszarze polityki zagranicznej, jakim jest sprawa ukraińska, musi więc zakładać, że działania tego rządu (choćby potencjalnie) będą zmierzały do celów wyznaczonych polityką prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Gdyby tak miało nie być, wsparcie udzielane Tuskwowi i Komorowskiemu nie dałoby się obronić w żadnych granicach racjonalnej argumentacji.

Na pytanie: jakie dobro miałyby wynikać z działań rządu i z postawy partii opozycyjnej, trzeba więc odpowiedzieć, że musi być to „dobro wspólne”: zapewnienie bezpieczeństwa, umacnianie naszej obecności w świecie, wzrost statusu państwa, samodzielność w relacjach z innymi państwami. W tym wypadku, to dobro powinno być utożsamiane z wizją opozycji lub (przynajmniej) z nią niesprzeczne.

W postawie partii opozycyjnej trzeba dostrzegać jeszcze jeden aspekt. Prezes Prawa i Sprawiedliwości wielokrotnie powoływał się na słowa Juliusza Mieroszewskiego: „*by polityka była skuteczna musi być najpierw moralnie słuszna*”. Zasada skuteczności jest zatem wsparta na fundamencie moralnym, a polityka, prócz efektywności, powinna kierować się normami etycznymi. W obecnej sytuacji należy konsekwentnie przyjąć, że w działaniach rządu, partia opozycyjna musi dostrzegać i doceniać normy etyczne.

Jest oczywiste, że nie mogłaby udzielać wsparcia czemuś, co byłoby nie tylko niezgodne z wizją polityki zagranicznej prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale też głęboko nieetyczne i nieskuteczne.

W takim wypadku, mielibyśmy prawo spodziewać się całkowicie innych reakcji. Wiedząc, że Prawo i Sprawiedliwość kieruje się poczuciem odpowiedzialności za kraj, troską o bezpieczeństwo Polaków, wiernością głoszonym zasadom i spójnym realizmem politycznym, nietrudno przewidzieć, z jaką reakcją spotkałby się rząd, który w stanie wyjątkowego zagrożenia nie spełniałby norm efektywności, etyczności i racjonalności działania.

Od polityków opozycji usłyszeliśmybyśmy wówczas mocny głos: *trzeba natychmiast zmienić, obalić ten rząd, bo nie gwarantuje on bezpieczeństwa Polaków i dbałości o nasze interesy. Trzeba jak najszybciej odebrać tym ludziom władzę, bo każdy dzień jej sprawowania pogłębia naszą słabość, utrwała upokorzenie i stan zależności od Moskwy.*

Tych z Państwa, którzy niezrażeni długim, nudnym i zapewne nie do końca pryncypialnym tekstem dobrnęli szczęśliwie do finału, uprzejmie proszę o wspomnienie wywodów autora własną puentą.

825. NA ŚCIEŻKACH PEERELU. OD SB DO PLATFORMY

Jednym z groźniejszych mitów, rozpowszechnianych bezkarnie przez ludzi bezpieki jest ten o rzekomej odrębności tzw. wywiadu PRL od struktur Służby Bezpieczeństwa oraz wyjątkowej pozycji ludowych „wywiadowców” w hierarchii służb komunistycznych. Oficerowie Departamentu I SB MSW kreują się na ludzi honorowych i profesjonalistów, którzy nie tylko nie mieli nic wspólnego z pospolitymi esbekami, ale Sowietom się nie kłaniali i dzielnie służyli ojczyźnie.

Mitologia ta pozwala tworzyć osobliwe legendy na temat rzekomych dokonań funkcjonariuszy Departamentu I, służy kreowaniu wyobrażeń o ich „fachowości”, a nawet prowadzi do formułowania roszczeń o szczególnych „zasługach dla Polski”. Wyrazem tej optyki mogłyby stać się słowa byłego funkcjonariusza SB Gromosława Czempińskiego, który poruszony zapowiedzią odebrania esbekom wysokich emerytur stwierdził przed kilkoma laty: „*Nie myślałem, że będę traktowany jak esbek. Działaliśmy dla kraju, dla narodu.*” (...) *Narażałem życie dla tego kraju i teraz mam być traktowany, jako obywatel trzeciej kategorii.*”

Podstawowe informacje na temat genezy i działalności Departamentu I SB MSW przeczą tym twierdzeniom. Treść Zarządzenia Nr 0045/70 ministra spraw wewnętrznych z 17 maja 1970 r. w sprawie zakresu pracy oraz regulaminu organizacyjnego Departamentu I MSW stanowi, iż „*Departament I MSW jest jedyną jednostką w systemie służby bezpieczeństwa upoważnioną do organizowania wywiadu za granicą*”. Zapis ten uświadamia, że wywiad PRL był integralną jednostką Służby Bezpieczeństwa, a nie wydzielonym pionem działającym w strukturach MSW.

Organ ten wykonywał typowe zadania komunistycznej policji politycznej; prześladował i inwigilował opozycję, zwalczał przedstawicieli legalnego rządu II RP, walczył z Kościołem i represjonował Polaków, jednym słowem – robił to wszystko, co przez lata czerwonego terronu robiły wszystkie formacje komunistycznej bezpieki. Celną definicję komunistycznego wywiadu zawiera dokument zatytułowany „*Geneza i zmiany organizacyjno-strukturalne Departamentu I MSW*”. Jego autorem płk Stefan Słomka z Departamentu I, a powstało ono około 1986 roku, zapewne w celach szkoleniowych. Przedstawiając przyczyny powołania tej formacji płk Słomka stwierdzał: „*Realizacja zadań postawionych przed Resortem Bezpieczeństwa Publicznego wymagała m.in. podejmowania działań o charakterze wywiadowczym. W tym celu w Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego utworzono wyspecjalizowany organ – wywiadu politycznego – którego zadaniem było wykonywanie pracy według reguł i zasad właściwych aparatowi wywiadowczemu.*” (wytł.moje)

Zadaniem owego „wywiadu politycznego” była „*ochrona powstałej władzy ludowej oraz budowanego ustroju socjalistycznego przed zakusami rodzimej reakcji i ośrodków dywersyjno-szpiegowskich państw kapitalistycznych*”.

Z tej perspektywy warto dostrzec autentyczność niedawnej wypowiedzi Czempińskiego, w której wyraził swoją oceną działalności polskiego bohatera płk Ryszarda Kuklińskiego słowami: „*w moich kategoriach Kukliński to jest zdrajca*”.

Jako część aparatu represji, Departament I SB MSW trudnił się przede wszystkim zbieraniem informacji o „*wrogach Polski Ludowej*” – do których z pewnością możemy zaliczyć pułkownika Kuklińskiego. Szczególne znaczenie przywiązywano też do walki z Kościołem i działań operacyjnych skierowanych przeciwko Watykanowi.

Kierunek ten był „polską specjalnością” wśród wszystkich formacji megasłużb sowieckich, zaś informacje zdobywane przez „polskich wywiadowców” i ich agenturę służyły opracowywaniu szeregu kombinacji operacyjnych wymierzonych w Kościół oraz budowaniu długofalowej strategii Moskwy wobec Watykanu. Rozpracowywano najważniejsze ośrodki watykańskie –

Sekretariat Stanu, Kongregację ds. Biskupów, Sekretariat ds. Niewierzących, Sekretariat Synodu Biskupów, Papieską Akademię Dyplomatyczną, kurie generalne jezuitów, dominikanów, franciszkanów czy salezjanów. W ramach działań przeciwko Kościołowi interesowano się również kościelnymi ośrodkami polonijnymi, episkopatami RFN, USA, Francji i krajów Beneluxu oraz centralami organizacji katolickich i ewangelickich w RFN.

Gromosław Czempiński mógłby wiele powiedzieć na temat tej „specjalizacji”. Doświadczenia związane z „kierunkiem kościelnym” ten funkcjonariusz SB nabywał w połowie lat 70 w Chicago, gdy został oddelegowany do tzw. instytucji przykrycia - MSZ PRL i formalnie zatrudniony jako wicekonsul. Ujawnione przez Sławomira Cenckiewicza dokumenty Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, w tym raporty Czempińskiego kierowane do centrali, ukazują jego „kierunki pracy”: *„Dotyczyły kilku zagadnień: strategii dezintegracji Polonii w kontekście tzw. pracy z „klerem polonijnym”, oceny wizyty przedstawicieli episkopatu Polski w Stanach Zjednoczonych w związku z 41. Kongresem Eucharystycznym w Filadelfii oraz opisu spotkania współzałożyciela Komitetu Obrony Robotników profesora Edwarda Lipińskiego z Polonią amerykańską w Chicago.”* Czempiński zwracał też uwagę na „rewizjonistyczne” wypowiedzi kard. Wojtyły i w swoich raportach wyrażał oburzenie poglądami krakowskiego biskupa na temat współpracy z Polonią.

Po dekonspiracji w grudniu 1976 roku, Czempiński został odwołany z Chicago i następne trzy lata spędził w kontrwywiadzie SB (Departament II MSW), by ponownie wrócić do wywiadu. Jak podkreśla Cenckiewicz: *„Nie wiadomo, czym konkretnie zajmował się wówczas Czempiński. Wiemy natomiast, że w latach 80. trafił do komórki zajmującej się kontrwywiadem zagranicznym w Departamencie I (Wydziału X).”* W roku 1982 r. ponownie został zatrudniony formalnie w MSZ i objął funkcję I sekretarza Stałego Przedstawicielstwa PRL przy Biurze ONZ w Genewie. Przyjął kryptonim operacyjny „Aca” i przez prawie pięć lat kierował genewską rezydenturą wywiadowczą.

Cenckiewicz ujawnia interesującą charakterystykę Czempińskiego, sporządzoną w roku 1971 przez dyrektora Departamentu I SB MSW płk Józefa Oseka. Wynika z niej, iż kandydat na „wywiadowcę” prezentował: *„skryształizowany materialistyczny światopogląd”, „przynależność do PZPR”, „prawidłową ocenę polityczną zjawisk i wydarzeń w świecie i PRL”, uzdolnienia organizatorskie”, „łatwość wystawiania się, formułowania myśli, poglądów i argumentów”* oraz wyrażał *„całkowitą akceptację i aktywne poparcie programu i linii politycznej PZPR”*.

Były szef MSW Zbigniew Siemiątkowski, autor książki o wywiadzie PRL pisał o takich „wywiadowcach”: *„Ślubowali strzec niewzruszonej przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim oraz szpiegować dla partii i socjalizmu. (...) Pragnęli zaspokajać swoje ambicje, układać życie po swojemu, składając codzienną daninę lojalności partyjnym przełożonym”*

Te cechy niekoniecznie były przydatne po roku 1989, jednak ludzie komunistycznej bezpieki bez problemu znaleźli miejsce w wykreowanej przez siebie „nowej rzeczywistości”.

„W III RP – pisał Sławomir Cenckiewicz - przeszłość Czempińskiego zaczęła procentować. Umiejętnie połączył on swoje doświadczenia i wiedzę z okresu pracy w tajnych służbach PRL (kontakty, działanie w sytuacji ryzyka, znajomość mechanizmów gry rynkowej, kontakty z zachodnim światem biznesu, polityki i służb) z wygodnym alibi 'najlepszego przyjaciela Amerykanów', puszczających w niepamięć jego komunistyczną przeszłość.”

Dzięki sukcesowi tzw. operacji irackiej, kariera Czempińskiego nabrała tempa. W latach 1990-1992 był zastępcą dyrektora zarządu I UOP ds. operacyjnych. To wówczas z rąk Wałęsy, któremu pomógł „skompletować” akta „Bolka” otrzymał awans na generała brygady. Od roku 1993 był najpierw wiceszefem, a później szefem UOP (1993 – 1996). We wrześniu 1994 r. ostrzegł ówczesnego marszałka Sejmu Józefa Oleksego przed kontaktami z Władimirem Ałganowem, nadzorował sprawę „Olina” oraz operację „Majorka”, którą realizował inny „peerelowski Bond” Marian Zacharski.

Po odejściu ze służb w roku 1996 rozpoczął karierę biznesową. Jak podkreślał Cenckiewicz: *„lista firm i spółek, w zarządach których zasiadał ten były oficer SB i UOP, nie ma końca.”*

Szczególne związki biznesowe łączyły Czempińskiego z Janem Kulczykiem. Z notatki szefa wywiadu Zbigniewa Siemiątkowskiego opublikowanej w roku 2004, a dotyczącej spotkania Kulczyka z agentem KGB Ałganowem wynikało, że Rosjanie poprzez firmy Rotch Energy i ŁUKOIL mieli przejąć Rafinerię Gdańską. Prywatyzacja Rotch Energy miała stanowić pierwszy etap przedsięwzięcia, którego finalnym celem było przejęcie akcji PKN Orlen. W notatce Siemiątkowskiego znajduje się zapis: *„J.Kulczyk twierdzi, iż osobą, która pośredniczyła w kontaktach z przedstawicielami Rotch Energy, był Gromosław Czempiński, koordynujący ponadto kontakty pomiędzy tą firmą i Łukoilem, za co był przez nie wynagradzany. Nie najlepsze obecnie relacje J.K. z G. Czempińskim wynikają z roszczeń tego ostatniego do kwoty 1 mln USD za pomoc przy prywatyzacji TP SA”*. Podczas przesłuchania przed tzw. komisją orlenowską w styczniu 2005 roku, Czempiński potwierdził fakt zaangażowania służb specjalnych w prywatyzacji PKN Orlen. Stenogram z 40 posiedzenia komisji z dn. 12 stycznia 2005 roku zawiera tekst przesłuchania Czempińskiego przez Antoniego Macierewicza i ujawnia rolę byłego esbeka w procesie prywatyzacji sektora paliwowego.

Antoni Macierewicz podkreślał również rolę Czempińskiego w związku z działalnością Marka Dochnała, skazanego za korupcję na karę trzech lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Polityk Prawa i Sprawiedliwości zwrócił uwagę *„na parasol ochronny i związki między panem Czempińskim a panem Dochnałem, i pana Dochnała z przedstawicielami aparatu szpiegowskiego Federacji Rosyjskiej”*. W jednym z programów telewizyjnych, Macierewicz przywołał *„klasyczny przykład pana Czempińskiego. To jest twórca, opiekun niejakiego Dochnała. To właściwie pan Czempiński stworzył Dochnała”*.

Działalność byłego funkcjonariusza SB wykroczała jednak poza sprawy biznesowe. Jak wiemy wielu esbeków oraz współpracowników policji politycznej zaangażowało się w „życie polityczne” III RP. By zrozumieć istotę tej aktywności należałoby sięgnąć do wypowiedzi Czesława Kiszczaka z lutego 1989 roku.

Podczas posiedzenia kierownictwa MSW, szef bezpieki powiedział: *„Służba Bezpieczeństwa może i powinna kreować różne stowarzyszenia, kluby czy nawet partie polityczne. Ma za zadanie głęboko infiltrować istniejące gremia kierownicze tych organizacji na szczeblu centralnym i wojewódzkim, a także na szczeblach podstawowych, muszą być one przez nas operacyjnie opanowane. Musimy zapewnić operacyjne możliwości oddziaływania na te organizacje, kreowania ich działalności i kierowania ich polityka.”*

Wiele lat później, Ludwik Dorn opisując w „Nowym Państwie” (z 2.03.2001r.) powstanie nowej formacji politycznej o nazwie Platforma Obywatelska stwierdził m.in.: *„Niezależnie od tego, że udział w tym przedsięwzięciu bierze szereg osobistości politycznych o życiorysach związanych z opozycją wobec PRL, to zarówno Andrzej Olechowski, główny animator Platformy (zarejestrowany tajny współpracownik kontrwywiadu zagranicznego PRL), jak i jego bezpośrednio zaplecze intelektualno-organizacyjne w postaci funkcjonariuszy komunistycznych służb specjalnych (generałowie Petelicki i Czempiński) oraz grupa finansowego wsparcia (Business Centre Club, gdzie czołową rolę odgrywają byli pracownicy biur radców handlowych PRL-owskich ambasad) kojarzeni są z komunistycznym wywiadem - dawnym I Departamentem MSW. Platforma*

Obywatelska nie jest wyłącznie ekspozyturą "jedynki", ale w rękach realnej grupy kierowniczej stanowi użyteczne, w dużym stopniu kontrolowane narzędzie realizacji jej ekonomicznych interesów."

Gromosław Czempiński potwierdził swój udział w tworzeniu PO, gdy 7 lipca 2009 roku na antenie „Polsat News” wyznał: „Miałem dość duży udział, w tym że powstała Platforma, mogę powiedzieć, że odbyłem wtedy olbrzymią liczbę rozmów, a przede wszystkim musiałem przekonać Olechowskiego i Piskorskiego do pewnej koncepcji, którą później oni świetnie realizowali”.

Zdaniem niektórych mediów powołanie Platformy poprzedziło spektakularne wydarzenie. W styczniu 2001 roku w warszawskim gmachu Intraco miało dojść do spotkania kilku byłych esbeków z Gromosławem Czempińskim. Zebranych wówczas „przyjaciół jednej służby”, pułkowników: Krzysztofa Smolińskiego, Romana Deryłę, Marka Szewczyka, Zygmunta Cebulę i Wojciecha Czerniaka, Czempiński miał namawiać do wsparcia Platformy i zachęcać do budowania wokół tej partii grupy doradców i specjalistów od służb specjalnych.

Rolę byłego funkcjonariusza Departamentu I SB w dziele budowania nowej partii politycznej potwierdził jeden z trzech pozostałych „ojców założycieli” PO Andrzej Olechowski mówiąc: „*generał Czempiński na pewno też uczestniczył w jakiś sposób w formowaniu takich pomysłów. (...) Rozmawiałem z gen. Czempińskim na temat nowo tworzonej formacji.*”

Niespodziewany zwrot w karierze Czempińskiego mógł nastąpić w grudniu 2011 roku, gdy został zatrzymany przez CBA, a katowicka prokuratura postawiła mu zarzut przyjęcia łapówki w związku z prywatyzacją LOT-u, STOEN-u oraz spółek z tzw. grupy G8. Prokurator Jacek Więckowski, który postawił zarzuty korupcyjne został odwołany z Prokuratury Apelacyjnej w grudniu 2012 roku. „*Jesteśmy zdziwieni i zaskoczeni tą decyzją*” - komentowali wówczas funkcjonariusze CBA, a media przytaczały wypowiedź jednego z prokuratorów, który stwierdził, że „*dymisja Więckowskiego to sygnał, że śledztwo może zostać rozmyte*”. Rzeczywiście, kilka tygodni później prokuratura umorzyła śledztwo z powodu przedawnienia zarzutu „*przyjęcia w latach 1990-1996 łapówki w zamian za pomoc w załatwieniu kontraktu na dostawę sprzętu.*”

Nietrudno zauważyć, że wkrótce po wydaniu decyzji o umorzeniu, Gromosław Czempiński stał się jednym z głównych komentatorów spraw publicznych i zaczął być chętnie zapraszany do rządowych mediów.

Wiedza na temat zaangażowania Czempińskiego w powstanie Platformy Obywatelskiej, nakazuje traktować te wystąpienia w wyrazistym kontekście politycznym. Wprawdzie były esbek jest usilnie przedstawiany jako „fachowiec od służb” lub niezależny ekspert, to reakcja taka wydaje się mieć niewiele wspólnego z prawdą. Gdy Czempiński snuje teorie na temat Smoleńska, atakuje Antoniego Macierewicza i ustalenia zespołu smoleńskiego lub wypowiada się krytycznie o pułkowniku Kuklińskim – nie sposób zapomnieć, że mamy do czynienia nie tylko z funkcjonariuszem „wywiadu politycznego”, który trudnił się „zwalczaniem wrogów Polski Ludowej”, ale jednym z twórców obecnego systemu politycznego i partii rządzącej.

826. NIM WRÓCIMY DO JAŁTY

Wydarzenia związane z wojną na Ukrainie zmuszają do trzeźwej refleksji: ani upadek Związku Sowieckiego ani odzyskanie wolności przez „demoludy” nie zmieniły zasadniczych fundamentów porządku jałtańskiego. Dokonany wówczas podział wpływów i relacji międzynarodowych został dziś z całą mocą przypomniany.

Wprawdzie dążeniom wolnościowym Ukrainy towarzyszy przychylna narracja państw „wolnego świata”, deklaracje pomocy i zapewnienia o wsparciu, to historia jest zawsze sumą faktów dokonanych, nie obietnic i werbalnych deklaracji.

Fakty zaś dowodzą, że zbrojna napaść Rosji na niepodległą Ukrainę nie została powstrzymana i nie spotkała się z reakcją Zachodu. Dzisiejsze status quo wyznaczono komunikatem z 3 marca br. wydanym po dyplomatycznej interwencji Niemiec: „*Merkel i Putin zgodzili się co do kontynuowania przez oba kraje konsultacji dwustronnych i wielostronnych w celu normalizacji społeczno-politycznej sytuacji na Ukrainie.*” Propozycja złożona wówczas Putinowi w zasadzie sankcjonowała prawo Rosji do napaści na Ukrainę i czyniła z Moskwy decydenta w sprawie przyszłości tego kraju. Przywódca Rosji już osiągnął ważne cele strategiczne: dokonał przeglądu swoich kadr na Zachodzie, zweryfikował reakcje NATO, poróżnił i postraszył polityków unijnych, wytyczył nowe granice ustępstw i zbadał rejestr korzyści płynących z amerykańskiego „resetu”.

Gdy wśród komentarzy dotyczących obecnej sytuacji przewija się pytanie o dalsze plany Putina, uwadze komentatorów umyka rzecz znacznie większej wagi. Wojna na Ukrainie nie jest oznaką realizowania przez Kreml jakiejś „tajnej strategii”, lecz wyrazem realizmu pułkownika KGB. Putin doskonale „odrobił” lekcję najnowszej historii i wyciągnął trafne wnioski z błędów popełnianych przez przywódców Zachodu.

Wielu historyków wskazuje, że amerykańscy politycy i doradcy otaczający prezydenta Roosevelta w Jałcie byli wręcz przekonani, że ZSRR to kraj antyfaszystowski, postępowy i demokratyczny. Ta sama fałszywa wizja współczesnej Rosji od lat towarzyszy poczynaniom kremlofskich siłowników i decyduje o reakcjach „wolnego świata”. Umocnił ją dogmat o „śmierci komunizmu” wsparty o ekonomiczne korzyści, jakie Zachód miał odnieść z procesu „cywilizowania” Rosji. Pogoń za zyskiem oraz lęk przed naruszeniem interesów Moskwy, zbudowały oś dzisiejszych relacji.

Kremlofscy strategowie doskonale wiedzą, że nadrzędnym celem społeczeństw Zachodu nie jest prawda historyczna bądź raczej moralne, ale dobrobyt i spokój – i za obie te wartości gotowe są zapłacić każdą cenę. Józef Mackiewicz w „Zwycięstwie prowokacji” trafnie ocenił ten mechanizm: „*Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami.*” Prowadzona przez ostatnie lata rosyjska kampania propagandowo - dyplomatyczna sprawiła, że państwo to było postrzegane przez pryzmat potencjalnych korzyści politycznych i ekonomicznych, jakie miały płynąć z „demokratyzowania” Rosji, nawiązywania z nią kontaktów handlowych, otwarcia granic i drzwi do instytucji światowych. W oczach Zachodu „koegzystencja” z Rosją jest możliwa, jeśli państwo to otrzyma „należną” mu strefę wpływów i zaspokoi swoje mocarstwowe ambicje. Ten „georealistyczny” kierunek określał reakcje „wolnego świata” wobec ZSRR i po upadku Związku Sowieckiego. Do dziś wyznacza zachowania w sprawie Ukrainy.

Nie wolno wierzyć, że tzw. wolny świat jest autentycznie zainteresowany suwerenną Ukrainą i wyrwaniem krajów Europy Wschodniej spod kurateli Moskwy. Nowe władze Ukrainy już płacą ogromną cenę za poddanie się naciskom unijnych dyplomatów, których troska dotyczy głównie „*nieulegania rosyjskim prowokacjom wojennym*” i niepodejmowania walki zbrojnej.

Największego zagrożenia dla niepodległego bytu Ukrainy nie stanowią dziś zdezelowane ruskie tanki i zdemoralizowana armia Putina, lecz pojałtańska polityka państw UE i USA, które za żadną cenę nie zrezygnują z prób „cywilizowania” Rosji i paktowania z kremlofskim terrorystą. Przywódca Rosji cynicznie wykorzystuje ten mechanizm i angażuje swoich dotychczasowych sojuszników w działania obezwładniające dążenia Ukrainy. Militarnie słaba i

technologicznie zacofana Rosja, nie musi nawet udowadniać swojej siły. Robi to za nią armia tchórzliwych głupców wspierana przez zastępy agentury wpływu. Reszty dopełni ekspansywna sieć intryg i rosyjskiej dezinformacji oplatającej współczesny świat.

Jak trafnie zauważył publicysta "Financial Times", to *"nie Putin przechytrzył Zachód, lecz to Zachód dał się przechytrzyć Putinowi."*

Nim Ukraińcy dostrzegą to zagrożenie, znajdują się pod butem pułkownika KGB lub (w najlepszym wypadku) podzielą los III RP i zakosztują dobrodziejstw pseudodemokracji budowanej w stylu postsowieckim. My, którzy od dwóch dekad doświadczamy tych skutków, powinniśmy bezwzględnie wykorzystać historyczny moment, gdy wolno (a nawet wypada) mówić dziś o bandytyzmie Rosji i walce z rosyjską dominacją.

Dlatego refleksja związana z wydarzeniami wokół Ukrainy, nie może zatrzymać się na diagnozie sytuacji, lecz musi kierować w stronę naszych, polskich problemów. W ostatnich siedmiu latach przynajmniej kilkakrotnie mogliśmy dostrzec prawdziwe intencje „wolnego świata”. Entuzjazm, z jakim na Zachodzie powitano zwycięstwo wyborcze Platformy w roku 2007 i 2011 nie wypływał przecież z troski o polskie sprawy i nie był efektem wysokiej oceny przymiotów politycznych i intelektualnych przedstawicieli rządu Tuska. Podkreślano przede wszystkim, że „pragmatyzm” nowej władzy pozwoli poprawić relacje z Rosją i wygasic „polską rusofobię”. To dlatego, natychmiast po tragedii smoleńskiej pojawiły się na Zachodzie głosy nawołujące do pojednania polsko-rosyjskiego, zaś niemieckie media nie ukrywały, że *„napięcia pomiędzy Polską a Rosją oznaczają dla Berlina kłopoty”*.

Życzliwość komisarzy i polityków Zachodu, a w szczególności serdeczności Angeli Merkel, mają bardzo konkretny wymiar. W różnym stopniu dotyczy on świadomości, że rząd PO-PSL jest tworem wyjątkowo słabym i podatnym na unijne naciski, jak przekonania, że nie będzie on przeciwstawiał się Rosji ani tworzył przeszkód w realizacji polityki pojałtańskiej.

Wyznanie uczynione przed kilkoma laty przez Donalda Tuska, iż celem polityki zagranicznej jego rządu jest *"usuwanie przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich"*, najpełniej oddaje sens tego podporządkowania.

Gdy za kilka miesięcy zatrze się pamięć o rosyjskiej napaści, a młyny propagandy rozpoczną swoją zwyczajową robotę, powróci nie tylko dotychczasowa narracja, ale niezmiennie pozostaną priorytety tego rządu. Szczególnie te, wyznaczone europejską polityką *„współpracy i porozumienia z Rosją"*, w której nasz kraj ma spełniać rolę nośnika obcych interesów.

O tym, że Rosja jest naturalnym wrogiem wszystkiego co wolne i niepodległe, nas - Polaków, nie trzeba przekonywać. Nie trzeba nam też udowadniać, że zaprowadzone w III RP rządy „partii rosyjskiej” są gwarantem interesów Moskwy i służą „pokoju koegzystencji” Zachodu z kremlowskim satrapą.

Realizm nie pozwala oczekiwać rzeczy niemożliwych, a zatem wierzyć, że sojusze militarne i polityczne uchronią nas od napaści i rosyjskiej dominacji. Po roku 1939 i 1945, kolejna data nie przyniesie przełomu w łańcuchu dyplomatycznych draństw, zdrady i zawiedzionych nadziei. Żadna z „zachodnich demokracji” nie będzie umierać za Polskę, tak jak dziś nikt nie chce nadstawić głowy za wolną Ukrainę.

Realizm każe jednak rozumieć, że historię tworzą fakty i ten czas musi być wykorzystany do podważenia „magdalenkowego” porządku, na którym zbudowano III RP. Stanowi on wiernie odbicie ładu pojałtańskiego i wszelkich „samoograniczeń” jakie narzucono Polakom.

Polski silnej i niezależnej, jakiej chciał prezydent Lech Kaczyński, nie da się zbudować z obecnym układem rządzącym, jego pseudoelitami i antypolskim systemem wartości. Oparty na podległości wobec silniejszych i logice kłamstwa smoleńskiego, reżim ten stanowi dziś główne zagrożenie przed którym stoją Polacy. Nigdy wcześniej nie było to tak oczywiste, jak w dniach, w których widzieliśmy trupy na ulicach Kijowa.

Tak długo, jak agresja rosyjska zaprzęta uwagę opinii światowej i decyduje o politycznych koniunkturach, jest czas na obalenie tego układu.

Później wrócimy do Jałty.

827. BELWEDERSKI GWARANT BEZPIECZEŃSTWA

Dopiero z perspektywy rosyjskiej agresji na Ukrainę widać, jakim dramatem dla naszego kraju jest pozostawienie spraw bezpieczeństwa narodowego w ręku Bronisława Komorowskiego i belwederskich „strategów”.

Dramatem tym większym, że problemu w ogóle zdają się nie dostrzegać politycy opozycji ani „nasze” media. Tam, gdzie mówi się o fatalnym stanie polskiej armii i potrzebie głębokich reform, gdzie mowa o błędach i poważnych zaniechaniach w sferze bezpieczeństwa – niemal nigdy nie wskazuje się na ośrodek belwederski. To praktyka tym bardziej zadziwiająca, że od trzech lat to właśnie ten ośrodek jest głównym decydującym w sprawach bezpieczeństwa narodowego, a rząd Tuska zaledwie wykonawcą planów powstałych w otoczeniu Komorowskiego.

Bez echa przechodzą kolejne występy lokatora Belwederu i wywody gen. Kozieja, w których słyszymy coraz bardziej fantastyczne opowieści o „doktrynie Komorowskiego” i „nowoczesnej strategii” mającej zapewnić Polakom poczucie bezpieczeństwa. Okolicznościowe imprezy wojskowe, setki narad, posiedzeń, paneli dyskusyjnych, itp. form marnotrawienia publicznych pieniędzy, mają utwierdzić nas w przekonaniu, że posiadamy silną armię, dzielnych dowódców i wybitnych strategów.

Jedynie wypowiedzi gen. Romana Polko, który od dawna alarmuje o negatywnych skutkach belwederskich projektów i punktuje niedorzeczne plany papierowych generałów, stanowią poważną przeciwwagę wobec tej publicznej błazenady. Opinie Polko, iż: *„polska tarcza antyrakietowa to mrzonki”*, a *„to, co w tej chwili zabija polską armię, to reforma systemu dowodzenia”* oraz nazywanie projektu reformy *„wręcz zdeformowaniem tego systemu”*, są rzadkim przykładem sensownych recenzji.

Na tym blogu ukazało się kilkanaście krytycznych tekstów poświęconych sztandarowemu dziełu belwederskich mędrców, tzw. Strategicznemu Przeglądowi Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), z którego wywodzą się pomysły realizowane dziś w ramach „reformy systemu bezpieczeństwa”: budowy własnego „potencjału obronnego” (w tym tzw. polskiej tarczy antyrakietowej), modernizacji przemysłu zbrojeniowego, reformy służb specjalnych oraz reformy systemu dowodzenia. Czym w istocie był SPBN, można zrozumieć zapoznając się z charakterystycznym cytatem z tego dzieła:

„Opcja zrównoważonego integrowania systemu bezpieczeństwa narodowego to przygotowanie systemu bezpieczeństwa narodowego do zrównoważonego wykorzystywania zarówno szans wynikających ze współpracy międzynarodowej, jak i racjonalnie umacnianych zdolności sukcesywnie integrowanego narodowego potencjału bezpieczeństwa, którego priorytety

rozwojowe koncentrowałyby się jednak wokół zadań związanych z zapewnieniem bezpośredniego bezpieczeństwa Polski. Jest to opcja ekstrapolacji obecnych kierunków transformacji systemu bezpieczeństwa.”

Jak wiemy, w ramach SPBN nakreślono trzy scenariusze kształtowania się strategicznych warunków bezpieczeństwa w najbliższym dwudziestoleciu: „integracyjny – optymistyczny (z przewagą pozytywnych i pożądanych zjawisk i tendencji); dezintegracyjny – pesymistyczny (z przewagą niekorzystnych i niebezpiecznych zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych) oraz ewolucyjny – realistyczny (zakładający kontynuację względnej równowagi negatywnych i pozytywnych zjawisk)”. Za podstawę dalszych rozważań przyjęto „scenariusz ewolucyjny-realistyczny”, w którym zakłada się że „Unia Europejska – mimo występowania kryzysów gospodarczych o niskim lub średnim stopniu intensywności – przetrwa jako rynek zjednoczony wspólną walutą, a podstawowe elementy spójności zostaną utrzymane. Jednocześnie NATO pozostanie podmiotem zdolnym wspierać i wzmacniać bezpieczeństwo państw członkowskich oraz selektywnie interweniować wszędzie tam, gdzie zagrożone są żywotne interesy.”

Już w tym momencie, bystry czytelnik musiałby zauważyć, że wywody belwederskich strategów doznały poważnego uszczerbku w zderzeniu z obecną rzeczywistością. Gdyby jednak ów czytelnik nie zraził się stylem, w jakim zaprezentowano te mądrości, dotarłby do miejsca, w którym następuje bezcenna konkluzja: „Podsumowując główne ustalenia i wnioski SPBN, należy stwierdzić, że zmiany zachodzące w otoczeniu bezpieczeństwa Polski – przede wszystkim jego nieprzewidywalność i niedookreśloność, spadek znaczenia klasycznych zagrożeń militarnych wobec zagrożeń o charakterze asymetrycznym, a także rozszerzenie pola konfliktów o cyberprzestrzeń i rozwój struktur sieciowych – pociągają za sobą konieczność nie tylko zmiany zasad działania i funkcjonowania poszczególnych struktur oraz podmiotów bezpieczeństwa, ale – co istotniejsze – wymagają podjęcia niezbędnych działań przygotowawczych (transformacyjnych, rozwojowych i doskonalących)”.

Na pytanie: po co wydano publiczne pieniądze na ten pseudonaukowy bełkot i jaki cel ma owa „strategia” – nietrudno odpowiedzieć. Przy jej pomocy można uzasadnić każdy projekt i forsować dowolne rozwiązania w sferze bezpieczeństwa. Nie ma jedynie pewności, że będą to rzeczy służące bezpieczeństwu Polski.

Już w styczniu 2013 roku zwracałem uwagę, że propozycje belwederskich ekspertów nie tylko nie biorą pod uwagę „najgorszego scenariusza”, ale całkowicie bezpodstawnie kreślą abstrakcyjny plan „ewolucyjno-realistyczny” – równie oderwany od rzetelnej prognozy, jak od doświadczeń przeszłości.

Za najpoważniejsze uchybienie tzw. ustaleń i rekomendacji SPBN trzeba uznać przemilczenie roli Rosji i polityki Kremla, a szerzej – zagrożeń wynikających z agresywności tego państwa oraz z położenia geopolitycznego III RP. W żadnym miejscu „ustaleń i rekomendacji” nie znajdziemy wzmianki o niebezpieczeństwach wynikającym z nadzwyczajnej aktywności służb rosyjskich, skutków doktryny wojskowej Kremla, wzrostu nakładów na zbrojenia, wrogich posunięć militarnych w obwodzie kaliningradzkim czy z napastliwej i konfrontacyjnej polityki propagandowej. SPBN przemilcza następstwa procesu integracji na obszarze poradzieckim (rozumianej przez Putina w kategoriach sowieckiego „uskorzenia”), ignoruje skutki stosowania „miękkiej siły” i nie dostrzega zagrożeń związanych z perspektywą szantażu energetycznego bądź cyberataku ze strony wschodniego sąsiada.

Gen. Koziej, który z taką maestrią straszy dziś Polaków potęgą militarną Rosji i rozsiewa wizję „nieprzewidywalności” Putina, nie zachciał niestety podzielić się tą wiedzą w ramach SPBN. W efekcie - w miejsce poważnej refleksji, warunkowanej rzetelną oceną zagrożeń, otrzymaliśmy zbiór bezużytecznych komunałów.

Nie to jednak decyduje o zagrożeniach związanych z pozostawieniem spraw naszego bezpieczeństwa w rękach belwederskich „strategów”.

Istotny jest fakt, że całą „koncepcję bezpieczeństwa narodowego” zbudowano w oparciu o pozytywny i wyjątkowo demagogiczny obraz Rosji. W tym obszarze, podobnie, jak miało to miejsce w czasach „Polski ludowej”, nad myśleniem o bezpieczeństwie własnego kraju dominuje idea „obrony zdobycy pojednania polsko-rosyjskiego”.

Zgodnie z rekomendacjami ekspertów BBN, Rosję należy przyjąć „taką jaka ona jest i chce być. Trzeba zrezygnować z misyjności i życzeniowej polityki zmierzającej do skłonienia Rosji do pełnego przyjęcia zachodniego modelu ustrojowego i uznać, że jest możliwa promowana przez Kreml modernizacja Rosji bez demokratyzacji na wzór zachodni. Polska musi zdecydować się na pojednanie z Rosjanami i traktowanie ich państwa nie jako tradycyjnego przeciwnika, lecz istotnego gwaranta bezpieczeństwa europejskiego, w tym naszego bezpieczeństwa. Zacieśnianie współpracy z Rosją ułatwi pojednanie polsko-rosyjskie” – głosił dokument zatytułowany „Budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego Polski”. W myśl tej koncepcji, współpraca z państwem Putina ma stać się gwarantem stabilności III RP.

„Bez ułożenia stosunków z Rosją nie będzie możliwe pełne zagwarantowanie naszego bezpieczeństwa narodowego oraz zwiększenie pozycji Polski wśród sojuszników i partnerów, a także efektywne zwiększenie ról odgrywanych na arenie międzynarodowej. W stosunkach z Rosją należy zaprzestać eksponowania czynnika historycznego, dążyć do przezwyciężenia polskich lęków i fobii oraz przyjąć bardziej pragmatyczną, a przez to racjonalną politykę” – twierdzili prof. dr hab. Ryszard Zięba i dr hab. Justyna Zajac w tekście „Prognoza interesów narodowych i celów strategicznych w dziedzinie bezpieczeństwa w perspektywie 20 lat”.

Kto chciałby porównać dzisiejsze wypowiedzi Komorowskiego i Kozieja, w których zapewniają, iż sojusz z NATO i USA jest dla nas najważniejszy, z tym, co zaledwie kilka miesięcy wcześniej pisano w ramach SPBN, musiałby zauważyć, z jaką „rewolucją” mamy do czynienia.

W priorytetach SPBN wymieniano wprawdzie umacnianie „solidarności sojuszniczej, pozycji oraz roli Polski w NATO i Unii Europejskiej”, ale przede wszystkim podkreślano potrzebę „aktywnego włączenia się w realizację wzmocnionej Traktatem z Lizbony Unijnej Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony; umacnianie relacji z partnerami europejskimi (Francją i Niemcami) oraz reaktywowanie Trójką Weimarskiego”. Te priorytety znakomicie służą tendencjom dezintegracyjnym NATO i ułatwiają proces „wypchnięcia” Stanów Zjednoczonych z Europy, o co od dawna zabiegają Niemcy i Francja. Dopiero na ostatnim miejscu wskazywano „partnerstwo strategiczne z USA”, przy czym w stosunkach z Ameryką eksperci Komorowskiego zalecali „odejście od polityki bezwarunkowego, a wręcz bezrefleksyjnego popierania wszystkich działań tego mocarstwa.” Odrzucenie przez Belweder „polityki misyjności” NATO jest dobrym przykładem takiego „odejścia”.

Celem naszej strategii bezpieczeństwa miało natomiast stać się „rozwijanie bliskiej współpracy ze wszystkimi sąsiadami”, przy czym - „szczególne znaczenie ma kontynuowanie polityki normalizacji i rozwijanie stosunków z Rosją”.

O tych priorytetach Belwederu nie wolno dziś zapominać, bo dopiero w ich perspektywie można rzetelnie ocenić prawdziwość obecnych deklaracji, właściwych kierunków polityki Komorowskiego czy intencji towarzyszących wypowiedziom Kozieja.

Łatwe pytanie: czy mamy do czynienia tylko z grą propagandową i chwilową zmianą wektorów, ma jednak głębszy wymiar.

Prezydentura Komorowskiego jest rzeczą najgorszą, jaka mogła się przydarzyć Polakom w czasie zagrożenia rosyjską agresją. Nie chodzi przy tym o stan polskiej armii lub prorosyjskie sympatie środowiska Belweder, ale o zasadnicze cele tej prezydentury, w tym o zabezpieczenie kolejnej kadencji. Od chwili wyboru lokatora Belwederu systematycznie zabiega o pogłębienie swoich uprawnień i budowę systemu, który nazwałbym reżimem prezydenckim. Czyni to w oparciu o armię i służby wojskowe.

Koncepcje powstałe w ramach SPBN, mimo ich rażącej ogólnikowości i pseudonaukowego żargonu, zawierają myśl, o której przypominałem w tym tekście: współpraca z państwem Putina ma być gwarantem naszej stabilności. To myśl bliska przywódcom Niemiec i innych krajów UE, którzy nawet w obliczu bandyckiej napaści na Ukrainę, chcą widzieć w funkcjonariuszu KGB partnera i przewidywalnego polityka. Ta myśl leży również u podstaw obecnej prezydentury, nie przypadkiem witanej z taką radością na Kremlu. Trzeba sobie jednak uświadomić, że nie byłoby tej prezydentury, gdyby nie tragedia smoleńska i wsparcie ze strony przedstawicieli „partii rosyjskiej” – tych wszystkich, którzy w obliczu narodowej tragedii w „pojednaniu” z Rosją dostrzegali podstawowy cel polityki III RP.

Nie warto wierzyć, że doświadczenia ostatnich miesięcy zmusiły do rewizji takich postaw. Nadal są one gwarantem trwałości obecnego reżimu. Decydują o stosunkach wewnętrznych, relacjach z UE i innymi krajami.

Bronisław Komorowski zrobi wszystko, by zapewnić sobie kolejną kadencję. To oznacza, że współpraca z państwem Putina nie może zostać zamknięta i będzie kontynuowana tak długo, dopóki lokator Belwederu nie zostanie zmuszony do odejścia.

KWIECIEŃ

828. ILE KOSZTUJE „ROK ROSJI” ?

Decyzja o umorzeniu śledztwa smoleńskiego nie będzie wynikiem jakichkolwiek „ustaleń prokuratury” i nie ma nic wspólnego ze stanem faktycznym bądź prawnym. Polityczne rozstrzygnięcie zapadło już we wrześniu 2013 roku, podczas wizyty prokuratora Seremeta w Moskwie, zaś obecny spektakl jest efektem finalizowania ówczesnych uzgodnień.

Andrzej Seremet przebywał w Moskwie w dniach od 9 do 12 września 2013 r., gdzie przewodniczył polskiej delegacji na 18 konferencję Międzynarodowego Stowarzyszenia Prokuratorów, organizowaną przez Prokuraturę Generalną Federacji Rosyjskiej.

9 września Seremet spotkał się z Prokuratorem Generalnym FR, Jurijem Czajką. Komunikat PG głosił, iż w sprawie smoleńskiej „rozmówcy zgodzili się, że zachodzi potrzeba dalszej intensyfikacji działań procesowych zmierzających do możliwie szybkiego zakończenia wspomnianych postępowań karnych.” Trzy dni później Seremet odbył spotkanie z Aleksandrem Bastrykinem, szefem Komitetu Śledczego FR. W wydanym komunikacie wyraźnie stwierdzono:

„Strony polska i rosyjska, podobnie jak na spotkaniu prokuratorów generalnych, podkreśliły konieczność finalizowania prowadzonych w obu państwach postępowań w sprawie katastrofy oraz innych, z katastrofą związanych”.

Obecne działania prokuratury wojskowej oraz wystąpienia Seremeta, w których słyszymy sugestie dotyczące umorzenia śledztwa (nawet bez dostępu do wraku i skrzynek) nie są niczym zaskakującym, a jedynie potwierdzają kierunek ówczesnych uzgodnień.

Przynajmniej od grudnia 2010 roku powinniśmy również wiedzieć, że efekty śledztwa w sprawie tragedii nie mogą zależeć od ustaleń niezależnych organów lecz są wynikiem kontraktu politycznego.

To wówczas, wraz z prezydentem Rosji Miedwiediewem przybyła do Polski delegacja rosyjskich prokuratorów, na czele z Prokuratorem Generalnym Jurijem Czajką. Głównym punktem wizyty było podpisanie memorandum o współpracy pomiędzy prokuraturami obu krajów. Zawarto w nim ramowe zasady współpracy „w dziedzinie walki z przestępczością oraz ochrony praw i wolności człowieka przy wykorzystaniu najbardziej skutecznych metod i środków”. Memorandum przewidywało m.in. „przeprowadzanie konsultacji w kwestiach prawnych oraz świadczenie wzajemnej pomocy prawnej”. Zgodnie z jego postanowieniami „wszelkie sprawy sporne związane ze stosowaniem niniejszego Memorandum Strony rozwiążą w drodze konsultacji i pertraktacji”.

Dokument ten, mający umacniać „ochronę praw i wolności człowieka”, Prokurator Generalny III RP Seremet podpisał z byłym sowieckim prokuratorem Czajką, jednym z najbardziej zaufanych ludzi płk Putina. Kadencję Czajki wyznaczają setki najważniejszych aktów łamania praw człowieka; ludobójstwo w Czeczeni, mordy polityczne, zabójstwa dziennikarzy, represje wobec dysydentów i wolnych mediów. Z polecenia Putina, Czajka nadzorował śledztwa w sprawie Chodorkowskiego, Politkowskiej i Litwinienki. On również nadzoruje dochodzenie w sprawie katastrofy smoleńskiej, a tuż przed podpisaniem memorandum doprowadził do unieważnienia protokołów zeznań kontrolerów z lotniska Sewiernyj, które w pierwotnej wersji mówiły o dyspozycjach wydawanych z Moskwy i podawaniu załodze polskiego samolotu fałszywych informacji o warunkach pogodowych oraz wspominały o obecności w budynku kontroli lotów trzeciej osoby – oficera FSB.

O politycznym znaczeniu memorandum powinny przekonywać ówczesne słowa Dmitrija Miedwiediewa, wypowiedziane w trakcie wizyty w Pałacu Prezydenckim. Rosyjski prezydent oświadczył: *„Nie dopuszczam możliwości, by w sprawie katastrofy smoleńskiej śledczy polscy i rosyjscy doszli do różnych ustaleń. Odpowiedzialni politycy, przywódcy struktur śledczych powinni wyjść z obiektywnych danych”.* Te słowa, prócz dyspozycji związanej z końcowym efektem śledztwa, zawierały wyraźną sugestię, by politycy grupy rządzącej zadbali o ostateczny kształt ustaleń prokuratury.

Podczas ubiegłorocznej wizyty Seremeta w Moskwie potwierdzono znaczenie memorandum, zaś w komunikacie Prokuratury Generalnej z września 2013 roku podkreślono, iż „doszło również do wymiany alternatyw obowiązującego od tego momentu „Programu współpracy między Prokuraturą Generalną Rzeczypospolitej Polskiej a Prokuraturą Generalną Federacji Rosyjskiej na lata 2013 – 2015”.

Nie sposób sobie wyobrazić, by reżim III RP mógł zmienić te ustalenia. Ani rosyjska agresja na Ukrainę ani jakiegokolwiek przyszłe bandyckie działania Moskwy nie mogą mieć wpływu na postawę zakładników kłamstwa smoleńskiego. Los tych ludzi jest w rękach Putina i ktokolwiek dopuszcza inną perspektywę wykazuje (co najmniej) kompromitującą głupotę.

Już w marcu 2013 roku sformułowałem na tym blogu tezę, że w roku wyborczym 2015 może nastąpić zamknięcie śledztwa prokuratorskiego i zwrot wraku tupolewa. Kolejność zdarzeń jest rzeczą oczywistą, bo dopóki strona polska nie zakończy dochodzenia i nie zagwarantuje Rosjanom bezwarunkowego przyjęcia wersji moskiewskiej, dowód rzeczowy nie

może zostać oddany. Ponieważ stanowi on istotną „monetę przetargową” w relacjach Warszawa-Moskwa, decyzja o zwrocie musi mieć nie tylko wymiar propagandowy ale przede wszystkim musi służyć realnemu umocnieniu wpływów rosyjskich.

Gwarantem tych wpływów jest dziś ośrodek prezydencki, zatem można się spodziewać, że to lokator Belwederu byłby „skutecznym politykiem”, który odzyska tupolewa. Ubiegłoroczna wypowiedź Komorowskiego: *„Zaakceptowałem zasadniczą myśl raportu ministra Millera, że źródłem nieszczęścia była próba lądowania w niedopuszczalnie złych warunkach pogodowych. Reszta to już dodatki, błędy natury technicznej czy mankamenty natury technicznej na lotnisku”* oraz wiele innych, równie kompromitujących oświadczeń, dowodzą, że z jego strony nie grozi Rosjanom żadna kontrakcja.

Zamknięcie sprawy Smoleńska posłuży z pewnością umocnieniu pozycji Komorowskiego i będzie jednym ze wsporników jego kampanii prezydenckiej. Pozwoli także wykreować nowe rozdanie po wyborach parlamentarnych. To główny powód, dla którego organizacja „Roku Rosji w Polsce i Roku Polski w Rosji” jest korzystna dla reżimu prezydenckiego, choć niekoniecznie pożądana dla grupy Tuska, która w wyniku nowej rozszady może zostać zastąpiona mniej skompromitowaną ekipą „odnowicieli”.

Gdy na początku roku 2013 informowałem o projekcie „Roku Rosji”, już wówczas było bezsporne, że nie ma on nic wspólnego z „dialogiem międzyludzkim” bądź „wymianą kulturalną”, lecz jest jednym z elementów politycznej ekspansji Kremla. Wydarzenia ostatnich miesięcy musiały jednak zdecydować o nieco innym profilu tego przedsięwzięcia.

Po napaści na Ukrainę i kolejnej fazie testowania reakcji „wolnego świata”, Rosja będzie potrzebowała „pasa transmisyjnego”, który pozwoli jej przywrócić dotychczasowe relacje z krajami UE. Po to, *„by nie mnożyć konfliktów i nie zwiększać napięcia”* (z oświadczenia D.Tuska w sprawie otwartej granicy z Kaliningradem) potrzebne jest wydarzenie świadczące o „przyjaznym” obliczu Putina. Wówczas będzie ono inicjować proces politycznej rehabilitacji kremłowskiego watażki i upewni zatroskanych przywódców Zachodu, że pod rządami Komorowskiego i Platformy, Polsce nie zagraża epidemia rusofobii. To poczucie pewności jest jednym z gwarantów zwycięstwa wyborczego PO.

Ostateczna decyzja w sprawie organizacji „Roku Rosji” może być ważna z dwóch powodów: dowiedzie rzeczywistej pozycji lokatora Belwederu w relacjach z grupą Tuska oraz zaansuje pokojowy lub konfrontacyjny scenariusz rosyjskiej rozgrywki. Żadna jednak nie będzie korzystna dla Polski, bo za decyzjami w tej sprawie stoją ludzie dalecy od polskich powinności i naszych interesów.

829. ZBRODZIA - LOGIKA PUTINA

Pułkownik Putin nigdy nie ukrywał swojej fascynacji Stalinem: *„Od czasu upadku Związku Radzieckiego starałem się odbudować Rosję do światowego mocarstwa, podobnie jak Stalin przebudowywał ten kraj po carach”*- przyznał niedawno. Kilkunastoletni okres rządów kremłowskiego satrapy z pewnością zostanie zapamiętany jako czas powrotu do sowieckich form sprawowania władzy. Dotyczy to nie tylko mocarstwowych ambicji pułkownika KGB i związanej z tym „wodzowskiej” retoryki, ale przede wszystkim metod rozwiązywania konfliktów i sposobu zwalczania przeciwników. Ponieważ współczesna Rosja próbowała uchodzić za państwo prawa i demokracji, jedyna różnica dotyczy skali tych zjawisk oraz konieczności stosowania osłony propagandowej.

Władca Kremla nigdy jednak nie przestał być funkcjonariuszem KGB i ta, zbrodnicza mentalność na trwale zdominowała okres zwany erą Putina.

W szczególności jest to widoczne w sposobie eliminowania realnych i urojonych zagrożeń.

W obawie przed spiskiem lub konkurencją, Stalin co kilka lat pozbywał się ludzi poprzedniej ekipy. Czystki były konieczne, by wyeliminować tych, którzy posiadali wiedzę o wcześniejszych zbrodniach dyktatora lub w jakikolwiek sposób mogli zagrozić jego pozycji.

Tam gdzie władza opiera się na przemoc i terrorze, na celowniku są głównie dwie grupy: wyższych dowódców armii oraz funkcjonariuszy służb specjalnych.

Pułkownik Putin musi dobrze rozumieć zbrodniczą logikę Stalina, bo od początku swoich rządów skutecznie pozbywa się wszelkich zagrożeń wewnętrznych, stosując przy tym regułę zawartą w jednej ze „złotych myśli” bandytów z KGB: *„każdy głupiec potrafi popełnić morderstwo, ale trzeba być artystą by popełnić naturalną śmierć”*.

Obok zabójstw Litwinienki, Polikowskiej, Estemirowej czy Markielowa, prócz mordowania niewygodnych dziennikarzy i przeciwników politycznych, reżim Putina nie waha się sięgać po środki ostateczne również wobec własnych, kłopotliwych funkcjonariuszy. Rozpętana przez pułkownika KGB „wojna służb” przynosi każdego roku liczne ofiary, które w oficjalnych statystykach figurują jako akty samobójcze i nieszczęśliwe wypadki.

„Naturalna śmierć” dopada zatem ludzi, którzy znali okoliczności zbrodni czeczeńskich, mieli wiedzę o serii „zamachów terrorystycznych”, zagrażali interesom kagebowski siłowników lub mogli zbudować silną opozycję w armii i służbach wojskowych.

Cywilne KGB i wojskowe GRU od zawsze były śmiertelnymi wrogami. Jednak od upadku Związku Sowieckiego, zdjęciu nadzoru politycznego nad służbami i podzieleniu KGB na FSB i FSR, wojna pomiędzy tymi formacjami przybrała na sile.

Walka dotyczy nie tylko przejmowania funkcji innych - konkurencyjnych - służb, ale głównie nadzoru nad dochodowymi gałęziami gospodarki narodowej, jak przemysł naftowy czy zbrojeniowy. Poszczególne służby rosyjskie toczą ze sobą isticie feudalne wojny, a ich kierownictwo walczy pomiędzy sobą o wpływy.

Gdyby na przestrzeni ostatnich lat przeszedł sekwencję „naturalnych śmierci” wśród ludzi armii i służb, mogłoby się okazać, że w czasie pokoju są to dwie najbardziej zagrożone profesje. Przypomnę tylko niektóre wydarzenia.

3 lipca 1998 r. we własnej dacy w podmoskiewskiej wsi Kłokowo został zastrzelony gen. Lew Rochlin, który w czasie wojny czeczeńskiej dowodził Północną Grupą Wojsk Federalnych. Będąc przewodniczącym komisji Dumy ds. obrony, Rochlin utworzył Ruch Poparcia Armii. Organizacja deklarowała, że dąży do „obalenia reżimu Jelcyna”. Rochlin uzyskał wsparcie wielu wyższych wojskowych, m.in. dowódcztwa Dywizji Kantemirowskiej i Tamańskiej. O zabójstwo oskarżono żonę generała, jednak krewni Rochlina, jak i przywódcy ówczesnej opozycji utrzymywali, że zmuszono ją do przyznania się grożąc śmiercią innym członkom rodziny. Kilka dni po zabójstwie Rochlina, płk Putin został mianowany przez Jelcyna szefem FSB.

28 kwietnia 2002 r. w katastrofie śmigłowca Mi-8 zginął generał Aleksander Lebiedź. Od 1995 roku uczestniczył aktywnie w życiu politycznym Rosji. Stał na czele ruchu Honor i Ojczyzna, a w wyborach 1996 roku był kandydatem na prezydenta Federacji. Podczas I wojny czeczeńskiej Lebiedź został sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Rosji i w sierpniu 1996 r. razem z

czeczeńskim przywódcą Aslanem Maschadowem podpisał porozumienia w Chasawjurgie. Razem z Lebiedziem zginęło wówczas siedmiu innych dowódców armii.

14 września 2008 roku w katastrofie samolotu w mieście Perm na Uralu zginął generał Giennadij Troszew - doradca Putina do spraw kozackich, zwolennik publicznych egzekucji Czeczenów. W czasie drugiej wojny czeczeńskiej Troszew dowodził Północnokaukaskim Okręgiem Wojskowym. Gdy kilka lat później odmówił wykonywania rozkazów ministra obrony Siergieja Iwanowa, oficerowie zagrozili "ruszeniem wojska", jeśli ich dowódca zostanie przeniesiony się na inne stanowisko.

21 czerwca 2009 w Moskwie, w niewyjaśnionych okolicznościach zginął gen. mjr Konstantin Petrow, zwolniony z wojska w roku 1995, przewodniczący prezydium partii politycznej o nazwie "Kurs Prawdy i Jedności". Petrow i jego zwolennicy byli podejrzewani o antypaństwowy spisek.

23 listopada 2009 został otruty w kawiarni w Iżewsku pułkownik GRU Anton Surikow. W roku 1999 był on organizatorem spotkania Aleksandra Wołoszyna, szefa administracji Jelcyna z Szamilem Basajewem, dowódcą Czeczenów walczących w Dagestanie. Do spotkania doszło w willi Adnana Khashoggiego - jednej z głównych postaci afery Iran-Contras, prywatnie byłego szwagra Abdula Rahmana El-Assira. W czasie pierwszej wojny w Abchazji Surikow walczył po stronie Abchazów przeciwko Gruzji. Nazwisko tego oficera GRU pojawia się w dziennikarskim śledztwie rosyjskiej „Nowej Gazety” która ustaliła szereg faktów wskazujących na to, że inspiratorami konfliktu w północnym Kaukazie oraz zamachów na domy mieszkalne w Rosji były rosyjskie służby specjalne. Choć oficjalna przyczyna zgonu 48 –letniego Surikowa mówiła o niewydolności nerek i serca, jego przyjaciele twierdzili, że został otruty w identyczny sposób jak Aleksander Litwinienko.

W sierpniu 2010 roku poinformowano o utonięciu generała –majora Jurija Iwanowa, zastępcy szefa GRU. Miał on utonąć podczas urlopu na Cyprze. Przed nominacją na zastępcę szefa Głównego Zarządu Wywiadu, Iwanow służył w Północno Kaukaskim Okręgu Wojskowym i – jak informował oficjalny życiorys – „wykonywał zadania wywiadowcze na obszarze Kaukazu”.

28 października 2010 po spotkaniu w Moskwie przeciwników zmian dokonywanych wówczas w armii rosyjskiej, zginęło dwóch wysokich rangą generałów. Byli to: przewodniczący Najwyższej Rady Oficerskiej Rosji gen. Grigorij Dubrow oraz gen. Borys Diebaszwili. Dzień później ciężarówka staranowała samochód, którym jechał inny uczestnik spotkania, dowódca Wojsk Powietrzno-Desantowych gen. Szamanow. Na miejscu zginął kierowca, generał trafił do szpitala. Plotka głosiła, że wojskowi planowali zamach stanu.

Również październiku 2010 roku zginął były szef Federalnej Służby Ochrony generał Wiktor Czerwizow. Miał on popełnić samobójstwo, strzelając do siebie z pamiątkowego pistoletu na klatce schodowej w swoim domu. Czerwizow, który do roku 2002 dowodził służbą ochrony premiera i prezydenta FR musiał z pewnością posiadać dużą wiedzę o relacjach Jelcyn – Putin oraz o serii „zamachów terrorystycznych” z sierpnia 2000 i marca 2001 roku, które wpłynęły na umocnienie prezydenckiej pozycji płk Putina.

27 sierpnia 2011 roku zastrzelił się generał Konstantyn Morew, szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) w Twerze. Lotnisko Siewiernyj w Smoleńsku podlegało pod bazę w Twerze i wojskowi z tego rejonu zabezpieczali przygotowanie obiektu w Smoleńsku pod względem technicznym, i kadrowym. Na twerskim lotnisku Migalowo służyli mjr Wiktor Ryżenko, który 10 kwietnia 2010 pełnił funkcję kierownika strefy lądowania w Smoleńsku oraz płk Nikołaj Krasnokutski, nieformalny dowódca grupy kierującej lotami. Po katastrofie obu przeniesiono: Ryżenkę do Orenburga, a Krasnokutskiego do Iwanowa.

W marcu 2012 roku samobójstwo popełnił były szef KGB Leonid Szebarszyn. W mieszkaniu Szebarszyna obok ciała znaleziono pistolet i list pożegnalny. Również w ostatnich tygodniach można odnotować przypadki samobójstw byłych dowódców armii. 14 lutego br. w Moskwie zastrzelił się kontradmirał Wiaczesław Apanasenko, a 18 marca samobójstwo popełnił gen. Boris Saplin.

Metoda „śmierci naturalnej”, zadanej poprzez „naturalne samobójstwo” jest zwyczajowym w Rosji sposobem uciszania niewygodnych osób. Tak skończyli dwaj organizatorzy rozstrzeliwań polskich jeńców z obozu w Ostaszkwie: zastępca naczelnika obwodowego NKWD Wasilij Pawłow oraz mjr. Wasilij Błochin z moskiewskiej centrali NKWD, który przez 29 lat „służby” osobiście zamordował 50 tys. ludzi. Oprawcy mieli sami targnąć się na życie – Błochin w roku 1955 i Pawłow w roku 1962.

Ze względu na sowieckie fascynacje Putina, nie można wykluczyć, że za kilka lat podobny los spotka dzisiejszych wykonawców woli pułkownika KGB. Szczególnie tych, którym powierzył administrowanie okupowaną Czeczenią, wykonawstwo „zamachów terrorystycznych” bądź zorganizowanie zbrojnej napaści na Ukrainę.

Do tych zadań Putin zatrudnił ludzi podobnych Błochinowi i Pawłowowi – weteranów „sprawdzonych” w rozlicznych mordach i gwałtach na ludności cywilnej.

Dowódcą rosyjskich jednostek okupacyjnych na Krymie jest dziś zastępca szefa Południowego Okręgu Wojskowego Sił Zbrojnych gen. dywizji Igor Turczeniuk, „wslawiony” podczas drugiej wojny czeczeńskiej użyciem tzw. bomb próżniowych oraz torturowaniem i masowymi morderstwami cywilów.

Wojskami Powietrznodesantowymi dowodzi zaś generał Władimir Szamanow – zwany "rzeźnikiem z Czeczenii", którego oskarża się o rozliczne zbrodnie wojenne, m.in. ostrzelanie uchodźców czeczeńskich pod Szami-Jurtem w październiku 1999 roku i bombardowanie cywilów w Katyr-Jurcie 4 lutego 2000 roku.

Można założyć, że okupanci rosyjscy będą szeroko wykorzystywali doświadczenia nabyte w Czeczenii. Putinowska marionetka, czyli tzw. prezydent Republiki Czeczeńskiej Ramzan Kadyrow zadeklarował przed kilkoma dniami, że zajmie się ochroną prawa ludności muzułmańskiej na Krymie i „zbada sytuację w zakresie przestrzegania praw człowieka rosyjskich Czeczenów, Tatarów i Kozaków mieszkających na Krymie i w innych regionach Ukrainy”.

Ten szczególnie zniechęcony przez Czeczenów były podpułkownik rosyjskiej milicji, już wiele lat temu pokazał, jak wygląda „ochrona praw człowieka” w jego wykonaniu.

Anna Politkowska opisywała, że głównym źródłem dochodów rodziny Kadyrowa były porwania ludzi dla okupu, a w swoim domu we wsi Centaraj urządził on katownię, w której torturowano i zabijano przeciwników. Rosyjski „Memoriał” twierdzi, że pod rządami Kadyrowa dochodzi w Czeczenii do setek porwań, stosowania tortur, zabójstw politycznych i pogwałceń praw człowieka i za tymi działaniami stoją bojówki Kadyrowa, oficjalnie funkcjonujące jako Służba Bezpieczeństwa - bataliony specjalne "Siewier" i "Wostok".

Można przypuszczać, że „specjaliści” z tych formacji są już na Krymie, a niewykluczone, że mają udział w porwaniach ukraińskich wojskowych, dziennikarzy i działaczy społecznych.

Władimir Putin, stawiając sobie za wzór sowieckiego ludobójcę i postępując według zbrodniczej logiki KGB, nie chce zapewne pamiętać, że wprowadzone za jego rządów metody „rozwiązywania problemów” mogą zostać kiedyś użyte przeciwko niemu. To tylko kwestia czasu, gdy władza kremlowskiego kacyka zacznie się chwiać, a on sam stanie się niewygodnym, byłym „przywódcą narodu”. Rządząca Rosją mafia służb-oligarchów i polityków może wówczas uznać, że zasłużony lecz zmęczony władzą Putin powinien również popełnić „naturalną śmierć”.

830. TRZEBA WYKORZYSTAĆ TRAGEDIĘ SMOLEŃSKĄ

W każdej sytuacji warto kierować się prostą zasadą: jeśli wróg nas gani, krytykuje i osądza, najwyraźniej robimy coś dobrego – coś, co osłabia jego pozycję i stanowi dlań realne zagrożenie.

Dlatego w żadnym stopniu nie podzielam obaw związanych z zarzutem „wykorzystywania tragedii smoleńskiej” w czasie kampanii wyborczej Prawa i Sprawiedliwości. Jeśli w środowisku opozycji pojawiają się głosy mówiące o konieczności „wyciszenia” sprawy Smoleńska i skoncentrowania kampanii na „treściach merytorycznych”, są objawem ulegania terrorystom ośrodków propagandy i dowodzą niezrozumienia obecnej sytuacji i mechanizmów walki politycznej.

Histeria, jaka zapanowała po emisji spotu wyborczego PiS oraz dziesiątki wcześniejszych wystąpień wszelkiej maści hipokrytów i oportunistów, dobitnie świadczą, że temat Smoleńska jest najgroźniejszą bronią, przed którą drżą zwolennicy „moskiewskiej prawdy”. Rezygnować z tej broni tylko dlatego, że tak życzy sobie przeciwnik – byłoby więcej niż szaleństwem.

Tym bardziej, że po stokroć powtarzane zarzuty o „politycznej grze tragedią” nie są samodzielnym wymysłem polskojęzycznych ośrodków propagandy lecz powstały na fundamencie moskiewskich instrukcji. Nie przypadkiem też, w głosach ludzi krytykujących PiS za „wykorzystywanie” Smoleńska można dostrzec piętno tej samej retoryki, która towarzyszyła atakom komunistów na „ośrodki reakcyjne Zachodu”, gdy przedstawicielom polskiej emigracji zarzucano „polityczną eksploatację” tematu zbrodni katyńskiej.

Już 13 kwietnia 2010 roku „Moskowskij Komsomolec” sformułował generalną zasadę dotyczącą interpretacji działań partii opozycyjnej. Gazeta stwierdziła wówczas: *„jest już pewne, iż śmierć Kaczyńskiego zostanie wykorzystana do celów politycznych”*. Kilka dni później, w tej samej gazecie pojawiła się wypowiedź deputowanego Siergieja Markowa, który wyraził obawę, że *„katastrofa pod Smoleńskiem i tragedia katyńska będą wykorzystane w kampanii wyborczej”*.

W podobnym tonie, ówczesne wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego komentował dziennik „Wriemia Nowostiej”, pisząc, iż *„Opozycja upolitycznia tragedię pod Smoleńskiem. Za rozważaniami lidera PiS na temat przyczyn katastrofy kryją się polityczne pobudki i emocje”*.

Wkrótce po tych publikacjach pojawiły się *prawilne* reakcje „elit” III RP. Formułowano zarzuty, jakoby Jarosław Kaczyński chciał wykorzystywać śmierć brata w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego, zaś ówczesny kandydat Platformy Bronisław Komorowski, nie omieszkał przestrzec: *„druga strona, prowadząc kampanię, umiejętnie zagospodarowuje nastrój żałoby. Trzeba bardzo uważać, żeby nie tworzyć wrażeń nadużycia nastroju żałobnego”*.

Jeden z ulubionych epitetów - zarzut uprawiania *„tańca na grobach ofiar”*, użyty po raz pierwszy przez naczelnego „Izwiestii” Władimira Mamontowa, jest do dziś perfekcyjnym paralizatorem, skutecznie obezwładniającym dążenia opozycji.

Jego skuteczność opiera się na amoralnej konstrukcji semantycznej, w której prawo do piętnowania naszych reakcji przyznali sobie ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za tragedię smoleńską, brali udział w matactwach i ukrywaniu prawdy lub w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania owych grobów. Istota tej upiornej mistyfikacji polega na dokonaniu tak głębokiej konwersji, iż sprawca staje się sędzią, oszust przyjmuje rolę mentora, ofierze zaś imputuje się winę i stawia pod pręgierzem oskarżeń.

Obowiązkiem ludzi prawych i rozumnych jest obalenie tej fałszywej konstrukcji. Od tego obowiązku nie zwalniają pijarowskie zabobony, wiara w sondaże czy partyjna pragmatyka. Nie ma najmniejszego powodu, by w ocenie działań partii opozycyjnej kierować się miarą semantycznych terrorystów lub w jakimkolwiek stopniu ulegać ich żądaniom. Od dnia, w którym ludzie obecnego reżimu wyrzekli się polskich powinności i oddali sprawę śmierci naszych rodaków w ręce największego wroga – nie mają prawa oceniać i klasyfikować reakcji Polaków. Tego prawa nie posiadają także funkcjonariusze ośrodków propagandy, którzy przez lata napędzali kampanię nienawiści i do dziś zwodzą nas ordynarnymi łgarstwami. Żadne urzędy państwowe, tytuły i purpury nie uprawniają do wyrokowania w sprawie „wykorzystania” tragedii smoleńskiej – jeśli samemu sprzeniewierzyło się polskiemu obowiązkowi i przyjęło jarzmo rosyjskich łgarstw.

Ludzie obecnego reżimu tylko dlatego mogą uzurpować sobie prawo smoleńskich mentorów, że godzimy się z ich semantycznym terroryzmem i pozwalamy, by kłamliwy bełkot był postrzegany w kategoriach racjonalnej myśli. Nie racje moralne ani normy prawne, lecz obsesja polemiki z wytworami propagandystów, stwarza patologiczną sytuację, w której oszczercy i degeneraci mogą budować swoje nienależne przywileje.

Trzeba by odwagi i mądrości Herberta, aby przezwyciężyć ten stan. On jeden w czasach komuny miał czelność wyznać: *„Nie było z kim polemizować i o co polemizować. Nie było języka. Język był sprzedany, zakłamanym, zupełnie jak w czasach hitlerowskich. Bo to jest ustrój nierzeczywisty, ustrój widmowy, i dlatego tak trudny do zwalczania. Ja mu odmówiłem ontologicznego statusu.”* O tej postawie przypomniał nam niedawno inny poeta: *„Polska należy do nas – pisał Jarosław Marek Rymkiewicz - , a oni niech sobie gadają w swoich postkolonialnych telewizjach, co chcą, niech sobie piszą w swoich postkolonialnych gazetach, co im się podoba. Nas to nie dotyczy.”*

Na taki racjonalizm nie zdobyli się przedstawiciele niezależnych mediów ani politycy opozycji – choć jedni i drudzy chętnie dywagują o „polskim matrixie” i dostrzegają komunistyczne sukcesy obecnej władzy.

Nie zastosowano go wobec bredni wygłaszanych przez tzw. ekspertów, do pojękiwań zacadzonych Rosją „artystów”, wobec dyrdymałów Michnika i jego wyznawców. Wór pustostowia i arsenał demagogicznych haseł traktowany jest z intelektualnym patosem, nadaje mu się wartość dyskursywną, a często nobilituje rzeczowymi polemikami.

Cztery lata po tragedii smoleńskiej, w przeddzień kolejnych wyborów parlamentarnych i prezydenckich, pojawia się szansa, by odrzucić tę zgubną praktykę i nie oglądać się na to, co powiedzą Oni *„w swoich postkolonialnych telewizjach”*. Wszystko, co wiemy o okolicznościach tragedii smoleńskiej, o czym dowiedzieliśmy się z raportu „Cztery lata po Smoleńsku. Jak zginął Prezydent RP” sprawia, że nie można pozwalać, by ludzie odpowiedzialni za śmierć naszych rodaków nadal dyktowali nam, co mamy mówić i myśleć.

Działania opozycji nie mogą być sterowane przez semantycznych terrorystów. Nie mogą wynikać z kalkulacji dokonywanych na podstawie „sondaży” lub być podejmowane w rytm reakcji grupy rządzącej. Partia Jarosława Kaczyńskiego i środowiska

patriotyczne mają prawo dyktować warunki, na jakich rozmawiamy o sprawach polskich. Tym, którzy z podległości kremlowskiemu watażce uczynili fundament swojej władzy – nic do tego. Dlatego obowiązkiem partii opozycyjnej jest „wykorzystanie” narodowej tragedii. Do końca i bez względu na okoliczności. Po to, by Polacy poznali sprawców i ich współników, by zrozumieli, do czego wiedzie nienawiść i paktowanie z ludobójcami. Sprawę Smoleńska trzeba „wykorzystać” dla pozbycia się zdrajców i wrogów polskości, dla odebrania władzy miernotom i tchórzom. Jest to obowiązek tym ważniejszy, że wymiarów tej zbrodni nie da się zamknąć w retoryce partyjnych rozszad, stylistyce „programów naprawczych” i „planów modernizacji”. Nasi rodacy zginęli w Smoleńsku po to, by z ofiary ich życia wyrósł fundament nowej Polski.

831. DLACZEGO MAMY SIĘ NIE LĘKAĆ ?

Dlaczego mamy się nie lękać? Ponieważ człowiek został odkupiony przez Boga. W tej prawdzie jest najgłębsza afirmacja owego „Nie lękajcie się!": „Bóg umiłował świat - tak umiłował, że Syna swego Jednorodzonego dał” (por. J'3,16). Ten Syn trwa w dziejach ludzkości jako Odkupiciel. Odkupienie przenika całe dzieje człowieka, również przed Chrystusem, i przygotowuje jego eschatologiczną przyszłość. Jest tym światłem, które „w ciemnościach świeci i żadne ciemności nie potrafią jej ogarnąć” (por. J 1, 5). Potęgą Chrystusowego krzyża i zmartwychwstania jest zawsze większa od wszelkiego zła, którego człowiek może i powinien się lękać.

Święty Jan Paweł II – Przekroczyć próg nadziei.

Życzę Państwu, by ten błogosławiony czas zmartwychwstania Jezusa Chrystusa był pełen radości, miłości i wiary, dawał siłę w pokonywaniu trudności i pozwolił z ufnością patrzeć w przyszłość. Pamiętne słowa naszego świętego Rodaka – Nie lękajcie się – znajdują sens w prawdzie o Odkupieniu i przynoszą, jakże potrzebny nam dar nadziei.

Wszystkim, którzy odwiedzają mój blog – życzę, by nigdy nie utracili prostoty wiary, płynącej ze świadomości krzyża i zmartwychwstania. Nawet, gdyby wydawało się, że przyszłość to nadal „proces nad Chrystusem w Jego braciach”, my-chrześcijanie wiemy, że On zwyciężył śmierć.

Niech Chrystus Pan zasiądzie z nami, w naszych rodzinach i wspólnotach, przy świątecznym stole, niech pojedna je swoją miłością i obdarzy pełnią życia.

Radosnego Alleluja !

832. OD SMOLEŃSKA DO ROKU ROSJI

Przygotowania do organizacji Roku Rosji w Polsce trwają od kilkunastu miesięcy, lecz dopiero po napaści Rosji na Ukrainę, temat ten stał się przedmiotem zainteresowania mediów i opozycji.

„*Będzie to megaprojekt*” – ogłosił w styczniu 2013 roku w Warszawie Siergiej Naryszkin, przewodniczący Dumy Państwowej. W obecności marszałka Borsewicz, Naryszkin zapewniał wówczas, że „*Polacy uwielbiają rosyjską kulturę*” i obiecywał, że „*już nigdy nie będzie 10-letniej przerwy w kontaktach polsko-rosyjskich*”. Ponieważ rodzimi „przyjaciele Moskwy” raczej umiarkowanie chwalili się tym pomysłem, przez wiele miesięcy prace organizacyjne były prowadzone bez medialnego rozgłosu

Pojawiające się od pewnego czasu żądania rezygnacji z projektu, zmusiły polityków reżimu do udzielenia zdawkowych wyjaśnień. Oficjalna propaganda utrzymuje zatem, że Rok Rosji w Polsce ma jedynie wymiar „wymiany kulturalnej” i nawet w obecnej sytuacji „*nie należy łączyć wydarzeń o charakterze kulturalno-promocyjnym z sytuacją polityczną wokół konfliktu rosyjsko-ukraińskiego*”.

Uwadze obserwatorów umknęła niezwykle ważna deklaracja jednego z polityków PO – Pawła Zalewskiego, który z rozbijającą szczerością wyznał: „*Błędem byłoby uznanie, że Polska jest w konflikcie z Rosją, dlatego, że Rosja napadła Ukrainę*”. Treść tego oświadczenia najpełniej oddaje postawę „przyjaciół Moskwy” w kontekście wojny na Ukrainie, a jednocześnie dowodzi, jak błędne były kalkulacje polityków opozycji liczących „na zmianę polityki rządu”. Zalewski podkreślił również, że „*organizując Rok Polski w Rosji i Rok Rosji w Polsce udowodnimy też społeczności międzynarodowej, że nie jesteśmy rusofobami*.” Ta część uzasadnienia zasługuje na szczególną uwagę. Nie tylko dlatego, że wyraża permanentny stan podległości ludzi reżimu i zamiysł działania według narzuconych, obcych reguł, lecz z tej przyczyny, że podkreśla rolę, jaką partia rządząca odgrywa dziś w planach europejskich graczy. Donald Tusk określił kiedyś tę „historyczną misję” jako zadanie „*usuwania przeszkód stojących na drodze poprawy relacji rosyjsko-niemieckich*”. Politykom PO powierzono dziś misję „*pasa transmisyjnego*”, dzięki któremu Rosja będzie mogła przywrócić dotychczasowe relacje z krajami UE. Po to, „*by nie mnożyć konfliktów i nie zwiększać napięcia*” (z oświadczenia Tuska w sprawie otwartej granicy z Kaliningradem) potrzebne jest wydarzenie świadczące o „*ludzkiem obliczu*” reżimu Putina. Będzie ono inicjować proces politycznej rehabilitacji kremlowskiego watażki i upewni zatroskanych przywódców Zachodu, że pod rządami Komorowskiego i Tuska, Polsce nie zagraża epidemia rusofobii. Ponieważ to poczucie pewności jest jednym z gwarantów zwycięstwa wyborczego PO, łatwo zrozumieć, że grupa rządząca nie zechce zrezygnować z organizacji Roku Rosji w Polsce.

W podpisanej w grudniu 2013 r. wspólnej deklaracji „Program 2020 w relacjach polsko-rosyjskich”, ministrowie Ławrow i Sikorski potwierdzili zamiar organizacji imprezy i postanowili o „*prowadzeniu współpracy bilateralnej na poziomie aktywnego partnerstwa, rozwoju dialogu politycznego i poszerzeniu kontaktów na szczeblu międzypaństwowym i międzyresortowym oraz intensyfikację dialogu między społeczeństwami obu krajów*”.

Jednym z projektów związanych z organizacją Roku Rosji jest program „Rosja 2015 – Promesa”, finansowany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Za kwotę 4,5 mln złotych „polscy przyjaciele” chcą „*zwiększyć zainteresowanie polską kulturą w Rosji oraz podnieść wiedzę rosyjskich odbiorców o Polsce*”. Z 230 zgłoszeń, jakie wpłynęły do ministerstwa dokonano już wyboru blisko 90 wnioskodawców.

Ze strony rosyjskiej organizacją Roku Rosji w Polsce zajmie się Rosyjski Ośrodek Nauki i Kultury (RONiK), będący reprezentacją tzw. Rossotrudniczestwa (Federalnej Agencji ds. Wspólnoty Niepodległych Państw, Rodaków Mieszkających za Granicą i Międzynarodowej Współpracy Humanitarnej) zarządzanej przez MSZ Rosji. Dyrektorem warszawskiego RONiK jest Siergiej Władimirowicz Antufjew, etatowy działacz Komsomołu, absolwent Kazańskiego Instytutu Lotnictwa im. Tupolewa ze

specjalnością inżynier mechanik budowy samolotów, a w latach 2007 – 2012, gubernator Obwodu Smoleńskiego. To postać doskonale znana „polskim przyjaciółm”.

Antufjew organizował wizytę Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Katyniu, brał udział w spotkaniach ze stroną polską, które miały przygotować wizytę polskiej delegacji i był jedną z osób oczekujących na lotnisku w dniu 10 kwietnia 2010 roku. Decyzją Władimira Putina, ten członek proputinowskiej „Jednej Rosji” wszedł również w skład rosyjskiej komisji rządowej do zbadania przyczyn katastrofy.

W kwietniu ubiegłego roku portal niezależna.pl ujawnił, że były gubernator smoleński został skierowany do Polski i jest pracownikiem Ambasady Federacji Rosyjskiej. Rzecznik ambasady Waleria Perżinskaja zdecydowanie zaprzeczyła takim doniesieniom i nazwała je „absolutnie nieprawdziwymi”. Tymczasem Antufjew od maja 2013 roku pełni funkcję kierownika przedstawicielstwa Rossotrudnicestwa w Polsce i jest dziś dyrektorem RONIКа w Warszawie. Odwiedzających stronę internetową Ośrodka wita szczególne przesłanie rosyjskiej kultury - wojenne orędzie płk. Putina, wygłoszone po zajęciu Krymu przez armię FR.

Partnerami RONIКа są m.in. Międzynarodowa Rada Rosjan za Granicą oraz działające w Polsce Stowarzyszenie Współpracy Polska – Wschód.

Pierwsza z tych organizacji działa w ramach Rossotrudnicestwa, a jednym z jej zadań jest „konsolidacja rosyjskiej diaspory” oraz „zachowanie tożsamości narodowej i religijnej, duchowej i dziedzictwa kulturowego rdzennej ludności Rosji”. Po doświadczeniach związanych z napaścią na Ukrainę i wykorzystywaniem argumentu „ochrony ludności rosyjskiej”, działalność takich agend należy oceniać w kontekście rozbójniczych planów Moskwy.

Przed kilkoma dniami szef MSZ Rosji Ławrow, w przemówieniu wygłoszonym do zarządu Rady Rosjan podkreślił, że jej działania „wspierają proces kształtowania rosyjskiej polityki zagranicznej”. Z kolei Putin, w opublikowanym przed rokiem „liście do rodaków za granicą” nakazał tej organizacji „pielęgnowanie etnicznej i kulturalnej samoistności oraz ugruntowywanie pozycji języka rosyjskiego w państwach obcych, zwłaszcza na przestrzeni postradzieckiej”.

Drugi z partnerów RONIКа, -Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód ma swoje oddziały w wielu miastach Polski i jako jeden z celów działalności wskazuje „kształtowanie świadomości i opinii społecznej o roli i znaczeniu dobrosąsiedzkich stosunków i współpracy Polski z naszymi sąsiadami ze Wschodu”. W Radzie Krajowej znajdujemy m.in. Ryszarda Tomalaka, byłego pracownika Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, do stycznia 1998 likwidatora majątku PZPR.

Stowarzyszenie prowadzi obecnie ożywioną działalność. Tylko w marcu br. zorganizowano m.in. Ogólnopolski Festiwal Piosenki Rosyjskiej dla szkół „Bałałajka”, olimpiadę języka rosyjskiego, rocznicę urodzin Gagarina, czy spotkanie z absolwentami uczelni radzieckich. 7 kwietnia br. w „Domu Przyjaźni” odbyło się zaś spotkanie z radcą Jekatieryną Bieliakową, szefową Przedstawicielstwa Handlowego Rosji.

Udział rosyjskich instytucji rządowych oraz zaangażowanie postaci o jednoznacznej proveniencji politycznej wskazuje, że projekt Roku Rosji w Polsce ma stać się narzędziem propagandowym i zostanie wykorzystany w interesie Putina i jego polskich przyjaciół. Ponieważ w realiach współczesnej Rosji, „kultura rosyjska” nigdy nie była wartością samoistną, lecz jeszcze jednym orężem agresywnej polityki Kremla, nie można dopuścić, by Polacy zostali doświadczeni tym złowrogim i haniebnym spektaklem.

MAJ

833. MY I ONI - O WSPÓLNOŚCI W KTÓREJ NIE MA MIEJSCA DLA UPIORÓW

W artykule „Dlaczego nie mogę wziąć udziału w ankiecie” z roku 1947, opublikowanym w czasopiśmie „Lwów i Wilno”, Józef Mackiewicz pisał:

„Stan wojny z najeźdźcą nie znaczy, jak go chcą niektórzy ośmieszyć, porywanie się „z kłonicą na bombę atomową”. Ale znaczy tego rodzaju postawę moralną, która by wpływała hamująco na spadek po równi pochyłej, po której toczy się w tej chwili cały naród. Tej właśnie równi pochyłej, spowodowanej przez pewne środowiska na emigracji i w kraju, której dziś, dla zatuszowania swej odpowiedzialności, nadają niewinne miano: „przemiany społeczno-polityczne”! – Nie wyobrażam sobie bowiem, jak można na dłuższą metę wychowywać naród politycznie, bez przeprowadzenia „kanciastej” granicy pomiędzy pojęciami tak prymitywnymi jak: „sojusznik” i „najeźdźca”, „wierny” i „zdrajca”, „swój” a obcy, czy wrogi „agent”.

W wypowiedzi Mackiewicza odnajdujemy najważniejszy, charakterystyczny rys autentycznego antykomunizmu – jako świadomej postawy moralnej opartej na wytyczeniu „kanciastej” granicy pomiędzy pojęciami”. Ta granica ma rozdzielać dwa, nieprzystające do siebie światy – komunizmu i jego kolejnej hybrydy ukrytej pod nazwą „nowej” państwowości, od polskości i tego co z nią nierozzerwalnie związane.

Tak rozumiany antykomunizm oznacza w istocie powrót do podstawowej, zatartej dziś dychotomii My-Oni – jako wartości porządkującej i chroniącej nasz świat. Pozwala oddzielić dobro od zła, uformować narodową tożsamość i wydobyć się z nieokreśloności.

To poczucie odrębności wyznacza granice tego kim jesteśmy, do jakiego kręgu kultury należymy, co identyfikujemy jako nasze i wartościowe. Wskazanie nieprzyjaciół, nazwanie obcych - pełni ważną funkcję społeczną i buduje grupową solidarność. Chroni przed relatywizmem i błędną identyfikacją. Jest konieczne, by świat stał się uporządkowaną rzeczywistością, a nie chaosem przypadkowych, nienazwanych relacji.

Ukazanie tych różnic, podkreślenie podziałów, jest dla komunizmu zabójcze. Ujawnia jego otchłań, obnaża intencje, skazuje na odrzucenie. Obsesyjnym dążeniem komunistów było zatem tworzenie „frontów jedności narodu”, „kolektywów” i sztucznych „wspólnot”, w których czynnikiem integrującym miały być hasła niesione na komunistycznych sztandarach. Bliźniacza obsesja, wsparta kazuistyczną retoryką towarzyszy od lat działaniom grupy rządzącej Polską. Ta dążność ujawnia lęk przed dychotomią My-Oni, przed wytyczeniem ostrych podziałów, w których pojęcia „swój” i „obcy” nabierają elementarnego znaczenia i decydują o dokonywanych wyborach.

Antykomunizm Polski międzywojennej czerpał siłę ze zrozumienia tej dychotomii, był wyrazem sprzeciwu wobec „Onych” - obcych polskiej kulturze treści antychrześcijańskich i antycywilizacyjnych, niesionych przez komunizm. W tej relacji – bycie Polakiem, musiało warunkować postawę antykomunistyczną. Nie sposób było pogodzić tych dwóch, tak różnych światów, bez narażenia na utratę polskości. [...]

Filip Musiał i Jacek Kłoczowski we wstępie do antologii tekstów „W obronie niepodległości. Antykomunizm w II Rzeczypospolitej”, trafnie zauważyli:

„Polska przedwojenna została pogrzebana na polach bitew kampanii wrześniowej, w masowych grobach Katynia, w lochach Pawiaka i Szucha, w Palmirskim lesie. To, co udało się uchronić przed okupacyjnym terrorem, zostało zmiażdżone przez sowiecki walec i dekady panowania niesuwerennej dyktatury. Celem Związku Sowieckiego i współpracujących z nim polskich komunistów było wypalenie gorącym żelazem wszystkiego, co wiązało się z antykomunistyczną tradycją II Rzeczypospolitej, zerwanie tym samym ciągłości polskich tradycji intelektualnych. Działania te w znacznej mierze powiodły się, a ich skutki są tym bardziej trwałe, że w wolnej Polsce dzieje rodzimej myśli politycznej interesują ledwie niewielkie grono pasjonatów.”

Od antykomunizmu II Rzeczypospolitej oddziela nas nie tylko historia okupacji, w tym ponad czterdzieści lat sowieckiej dyktatury. Pomiędzy tamtą postawą, a dzisiejszym rozumieniem antykomunizmu rozciąga się ogromna przepaść wytyczona fałszem „nowej świadomości”. Nie obejmuje ona tylko tradycji intelektualnych, ale wnika znacznie głębiej, w samą istotę bytu narodowego.

Zaszczepiona w czasach Polski „ludowej”, umacniana przez lata indoktrynacji, została przyjęta przez Polaków razem z hańbą okrągłego stołu i mitologią towarzyszącą powstaniu III RP.

Gdy Adam Michnik w rozmowie z Jackiem Żakowskim na temat „Traktatu o gnidach” mówił: *„Nigdy nie przyjąłem formuły, że w Polsce przez czterdzieści lat de facto trwała sowiecka okupacja. Byłem zdania, że PRL to jest polska państwowość pozbawiona suwerenności. Ta państwowość jednak istniała i stanowiła pewną wartość ”* – wyrażał pogląd środowiska „opozycji demokratycznej”, ale też beneficjentów PRL-u i tych milionów Polaków, którzy pogodzili się z hańbą komunizmu. Ta część społeczeństwa poddała się procesom legalizacji okupacji sowieckiej i uznała PRL za trwałe element polskości. Już wówczas nastąpiła rezygnacja z podstawowej dychotomii My-Oni i wyzbycie się świadomości, że komunizm jest wytworem obcym i wrogim.

Rok 1989 doprowadził do sytuacji stokroć groźniejszej, pogłębiając otchłań fałszu i prowadząc do tragicznej w skutkach asymilacji komunizmu i polskości.

Wprawdzie III RP zbudowano na fundamencie PRL-u, wespół z tysiącami donosicieli, zdrajców i bandytów, wprawdzie zachowano ciągłość personalną i nie rozliczono zbrodni komunizmu, wprawdzie w życiu publicznym brylują esbecy, kapusie i ludzie kompartii, wprawdzie mediami rządzą esbeckie klany, a gospodarką agenturalne układy, wprawdzie niszczy się pamięć o ofiarach komunizmu, walczy z polską kulturą i patriotyzmem – w powszechnym przekonaniu jest ona państwem polskim, w pełni suwerennym i niepodległym, a rządzące nią mechanizmy definiuje się pojęciami prawa i demokracji.

To przekonanie – tak sprzeczne z elementarnymi faktami, z doświadczeniem historycznym i empirycznym, stanowi o zwycięstwie komunizmu i jego sukcesorów. To przekonanie uniemożliwia również rekonstrukcję autentycznych postaw antykomunistycznych, wywołuje destrukcyjny dysonans poznawczy i decyduje o słabości przeciwników reżimu.

Nie można mówić o antykomunizmie w społeczeństwie, które uwierzyło w „śmierć” komunizmu, a w postaciach współczesnej Polski dostrzega reprezentantów interesu narodowego. Nie można widzieć „obcych” w strukturach władzy, która uznawana jest za wolną i demokratyczną – tylko dlatego, że o jej powołaniu decyduje wybór sterowany ręką medialnych demiurgów. Nie ma miejsca na dychotomię My-Oni w przestrzeni zakłamaną i zagarniętą przez ośrodki propagandy, w której „strażnikami podziałów” są semantyczni terroryści, a piewcami zgody narodowej użyteczni idioci, deliberujących o potrzebie „pojednania”.

„Zwalczając komunizm trzeba najpierw pobudzić ludzi do myślenia, aby widzieli rzeczywistość, a tym samym wyzwolili ich spod władzy emocji. Jest to jednak często zadanie trudne, zwłaszcza w wypadku ludzi prymitywnych, powodujących się uczuciem i nie wprawionych w myśleniu krytycznym” – pisał Józef Bocheński, dostrzegając problem tych, którzy brali komunizm „nie za to, czym jest, ale za coś zgodnego z ich własnymi poglądami”.

Trzeba sobie uświadomić, że to, co nazywa się dziś antykomunizmem, ma niewiele wspólnego z tradycją II Rzeczypospolitej. Najczęstszym błędem jest mylenie antykomunizmu z opozycyjnością wobec układu rządzącego III RP. Ponieważ od lat rządzi Polską grupa nawiązująca wprost do sukcesji komunistycznej, a z każdym dniem przybywa widocznych oznak tej sukcesji, wielu Polaków przynajmniej się do antykomunizmu, manifestując tym samym sprzeciw wobec reżimu. Podobnie reagują politycy Prawa i Sprawiedliwości, oceniając swoją opozycyjność również w nawiązaniu do działalności prowadzonej w czasach PRL. Dość powszechne jest przekonanie, wyrażone przez Jarosława Kaczyńskiego, że *„w Polsce mamy do czynienia ze skrajną formą systemu postkomunistycznego, który broni się metodami wychodzącymi poza demokrację”*.

Tego typu postawa ujawnia podstawowy problem związany z przyjęciem „nowej świadomości”, której częścią jest wiara w „śmierć” komunizmu oraz w legalizm i demokrację III RP. Już tylko używanie terminu „postkomunizm”, a zatem definiującego okres, który nastąpił po upadku komunizmu, sprawia, że ten rodzaj opozycji (w ramach systemu politycznego dzisiejszego państwa), nie ma nic wspólnego z autentycznym antykomunizmem. Mówiąc o rzeczywistości postkomunistycznej, zakłada się bowiem, że komunizm w istocie upadł, a obecnie doświadczamy jego niektórych, zmodyfikowanych oznak. Wywodzą się one wprawdzie z komunizmu, mogą mieć związek jego „ideologią”, są jednak rodzajem zaburzenia, rysy powstałej na zdrowym fundamencie państwowości.

Bez wątplenia, wprowadzenie terminu „postkomunizm” jest dowodem zwycięstwa strategii dezinformacji i odgrywa wielką rolę w komunistycznej mistyfikacji.

Jarosław Marek Rymkiewicz doskonale dostrzegł to zagrożenie: *„Kiedy mówimy: postkomuna, postkolonializm, państwo postnarodowe czy posteuropejskie, a społeczeństwo posthistoryczne – w tym miejscu wychodzi też na jaw nasza rozpaczliwa bezradność językowa (a zatem i duchowa) wobec tego, co stało się w ostatnich trzech dziesięcioleciach i co teraz dzieje się w Polsce. Nie potrafimy nazwać obecnej Polski, ustalić, co to jest za twór, opowiedzieć, jaka jest nasza tutejsza sytuacja.”*

Dostrzeganie objawów „postkomunizmu”, w niczym nie podważa wiary w tzw. demokrację III RP, a tym bardziej nie może prowadzić do zanegowania układu okrągłego stołu i sięgnięcia po dychotomię My-Oni.

Z tej przyczyny, Jarosław Kaczyński mógł powiedzieć – *„Musimy walczyć, by demokracja dobrze funkcjonowała”* i uznać, że *„jeżeli zabraknie walki o demokrację, to pewnego dnia możemy się obudzić w takim systemie, który obecnie kształtuje się na Ukrainie. Jest tam opozycja, są wybory, ale tak naprawdę o demokracji nie można mówić. Nam do takiej sytuacji jeszcze daleko, ale możemy w tym kierunku ewoluować, jeśli się nie zmobilizujemy.”*

W ramach takiej postawy można oczywiście dążyć do modyfikacji lub reformy systemu – nigdy jednak do jego obalenia. Ta postawa zakłada sprzeciw wobec „form postkomunistycznych”, nie może jednak prowadzić do zanegowania samego fundamentu III RP. W ramach tej postawy jest miejsce na współpracę z komunistami i ich sukcesorami, na polemikę z wytworami medialnych terrorystów, budowanie „programów politycznych” i wiarę w mechanizmy demokracji. Nie ma natomiast

miejsca na „*ostre widzenie świata*”, wytyczenie granic polskości i nazwania po imieniu „obcych”, na podważenie filarów, na których wspiera się karykatura obecnej państwowości. [...]

Należało oczekiwać, że doświadczenia ostatnich lat, a w szczególności ogrom tragedii smoleńskiej i ujawnione w następnych latach zachowania grupy rządzącej, doprowadzą do odbudowy autentycznych postaw antykomunistycznych. Czas ten odkrył przed Polakami niewyobrażalne pokłady obcości i nienawiści, tkwiące w ludziach mieniących się „elitą” dzisiejszego państwa. Obnażył bezmiar obojętności na zło, ogrom fałszu i hipokryzji, odstąpił upiorną pustkę i niewolniczą mentalność. Ujawnił też najgłębsze podziały, biegnące nie wzdłuż rzekomych różnic politycznych, lecz w głąb ludzkich sumień i systemów wartości, dotykające samych podstaw człowieczeństwa i narodowej tożsamości.

To wówczas okazało się, że terytorium Polski zaludnia ogromna armia apatrydów – bękartów bez ziemi i poczucia wspólnoty narodowej, całkowicie obca naszej kulturze i tradycji. Zobaczyliśmy ludzi powtarzający rosyjskie łgarstwa, usłyszeliśmy szyderstwa ze śmierci rodaków, ujrzeliśmy watahę oddającą moc na znicze i „stróżów prawa” kradnących krzyże i kwiaty złożone ofiarom.

Ci sami ludzie czcili pamięć sowieckich najeźdźców, honorowali bandytów i kolaborantów, ślali dziękczynne adresy do kremłowskich ludobójców. Nawoływali Polaków do „pojednania”, „łączyli w żalobie” i załganym frazesem - „bądźmy wszyscy razem” próbowali zatrzeć nieprzekraczalne granice.

Takie doświadczenie powinno wywołać narodowy wstrząs i postawić nas przed zasadniczym pytaniem: kim są ci ludzie, z jakiego świata pochodzą i jakim hołdują wartościom? Czy wolno nazywać ich rodakami i obdarzać mianem Polaka – tylko dlatego, że zrzuceniem losu urodzili się na polskiej ziemi? Czy w polskiej kulturze istnieje przyzwolenie na nienawiść tak wielką, by drwiła z prawa do dochodzenia prawdy o śmierci osób bliskich? Czy w granicach polskości może być miejsce na taką nikczemność, która lży i oskarża rodziny zamordowanych „na nieludzkiej ziemi”? To doświadczenie powinno też uprzytomnić – czym jest obecne państwo i do kogo należy, jaki jest jego stosunek do polskości i w jakich kategoriach postrzega swoje powinności wobec narodowej wspólnoty.

Leopold Tyrmand w „*Cywilizacji komunizmu*” napisał - „*Życie w komunizmie jest piekłem, ale nie dla wszystkich. Jest piekłem dla ludzi dobrej woli. Dla uczciwych. Dla rozsądnych. Dla chcących pracować z pożytkiem dla siebie i dla innych. Dla przedsiębiorczych. Dla tych, którzy chcą coś zrobić lepiej, wydajniej, ładniej. Dla tych, którzy chcą rozwijać, wzbogacać, pomnażać. Dla wrażliwych. Dla prostolinijnych i skromnych. Natomiast dobrze prosperują w komunizmie głupcy nie dostrzegający własnej marności i śmieszności. Doskonale powodzi się służalców, oportunistom i konformistom; wiedzie im się tym lepiej, że z czystym sumieniem mogą nie robić nic, albowiem i tak nie sądzą, że należy coś zrobić w zamian za serwilizm - czują się zwolnieni z wszelkiej odpowiedzialności co wzmaga ich znakomite samopoczucie*”.

Świat, który wielu z nas odkryło dopiero po 10 kwietnia, był miejscem „*głupców nie dostrzegających własnej marności i śmieszności*”. Ale też miejscem kanalii i plugawych kreatur. Tworzył ich przestrzeń, w identyczny sposób, jak mord katyński stworzył miejsce dla komunistycznych „elit”.

Takie doświadczenia mają moc oczyszczającą życie narodu, mogą decydować o jego ocaleniu lub przyspieszyć upadek. Niosą okrutną, acz prawdziwą diagnozą stanu państwa i społeczeństwa. Za sprawą tego doświadczenia dotknęliśmy wówczas natury zła, herbertowskiej „*czystej negatywności*” – z której komunizm uczynił obszar „*strasznego zamazania*”.

Tragedia smoleńska nie rozbiła nas na „*dwie Polski*” i nie przecięła linią „*politycznych podziałów*”. Obnażyła to tylko, co ukrywano przez dziesięciolecia i odstąpiła prawdę, której bano się wykrzyzczeć. Fundamentem tej prawdy jest istnienie głębokiej dychotomii My-Oni, ujawniającej całkowite wyobcowanie i wynarodowienie ogromnej części społeczeństwa. Ta prawda przynosi wiedzę o spustoszeniach jakie poczynił komunizm, ukazuje ogrom degeneracji „elit” i milionów ofiar „nowej świadomości”.

„*To co nas podzieliło - to się już nie sklei*” – napisał Jarosław Marek Rymkiewicz po 10 kwietnia 2010 roku. Odwaga i uczciwość tego stwierdzenia wywołuje lęk nawet wśród najzagorzalszych krytyków obecnego układu. Prawda ta jest wypychana z obszaru publicystki, pomijana przez intelektualistów, niedostrzegana przez polityków opozycji. Zauważalny jest silny opór przed uznaniem tak oczywistego podziału. Samo mówienie o nim bywa postrzegane jako gorszące i niewygodne.

Ten sam poeta przypomniał rzecz jeszcze straszniejszą: „*Mickiewicz tłumaczy nam wyraźnie, że istnieją dwie Polski. Jest Polska rosyjskich kolaborantów, tych, którzy występują w „Salonie warszawskim” z III części „Dziadów”, i jest Polska tych Polaków, którzy chcą pozostać wierni swoim narodowym obowiązkom*”.

Odnajdujemy w tych słowach diagnozę współczesnej Polski, rozpoznanie stanu, w jakim znaleźliśmy się po okresie „ustrojowej transformacji”. Ukazanie świata „*rosyjskich kolaborantów*” i Polski, „*tych którzy chcą pozostać wierni*” wyznacza zakres dzisiejszego podziału, definiując „Onych” i „Naszych” z niezwykłą precyzją. Nie przypadkiem, ta historyczna parabola okazuje się aktualna i umiejscawia naprzeciw siebie dwie, nieprzystające rzeczywistości – polskość i komunizm. [...]

Szukając sensu współczesnej postawy antykomunistycznej, warto ponownie sięgnąć do wypowiedzi Rymkiewicza. Robię to ze świadomością, że w całej niezależnej publicystyce, w wystąpieniach polskich intelektualistów i ludzi nauki, nie ma choćby jednego zdania zawierającego równie doniosły i rzetelny postulat. Mówiąc o „*Polsce rosyjskich kolaborantów*”, poeta stwierdził: „*Nawet nazywać ich nie warto – w ogóle nie warto się nimi zajmować, najlepiej jest uznać, że ich nie ma. Trzeba wychodzić, kiedy wchodzi, odwracać się, kiedy do nas podchodzi. Polska należy do nas, a oni niech sobie gadają w swoich postkolonialnych telewizjach, co chcą, niech sobie piszą w swoich postkolonialnych gazetach, co im się podoba. Nas to nie dotyczy*”.

Uzupełnieniem tego postulatu były słowa:

„*W wielkiej wspólnocie żyjących nie ma miejsca ani dla wampirów, ani dla upiórów, ani dla zmór nocnych. Mickiewicz nie zaprasza ich do wspólnego stołu. „Czy widzisz Pański krzyż? / Nie chcesz jada, napoju? / Zostawże nas w pokoju. / A kysz, a kysz!”. To są słowa Guślarza, który w II części „Dziadów” wygania z cmentarza upiory atakujące gminną wspólnotę. Jesteś upiorem, a więc zostaw nas w spokoju, a kysz, a kysz. Nie możesz z nami jeść przy naszym stole.*” [...]

W tej postawie nie ma miejsca na kompromis i brak konsekwencji. Jak nie ma punktów wspólnych między dwoma krańcowo różnymi światami, z których jeden czerpie siłę z tysiącletniej tradycji i kultury chrześcijańskiej, drugi zaś przynosi śmierć i zniszczenie. Próba połączenia tych światów, musi skończyć się klęską wartości i pochłonięciem ich przez „*rozbestwione kłamstwo*”. Nie wolno wierzyć, że z kolaboracji ze złem wychodzi się zwycięsko lub idąc z nim na ustępstwa, da się ocalić dobro. Takie myślenie cechuje ludzi słabych i ograniczonych, podważa naturalny porządek, w którym zło nie jest częścią lecz przeciwieństwem dobra.

Świadomość, że takie kompromisy nie istnieją i należy wytyczyć ostrą „*granicę między pojęciami*” jest darem niedostępnym dla większości osób deklarujących sprzeciw wobec reżimu. Prowadzi to nie tylko do szukania „drog porozumienia” czy tchórzliwego zamazywania różnic, ale do wartościowania wszystkiego co robią lub mówią „obcy” i racjonalizowania tego

przekazu. Uwagą obdarza się wytwory ośrodków propagandy, chwytła słowa wypowiedane przez rządzących, przykładą wagę do wystąpień, wsłuchuje w głos semantycznych terrorystów. Tak rozumiana opozycyjność ogranicza się do przyjęcia postawy amoralnego koniunkturalizmu, w której „prowadzenie polemiki” i ujadanie w rytm narzuconych tematów ma dowodzić odwagi i intelektualnej sprawności. W istocie – tacy politycy czy publicyści działają w interesie przeciwnika, nobilitują go, poddają się jego narracji, pozwalają sterować swoimi reakcjami i obszarem zainteresowań. Są niewolnikami cudzych myśli i uczestnikami medialnych spektakli, odgrywając w nich rolę użytecznych statystów. [...]

Słowa Jarosława Rymkiewicza – „w wielkiej wspólnotie żyjących nie ma miejsca ani dla wampirów, ani dla upiórów” pozwalają zrozumieć lęk, jaki musi towarzyszyć zderzeniu „Onych” ze świadomą postawą antykomunistyczną. Wyrazem tego lęku są próby budowania fałszywych wspólnot oraz postulaty „zgody narodowej”. Obawa przed wykluczeniem jest widoczna w historycznych reakcjach na każdy przejaw dychotomii My-Oni, na samo ujawnienie tego podziału lub mówienie o nim.

Pozostawienie „Onych” „poza wspólnotą żyjących”, wyrzucenie za granicę naszej uwagi, pozbawia tych ludzi niemal ontologicznej podstawy egzystencji, skazuje na pustkę i spycha w niebyt. W ich reakcji obronnej ujawnia się lęk pasożyta, który utracił organizm żywiciela, lęk herbertowskiej „czystej negatywności”, której odmówiono „ontologicznego statusu”.

W obszarze życia publicznego, takie „odrzućcie” jest koniecznością. Nie można budować społeczności ludzi wolnych wraz z tymi, którzy noszą piętno niewolnictwa. Kto próbuje takiej sztuki – nie tylko nie ocali niewolników, ale zgubi ludzi pragnących wolności.[...]

To nie my potrzebujemy ich obecności i nie my znajdujemy się na „obcej” ziemi. Od dziesiątków lat komunizm i jego sukcesorzy chcą czerpać z naszego potencjału, żerować na polskości i „jeść przy naszym stole”. Pozwalać na to – to oddać im naszą ojczyznę i przyszłość narodu.

Józef Mackiewicz, którego słowa wielokrotnie przywoływałem w tej książce, nakreślił kiedyś „metodę walki” z komunizmem. W tekście z 1936 roku napisał:

„My musimy komunizm wyniszczyć, wypłenić, wystrzelać! Żadnych względów, żadnego kompromisu! Nie możemy im dawać forów, nie możemy stwarzać takich warunków walki, które z góry przesądzą na naszą niekorzyść. Musimy zastosować ten sam żelazno-konsekwentny system. A tym bardziej posiadamy ku temu prawo, ponieważ jesteśmy nie stroną zaczepną, a obronną!”

Te mocne słowa są echem tradycji, którą utraciliśmy w czasie hańby komunizmu. Echem polskiej dumy z posiadania własnej ojczyzny i narodowych świętości. Nie nawołują do nienawiści, lecz mają źródło w zrozumieniu grozy komunizmu i jego antypolskich celów.

Oceniając realia III RP i stan świadomości polskiego społeczeństwa, nie sądzę, by ta „metoda walki” została łatwo zaakceptowana. Podobnie, jak postawa antykomunistyczna, wymagająca determinacji, cywilnej odwagi i poczucia dumy narodowej.

Jedna i druga, nie wskazują prostych dróg do zwycięstwa i stanowią raczej antidotum na czas upodlenia, dając przy tym szansę przetrwania i zatrzymania procesu „spadku po równi pochyłej”. Mogą budować narodową tożsamość i chronić przed wtargnięciem „obcych”. Są jednak koniecznym minimum, byśmy z chaotycznego pobojuwiska rzeczy i pojęć mogli odtworzyć własną przestrzeń i wypełnić ją polsnością.

Czeka nas długi i wyniszczający marsz, bo państwa realnego komunizmu, jego bękarty i hybrydy, nie upadają pod ciosami demokracji. Anektują jej fasadę, by ukryć zbrojeckie intencje, nie po to jednak, by oddać władzę. Odzyskać ją można tylko w taki sposób, jak została narzucona. I nie za cenę słów czy politycznego kuglarstwa, lecz ofiar, krwi i wyrzeczeń.

Postawa, o której piszę w tej książce, może przygotować nas do zapłacenia takiej ceny.

Tekst – refleksja w dniu narodowego święta – składa się z fragmentów ostatniego rozdziału mojej książki „Antykomunizm-broń utracona”, wydanej w roku 2013 przez wyd. Bollinari Publishing House.

834. 2015 – WYBÓR W CIENIU ROSJI

Odkrywcze stwierdzenie – „na Ukrainie trwa wojna”, ogłoszone przez premiera i powtórzone przez ministra obrony narodowej w trzy miesiące po zbrojnej napaści Rosjan, można byłoby uznać za kolejny dowód kompromitującej ignorancji. Po latach rządów PO-PSL, dowód w zasadzie zbędny i nie wnoszący dodatkowej wiedzy o kompetencjach ludzi reżimu.

W podobnych kategoriach można oceniać występy gen. Skrzypczaka, do niedawna wiceministra obrony narodowej, który 16 kwietnia br. podzielił się ze słuchaczami fachową oceną wydarzeń i wyrokował, iż „wejście regularnych wojsk rosyjskich na Ukrainę jest kwestią godzin”. Ponieważ następnego dnia nikt nie zapytał pana generała o wiarygodność jego prognoz, może on nadal opowiadać Polakom o sile rosyjskiej armii i wygłaszać w mediach swoje analizy.

Realny stan naszego bezpieczeństwa warto również oceniać w kontekście wystąpień szefa BBN. Rozliczne wypowiedzi gen. Kozieja, mogłyby stanowić ciekawy materiał badawczy dla profesjonalnych analityków, niekoniecznie z dziedziny wojskowości. Belwederski strateg potrafił jednego dnia (3.03.br) wyznaczyć – „jesteśmy zagrożeni(...) nie można wykluczyć inwazji na Polskę”, by niewiele dni później (18.03.) podzielić się stwierdzeniem - „nie zagraża nam żadna militarna interwencja” i skonkludować (2.04.) – „zapewniam, jesteśmy bezpieczni”.

Po siedmiu latach rządów obecnego reżimu i doświadczeniach związanych z tragedią smoleńską, zbędne byłoby uzasadniać, że Polska jest krajem bezbronnym i zależnym od Moskwy. Poziom bezpieczeństwa narodowego wyznacza nie tylko rażąca niekompetencja członków rządu, słabość polskiej armii czy brak profesjonalnych służb ochrony państwa, ale decyduje o nim stan bezwzględnej podległości wobec kremlowskiego watażki – wytyczony ustaleniami z września 2009 roku, potwierdzony tragedią smoleńską i usankcjonowany procesem „pojednania” polsko-rosyjskiego.

Wprawdzie rządowe ośrodki propagandy (przy wydatnym wsparciu opozycji) sprawnie wykreowały Komorowskiego i Tuska na krytyków, a nawet przeciwników Putina, ta wizja nie znajduje oparcia w rzeczywistości. Jedynym miernikiem intencji grupy rządzącej jest sprawa Smoleńska i póki w tym obszarze nie nastąpią zmiany, nie wolno nawet dywagować o reprezentowaniu przez tych ludzi polskiej racji stanu.

Choćby z tej przyczyny, zachowania polityków opozycji „wspierających wysiłki rządu w sprawie Ukrainy” są nie tylko daremne, ale służą fałszowaniu rzeczywistości i wprowadzają w błąd milionów Polaków.

Ten rząd nie jest w stanie przeciwstawić się Rosji ani zapewnić nam minimum bezpieczeństwa. Ta prawda, zamiast stać się dogmatem opozycji, bywa podważana w ramach żalonych strategii, co w rezultacie prowadzi do kompromitujących wyznań – „liczyłem na zmianę i znów się zawiodłem”.

Podstawowa narracja medialna w sprawie wojny na Ukrainie jest w III RP całkowicie ukierunkowana w stronę rosyjskiej propagandy. Straszenie Polaków "potęgą rosyjskiej armii", opowieści o „miażdżącej przewadze militarnej” i „rzezi niewinnych”, są dziś zgodnie głoszone przez reżimowe i „nasze” media i służą kreowaniu fałszywego obrazu „rosyjskiej siły”. Wzniesienie i podtrzymywanie takiej atmosfery leży w interesie Rosji i w tym celu uruchomiono niemal wszystkie rezerwy agenturalne - szczególnie w Polsce i krajach UE. Tymczasem obecna przewaga Putina nie ma nic wspólnego z działaniami jego armii bądź sprawnością służb specjalnych. Jednym z najważniejszych czynników jest lęk "wolnego świata" przed konfrontacją militarną, wsparty na przeświadczeniu, że Rosja to mocarstwo, z którym trzeba pokojowo współistnieć. Ten sam lęk leżał u podstaw powojennego porządku i przez dziesięciolecia był sączony w umysły Europejczyków, przez różne „komitety pokojowe”, fałszywych dysydentów, instytucje ONZ, itp. rosyjskie agendy.

Główna broń Kremla – propaganda, okazuje się szczególnie przydatna w umacnianiu takiej wizji i pozwala konsekwentnie budować mitologię rosyjskiej siły.

Ponieważ podstawowym dylematem NATO i państw „wolnego świata” stało się pytanie -"co na to powie Rosja" - Putin ma ułatwione zadanie. Ukraina zostanie połknięta, zaś „georealiści” sami zadbają, by kremlowski terrorysta otrzymał należną strefę wpływów. Powszechne przeświadczenie, jakoby Rosja posiadała jakieś szczególne prawo do ingerowania w sprawy innych narodów, zaś dogmat „interesów rosyjskich” miał wyznaczać tym narodom obszar wolności i samostanowienia, raz jeszcze okaże się silniejsze. Nawet od instynktu samozachowawczego.

Dlatego dążenia Niemiec i Francji, tchórzliwa polityka Obamy oraz symulowane działania NATO, stanowią dziś śmiertelne zagrożenie dla Polski. Cała machina światowej dyplomacji i europejskiej propagandy jest nastawiona na „szukanie porozumienia” z Putinem, co w konsekwencji musi doprowadzić do oddania Ukrainy i uczynienia z Polski rosyjskiego dominium. To oznacza, że ta sama machina już dziś pracuje na kolejne zwycięstwo wyborcze reżimu Komorowskiego i Tuska. Pracuje zaś, bo ten układ nigdy nie sprzeciwi się antypolskiemu paktowi Moskwy i Berlina, zadba o „spokój nad Wisłą” i zagwarantuje zatroskanym przywódcom Zachodu, że Polsce nie zagrozi „epidemia rusofobii”. Donald Tusk, deklarując, iż „nie należy mnożyć konfliktów i zwiększać napięcia” i utrzymując otwartą granicę z Kaliningradem, daje wyraźny sygnał Rosji i „wolnemu światu”. Za takie gwarancje, rządzący Polską reżim może liczyć na pełne wsparcie USA i UE. Wizyta Obamy, z okazji tzw. święta wolności posłuży nie tylko wzmocnieniu esbecko-agenturalnego układu okrągłego stołu (również na arenie międzynarodowej) ale zostanie wykorzystana w kampanii wyborczej.

Nie sposób przewidzieć, jak długo potrwa zabijanie ukraińskich dążeń do niepodległości. Putin pojął już zasady „europejskiej gry” i umiejętnie łączy korzystanie z pałki i karabinu ze skutecznością aparatu propagandy, dyplomacji i agentury.

Casus Ukrainy oznacza przyzwolenie na rozszerzenie wpływów Rosji – a zatem, sięgnięcie po Polskę. Prawdopodobnie nie grozi nam otwarta konfrontacja militarna (tej Rosja boi się najbardziej) lecz kilkuletnia gra obliczona na prowokację, ostateczne rozbrojenie Polski, eliminację ostatnich środowisk opozycyjnych oraz pełne podporządkowanie obszaru polityki i gospodarki. W tym dziele Putin może liczyć na bliską współpracę Niemiec, dlatego otwarta granica z obwodem kaliningradzkim jest dziś warunkiem powodzenia „projektu Prusy Wschodnie” i zostanie wykorzystana jako symbol odbudowy relacji rosyjsko-niemieckich.

W takiej sytuacji, obalenie układu rządzącego nie jest już „zadaniem partyjnym” ani „pojedynkiem wyborczym”, lecz sprawą od której zależy los Polski i Polaków.

Już tylko kalendarz wyborczy 2015 roku pokazuje, że najważniejsze z nich będą dotyczyły wyboru prezydenta.

Rozwój wydarzeń na Ukrainie obnażył wyjątkowe dyletanctwo Komorowskiego i jego środowiska na arenie międzynarodowej. Do szczególnie rażących błędów trzeba zaliczyć tezy osławionego Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), w których zawarto zapisy kompletnie niedorzeczne i nieadekwatne do zagrożeń związanych z ofensywą rosyjską. Zmodyfikowane w tzw. doktrynę Komorowskiego, mają one kształtować długookresową strategię państwa, rozstrzygać o sojuszach oraz kierunkach rozwoju armii i służb specjalnych. Przez ostatnie lata reżim prezydencki stał się głównym decydem w tych kwestiach, a rząd Tuska zaledwie wykonawcą planów powstałych w otoczeniu Komorowskiego. To dostateczny powód, by pozbawić tych ludzi wpływu na sprawy związane z bezpieczeństwem narodowym.

Partia Jarosława Kaczyńskiego przegrywa właśnie szansę na punktowanie tej wyjątkowo niebezpiecznej polityki. Dotąd też nie uwiadomiono Polakom, że nie Tusk i jego ekipa są dziś najpoważniejszym zagrożeniem, lecz środowisko, na którym Rosja opiera swoje powyborcze kalkulacje.

Roszczy z roku 2015 doprowadzą zapewne do pozbawienia władzy Donalda Tuska i zastąpienia go mniej skompromitowanym figurantem. Do tego dąży układ belwederski i współpracujące z nim ośrodki propagandy. Jest to zadanie stosunkowo łatwe, do którego nie trzeba angażować całego potencjału opozycji i aktywności „naszych” mediów.

Jeśli więc widzimy tak silne ukierunkowanie, przy jednoczesnym braku kandydata opozycji oraz unikaniu tematyki belwederskiej, można przypuszczać, że pogodzono się z wizją reelekcji Komorowskiego i przyjęto założenie, że priorytetem będą wybory parlamentarne. Byłaby to strategia wyjątkowo szkodliwa i błędna, bo pozostawienie władzy prezydenckiej w ręku Komorowskiego i wyznaczonego przezeń „nowego rozdania”, przesądzi o powodzeniu rosyjskich planów.

Lokator Belwederu już przed wyborami 2011 roku podkreślał, że to on „wybierze premiera” i będzie decydował o ostatecznym kształcie rządu. Wówczas nie było takiej potrzeby, ponieważ grupa rządząca trafnie przewidziała wynik wyborczy i nawet na moment nie utraciła kontroli. Gdyby takie zagrożenie pojawiło się w roku przyszłym, plan „wyboru premiera” stanie się koniecznością. To z kolei oznacza, że jeśli pierwsze z wyborów 2015 roku nie pozbawią Komorowskiego prezydentury, próżne staną się rachuby opozycji.

Szansa na realne zmiany pojawi się tylko wówczas, gdy lokator Belwederu będzie musiał rozstać się ze stanowiskiem. Jest to nieodzowne, nie tylko dlatego, że obecna prezydentura to rzecz najgorsza, jaka mogła przydarzyć się Polakom w czasie rosyjskiej agresji, ale po to, byśmy jako państwo i naród uniknęli losu Ukrainy.

„Europa zagrożona jest wojną nie z muzułmanami, ale z Rosją, dla której wartości cywilizacji europejskiej są całkowicie obce” – ostrzegał w grudniu 2011 roku pierwszy prezydent niepodległej Litwy Vytautas Landsbergis. Opinia światowa nie była zainteresowana przestrożą litewskiego polityka. Podobnie, jak słowami Lecha Kaczyńskiego z sierpnia 2008 roku, gdy po napaści Rosji na Gruzję, polski prezydent trafnie przewidywał, że następnym celem agresora stanie się Ukraina i kraje bałtyckie.

Prognozy doświadczonych polityków znajdowały potwierdzenie w raportach zachodnich służb specjalnych, z których wynikało, że Rosja od dawna szykuje się do ataku. Już jesienią 2007 roku szef FBI Michael McConnell oświadczył, że działalność rosyjskich służb zbliża się do poziomu „zimnej wojny”. We wrześniu 2009 służby czeskiego wywiadu alarmowały, że rosyjscy agenci infiltrują parlament, mają ścisłe powiązania z politykami oraz duże wpływy w przedsiębiorstwach o strategicznym znaczeniu. O wzmóżonej aktywności agentury rosyjskiej rok później informowały służby Gruzji, Łotwy i Słowacji, zaś tygodnik „The Economist” ostrzegł, że w NATO aktywnie działa wywiad Rosji. Na tyle aktywnie, iż *„przedstawicielstwo Rosji przy Pakcie Północnoatlantyckim w Brukseli obsadzone jest rosyjskimi szpiegami i we wzajemnych stosunkach uprawiana jest zabawa w kotka i myszkę”*. Wpływom rosyjskich agentów przypisywano rezygnację z rozszerzenia NATO i UE na państwa, które Kreml uważa za swoją strefę wpływów, a jako skutek przewidywano *„wyłonienie się nowej równowagi między Europą, Rosją, a USA”*.

Te i szereg innych ostrzeżeń zostały zignorowane w trakcie kilkuletniego „resetu” stosunków z putinowską Rosją. Prymat doraźnych celów polityczno-gospodarczych nad sprawami bezpieczeństwa oraz odwrócenie uwagi USA od Europy, okazał się tragicznym błędem administracji Obamy. Gdy w roku 2011 ostrzegano, że liczba oficerów wywiadu Rosji, pracujących w Stanach, jest równa tej z czasów „zimnej wojny”, odpowiedzią Obamy było zmniejszenie wydatków na kontrwywiad. Być może kiedyś dowiemy się, jaką rolę w tym procesie odgrywała rozliczna agentura Moskwy, rozlokowana w środowiskach politycznych i opiniotwórczych.

To jej działalność pozwoliła wykreować „stan nowej równowagi”, w którym Rosji przyznano nienależne miano mocarstwa, a jej przywódcę okrzyknięto „mężem stanu”. Zlekceważenie zagrożeń sprawiło również, że państwo, którego służby szkolą i inspirują terrorystów mogło występować jako sojusznik Zachodu.

Rosyjską agresję na Ukrainę, w której państwo Putina pokazało prawdziwą twarz światowego terrorysty, poprzedziły wydarzenia, w których wywiady „wolnego świata” wykazały zdumiewającą bezsilność i niefrasobliwość. Już w roku 2011 całkowicie zignorowano związki Andersa Breivika z rosyjskimi neonazistami z ugrupowania „Słowiański Sojusz”, ukryto informacje o jego wyjazdach na Białoruś, gdzie Breivik miał uczestniczyć w szkoleniach terrorystycznych oraz przemilczano najbardziej znaczący ślad - działalność rosyjskiego neofaszysty Wiaczesława Datsika, byłego komandosa i zawodnika MMA, któremu FSB zorganizowała ucieczkę z rosyjskiego więzienia prosto do Norwegii. Zignorowano nawet ostrzeżenia zawarte w raporcie Policijnej Służby Bezpieczeństwa (PST) z lutego 2011 roku, w którym stwierdzono, że *„związki rosyjskich neonazistów z norweskiimi grupami antyislamskimi stanowią zabójczy koktail, który może wybuchnąć w każdej chwili”*.

Jeszcze poważniejszym błędem było zatajenie oczywistych powiązań zamachowców z Bostonu ze służbami FR. Ta sprawa była jedną z największych klęsk służb amerykańskich, które prawdopodobnie zwerbowały braci Carnajewów do przeniknięcia w środowiska kaukaskich islamistów, lecz nie przewidziały, iż ich związki z grupami kontrolowanymi przez Kadyrowa i FSB zakończą się przewerbowaniem i wyznaczeniem całkowicie innych celów. W obu wypadkach, polityka Putina i oferowana przezeń pomoc „w walce z terrorystami” pozwoliła na uwiarygodnienie FSB w roli sojusznika państw natowskich oraz na dostęp do szeregu informacji i decyzji w sprawach bezpieczeństwa światowego.

Ostatecznym ciosem dla wywiadu amerykańskiego miały stać się „rewelacje” agenta Snowdena, którego działalność stanowi najmocniejszy dowód ścisłej współpracy służb rosyjskich i chińskich. Robotą Snowdena zmusiła USA do zmiany procedur stosowanych przez wywiad i rezygnacji z niektórych obszarów inwigilacji elektronicznej oraz ograniczyła działania w zakresie zbierania danych o potencjalnych zagrożeniach, w tym identyfikacji grup i środowisk terrorystycznych. Chiny i Rosja - dwa państwa sterujące światowym terroryzmem i przestępczością internetową, uzyskały dzięki Snowdenowi potężne narzędzie w rozgrywce z USA.

Przystępując do ataku na Ukrainę, Putin miał nie tylko korzystną pozycję polityczną w relacjach z USA i UE, ale dysponował rozbudowanym aparatem służb, które w sytuacji osłabienia przeciwnika mogły prowadzić nieskrępowane działania dezintegrujące i dezinformacyjne. Ponieważ armia rosyjska jest słaba i niewydolna, zaś Putin jak ognia boi się bezpośredniej konfrontacji militarnej, działania wojenne na Ukrainie oparto na punktowych operacjach służb (FSB i jednostki wewnętrzne MSW) oraz na aktywności licznej agentury, ulokowanej m.in. we władzach regionalnych, armii i Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU).

Słowa Jurija Felsztyńskiego – *„Największy problem Ukraińców – to rosyjska agentura na Ukrainie”* celnie oddają sytuację, w jakiej znalazło się to państwo po napaści Rosjan. Od wielu lat SBU prowadziło ścisłą współpracę ze służbami FR, korzystało z doradztwa i sprzętu rosyjskiego. Gdy podczas wydarzeń na Majdanie, były rzecznik ukraińskiej Służby Bezpieczeństwa ostrzegł: *„w SBU siedzą 'specjaliści' z FSB, a w mundurach Berkutu są Rosjanie, którzy zabijają”*, nie były to informacje zaskakujące.

Operacja wojskowa na Ukrainie została zaplanowana przez ludzi FSB i w dużej mierze wykonana rękami Ukraińców pozostających w służbie Putina. W początkowym okresie, podczas walk na Majdanie wystarczyła obecność snajperów z grupy „Alfa” oraz doradztwo generała FSB Siergieja Biesiedy, który przebywał w Kijowie w dniach 20-21 lutego br., koordynując prawdopodobnie „operację antyterrorystyczną” na kijowskim majdanie.

Po ucieczce Janukowycza oraz powołaniu nowych władz i nowych dowódców sił zbrojnych, operacje rosyjskie prowadzono przy udziale tzw. zielonych ludzików (żołnierzy specnazu, działających zwykle bez oznaczeń) oraz grup wyszkolonych przez Rosjan kolaborantów, najemników i agentów. Dodatkowym wsparciem są watahy pospolitych kryminalistów, których Rosja uzbraja, namaszcza na „ludowych przywódców” i każe nazywać „separatystami”. Grupy te działają według metod typowych dla terrorystów, stosując porwania, morderstwa czy strzelanie zza pleców dzieci i kobiet. Ujawnione przez SBU nagranie rozmowy lidera organizacji „prawosławny Donbas” Dmitrija Bojcowca, z szefem nacjonalistycznego ruchu Rosyjskiej Jedności Aleksandrem Barkaszowem pokazuje, że podobnie, jak w Norwegii, również na Ukrainie FSB wykorzystuje współpracę grup neonazystowskich do zadań terrorystycznych.

Skuteczna (jak dotąd) taktyka wojny z Ukrainą, nie dowodzi bynajmniej, że służby rosyjskie są wszechmocne lub wyjątkowo sprawne. Powodzenie rosyjskiej agresji opiera się na dwóch czynnikach: słabości zachodnich przywódców oraz na stosowaniu przez Rosję broni dezinformacji. Jest konsekwencją wieloletnich błędów i zaniedbań Zachodu, przede wszystkim w obszarze polityki bezpieczeństwa i definiowania zadań służb specjalnych. W „Financial Times” słusznie zauważono, że „to

nie Putin przechytrzył Zachód, lecz to Zachód dał się przechytrzyć Putinowi". Brudna wojna kremlowskiego satrapy jest możliwa, ponieważ państwa „wolnego świata” od lat wykazują nieudolność i pobłażliwość wobec światowego terrorysty, uznając go za sojusznika i partnera. Dziś są zaskoczone, że bestia zaatakowała.

836. JAK POWSTAWAŁA III RP - TRZY RAZY NIE!

Lokator Belwederu i skupione wokół niego środowiska chcą zafundować Polakom propagandowy spektakl pod hasłem „obchodów dnia wolności 4 czerwca”. W ramach tego spektaklu ośrodki propagandy narzucają nam fałszywą wizję historyczną, w której wysiłek wielu pokoleń Polaków przelewających krew za Niepodległą, zrównuje się z zaprzaństwem grupki przyjaciół Kiszczaka, przelewających z komunistami wódkę w Magdalence.

Obchody tzw. święta wolności oparto na farsie wyborczej z 4 czerwca 1989 roku. W zamyśle propagandystów, ten dzień ma wyznaczać datę równorzędną lub zastępczą wobec autentycznego Święta Niepodległości.

Z cyklu „Jak powstawała III RP” przypominam dziś kolejny, wyjątkowy tekst z tamtego okresu. Jego autorem jest śp. **Sławomir Bugajski** – naukowiec, fizyk, po 13 grudnia 1981 współtwórca Konspiracyjnego Komitetu Oporu Uniwersytetu Śląskiego, założyciel Solidarności Walczącej Oddział Katowice, pomysłodawca i redaktor naczelny pism „Wolni i Solidarni” oraz „Podziemny Informator Katowicki”. Jeden z tych, których III RP skazała na zapomnienie.

W czerwcu 1989 r. w Serwisie Agencji Informacyjnej Solidarności Walczącej znalazł się tekst Alfreda B. Gruby (pseudonim S. Bugajskiego) zatytułowany „Trzy razy „NIE”. Z perspektywy 25 lat III RP – tekst ten zadziwia trafnością ocen i przewidywań. Zawiera świadectwo prawdy o genzie obecnego państwa i przynosi wiedzę o wydarzeniach, których sens próbuje się dziś zafałszować. Choć jest to tekst obszerny, szczerze zachęcam do uważnej lektury, a szczególnie, do udostępnienia tego materiału ludziom młodym, nieznaną realioów „transformacji ustrojowej”.

„TRZY RAZY "NIE!"

| | | | | | | | |
|--------------------|-----|--------------------|---------------|--------------------|----------|-----------------|---------------|
| Przyjmie dacie, | ale | wszystkie kwitu | nie | korzyści, damy. | My | które chcemy | nam Polski |
| przedzoborowej | | | niepodległej. | | Pójdźcie | | precz |

od nas, jedyne załatwienie sprawy.
(Andrzej Zamojski w liście do cara, 1863)

1. Muszę krzyczeć.

Jesteśmy zmęczeni i zniechęceni - całe społeczeństwo. Patrzymy bezsilnie, jak się wali wszystko dokoła. Ceny rosną, każdy zastanawia się z trwogą, jak będzie żył za pół roku, za rok, jak będą żyły jego dzieci. Służba zdrowia, komunikacja, budownictwo mieszkaniowe, zaopatrzenie, szkolnictwo, kultura, ochrona środowiska - wszystko w stanie upadku i zacofania. Wszemocne państwo, które zagarnęło całą gospodarkę i zabiera cały dochód z pracy społeczeństwa, twierdzi, że nie ma pieniędzy. Może to nawet być prawdą, skoro (jak pisze E. Szumiejko w "Gazecie Związkowej", nr 4 z 31 marca 1989) PRL składa roczną daninę w wysokości 50 miliardów dolarów na rzecz "oboza pokoju i socjalizmu". Żadnej nadziei, tylko ciężka praca i coraz trudniejsza codzienna walka o byt. Zdrowe, normalne społeczeństwo w takiej sytuacji staje do walki, buntuje się, odmawia posłuszeństwa. Jest przecież wiele form cywilnego nieposłuszeństwa i walki z przemocą państwa, wśród nich walka zbrojna jest możliwością skrajną, stosowaną w ostateczności. My jednak wolimy angażować się w "wybory" do PRL-owskiego Sejmu.

Przypominamy wszyscy człowieka chorego na raka. Czuje, że jest z nim źle, staje się nerwowy, chudnie, ma bóleści - ale nie chce słyszeć o operacji. Woli udawać, że nic się nie dzieje, woli zaufać znachorom i oszustom niż zaryzykować i wyzdrowieć. Pełne troski rady przyjaciół uprawniają go we wściekłość. Prawda często bywa trudna i przykra, prawda zmusza do działania, a chować głowę w piasek jest najwygodniej.

Ciężko chore społeczeństwo, jak tonący brzytwy, uczepliło się nadziei na porozumienie, porozumienie "przedstawicieli społeczeństwa" z rakowatą naroślą na jego ciele - komunistycznym państwem. Jeśli ktoś chce być oszukany, to będzie. Nie myślimy, nie dyskutujemy, zostawmy wszystko Wałęsie - on już zadba o nasze interesy. A każdy, kto ma wątpliwości, naraża się na wybuch historycznego gniewu, na oskarżenia i wyzwicka.

Bo chować głowę w piasek jest najwygodniej.

Mimo to trzeba mówić, a nawet trzeba krzyczeć. Trzeba stawiać sprawę na ostrzu noża, nazywać rzeczy po imieniu, trzeba prowokować, jątrzyć, podburzać! Przecież toniemy, przecież ginimy, z europejskich wyżyn staczamy się w azjatycką dzicz! Nie mogę milczeć, choćbym miał zostać za to zlinczowany przez ogłupionych i wystraszonych rodaków.

Kłótnie i spory Polaków w kwietniu 1989 r. obracają się wokół trzech pytań:

- Czy należało przystąpić do rozmów z komunistami?
- Czy wynik tych rozmów (porozumienia "okrągłego stołu") jest sukcesem społeczeństwa?
- Czy należy wziąć udział w nadchodzących wyborach?

Moja odpowiedź jest: Trzy razy "NIE"! I chociaż mój głos nie przebije się przez pienia połączonych chórów propagandy Wschodu i Zachodu, muszę krzyczeć: NIE!

2. "NIE !" po raz pierwszy

Kto chciał mógł od dawna zauważyć, że kapral Wałęsa wykazuje nienormalną wręcz gotowość do kompromisu z komunistami. Przypuszczalnie pierwszym wyraźnym sygnałem było tzw. "porozumienie warszawskie", kończące sprawę prowokacji bydgoskiej w 1981 r. Najpierw jednak nie chcieliśmy tego widzieć, potem widząc - nie chcieliśmy wyciągnąć wniosków. Ale tak niestety było: cała polityka Wałęsy nastawiona była konsekwentnie na wyciszenie buntu i doprowadzenie do bezpiecznego dla

komunistów porozumienia. Nieodparcie nasuwa się porównanie z samobójczą taktyką przywódców Powstania Listopadowego, którzy tak jak Wałęsa nie chcieli zwyciężyć ale zawrzeć kompromis (patrz - J. Łojek: "Szanse Powstania Listopadowego").

Przez lata komuniści odrzucali ofertę Wałęsy, ich pewność siebie symbolizowały bandyckie wyczyny Kiszczaka i arogancja Urbana. Ale i na nich przyszła chwila opamiętania: okazało się wreszcie bez żadnych wątpliwości, że Zachód nie da już nowych kredytów za darmo. Ceną, jaką muszą zapłacić władcy PRL, jest legalizacja "Solidarności" i "porozumienie się" ze społeczeństwem (to ostatnie oznacza przypuszczalnie złagodzenie ostrych konfliktów między społeczeństwem a państwem). Bez tego nie będzie dolarów.

I tu dochodzimy do "okrągłego stołu". W czasie drugiej fali strajków 1988 r. (sierpień wrzesień) stało się jasne, że komuniści muszą ustąpić. Rzeczą przywódców "Solidarności" było otwarte sformułowanie żądania legalizacji związku., Nikt jednak tego nie zrobił, a Wałęsa energicznie i zdecydowanie wygasił strajki w zamian za mgliste obietnice "rozmów przy okrągłym stole". Mimo że czerwoni musieli pod naciskiem społeczeństwa i Zachodu zgodzić się na "Solidarność", przywódcy "konstruktywnej opozycji" dali się wciągnąć w zawiłą grę przetargów i szantaży. Przystąpili do rozmów, w których - wiadome było od początku, bo na tym polegają negocjacje – będą musieli ustępować, zgadzać się, płacić jakąś cenę. A przecież można było bez tego!

Czyż nie byłoby prościej, piękniej i skuteczniej, gdyby Wałęsa jeszcze w sierpniu 1988 r. poparł strajki, ogłosił żądanie ponownej legalizacji "Solidarności" i odmówił wszelkich negocjacji na ten temat?

Może mielibyśmy "Solidarność" parę miesięcy później niż mamy, ale chyba mielibyśmy wcześniej - bo komuniści wiedzą, kiedy muszą ustąpić.

Tymczasem już samo przystąpienie "konstruktywnej opozycji" do rozmów, samo podanie ręki ministrowi policji jest zwycięstwem czerwonych. Bo w ten sposób ludzie powszechnie szanowani, uznawani za autentycznych przedstawicieli tego udręczonego społeczeństwa, wchodzą w kręgi władzy - pokazują całemu światu, że społeczeństwo uznaje czerwonych za partnera, że w jakimś sensie uznaje władzę komunistów. Wielotygodniowe rozmowy "okrągłego stołu", natrętnie reklamowane przez propagandowy aparat państwa, zostawiają nieodparte wrażenie, że oto rozmawiają ze sobą ludzie zatroskani losami tego kraju, że obie strony chcą naszego dobra, a różnią się tylko poglądami na sposób jego osiągnięcia. W tym wielkim oszustwie musieli współuczestniczyć przywódcy opozycji.

Tak więc przystąpienie Wałęsy i jego grupy do rozmów z czerwonymi było poważnym błędem politycznym. Komuniści, ustępując pod naciskiem społeczeństwa i Zachodu, odnieśli propagandowy sukces zamieniając wymuszone ustępstwo na historyczny gest politycznego "realizmu" i "liberalizmu". Zmusili przy okazji znanych i cieszących się autorytetem przywódców społecznych do uznania przestępczego reżimu za partnera i do poparcia przez nich swej oszukańczej gry.

Dlatego nie należało przystępować do rozmów z komunistami.

3. "NIE !" po raz drugi

Nie będę komentował przebiegu rozmów "okrągłego stołu", tej skomplikowanej i wielostronnej gry propozycji i kontrpropozycji, taktycznych sojuszy i taktycznych ustępstw, blefów i szantaży. Nie będę też ubolewał, iż to lub tamto nie zostało przy "okrągłym stole"

poruszone. Jedno tylko chciałbym podkreślić - całkowitą tajność negocjacji, jakże sprzeczną z powszechnymi wyobrażeniami o "Solidarności". Właściwie do tej pory, a piszę ten tekst w niedzielę, 23 kwietnia 1989 r., nie są znane wszystkie ustalenia. A to, co jest znane, potwierdza moje najgorsze przypuszczenia.

Przed wszystkim uderza zgoda strony "społecznej" na dalsze pozostawienie komunistów przy władzy. Ci, którzy doprowadzili do katastrofalnej sytuacji kraju, opisywanej w "Porozumieniach okrągłego stołu", nie mają moralnego prawa, by rządzić tu dalej. Niestety, przedstawiciele opozycji przy "okrągłym stole" przyjęli jako oczywisty i naturalny punkt wyjścia założenie o dalszym trwaniu komunistycznej władzy - chociaż mogli przynajmniej zrobić z tego element przetargu.

Jeżeli już się godzić z dalszym panowaniem czerwonych, to raczej na zasadzie: "wy zepsuliście, to wy naprawiajcie". Tymczasem strona opozycyjna w imieniu nas wszystkich wzięła na siebie współodpowiedzialność za stan gospodarki i wychodzenie z kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego. Wałęsa po raz drugi wykrzyknął: "Pomożemy", ale tym razem nie była to jego prywatna deklaracja. W ten sposób społeczeństwo PRL zostało wmanewrowane w sztuczną i niewygodną sytuację: staliśmy się współodpowiedzialni za coś, na co nie mamy wpływu i co nie my doprowadziliśmy do ruiny. Pozbawia to nas moralnego prawa do protestu - chyba, że odrzucimy przywódców, którzy do tego doprowadzili, i ich "Porozumienia" z komuną. A związek "Solidarność" zamiast zgodnie ze swym podstawowym powołaniem, bronić interesów robotników przed pracodawcą - państwem, będzie zobowiązany pilnować byśmy wydajnie i sprawnie "przezwyciężali kryzys".

Mało tego, komuniści zdołali nakłonić stronę opozycyjną do kilku dalszych, zgola katastrofalnych ustępstw, jeszcze skuteczniej wiążących ręce "Solidarności". Najpoważniejszym z nich jest zgoda na osiemdziesięcioprocentową "indeksację", czyli na częściowe wyrównanie wzrostu cen podstawowych artykułów przez wzrost płac, stanowiący 80 % wzrostu cen. Oznacza to zgodę przedstawicieli "opozycji konstruktywnej" na dalszy, systematyczny wyzysk społeczeństwa przez komunistyczne państwo. Oto jak to widzi reżimowy dziennikarz ("Przegląd Tygodniowy", nr 16 z 1989 r.): "Skrupulatnie indeksując płace wskaźnikiem 0,8 na początku każdego kwartału - a więc z opóźnieniem do narastających cen- okaże się, że po upływie roku średni wzrost płac będzie i tak około dwukrotnie niższy, niż przyrost cen w tym samym czasie. Nawet stuprocentowa indeksacja nie rekompensuje w pełni kosztów utrzymania. Płace, w ostatecznym rozrachunku przegrają wyścig z cenami (...)"

Nie dość na tym: dopłaty z tytułu indeksacji mają być uzależnione od "możliwości płacowych przedsiębiorstw", a te z kolei, jak wiadomo, zależą od zupełnie dowolnych decyzji władz centralnych (szczególnie, że strona rządowa nie zgodziła się na wycofanie "ustawy o konsolidacji gospodarki" z 24.2.1988 r., dającej szerokie możliwości "ręcznego sterowania" gospodarką przez administrację). Otwiera to dla władz nieograniczone pole nadużyć i manipulacji, a uniemożliwia "Solidarności" obronę poziomu życia pracowników. Wałęsa będzie musiał "gasić" strajki spowodowane ubożeniem społeczeństwa, bo sam zgodził się na to ubożenie. Jak mógł się na to zgodzić pozostanie tajemnicą jego sumienia. Tłumaczenie się naciskiem zachodnich wierzycieli PRL-u i opinią ekspertów MFW jest kolejnym skandalem. Nawet laik spostrzeże bez trudu, że zachodni "eksperci" nie mają żadnego pojęcia o funkcjonowaniu gospodarki PRL, a któż jak nie Wałęsa powinien im to powiedzieć?

O ile chodzi o strajki, to rząd załatwił sobie kolejne zabezpieczenie. "Porozumienia" zakładają, że prawo do strajków jest regulowane przez ustawę o związkach zawodowych z 8.10. 1982 r. Ponieważ rozdział VI statutu "Solidarności" z 1980 r. jest sprzeczny z tą ustawą, nowa "Solidarność" została zarejestrowana ze statutem, w którym ów rozdział jest (do czasu zwołania zjazdu krajowego "Solidarności"). Wspomniana ustawa obwarowuje prawo do strajku tyłoma wstępными procedurami, że w praktyce uniemożliwia jakikolwiek legalny strajk. W ten sposób nowa "Solidarność" zostaje pozbawiona kłów i pazurów.

Zostaje również pozbawiona prawa głosu: strona opozycyjna zgodziła się na cenzurowanie przez państwo wszystkich wydawnictw związkowych z wyjątkiem biuletynów wewnątrzwiązkowych, a uzyskała jedynie symboliczny dostęp do państwowych środków masowego przekazu.

Wszystko to powoduje, że związek zawodowy zarejestrowany 17 kwietnia 1989 r. pod nazwą "Solidarność" będzie poważnie różnił się od "Solidarności" jaką pamiętamy. Będzie to neo "Solidarność", skrzepowana, pozbawiona możliwości protestu i strajku, niezdolna do obrony swych członków, a raczej zobowiązana do popierania ich wyzysku. Wobec tego stanu rzeczy drobiazgiem staje się fakt oddania komunistom majątku "Solidarności" zagrabionego w stanie wojennym i rezygnacja z odszkodowań.

Skoro już mowa o neo-"Solidarności" to zauważmy, chociaż nie wiąże się to z porozumieniami "okrągłego stołu", że jest ona tworzona dokładnie odwrotnie w porównaniu z dawną "Solidarnością". Wtedy, w pamiętnym wrześniu 1980 r. "Solidarność" powstawała spontanicznie i oddolnie wśród powszechnego entuzjazmu. Najpierw były masy członków, dopiero z tego żywiołu kształtowały się zręby struktury organizacyjnej i wyłaniali się przywódcy. Teraz w sytuacji, gdy "Solidarność" to Wałęsa, budowę związku zaczęto wręcz odwrotnie: najpierw przewodniczący i jego świta, potem zarządy regionalne wybrane jeszcze przed rozpoczęciem rozmów "okrągłego stołu" spośród ludzi wiernych Wałęsie, a dopiero teraz struktury zakładowe i szeregowi członkowie. Przy takim systemie neo-"Solidarność" powstaje jako organizacja scentralizowana, niedemokratyczna, ściśle podporządkowana przewodniczącemu. Jest to karykatura dawnej "Solidarności" - mówię to z wielkim żalem. Poza neo-"Solidarnością" muszą pozostać legendarni działacze związkowi: Jurczyk, Gwiazda, Kołodziej, Rulewski, Słowik. Poza neo-"Solidarnością" pozostaną też ci, którzy są wrogami każdej dyktatury, którzy chcą walczyć o swoje prawa, którzy chcą walczyć z komunizmem. Neo-"Solidarność" będzie grzeszną "Solidarnością".

Wspomniane wyżej przyjęcie przez stronę opozycyjną odpowiedzialności za stan PRL ma, oprócz pacyfikacji neo-"Solidarności", jeszcze inne groźne skutki. Otóż działacze neo-"Solidarności" chcąc nie chcąc stają teraz po stronie władzy, muszą utożsamiać się z interesami komunistycznego państwa. Jeszcze w czasie trwania negocjacji "okrągłego stołu" przedstawiciele opozycji dwukrotnie apelowali do rządów Zachodu o pomoc finansową dla PRL (dla komunistycznego państwa, nie dla nas!). Inny przykład to zagraniczne podróże Wałęsy - zarówno jego pobyt w Paryżu (grudzień '88), jak i w Rzymie (kwiecień '89) to imprezy propagandowe komunizmu. Wałęsa, uważany za przywódcę społeczeństwa doprowadzonego przez komunistów do nędzy, wychwała na Zachodzie pieriestrojkę, Gorbaczowa, "przemiany" w PRL i prosi o kredyty dla czerwonych. Żaden komunist nie byłby skuteczniejszy - czy przewodniczący nie zdaje sobie z tego sprawy?

Listę zastrzeżeń do "Porozumień" można ciągnąć dalej. Ale skończmy na tym, bo wstyd słuchać. Myślę, że wystarczająco uzasadniłem swój pogląd: utworzenie neo-"Solidarności", główny wynik rokowań "okrągłego stołu", nie jest sukcesem społeczeństwa. Jest raczej sukcesem komunistów, którzy wydarli nam niemal pewną legalizację "Solidarności" w dawnym kształcie.

4. "NIE !" po raz trzeci

I na koniec sprawa wzbudzająca najwyższe spory: udział w nadchodzących wyborach. W całym kraju powstają komitety obywatelskie "Solidarność", zajmujące się wysuwaniem kandydatów do poselskich i senatorskich foteli. Działacze neo-"Solidarności" zamiast organizować związek, tworzyć struktury zakładowe, oddali się bez reszty akcji wyborczej. Aktywiści większości partii i ugrupowań opozycyjnych gorączkowo zbierają głosy i fundusze, by wpełznąć "swoich" do PRL-owskiego "Sejmu". Nawet uchodząca za radykalną KPN deklaruje "czynną postawę wobec wyborów, która wyrazić się może zarówno w uczestnictwie, jak i bojkocie" - na razie jest to jednak uczestnictwo (cytat z Uchwały Rady Politycznej KPN z 10 kwietnia 1989 r.). Solidarność Walcząca w swoim zdecydowanym bojkocie wyborów sprawia wrażenie żalobnika, który zamiast na stypę przez przypadek trafił na bal karnawałowy. Zewsząd słychać zachwyty nad pierwszymi "prawie demokratycznymi" wyborami w PRL.

Gdzieś w tym sterowanym zbiorowym entuzjazmie zagubił się artykuł Kuronia w "Tygodniku Mazowsze" (nr z marca 1989). Z zadziwiającą szczerością pisze jeden z liderów "opozycji konstruktywnej": "Warto przypomnieć, że kiedy nasza strona szła do rozmów, to myślała tak: dostaniemy 'Solidarność' i może coś jeszcze, zapłacimy za to niedemokratycznymi wyborami". Otóż to, niedemokratyczne wybory były ceną za "Solidarność" - cóż się więc stało, że teraz wszyscy przedstawiają je jako sukces społeczeństwa? Mogę jedynie snuć domysły.

Ogólnikowe sformułowanie: "zapłacimy niedemokratycznymi wyborami" można rozumieć na wiele sposobów. Mogło ono oznaczać, że opozycja nie wezwie do bojkotu, albo, że nie będzie starała się kontrolować frekwencji wyborczej, albo, że zachęci społeczeństwo do udziału w wyborach, albo nawet, że przedstawiciele opozycji zgodzą się zasiąść w "sejmie" PRL.

Można przypuszczać, że negocjatorzy rządowi zmusili stronę opozycyjną do "zapłaty" w znaczeniu najsilniejszym: opozycja nie tylko ma zasiąść w spełniającym czysto dekoracyjną rolę "Sejmie", ale i zorganizować społeczny entuzjazm w stosunku do niedemokratycznych jak zwykle "wyborów". Po wyrażeniu zgody na taką cenę, Wałęsa nie mógł już powiedzieć prawdy. Zaangażowanie tylu ludzi w akcję wyborczą i masowy udział w "wyborach" można było osiągnąć tylko przedstawiając ów tradycyjny komunistyczny obrządek jako "sukces" społeczeństwa i wielki krok w kierunku "demokracji". Jest to, niestety, oszustwo. Udział społeczeństwa w tych "wyborach" i wejście opozycji do "Sejmu" PRL są ceną jaką Wałęsa zobowiązał się zapłacić, a więc są ustępstwem na rzecz komunistów, a więc służą im, naszym wrogom, a nie nam.

Cóż za interes mają w tym czerwoni? Komuniści już dwa razy zdołali wciągnąć opozycję do współpracy: przed wyborami w styczniu 1947 r. i przed wyborami w styczniu 1957 r. Teraz udało się im po raz trzeci. Historia powtarza się aż do znudzenia: za każdym razem komuniści byli w ciężkim kryzysie politycznym i ich władza wisiła na włosku, za każdym razem przywódcy niezależni zgodzili się poprzeć czerwonych za marną cenę paru miejsc w bezsilnym "Sejmie", za każdym razem komuniści wciągali ich do współpracy hasłami w rodzaju: "Polska jest jedna", "płaszczyzna wspólnych interesów władzy i społeczeństwa", "uznanie stanu faktycznego", "realizm polityczny". Nawet "ratowanie biologicznej substancji narodu" już było! I za każdym razem kończyło się tak samo: po opanowaniu kryzysu politycznego i przejściu pełni władzy, komuniści eliminowali naiwnych przywódców "niezależnych" z życia politycznego, chociaż ci zaklinali się na wszystkie marksistowsko-leninowskie świętości, że chcą współpracować przy "budowie socjalizmu". Ku rozweseleniu i przestrodze przytoczę parę cytatów (za Józefem Mackiewiczem, "Zwycięstwo prowokacji"):

"Polityka Polski Ludowej stanęła na mocnym fundamencie, wybrała sojusz odpowiadający interesom narodu, sojusz zgodny z perspektywami rozwojowymi naszego narodu. Jest to sojusz ze Związkiem Radzieckim."

"Stwierdzaliśmy wielokrotnie /.../, że ogólny kierunek rozwoju społeczno-politycznego wytyczony dla Polski po drugiej wojnie światowej uważamy za słuszny. Przemiany w Polsce Ludowej zrealizowane dały nam wreszcie zdrową strukturę /.../."

Któż to mówił ? Trudno uwierzyć, ale są to fragmenty przemówień sejmowych z lat 1960-61 posła "niezależnej" grupy "Znak" Stanisława Stommy, obecnie przywódcy "opozycyjnego" Klubu Myśli Politycznej "Dziekania".

Oto dlaczego wejście opozycji do "Sejmu" PRL jest na rękę czerwonym - będzie to widome potwierdzenie odwiecznego kłamstwa komunistów, że ich rządy są rządami z woli ludu. Z tych samych powodów zależy im na naszym masowym udziale w niedemokratycznych ceremoniach "wyborczych". W ten sposób mamy pokazać wszystkim i samym sobie, że godzimy się z tym systemem, że akceptujemy brak demokracji i dalsze rządy komunistów. Obecnie jest to dla czerwonych szczególnie ważne, bo "porozumienie- nie narodowe", czyli pogodzenie się społeczeństwa z państwem komunistycznym, jest warunkiem zachodnich kredytów dla PRL. Do tej roli przygotowuje nas teraz neo-"Solidarność".

Słyszysz opinie, że nowy "Sejm" będzie się jednak różnił od starego, że będzie mógł jednak "coś zrobić" wbrew czerwonym. Pogląd taki bierze się z naiwnego rozumienia mechanizmów władzy. W państwie takim jak PRL żadne ciało przedstawicielskie nigdy nie miało i nie będzie mieć żadnej władzy, bo władza jest tam, gdzie siła, a siła jest całkiem gdzieś indziej. Żaden z fundamentów władzy komunistów: pełna kontrola gospodarki, pełna kontrola aparatu przemocy, pełna kontrola aparatu propagandy nie został w istotny sposób osłabiony przez "porozumienia okrągłego stołu". Zrozumienie, że władza komunistów opiera się koniec końców na przemocy nie wymaga szczególnej przenikliwości i pisze się o tym już od dawna. Na przykład w tygodniku "Jedność", wydawanym przez NSZZ "Solidarność" Pomorza Zachodniego, czytam (nr 47 z 27 listopada 1981 r.): ".../ związek zmuszony będzie do ponoszenia odpowiedzialności za politykę, na którą nie będzie miał wpływu, a nie będzie miał na tę politykę wpływu tak długo, jak długo poza sferą politycznej kontroli pozostają instytucje przemocy, zwłaszcza aparat bezpieczeństwa". Ciekawe, że tą prostą prawdę rozumiał świetnie w 1981 r. Adam Michnik, bo to właśnie on jest autorem przytoczonej wypowiedzi, a całkowicie o niej zapomniał teraz, po siedmiu latach dodatkowo bolesnych doświadczeń z komunizmem.

Wobec tego nawet 35 % posłów "niezależnych" (zakładając, że uda się nie dopuścić na te mandaty komunistycznych marionetek) będzie mogło zrobić akurat tyle, co kilkanaście procent posłów PSL w 1947 r. i parę procent posłów "Znaku" w 1957 r. - czyli dokładnie nic, oprócz ewentualnych rejtanowskich gestów. PRL-owski "Sejm" zawsze był i będzie oszukańczą dekoracją, listkiem figowym "demokracji", przysłaniającym totalitarną w swej istocie dyktaturę. To samo dotyczy "Senatu", tym bardziej, że jego rola już nawet od strony formalno- -prawnej będzie czysto dekoracyjna.

Nie będzie natomiast dekoracją stanowisko prezydenta. Strona społeczna zgodziła się na wyposażenie prezydenta w uprawnienia dyktatorskie. Zgodziła się również, co jest już hańbą, na to by tym dyktatorem został "z woli społeczeństwa" Jaruzelski. Właśnie on, morderca "Solidarności" i winowajca ośmiu lat gospodarczej zapaści ! I my udając się do urn wyborczych, mamy na to wszystko wyrazić zgodę.

A więc udział opozycji w "Sejmie" i udział społeczeństwa w "wyborach" przyniesie polityczne korzyści jedynie komunistom. Ci, którzy twierdzą inaczej, mylą się lub kłamią. O ile chodzi o "reprezentantów społeczeństwa" przy "okrągłym stole", to w grę wchodzi ta druga możliwość, bo nie można ich wszak podejrzewać o intelektualną słabość i niezajomość historii. Jedynym ich usprawiedliwieniem może być, że i to kłamstwo uważają za cenę, jaką trzeba zapłacić za "Solidarność". Jednakże nie trzeba było nic płacić, należało po prostu wziąć! Dlatego zaangażowanie się "opozycji konstruktywnej" w komunistyczną farsę wyborczą jest kolosalnym błędem politycznym.

O rozmiarach tego błędu świadczy fakt, który każdy może stwierdzić kręcąc gałkami swego radioodbiornika. Otóż na wszystkich falach, ze wschodu i z zachodu, z "Wolnej Europy" i z "Polskiego Radia" słyszymy ten sam entuzjazm wyrażany nieomal w tych samych słowach. Czyż to nie jest podejrzane ? Wiemy przecież z licznych i długoletnich doświadczeń, że propaganda komunistyczna nadaje rozgłos tylko tym zjawiskom, które uważa za korzystne dla czerwonych.

A jak to wszystko ocenić z moralnego punktu widzenia ? Dla żadnego myślącego człowieka nie jest tajemnicą, że państwo zwane PRL jest specyficzną formą obcego panowania nad nami, jest państwem narzuconym nam przemocą i podstępem. Departament Stanu USA, a w ślad za nim cała polityka Zachodu, uznaje za wskazane podtrzymywanie fikcji formalnej suwerenności PRL. Jest to rzekomo (Bóg wie czemu) świetny środek politycznego nacisku na Sowiety. Oczywiście namiestnicy Kremla w Polsce też są zainteresowani w nachalnym podkreślaniu tej fikcyjnej "niepodległości". Niemniej jest to fikcja.

Miarą politycznej i moralnej słabości Wałęsy i całej "opozycji konstruktywnej" jest, że nigdy nie poddali oni w wątpliwość obowiązującej tezy o "niepodległości" PRL, nigdy nie upomnieli się o niepodległość. Niemniej zdają sobie świetnie sprawę z faktycznej sytuacji (we wspomnianym artykule Kuroń twierdzi, że wszystko, co się dzieje w Polsce, dzieje się za zgodą Gorbaczowa). Wobec tego wejście do "Sejmu" PRL i udział w "niekonfrontacyjnych wyborach" to nie jest tylko poparcie powszechnie znienawidzonej władzy, która doprowadziła kraj do bezprzykładnej ruiny. Jest to coś znacznie gorszego, bo jest to poparcie dla władzy okupacyjnej. Kiedyś, gdy ludzie nie bali się nazywać rzeczy po imieniu, takie postępowanie określano jednoznacznie: zdrada i kolaboracja. Piszę to z prawdziwą przykrością, bo jeszcze nie tak dawno temu szanowałem działaczy obecnej "opozycji konstruktywnej".

Udział w wyborach jest więc politycznie szkodliwy i moralnie naganny. Boykot jest jedynym wyjściem rozsądnym i godnym.

5. Po trzykroć "NIE !"

Obecny chorobliwy entuzjazm wokół wyborów to początek końca przywódców "opozycji konstruktywnej". Zacytuję znów Kurońa ze względu na jego brutalną szczerłość (wywiad dla "Washington Post", marzec 1989) "Jeśli uda się nam zbudować demokratyczne instytucje, część radykalnej opozycji przyłączy się do nas, a reszta będzie odgrywać tylko marginalną rolę. Ale jeśli nam się to nie uda, będziemy zdyskredytowani i radykalowie zyskają ogromny kapitał polityczny. A to będzie miało katastrofalne skutki dla kraju". Nigdy nie uda się panu, panie Kuroń, zbudować demokratycznych instytucji w totalitarnym państwie. To absurd. A więc zostanie pan zdyskredytowany, oby jak najszybciej. A tym "katastrofalnym skutkiem" będzie wolność !

Początek końca "opozycji konstruktywnej", którą zmiotą nadciągające młode pokolenia, jest też, niestety, końcem "Solidarności". Neo-"Solidarność" będzie związkiem scentralizowanym, rządonym po dyktatorsku przez przewodniczącego Wałęsę i jego wasali, współpracujących z komunistami. Neo-"Solidarność" to nie "Solidarność". Naszą "Solidarność" zabrali nam komuniści tak jak zabrali symbole i sztandary narodowe, zabrali Mickiewicza i Piłsudskiego, zabrali ZHP, PCK, "Caritas" i wszystko czego nie zniszczyli. Społeczeństwo to czuje, nie ma tego entuzjazmu i nadziei co we wrześniu 1980 r., jest zamieszanie i zagubienie.

Wszystko to, chociaż smutne, jest też optymistyczne. Musimy odrzucić stare struktury i starych przywódców, choćby to nie wiem jak bolało.

Musimy odświeżyć stare idee i wymyślić nowe. A na dziś, jeśli nie możemy zaszkodzić czerwonym, to przynajmniej im nie pomagamy. A więc PO TRZYKROĆ "NIE!"

Alfred B. Gruba – czerwiec 1989 r.

837. TRZEBA ZAMKNAĆ GRANICĘ Z KALININGRADEM

„Faszizm nie przejdzie”, „dość ludobójstwa na Ukrainie” – pod tymi hasłami odbył się w Kaliningradzie wiec poparcia dla polityki przywódców Kremla. Mieszkańcy obwodu protestowali przeciwko „przemocy ukraińskich banderowców” i „machinacjom imperialistów amerykańskich” oraz uczcili minutą ciszy pamięć „30 żołnierzy Gwardii Narodowej rozstrzelanych na Ukrainie za odmowę strzelania do ludzi”. Zwyczajowo niesiono flagi ZSRR i przekreślone symbole faszystowskie.

Ten opis nie dotyczy manifestacji z lat 60. ubiegłego wieku. Wiec weteranów armii radzieckiej, młodzieży i mieszkańców Kaliningradu odbył się w ubiegły piątek i był kolejnym „spontanycznym odruchem” społeczności zamieszkującej rosyjską enklawę.

Nie ma wątpliwości, że był to „odruch spontaniczny” ponieważ reakcje naszych wschodnich sąsiadów na zbrojną napaść na Ukrainę są wręcz entuzjastyczne.

Z najnowszych badań Centrum Levanda wynika, że gdyby wybory prezydenckie odbyły się w maju br., Putin mógłby liczyć na 81 procentowe poparcie. Drugi w kolejności, komuniści Ziuganow i Żyrinowski otrzymaliby zaledwie 7 i 4 procent. Socjologowie z Levandy podkreślają, że w czasie ostatniego miesiąca liczba osób, które chciałyby wzmocnienia więzi z Zachodem spadła do najniższego od 10 lat poziomu i wynosi obecnie 39 proc. Jednocześnie, zaledwie 21 proc Rosjan chciałoby, aby ich państwo stało się „państwem demokratycznym, o gospodarce rynkowej i prawach człowieka, jakie obowiązują w krajach zachodnich”. Zdecydowana większość opowiada się za własnym, „rosyjskim modelem”, wskazując „system sowiecki” jako najlepszy system polityczny i gospodarczy.

Dla tych, którzy znają państwo Putina i z rezerwą traktują lewackie teorie o konwergencji i zbawiennym wpływie demokracji zachodniej na życie Rosjan, te informacje nie są zaskakujące. Ani procesy integracyjne ani „otwarcie na świat”, którymi przywódcy Zachodu tłumaczyli najpierw „pokojową koegzystencję” z komunizmem, a dziś usprawiedliwiają chęć bogacenia się na współpracy z kagebistami - nie miały zasadniczego wpływu na mentalność Rosjan. Socjologowie z Centrum Levanda przyznają, że przez ostatnie lata obserwują „wzrost infantylizmu społeczno-politycznego”, przy jednoczesnym odradzaniu tendencji nacjonalistycznych i silnej nostalgii za ZSRR. Mieszkańcy Rosji widzą w Putinie przede wszystkim uosobienie „rosyjskiego bohaterstwa i dumy narodowej” oraz następcę „wielkiego Stalina”, który uczyni z Rosji światową potęgę i zjednoczy wszystkie narody słowiańskie.

Akceptację dla polityki kremlowskiego watażki wyrażają nie tylko „statystyczni” Rosjanie. Wiernopoddańczy list „największych twórców kultury rosyjskiej”, podpisywany w czasie zbrojnej napaści na Krym, mówi o konieczności „zjednoczenia wspólnoty naszych narodów i kultur” i deklaruje całkowite poparcie dla działań prezydenta Rosji. W powstałej w tym samym czasie tzw. *Deklaracji rosyjskiej tożsamości*, opracowanej przez cerkiewną Światową Rosyjską Radę Ludową, jako jeden z „najważniejszych czynników integracji narodu rosyjskiego” wymienia się „dumą z wygranej w 1945 roku”, zaś „człowiekiem rosyjskim” nazywa tego, kto uważa się za Rosjanina i mówi w języku rosyjskim. Cerkiew zarządzana przez Cyryla – „Michajłowa” od wielu miesięcy przygotowuje „religijno-ideowe” fundamenty putinowskiego samodzierżawia i głosi potrzebę zjednoczenia wszystkich Rosjan oraz budowania na świecie „cywilizacji rosyjskiej”. Instytucja ta pełni dziś rolę swoistego „biura politycznego”, tworząc ideologiczne podwaliny dla rosyjskiej ekspansji. W wypowiedziach przedstawicieli Cerkwi pojawiają się wezwania do „wyzwalania spod władzy nihilistycznego Zachodu” i tworzenia „nowej wspólnoty narodów słowiańskich”. Ten panslawistyczny model totalitaryzmu nawiązuje wprost do historii państwa sowieckiego i znajduje pełne zrozumienie w społeczeństwie rosyjskim.

Mieszkańcy obwodu kaliningradzkiego, manifestujący poparcie dla polityki Putina, nie są oczywiście wyjątkiem. Podobne wiece odbywają się w wielu miastach Rosji i dobitnie ukazują nastroje panujące za wschodnią granicą.

Związane z tym zagrożenia, są jednak całkowicie ignorowane przez rządzących III RP. Niedawna deklaracja Tuska, iż „należy oddzielić działania podejmowane przez Federację Rosyjską na arenie międzynarodowej od utrzymywania dobrosąsiedzkich relacji pomiędzy obywatelami Polski i Rosji”, ma wagę stwierdzenia, które w dostatecznym stopniu kompromituje polityka PO, a w normalnym państwie byłoby podstawą do natychmiastowego pozbawienia go władzy.

Mitologia „złego” Putina i „dobrych” obywateli – Rosjan, jest nie tylko głęboko fałszywa, ale w rękach reżimu III RP stanowi rodzaj propagandowego cepa, który ma zagłuszyć prawdę o sytuacji panującej w Rosji. Obywatele tego państwa nigdy nie byli i długo nie będą „dobrymi sąsiadami” Polaków. Niedawny najazd hordy motocyklistów z obwodu kaliningradzkiego czy sowiecka impreza pod pomnikiem mordercy polskich żołnierzy, są zaledwie ilustracją znacznie poważniejszych niebezpieczeństw związanych z otwartą granicą obwodu kaliningradzkiego.

Ten rosyjsko-niemiecki pomysł, stanowiący jeden z elementów „projektu Prusy Wschodnie”, był przez lata najpilniejszym zadaniem dla ministra Sikorskiego i został zrealizowany w czasie tzw. polskiej prezydencji. Uwagę zwraca rażąca niesymetryczność działań polskiej dyplomacji w stosunku do wrogich poczynań strony rosyjskiej. Otwarcia granicy z Kaliningradem dokonano rękami polityków PO-PSL, nie wymagając od Rosji żadnych ustępstw ani nawet wzajemności w życzliwym traktowaniu naszych interesów. Choć obwód należy do najbardziej zmilitaryzowanych miejsc na świecie i stwarza wielorakie zagrożenia ekologiczne i epidemiologiczne (m.in. najwyższy w Rosji wskaźnik zachorowań na gruźlicę i AIDS) - pod adresem Rosjan nie pojawił się postulat zmniejszenia zagrożeń. Przed Polakami ukryto natomiast skutki tego obłędnego projektu, zadowolając opinię publiczną demagogicznymi frazesami o rozwoju handlu przygranicznego i rozkwicie turystyki.

Migracja najgroźniejszych form przestępczości zorganizowanej, przemyt, korupcja, choroby i rozliczne patologie, ułatwiona działalność mafii i rosyjskich służb - to tylko niektóre z niebezpieczeństw związanych z otwarciem granicy. Od wielu miesięcy Rosjanie organizują w obwodzie manewry i ćwiczenia wojskowe, nie ukrywając nawet, że Polsce przewidziano rolę potencjalnego wroga.

Otwarta granica z Kaliningradem stwarza idealne warunki do przeprowadzenia dowolnej prowokacji, ułatwia przenikanie do Polski rosyjskich służb i agentury, jest zarzewiem potencjalnych konfliktów i problemów. Straż graniczna zatrzymywała już osoby próbujące wwozić broń palną do Polski. Można się domyślać, że nie w każdym przypadku udało się zapobiec takiemu „importowi” i do naszego kraju trafiło wielu uzbrojonych Rosjan.

Wobec Polaków przekraczających granicę władze Federacji stosują rozmaite szykany i utrudnienia. Najnowszy pomysł rosyjskich celników polega na celowym niszczeniu paszportów osób próbujących powrócić do Polski. Pod oddaniem paszportu celnikowi, wraca on do właściciela podarty. Odnotowano co najmniej kilkadziesiąt takich przypadków, o których informowano polskie MSW i MSZ. Choć proceder jest coraz częstszy, nic nie wiadomo o protestach strony polskiej.

Natomiast niemal każdego dnia w rosyjskich mediach pojawiają się doniesienia o rzekomych atakach na obywateli rosyjskich, informuje się o niszczeniu sowieckich pomników oskarża Polaków o „niewdzięczność” i „fałszowanie historii”, rozprawia o niechęci do Rosjan i wzroście „polskiej rusofobii”. Ponad jedna trzecia ankietowanych mieszkańców regionu kaliningradzkiego uważa, że w ostatnim czasie pogorszył się stosunek Polaków do Rosjan, a niemal co drugi nazywa te relacje „neutralnymi”. Napływ ogromnej ilości Rosjan do naszego kraju (od początku br. roku granicę przekroczyło blisko 2,5 mln osób) sprawia, że władze Kremla mogą w dowolnej chwili wykorzystać argument o „prześladowaniu” obywateli rosyjskich lub dostrzec zagrożenia dla ich interesów. Stąd tylko krok do podjęcia reakcji służących „ochronie obywateli”. Przykład Ukrainy jest nadto wymowny, by można było bagatelizować podobny scenariusz.

Otwarta granica z Kaliningradem to oznaka słabości i uległości reżimu Tuska i Komorowskiego. Sprawa jej zamknięcia powinna stać się priorytetem opozycji. Nie wolno dłużej akceptować sytuacji, która stwarza tak poważne niebezpieczeństwo i może zostać wykorzystana przez Putina do eskalacji konfliktu z Polską. Trzeba domagać się natychmiastowego zawieszenia umowy o zasadach małego ruchu granicznego. Taką możliwość stwarza art. 12, który mówi o prawie do zawieszenia umowy z uwagi na „ochronę bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego lub ochronę zdrowia publicznego”.

Jeśli reżim III RP nie zostanie zmuszony do ograniczenia napływu Rosjan i przerwania obłędnego „projektu Prusy Wschodnie”, wkrótce przypomni sobie jeden z dialogów Zinowiewa z jego „Homo sovieticus”:

„Po co wam Zachodnia Europa? — spytał mnie jeden z tutejszych mieszkańców.- Swojej ziemi macie w nadmiarze. Zagospodarowujcie Syberię, a nas zostawcie w spokoju! Chętnie - odpowiedziałem. — Ale proszę wejść w nasze położenie. Na Syberii ziąb, wilgoć, pusto, owady gryzą. A u was ślicznie, wygodnie, bogato. Gdzie w takim razie lepiej? Wy nas na Syberię nie wypychajcie, mamy jej powyżej uszu! My chcemy tutaj, do Europy. A na Syberię z czasem wysłemy was. A my was tutaj nie wpuścimy! -krzyczy wystraszony i zdenerwowany rozmówca. Jest Pan pierwszym i chyba jedynym człowiekiem, który tak mówi - odpowiedziałem. Lecz spóźnił się Pan: już tu jesteśmy.”

838. NIE BYŁOBY HAŃBY ...

Nie byłoby „pojednania zrodzonego z krwi” i upokarzających aktów wdzięczności wobec Putina, gdyby nie patronowali mu polscy hierarchowie.

Te wypowiedzi :

- Tomasz Turowskiego z 23 marca 2010 roku dla KAI:

„Dokonuje się forma ekumenicznego pojednania ze strony zarówno katolickiej jak i prawosławnej i to w tak symbolicznym miejscu jak cmentarz w Katyniu. Ogrom krwi narodu rosyjskiego, tych którzy zginęli podczas represji rosyjskiej, ze strony Kościoła prawosławnego miesza się tam z krwią polską. To jest testament dla przyszłych pokoleń polskich i rosyjskich, żeby krew przelana poprzez tych samych katów, poprzez tych, którzy wykonywali wyroki i na swoich współobywatelach i na Polakach - była zaczynem realnej przyjaźni i realnego pojednania między Polska i Rosją”

- T. Turowskiego dla rosyjskiego radia FINAM FM z 12 kwietnia 2010:

„I Rosja, i Polska należą do tej samej ogromnej judeo-chrześcijańskiej tradycji, a wielkie rzeczy w tej tradycji zawsze rodziły się we krwi. I jestem pewien, że z tej krwi wyrosnie to, na co my wszyscy czekamy - nowe, dobre stosunki pomiędzy Polską i Rosją”.

- abp Życińskiego z homilii wygłoszonej w lubelskiej katedrze 15 kwietnia 2010 roku:

„Krew naszych rodaków, która wsiąkała w ziemię rosyjską, na tym terenie, gdzie przedtem wsiąkała krew bohaterów rozstrzelanych za miłość do ojczyzny - niech z tej gleby wyrosną dojrzałe kłosa rodzące chleb pojednania”.

- prymasa Henryka Muszyńskiego z homilii podczas mszy żałobnej w intencji Marii i Lecha Kaczyńskich z 17 kwietnia 2010 roku:

„Dramat, który rozegrał się na rosyjskiej ziemi - jak nigdy dotąd - połączył Polaków i Rosjan, których podzieliła na dziesiątki lat zbrodnia na polskich oficerach dokonana w Katyniu w 1940 roku. Teraz jednak, po tragicznej katastrofie prezydenckiego samolotu 10 kwietnia br., przekonujemy się, że krew przelana przed 70 laty, potrafi łączyć zarówno polityków, jak i zwykłych szarych ludzi. [...] Z perspektywy 70 lat widać wyraźniej niż kiedykolwiek, że niewinnie przelana krew ofiar tego samego, nieludzkiego systemu, która wsiąkała w tę samą ziemię i dzieliła nas przez pokolenia, nie musi koniecznie dzielić, a może także łączyć.”

- wiąże nie tylko wspólna retoryka i fałszywa symbolika, ale od dnia tragedii smoleńskiej wytyczają one kierunek „religijnej” i „historycznej” interpretacji tego wydarzenia. Zgoda hierarchów na zawłaszczenie przez Cerkiew miejsca kaźni polskich oficerów w Katyniu i wybudowania tam przez Rosnieft tzw. Zespołu Memorialnego, czy ulokowanie Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia w biurówcu należącym do Archidiecezji Warszawskiej - są również wyrazem relacji łączących władzę państwową i kościelną w kwestii zadekretowania „pojednania” z Rosją.

Nie byłoby procesu „pojednania” polsko-rosyjskiego, gdyby od września 2009 roku nie wspierali go polscy hierarchowie. Zaledwie kilka dni po wizycie Putina, przybyła do naszego kraju delegacja Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, by rozpocząć rozmowy o wspólnym dokumencie dotyczącym „pojednania obu narodów”. *„Delegację Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przyjmujemy z radością - zapewnił wówczas sekretarz generalny EP bp Stanisław Budzik - „Mamy nadzieję także na to, że Kościoły pomogą w pojednaniu polsko-rosyjskim”.* Gdy 17 sierpnia 2012 roku na Zamku Królewskim w Warszawie, patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl - Gundiajew oraz przewodniczący KEP abp Józef Michalik podpisywali „Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji” - nazwano ten akt „najważniejszym wydarzeniem 2012 roku”. Polscy hierarchowie nie ustawali w peanach na cześć Cyryla, określają go „mężem opatrzościowym dla świata, Kościoła prawosławnego i naszych wspólnych kontaktów” oraz „świadkiem i prorokiem”, z którym Kościół „podejmie wspólne dzieło ewangelizacji Europy”. Również ta gloryfikacja przedstawiciela Putina, znajduje źródło w jeden z wypowiedzi T. Turowskiego z 23 marca 2010 r.: *„Nie do przecenienia jest rola, jaką w wymiarze pojednania narodów pełni obecnie Rosyjski Kościół Prawosławny, a zwłaszcza Cyryl I, patriarcha Moskwy i Wszechrusi. To osobowość charyzmatyczna”.*

Referując biskupom rozmowy z Cyrylem i podpisanie „prześciana” abp Michalik twierdził, że wydarzenie to spotkało się powszechnie z pozytywną reakcją ludzi, prócz zachowania „*marginalnych środowisk, krańcowo narodowych, politycznych*”. Przeciwników i krytyków „prześciana” abp. Michalik nazwał wówczas „marginensem”.

Nie byłoby propagandowej wizji Bronisława Komorowskiego jako „konserwatysty”, „katolika” i „męża stanu”, gdyby nie postawa polskich hierarchów. Wyraża ją m.in. niezwykle w dziejach Kościoła homagium - list Prezydium Konferencji Episkopatu Polski z 5 lipca 2010 roku. Wtedy, gdy opluwanych i bitych przez motloch obrońców krzyża, biskupi nazywali „fanatyczną sektą” i „ludźmi zadymionymi PiS-em”, do Komorowskiego pisano: „*Wyrażając uznanie dla odniesionego sukcesu, pragniemy życzyć, aby podjęta odpowiedzialność owocowała działaniami realizowanymi w duchu najwyższych wartości. Niech dobry Bóg daje Panu Prezydentowi potrzebne siły i konieczne taski dla owocnego wypełnienia tego zaszczytnego zadania. Polecamy Bogu osobę Pana Prezydenta, Jego Rodzinę i wszystkich współpracowników, życząc obfitości Bożych darów na lata szczególnej odpowiedzialności za Ojczyznę i wszystkich jej obywateli.*”.

Zamieszczenie „Prześciana” Komorowskiego w śpiewniku uczestników Orszaku Trzech Króli w Warszawie, czy zaproszenie lokatora Belwederu na XVII Spotkanie Młodych Lednica 2000 - wyznaczały kolejne akty haniebnego serwilizmu.

Nie byłoby fałszowania prawdy o ludobójstwie na Wołyniu i nazywania tej zbrodni „czystką etniczną”, gdyby nie wspólne stanowisko Episkopatu i Belwederu oraz „polsko - ukraińska deklaracja o pojednaniu”, podpisana w czerwcu 2013 r. przez Przewodniczącego Konferencji EP abp. Michalika i Metropolitę Kijowsko-Halickiego Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego. Zawarto w niej słowa o „*ofiarach zbrodni i czystek etnicznych*” oraz prośby o wybaczenie za „*postawy tych Polaków, którzy wyrządzali zło Ukraińcom i odpowiadali przemocą na przemoc.*”

Nie byłoby kampanii nienawiści wobec ofiar Smoleńska, ataków na rodziny i walki z pamięcią o zmarłych, gdyby przeciwstawili się im polscy hierarchowie i równie mocno, jak bronią dziś praw rodziny Jaruzelskiego, stanęli w obronie rodzin poległych na „niehumanitarnej ziemi”. Dziesiątki wypowiedzi: rzecznika EP, arcybiskupów Życińskiego, Kowalczyka, Muszyńskiego, Nycza czy Michalika, dowodzą, że ludzie ci w sposób szczególny zabiegają o wyciszenie zbrodni smoleńskiej, piętnują tych, którzy podważają wersję Moskwy i w każdej, konfliktowej sytuacji stają po stronie reżimu. Słowa:

- „*Na śmierci brata, siostry czy ojca nie możemy zbijać pseudokapitału politycznego, bo to jest pogarda dla zmarłych, dla wartości ich życia i dla ich pracy, którą wnieśli dla naszego wspólnego dobra*”,

- „*Cmentarz nie może stać się naszą świątynią, ani naszym domem. Nie pomożemy zmarłym zatrzymując się w nieskończoność przy grobie. Zamiast więc rozpaczać nad tym, że nie da się cofnąć czasu, ani unieważnić dokonanego zła i jego skutków, trzeba raczej z całą żarliwością zwrócić się ku Bożemu miłosierdziu*”,

- „*To nie jest spór religijny, tylko polityczny. Mamy krzyż jako zakładnika, który jest niemym świadkiem tego, co się przed nim dzieje. Jeśli spojrzymy na znajdujące się tam kartki, to nie ma tam wątków religijnych, jest Katyń, jest tło polityczne.*”

- „*Modlącym się pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu zwracamy uwagę, że w zaistniałej sytuacji stają się, mimo swej najlepszej woli, politycznym punktem przetargowym stron konfliktu.*”

- „*Kościół nie potrzebuje takich obrońców. (...)„żadnego obywatela nie wolno oceniać w sposób, jaki to uczynił Kaczyński*”

- „*Cała ta legenda o zamachu, o morderstwie jest po prostu śmieszna.*”

- są tylko przykładem rozlicznych wystąpień, które składają się na społeczne „nauczanie” hierarchów w sprawie Smoleńska.

Nie byłoby hańby „honorowego pochówku” Jaruzelskiego, obrony Baumana, czczenia komunistycznych bandytów i promowania zdrajców, gdyby nie postawa hierarchów i wsparcie, jakiego udzielają „elitom” III RP. Przez 25 lat nie zdobyto się na odwagę, by powiedzieć Polakom, jak okrutnie oszukano ich w czasie „transformacji ustrojowej”, jak zakpiono z ich nadziei i marzeń o Niepodległej. Przez 25 lat nie dopuszczono do przeprowadzenia lustracji, nie pozbyto się z organizmu Kościoła setek tajnych współpracowników, ułokowanych na najwyższych urządach i stanowiskach. Wielu z nich ma na rękach krew współbraci w kaptanństwie, wielu donosiło na Jana Pawła II i księdza Jerzego.

Przez 25 lat polscy hierarchowie nie znaleźli dość odwagi, by wypełnić testament polskiego papieża, który nakazał: „*Kościół nie może dopuścić, by zleceńodawcy zabójstwa księdza pozostali nieznani*”. Za ich przyzwoleniem ukryto zbrodnie komunistów i nie dopuszczono do rozliczenia okresu okupacji sowieckiej. Wielu ludzi Kościoła stało się akuszerami fałszywego „pojednania” i piewami „historycznego kompromisu”, uwiarygadniając państwo powstałe na niegodziwym przymierzu katów i ofiar.

Nikt z hierarchów nie wskazał Polakom: na czym polega donosicielstwo i zdrada, nie potępił biskupów zaprzańców, pedofilów i gorszycieli, nie pokazał palcem sprzedajnych polityków, nie wytyczył wyraźnej granicy dobra i zła.

Nie było ich, gdy rozpętano kampanię nienawiści wobec Lecha Kaczyńskiego, gdy niszczone życie publiczne i oczerniano imiona prawych Polaków. Nie było ich, gdy bito i lżono obrońców krzyża, a człowiek wybrany prezydentem rozpętał wojnę z symbolem chrześcijaństwa. Nie słyszeliśmy ich głosu, gdy wrzaskiem prymitywnych typów rozsiewano moskiewskie łgarstwa i zabijano pamięć o polskich bohaterach.

Jeśli tylu Polaków nie potrafi dziś odróżnić dobra od zła i dokonywać wyborów w zgodzie z Dekalogiem, jest w tym ogromna wina polskich hierarchów, którzy przykładem własnych postaw zatarli jasne kryteria zasad moralnych i odstąpili od twardego obowiązku głoszenia prawdy. Jeśli przywołują dziś głos sumienia - ten szczególny dar rozsądzania dobra i zła - jak chcą go odnaleźć we współczesnych Polakach? Skąd chcą wydobyc pokłady prawdy, skoro przez lata III RP nie potrafili zasiać jej ziaren? Do jakiej odwołują się moralności, jeśli sami byli przyczyną potwornego zgorzenia?

Nic niewarte są dzisiejsze tyrady „naszych” mediów i głosy ludzi oburzonych pochówkiem zdrajcy - jeśli nie dostrzegają oni tej najgroźniejszej i złowrogiej strony polskiej rzeczywistości. Fałszują one obraz w taki sam sposób, jak czynią to ośrodki propagandy, a są groźniejsze, bo wielu z nas przyznaje im miano „niezależnych”. Żenujące spektakle sprzeciwu odbywają się na jakimś makiawelicznym pograniczu prawdy i kłamstwa, ukazując grę, w której chodzi wyłącznie o to, by piętnując zło „obce”, nie dostrzec zła „własnego”.

Nie przypadkiem przecież, śmierć sowieckiego dyktatora wywołała zgodny chór obrońców „postaci tragicznej” i ujawniła troskę ludzi Kościoła o „godne przeżywanie” tego wydarzenia.

Nie to jednak decyduje o grozie obecnej sytuacji. W naszej historii zdarzali się sprzedajni i tchórzliwi hierarchowie. Byli i tacy, którzy zapisali się najcięższą zdradą. Wierzę, że wczorajszy wywiad kard. Nycza i równie haniebne wystąpienia innych hierarchów, zostaną kiedyś ocenione, jako miara naszego upadku i upodlenia. Zło nie należy jednak do istoty mojego Kościoła, nie wynika z jego natury, lecz ma źródło w niewierności wobec Ewangelii i przekraczaniu tego, co jest misją Kościoła. Jeśli zło uderza, jeśli rozzuchwała się i panoszy - pochodzi zawsze z wiarołomstwa, z zaniechań ludzi Kościoła, ale też z naszego tchórzostwa i słabości. Zawsze więc znajdowali się ludzie, którzy mieli odwagę dostrzec te zagrożenia, potrafili napiętnować postawy hierarchów i nazwać je po imieniu. To chroniło przed przekroczeniem granicy, poza którą jest przepaść szatańskiego pomieszania i fałszywy świat prymatu „posłuszeństwa” nad wiernością Bogu i Jego przykazaniom. Bywało, że ta granica wytyczała nasz byt państwowy i narodowy. Doskonale rozumieli to nasi przodkowie, gdy w majową noc 1794 roku nie bali się dostrzec zaprzaństwa prymasa i biskupów. Dziś stoimy wobec niebezpieczeństwa, że wielu polskich hierarchów nie zna granicy, poza którą powinno być twarde „non possumus”. Nie zna zaś, bo nie ma w Polsce środowisk, które miałyby odwagę powiedzieć „dość” i wezwać tych ludzi do opamiętania. Każde kolejne wydarzenie, podczas którego usilnie staramy się zamykać oczy na postawy ludzi Kościoła, przybliży nas do chwili, gdy na otwarcie oczu będzie już za późno.

CZERWIEC

839. O FAŁSZYWYM ZMARTWYCHWSTANIU CZŁOWIEKA SOWIECKIEGO

W powszechnej świadomości istnieje ścisła współzależność między pojęciami komunizmu i człowieka sowieckiego. Na tyle ścisła, że ten typ mentalności miał być charakterystyczny dla rzeczywistości sowieckiej i do dziś jest definiowany w perspektywie „*zniewolenia przez radziecki system komunistyczny*”.

„*Człowiek demokratycznego Zachodu - pisał Leopold Tyrmand w „Cywilizacji komunizmu” - nie jest w stanie wyobrazić sobie rzeczywistości, w której nie można czegoś wypowiedzieć, stwierdzić publicznie czy ogłosić. Tymczasem tuż obok niego, w świecie skurczonym do rozmiarów parugodzinnej lotu z Waszyngtonu do Moskwy, żyją ludzie odlegli od niego o czasoprzestrzeń jaka dzieli wczesne średniowiecze od wolnych wyborów burmistrza Nowego Jorku. Nie tylko nie mogą oni mówić co uważają za właściwe do powiedzenia, ale nie wolno im także myśleć inaczej niż mają to przepisane przez polityczny kanon rządzący ich życiem*”.

Jeszcze dokładniej pojęcie człowieka sowieckiego umiejscawiał Aleksandr Zinowiew, gdy pisał w „*Homo sovieticus*”:

„*Na Zachodzie ludzie mądrzy i wykształceni nazywają nas homo sovieticus. Szczycą się, że odkryli istnienie tego typu człowieka i wymyślili dlań tak piękną nazwę. Przy czym używają tej nazwy w sensie dla nas poniżającym i pogardliwym. Nie mogą zrozumieć, że myśmy dokonali czegoś więcej – pierwsi wyhodowaliśmy ten nowy typ człowieka, a Zachód dopiero pięćdziesiąt lat później wprowadził nowe słówko i ceni ten swój wkład do historii o wiele wyżej od tego, czego dokonaliśmy my. (...)No cóż, jak homo sovieticus – to homo sovieticus! Ja posunę się jeszcze dalej i przytrę Zachodowi nosa. Wprowadzę wygodny skrót tego przydługiego terminu: homosos. Przynajmniej brzmi po radziecku*”.

Taka definicja i powiązane z nią skojarzenie, musiałyby prowadzić do oczywistej konkluzji, że epoka *homososa* skończyła się wraz ze „śmiercią” komunizmu i upadkiem Związku Sowieckiego. Twór zależny od reżimu komunistycznego doznałby wówczas wyzwolenia od dotychczasowych ograniczeń: od terroru i wszechwładzy monopartii, przemocy fizycznej i intelektualnego zniewolenia, od zewnętrznej cenzury i niszczącej autocenzury, od systemu nakazów, grózb i kar, które tłumiły w nim pragnienie prawdy i wolności. Ogłoszona na początku lat 90. „śmierć” komunizmu, byłaby zatem datą uśmiercenia człowieka sowieckiego, który wraz z upadkiem ZSRR utraciłby „ontologiczną” podstawę bytowania.

Tak oczywista konkluzja napotyka jednak na poważne problemy. Jak bowiem wytłumaczyć, że 25 lat po „śmierci” komunizmu i upadku państwa, które stworzyło model *homososa*, ten typ osobowości nadal dominuje w realiach III RP? Czym wyjaśnić sytuację, w której obywatele Rzeczypospolitej oddają władzę komunistycznym sukcesorom, godzą się z obecnością kapusiów i zdrajców, powierzają sprawy bezpieczeństwa esbekom i dawnym prześladowcom, przyzwalają na niszczenie kultury, na antypolskie kampanie nienawiści i dezinformacji? Jakim więzom zniewolenia przypisać fakt, że większość naszych rodaków akceptuje życie w kłamstwie i wyraża zgodę na rządy intelektualnych i moralnych miernot? Ćwierć wieku po rzekomym „uśmierceniu” komunizmu, jest on wyraźnie obecny w mentalności polskojęzycznych „elit”, ujawnia się w prześladowaniach wolnej myśli, objawia w procesach fałszywego pojednania i uległości wobec rosyjskiego okupanta.

Wprawdzie wielu autorów próbowało zmierzyć się z tym problemem i tłumaczyło przetrwanie człowieka sowieckiego „*ciągłością pokoleniową*” bądź „*powolnością zmian strukturalnych w społeczeństwie*”, to żadne z dotychczasowych wyjaśnień nie można uznać za przekonujące. Szczególnie fałszywie brzmią tezy rodzimych myślicieli, którzy (jak Tischner) opisując „*rzeczywistość postkomunistyczną*” twierdzili, że *homo sovieticus* wywołał bunt przeciwko dotychczasowym ciemnościom (komunistom) lecz jednocześnie przyjął postawę roszczeniową wobec nowych panów (kapitalistów) i od nich domaga się zaspokojenia swoich potrzeb. Próba wyjaśnienia tego paradoksu prowadziła do twierdzenia, jakoby człowiek sowiecki był „*jak niewolnik, który po wyzwoleniu z jednej niewoli czym prędzej szuka sobie drugiej*.”

Autorzy takich teorii najwyraźniej nie potrafili zmierzyć się z dylematem: albo w definicji człowieka sowieckiego tkwi błąd semantyczny i nie jest on typem uwarunkowanym realiami komunizmu lecz obejmuje

każdą formę niewolnictwa, albo definicja jest prawdziwa, a komunizm nigdy nie umarł i nie zaprzestał destrukcji ludzkich postaw i myśli. W tej kwestii należało się zdecydować: albo *homosomus* umarł wraz z sowieckim komunizmem, albo przeżycie człowieka sowieckiego świadczy o trwałości komunizmu. Obecność takiej formy zniewolenia stanowi jedną z najpoważniejszych i (jak dotąd) nieprzewyciężonych przeszkód przed przyjęciem tezy o „śmierci” komunizmu. Chcąc sensownie wyjaśnić zachowania Polaków, choćby w obszarze wyborów politycznych czy akceptacji dla pewnych systemów wartości lub próbując zdefiniować działania Putina i towarzyszące im entuzjastyczne reakcje Rosjan - trzeba rozwiązać ten dylemat i nie uciekać przed poważną refleksją.

Tym bardziej, jeśli mamy świadomość, że do „uśmiercenia” komunizmu doprowadziło w istocie jedno z najskuteczniejszych kłamstw sowieckiej dezinformacji - teoria o ewolucji komunizmu. To za jej przyczyną wprowadzono nonsensowną gradację, rozróżniając w komunizmie okresy terroru lat 20. i 30., czas „błędów i wypaczeń” lat 50. oraz następujący po nim „proces destalinizacji”, którego zwieńczeniem miały stać się rządy Gorbaczowa i jego *perestrojka*. Przeobrażenia w świecie komunizmu odczytywano jednoznacznie - jako dowód jego postępującej słabości, zaś każde z wydarzeń miało być objawem wzrostu tendencji odśrodkowych wewnątrz międzynarodowego komunizmu. Zgodnie z tą teorią, polityka *perestrojki*, zmiany w państwach Bloku Wschodniego, polska „transformacja ustrojowa”, a wreszcie rozwiązanie ZSRR, stanowiły ciąg nieuchronnych zdarzeń, będących wynikiem ewolucji systemu totalitarnego. Związana z tą myślą tzw. teoria konwergencji miała usprawiedliwić sojusz państw zachodnich z komunizmem, ponieważ to dzięki współpracy z komunistami miało nastąpić upodobnienie polityki władców Kremla do wzorców demokracji Zachodu.

Falsz teorii ewolucji jest szczególnie widoczny w zetknięciu z rzeczywistością zdominowaną przez człowieka sowieckiego. Władcy Kremla wciąż mają mentalność czekistowskich bandytów i żadna forma otwarcia na „wolny świat” nie uwolniła Rosjan od patologii *homososa*. Reżim rządzący III RP nieodmiennie tkwi w kulturowej i personalnej zależności od komunizmu, zaś nasze społeczeństwo bez szemrania przyjmuje każdą formę zniewolenia.

Gdyby istotnie następował ewolucyjny proces „uśmiercania” komunizmu, nigdy nie mógłby on determinować najgłębszych cech człowieczeństwa. Z natury bowiem, każdy z nas pragnie życia w wolności i dla realizacji tego pragnienia gotów jest ponieść nawet najwyższą ofiarę.

Dlatego żaden niewolnik po śmierci pana nie przyjmie dobrowolnie więzów kolejnej niewoli, gdy bez ograniczeń może rozporządzać swoim życiem. Nie zgodzi się również na dyktat kłamstwa i nienawiści, jeśli ma możliwość budowania świata prawdy i dobra. Przyjęcie zasad moralnych, które decydują o życiu w wolności, nie jest procesem ewolucyjnym i nie może przysługiwać - jak chcą tego „autorytety” III RP - dopiero dziesiątemu pokoleniu *homososa*. Nie może - tym bardziej w odniesieniu do narodu, który szczyli się tysiącletnią tradycją chrześcijaństwa i przez wieki opierał obcej dominacji.

Istnienia *homo sovieticus* w polskim życiu publicznym nie da się wyjaśnić socjologicznym bełkotem o „*uwarunkowaniach okresu postkomunistycznego*” ani zamknąć w pokrętnych teoriach politycznych.

„*Życie w komunizmie jest piekłem, ale nie dla wszystkich*” - pisał Leopold Tyrmand. „*Jest piekłem dla ludzi dobrej woli. Dla uczciwych. Dla rozsądnych. Dla chcących pracować z pożytkiem dla siebie i dla innych. Dla przedsiębiorczych. Dla tych, którzy chcą coś zrobić lepiej, wydajniej, ładniej. Dla tych, którzy chcą rozwijać, wzbogacać, pomnażać. Dla wrażliwych. Dla prostolinijnych i skromnych. Natomiast dobrze prosperują w komunizmie głupcy nie dostrzegający własnej marności i śmieszności. Doskonale powodzi się służalcem, oportunistom i konformistom; wiedzie im się tym lepiej, że z czystym sumieniem mogą nie robić nic, albowiem i tak nie sądzą, że należy coś robić w zamian za serwilizm - czują się zwolnieni z wszelkiej odpowiedzialności co wzmaga ich znakomite samopoczucie*”.

Jeśli realia III RP wiernie odpowiadają temu opisowi, nie można się oszukiwać, że komunizm „umarł”, a my żyjemy w przejściowym czyścisku postkomunizmu. Widok głupców, służalców i kanalii, decydujących dziś o przyszłości Polaków ujawnia nie tylko historyczną dychotomię My-Oni, ale jest dowodem przetrwania i dobrego samopoczucia człowieka sowieckiego. Wprawdzie zakłada on różne maski, każe nazywać się liberałem lub georealistą, to z za każdej z nich i tak wychyla się twarz sowieckiego raba.

Problem z nazwaniem naszych czasów i identyfikacją *homososa* wynika z kryzysu intelektualnego, w jakim znalazły się polskie elity. Mam oczywiście na myśli elity autentyczne, nie zaś ćwierćinteligentów z okienek tv. Jest to kryzys odwagi i braku woli w zmierzeniu z obecną rzeczywistością. Znacznie łatwiej tłumaczyć ją poprzez fałszywą terminologię „postkomunistyczną” niż sięgając do korzeni problemu, dostrzec grozę obecnego położenia.

Artykuł opublikowany w nr 5 (99)/2014 Nowego Państwa

840. PROCES

Proces sądowy w sprawie afery marszałkowej rozpoczął się 8 czerwca 2011 roku przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Na liście świadków znajdowały się m.in. nazwiska Bronisława Komorowskiego, Krzysztofa Bondaryka, Pawła Grasia, Antoniego Macierewicza oraz znanych postaci życia publicznego i wysokich rangą oficerów służb specjalnych.

Już w grudniu 2009 roku, po opublikowaniu komunikatu o skierowaniu do sądu aktu oskarżenia, Wojciech Sumliński, w wywiadzie udzielonym PR1 wyraził nadzieję, że proces odbędzie się przy otwartej kurtynie. To bardzo ważna okoliczność, ponieważ od początku istniała obawa, iż proces może przebiegać pod dyktando pułkownika komunistycznej bezpieki Aleksandra L. W akcie oskarżenia, ten były szef Zarządu I Szeffostwa WSW przyznał się do winy i chciał dobrowolnie poddać karze 2 lat więzienia w zawieszaniu na 5 lat oraz karze grzywny w wysokości 50 tys. zł. Prokuratura poparła to rozstrzygnięcie. Nietrudno zrozumieć, że decyzja Aleksandra L. o przyznaniu do winy wywarła niekorzystny wpływ na pozycję procesową drugiego oskarżonego, a w powstałej sytuacji można było się spodziewać, iż zeznania oficera WSW będą obciążające dla dziennikarza.

Podczas pierwszego posiedzenia sądu doszło do kuriozalnej sytuacji. Obecni na rozprawie Antoni Macierewicz i Piotr Bączek złożyli wniosek o umożliwienie im uczestnictwa w procesie w charakterze oskarżycieli posiłkowych. Wniosek poparł oskarżony Wojciech Sumliński i jego obrońcy, jednak prokurator wyraźnie się temu sprzeciwił.

Obrońcy dziennikarza wskazali na podstawy prawne, w oparciu o które Antoni Macierewicz i Piotr Bączek powinni zostać oskarżycielami posiłkowymi. Wypowiadając się na temat sprawy Antonii Macierewicz wielokrotnie podkreślał, że jego zdaniem na ławie oskarżonych powinien zasiąść nie Wojciech Sumliński, a były oficer WSI ppłk Leszek T. oraz obecny prezydent, Bronisław Komorowski. Antoni Macierewicz złożył w tej sprawie odpowiednie wnioski do prokuratury, nie zostały one jednak uwzględnione.

Do dziś odbyło się kilkadziesiąt rozpraw, podczas których zeznawali m.in. Paweł Graś, Krzysztof Bondaryk, Leszek Pietrzak, Antonii Macierewicz, Sławomir Cenckiewicz.

Zeznań przed sądem nigdy już nie złożył główny i jedyny świadek oskarżenia, ppłk. Leszek Tobiasz. Przez wiele miesięcy Tobiasz skutecznie unikał stawienia w sądzie. Wojciech Sumliński twierdził: „Tobiasz nie był przesłuchany na żadnej rozprawie - był wzywany na rozprawy i nigdy się nie stawiał - nie wiadomo dlaczego. Na ostatniej rozprawie był nawet sen. Romaszewski, który pytał: „czy można tak nie stawiać się bez końca”.

Podczas rozprawy sądowej w dniu 30 stycznia 2012 roku oskarżony Aleksander L. zapowiedział, iż podczas kolejnego posiedzenia wyznaczonego na dzień 1 marca 2012 ujawni kulisy prowokacji dokonanej przez płk Leszka Tobiasza. W związku z tą zapowiedzią, sędziego Stanisław Zdun oczekiwał od oskarżonego i jego obrońcy ewentualnego wniosku o utajnienie rozprawy i przeprowadzenia jej w sali Sądu Najwyższego wyposażonej w odpowiednie urządzenia antypodслушowe. 30 stycznia 2012 sąd zdecydował także o wystosowaniu kolejnego wezwania do Leszka Tobiasza. Również Wojciech Sumliński deklarował, że będzie chciał zadać Tobiaszowi szereg pytań i wykaże, iż główny świadek prokuratury jest kłamcą, zaś sprawa oskarżenia została spreparowana przez ludzi służb specjalnych. W oświadczeniu opublikowanym tuż po rozprawie, Sumliński informował:

„Gdyby udało się przesłuchać płk. Tobiasza, gdybym zadał mu przygotowane przeze mnie pytania, to myślę, że nikt by... Zresztą tak powiedziałem podczas ostatniej rozprawy, że nie mogę się doczekać spotkania w sądzie z płk. Tobiaszem i tego momentu, w którym zadam mu te pytania i jestem ciekaw jego odpowiedzi na te pytania - to jest w aktach sprawy. I mówiłem o tym, że gdy padną te pytania, to wtedy każdy zobaczy, „jaki koń jest”. Tak, jak udało się wykazać, że Lichocki kłamał, tak samo bez problemu wykazałbym to odnośnie Tobiasza.”

Sumliński zapowiadał także, że po zeznaniach pułkownika będzie chciał ewentualnie uzupełnić swoje zeznania oraz złożyć nowe wnioski dowodowe.

Dwa tygodnie przed wyznaczonym przez sąd terminem przesłuchania Tobiasza (tj. 1 marca 2012r.) pułkownik WSW/WSI zmarł w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach. Prokuratura poinformowała, że „Tobiasz uczestniczył w imprezie integracyjnej pracowników Mazowieckiej Wojewódzkiej Komendy OHP. Po zakończeniu tańca upadł na podłogę, stracił przytomność i mimo podjętej reanimacji nie udało się go uratować.”

O wyjaśnienie przyczyn śmierci Tobiasza apelował do prokuratora generalnego poseł PiS Antoni Macierewicz. „W tej sprawie nie może być cienia wątpliwości – podkreślał Macierewicz podczas konferencji prasowej w Sejmie:

„Zmarł jeden z najważniejszych świadków w procesie tzw. afery marszałkowej, mającej na celu skompromitowanie Komisji Weryfikacyjnej WSI. Płk Leszek Tobiasz miał być w tym tygodniu po raz pierwszy przed sądem przesłuchany”.

Bez wątpienia ppłk Tobiasz był najważniejszym świadkiem w całej sprawie. To na podstawie jego zeznań wszczęto śledztwo i dokonywano szeregu czynności procesowych, m.in. przeszukania domów członków Komisji Weryfikacyjnej. To na jego zeznaniach opierał się akt oskarżenia i cała konstrukcja zarzutów wobec Wojciecha Sumlińskiego.

Zeznania Tobiasza, w wielu miejscach sprzeczne z wersją Komorowskiego, mogły mieć kluczowe znaczenie dla sprawy i być może pozwoliłyby usunąć liczne wątpliwości związane z rolą ówczesnego marszałka Sejmu.

Wojciech Sumliński podkreślał, że „jak udało się wykazać, że Lichocki kłamał, tak samo bez problemu wykazałbym to odnośnie Tobiasza”. Obrońcy dziennikarza planowali złożenie wniosku o przeprowadzenie konfrontacji, pomiędzy płk. Tobiaszem, płk. L. i przede wszystkim Bronisławem Komorowskim.

Na wieść o śmierci głównego świadka, Sumliński powiedział: „W swoich zeznaniach w prokuraturze zupełnie co innego mówił pan Tobiasz, a zupełnie co innego pan Komorowski. Przypomnę tylko, że na początku pan Tobiasz w ogóle „zapomniał” powiedzieć, że w ogóle się spotykał z panem Komorowskim, że najpierw złożył zeznania jemu, że coś sobie ustalali przez 2 miesiące podczas tajnych spotkań - w ogóle o tym nie wspominał. Dopiero później wyszło to w toku postępowania, później te materiały częściowo wyciekły do internetu. No i okazało się, że zupełnie inaczej wyglądają zeznania Tobiasza, a zupełnie inaczej Komorowskiego. One są w wielu punktach wręcz sprzeczne. I dlatego miało dojść do konfrontacji - to także było naszym celem, by weryfikować wiarygodność Tobiasza poprzez jego konfrontację z prezydentem kraju. I do tej konfrontacji miało dojść, jak to planowaliśmy, po przesłuchaniu Tobiasza.”

Warto też zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność. Oficerowie komunistycznej bezpieki często „zabezpieczali” swoje interesy i nagrywali prowadzone przez siebie rozmowy. Tak działał płk. Aleksander Lichocki i w identyczny sposób postępował ppłk. Tobiasz. Zachowywał się tak wcześniej w sprawie o kryptonimie „Anioł” – nadzorowanej przez niego operacji WSI dotyczącej arcybiskupa poznańskiego Juliusza Paetza.

WSI gromadziły wówczas nagrania i preparowały dokumenty, które miały kompromitować hierarchów Kościoła. Z informacji zawartych w Tecznie Nadzoru Szczególnego Kryptonim „Anioł” wynika, iż Tobiasz (wykorzystując Jerzego Wójcickiego, peerelowskiego ministra energetyki) przekazał zaprzyjaźnionym dziennikarzom dokładne dane dotyczące biskupa i użył wcześniejszych nagrań w celu skompromitowania kościelnego hierarchy. Wcześniej też ppłk Tobiasz wykorzystywał zgromadzone przez siebie materiały do pozyskania tajnych współpracowników w środowisku polityków. Po śmierci Tobiasza zwracano uwagę, że nagrywał on wszystkie rozmowy z ważnymi osobami. Natomiast w prokuraturze znalazły się tylko

niektóre z tych nagrań, pozostałe zaś trafiły prawdopodobnie do prywatnego archiwum pułkownika. Nie można wykluczyć, że w poczuciu zagrożenia lub działając we własnym interesie Tobiasz miał zamiar upublicznić te nagrania. Gwałtowna śmierć głównego świadka poważnie skomplikowała sytuację procesową. Niemożliwe będzie przesłuchanie Tobiasza i ustalenie przebiegu wydarzeń, które doprowadziły do procesu sądowego. Niemożliwa będzie weryfikacja jego zeznań złożonych w trakcie śledztwa oraz wykazanie istotnych rozbieżności z zeznaniami Bronisława Komorowskiego. Niemożliwa też będzie realizacja wniosku Wojciecha Sumlińskiego o przeprowadzenie konfrontacji pomiędzy płk. Tobiaszem, płk. Aleksandrem L. i Bronisławem Komorowskim - w celu wyjaśnienia rozlicznych rozbieżności istniejących w zeznaniach tych osób.

Proces w sprawie afery marszałkowej jest zjawiskiem wręcz niezwykłym, jak na standardy cywilizowanego państwa. Mogłoby się wydawać, że przewód sądowy, w którym rozstrzygają się tak ważne kwestie dotyczące działalności służb specjalnych, udziału najważniejszych polityków i dziennikarzy, będzie budził szczególne zainteresowanie mediów i opinii publicznej. Zarówno kontekst wydarzeń, które doprowadziły do procesu, jak też nazwiska świadków, w tym urzędującego prezydenta, powinny sprawić, że proces ten będzie znajdował się w centrum zainteresowania, stanie się przedmiotem wielu analiz, artykułów prasowych i programów telewizyjnych.

Tymczasem nad sprawą panuje kompletna cisza. Sala sądowa Sądu Rejonowego Warszawa Wola świeci zwykle pustkami, nie ma na niej dziennikarzy ani obserwatorów. Gdyby nie praca kilku blogerów (głównie blogera o ps. ander) nie znalazłbyśmy nawet przebiegu rozpraw i treści zeznań świadków.

Proces nie wzbudza żadnego zainteresowania głównych mediów, bardzo niechętnie lub zdawkowo informują o nim również media zwane niezależnymi. Nie powstało dotąd ani jedno całościowe sprawozdanie, nie wypowiedział się żaden „autorytet” prawniczy, milczą telewizje i znani publicyści.

.....

Powyższy tekst jest fragmentem rozdziału mojej nowej książki „**Afera marszałkowa**”. Książka została wydana przez wydawnictwo Bollinari Publishing House i w najbliższych dniach ukaże się w sprzedaży.

841. BELWEDERSKA PIĘŚĆ

„Chciałem podziękować postom Prawa i Sprawiedliwości za deklarację wsparcia starań Prezydenta Bronisława Komorowskiego dotyczących wzmocnienia bezpieczeństwa Polski w obliczu zmian w naszym otoczeniu strategicznym. Tak bowiem rozumiem zapowiedź poparcia inicjatywy zwiększenia nakładów obronnych o 0,05% PKB, które zamierzamy przeznaczyć na przyspieszenie procesu modernizacji sił zbrojnych” – napisał gen. Stanisław Koziej w oświadczeniu zamieszczonym na stronie BBN.

Podziękowania szefa BBN mają związek z informacją przekazaną przez PAP, iż PiS „zaapelował do prezydenta i rządu, aby do końca lipca przedstawili w Sejmie projekt ustawy zwiększającej do 2 proc. PKB wydatki na wojsko. Jeśli tak się nie stanie, PiS zapowiada własną inicjatywę legislacyjną w tej sprawie.” Wiceprezes PiS Beata Szydło podczas konferencji prasowej wyraziła nadzieję, że „pieniądze na polską armię będą wydawane przede wszystkim w Polsce, co będzie stanowić wsparcie dla polskiego przemysłu.”

Mogę zrozumieć, że reprezentanci Prawa i Sprawiedliwości nie dostrzegają politycznego kontekstu swojej deklaracji i nie pojmują, iż wspieranie „projektów zbrojeniowych” lokatora Belwederu jest aktem samobójczym. Gdyby politycy opozycji wierzyli, że propozycją ustawy w/s budżetu MON „ograją” Komorowskiego lub wymuszą sensowne rozwiązania, ich plany zostaną zweryfikowane przez sejmową arytmetykę i rozbite na osłonie medialnej lokatora Belwederu. Podziękowania gen. Kozieja aż nadto dowodzą, że chodzi o propagandową rozgrywkę.

Potrafię również dostrzec, że sprawy obronności i bezpieczeństwa militarnego nie należą do priorytetów programowych opozycji (nie przypadkiem znalazły się na ostatnim miejscu Programu PiS 2014), zaś politycy tej partii nie mają wiedzy o rekomendacjach belwederskiego SPBN i założeniach tzw. doktryny Komorowskiego. Gdyby było inaczej, deklaracji o wsparciu pomysłu Belwederu nie sposób byłoby wytlumaczyć nawet rażąco głupotą.

Trudno jednak pojąć, dlaczego opozycja chce wyrzucać pieniądze na konserwację komunistycznego skansenu, zwanego siłami zbrojnymi III RP, daje dodatkowe środki ignorantowi na stanowisku ministra obrony narodowej (co w praktyce oznacza oddanie ich generalskiemu lobby) oraz popiera wzmocnienie środowiska, które ma tworzyć fundamenty reżimu prezydenckiego?

Gdyby do obecnej deklaracji PiS przyłożyć miarę ocen zawartych w partyjnym dokumencie Program 2014, można byłoby zadziwić się nad zdumiewającą niekonsekwencją oświadczeń opozycji. Warto wiedzieć, że oceny ekspertów PiS na temat zarządzania armią, sposobów jej finansowania i uzbrojenia, są zdecydowanie negatywne.

Wydaje się, że politycy PiS zapomnieli, jak dotychczas przebiegała „modernizacja techniczna sił zbrojnych” i w jaki sposób MON gospodaruje budżetem, przerzucając pieniądze do tzw. rezerw celowych i oszczędzając na „priorytetowe zadania modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach programów operacyjnych”.

Początek tej farsy miał miejsce 12 kwietnia 2013 r., gdy Bronisław Komorowski podpisał nowelizację ustawy o modernizacji technicznej i finansowaniu Sił Zbrojnych. Miała ona zagwarantować finansowanie tzw. „polskiej tarczy antyrakietowej” – niedorzecznego pomysłu ogłoszonego przez Komorowskiego w roku 2012. Nowelizacja będzie obowiązywać w latach 2014-2023 i przewidziano w niej, że w ramach budżetu przeznaczanego na obronność, kwoty wynikające ze wzrostu gospodarczego będą kierowane na wyposażenie wojska w środki obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej.

Jak wskazywałem wówczas, jest to oryginalny sposób na budowę reżimu prezydenckiego (m.in. poprzez zwiększanie wpływów w armii i służbach specjalnych) oraz konserwację patologii III RP. Wprawdzie „polska tarcza” nie zostanie nigdy zbudowana, to pomysł ten spełnia oczekiwania Kremla (co prasa moskiewska wyraziła już przed dwoma laty), umożliwi polityczną eksploatację tezy o tworzeniu „własnego potencjału obronnego” oraz pozwala generować olbrzymie środki na rzecz środowisk związanych z przemysłem zbrojeniowym.

Tu właśnie pojawia się szczególnie nurtujące pytanie: jak należy rozumieć deklarację polityków PiS, by „pieniądze na polską armię były wydawane przede wszystkim w Polsce, co będzie stanowić wsparcie dla polskiego przemysłu”?

Gdyby podobna deklaracja pojawiła się w czasie prezydentury Lecha Kaczyńskiego lub w okresie rządów PiS – byłaby doskonale uzasadniona. Jeśli pojawia się w czasie, gdy władzę sprawuje „architekt Rzeczypospolitej aferałnej”, a gabinet Tuska

(działając według rekomendacji belwederskiego SPBN) dokonuje tzw. konsolidacji przemysłu zbrojeniowego – trzeba stawiać takie pytania.

Przypomnę, że na początku tego roku rząd zdecydował o wniesieniu udziałów 12 spółek należących do Skarbu Państwa do spółki Polska Grupa Zbrojeniowa SA. Zarejestrowana w grudniu ubiegłego roku PGZ ma liczyć ok. 30 podmiotów i będzie podlegać ministrowi skarbu. Szef MON stwierdził wówczas, iż „konsolidacja przemysłu obronnego jest konieczna, aby realizować wielkie zamówienia zbrojeniowe”. Proces ten ma zakończyć się jesienią br. Przed kilkoma dniami poinformowano natomiast, że nad sztandarowym projektem Belwederu - systemem obrony przeciwlotniczej i przeciwraketowej, wspólne prace badawcze podjął już Holding Obronny wraz z Wojskową Akademią Techniczną oraz Politechniką Warszawską.

Czytając „propaństwowe” deklaracje polityków opozycji oraz kolejne doniesienia o konsolidacji zbrojeniówki, nie mogę pozbyć się wrażenia, że jesteśmy świadkami jakiejś przedziwnej rozgrywki i realizacji scenariusza, którego konspekt został dawno napisany. Jako zwolennik teorii spiskowych, nie mogę nie pamiętać osobiście wypowiedzi prof. Jadwigi Staniszkis, która w sierpniu 2011 roku w wywiadzie dla 5 numeru pisma „Rzeczy Wspólne” podzieliła się zaskakującym przemyśleniem. Staniszkis stwierdziła, że lokator Belwederu „mógłby – i powinien – patronować odbudowie polskiego przemysłu”, dodając przy tym, że „kołem zamachowym naszej gospodarki mogłyby być technologie wojskowe”. Zdaniem Staniszkis, „to, co było dotychczas dla mnie jedną z największych wad prezydenta Komorowskiego, to, że w jego otoczeniu są ludzie z dawnych Wojskowych Służb Informacyjnych, być może okaże się zaletą”. Ta profetyczna wizja została wkrótce powtórzona, gdy pani profesor dostrzegła „szansę na chłodną kooperację między prezydentem Bronisławem Komorowskim a opozycją”. Mogłaby ona zaistnieć, jeśli Komorowski „wystąpi zdecydowanie z wizją technologicznego rozwoju”, a podstawą działań miałyby stać się „programy przygotowane przez środowisko Wojskowej Akademii Technicznej i nowoczesne firmy zbrojeniowe zawierające wizję, jak należy dopasować państwo do strategii, która da szanse rozwoju i nowoczesności”. Zdaniem Staniszkis jest to wizja bliska PiS –owi, może jednak powodować napięcia między premierem a prezydentem.

Lokator Belwederu zdaje się dobrze rozumieć potrzebę posiadania „wizji technologicznego rozwoju”. Nawijając obecnie do swojego pomysłu podniesienia do 2 proc. PKB nakładów na system obronny, Komorowski podzielił się wyznaniem: „Mam nadzieję, że wszystkie siły polityczne reprezentowane w parlamencie tę decyzję uszanują i poprą. (...) Trzeba być jak jedna silna, zwarta, pancerna, polska pięść także w kwestii poziomu finansowania polskiego systemu obronnego. Damy tego dowody na poziomie współpracy prezydenta i rządu, i jestem przekonany, że na poziomie współpracy całości parlamentu, z koalicją i opozycją.”

Wydaje się, że (nie po raz pierwszy) zastawiono tu potężną pułapkę na opozycję. Po raz pierwszy jednak, pułapka ta może zamknąć się na tyle skutecznie, by PiS nie mógł się z niej wydostać. Najbliższy rok upłynie bowiem nie tylko na prowadzeniu ostrej walki wyborczej (w której D. Tusk przyjmie rolę politycznego kondensatora) ale będzie czasem reaktywacji i rewalidacji wpływów środowiska byłych WSI. Przygotowywane obecnie ustawy oraz rozstrzygnięcia prawne (w tym dotyczące prac Komisji Weryfikacyjnej WSI) nie pozostawiają wątpliwości, że proces zostanie zamknięty w roku wyborczym.

Reaktywacja wpływów byłych WSI nie ogranicza się do belwederskiej reformy służb. Jej najważniejszym elementem jest zamiysł powierzenia ludziom tej formacji nadzoru nad technologiami wojskowymi oraz zaangażowanie w procesy gospodarcze związane z modernizacją Sił Zbrojnych i konsolidacją przemysłu zbrojeniowego. To jeden z tych obszarów gospodarki, który można swobodnie eksploatować pod osłoną rozmaitych militarnych straszaków i propagandowych haseł.

Jeśli partia opozycyjna nie dostrzega tych zagrożeń – nie warto będzie żałować przegranej PiS-u. Jeśli jednak opozycja rozpoznała zamysły Belwederu, lecz godzi się na kolejną kadencję Komorowskiego i liczy na wyborcze nowe rozdanie - nie powinniśmy być zdziwieni, gdy belwederska „pięść” zostanie zaciśnięta.

842. GRA PUTINA CZY OFENSYWA BELWEDERU ?

Od początku tzw. afery taśmowej pojawiają się opinie, że mamy do czynienia z „rosyjską grą”, a rzeczywistych mocodawców tej kombinacji należy poszukiwać za wschodnią granicą. Według tej koncepcji, tłem obecnych rozgrywek miałaby być sprawa Azotów, w której strona rosyjska szuka sposobów na przejęcie polskiego przedsiębiorstwa i próbuje skłonić Tuska do ustępstw. Wprawdzie tego typu opinie nie są poparte racjonalną argumentacją, zdobywają jednak coraz większą popularność i utwierdzają odbiorcę w przeświadczeniu, że ma do czynienia z grą obcego wywiadu.

Warto zatem zauważyć, że ktokolwiek wymyślił tak absurdalną hipotezę oraz jej pochodne (np. rosyjska zemsta za stanowisko Tuska w sprawie Ukrainy) lub daje wiarę podobnym pomysłom, musi też przyjąć przynajmniej dwie przesłanki: ekipa Tuska stanowi zagrożenie dla strony rosyjskiej i jest przeciwna rosyjskiej ekspansji na nasz przemysł chemiczny.

Rosyjska gra przeciwko Tuskowi byłaby racjonalna tylko wówczas, gdyby działania tego rządu istotnie zagrażały interesom Kremla lub były z nimi sprzeczne. Tymczasem takiej przesłanki nie da się obronić, ponieważ dotychczasowe działania reżimu nigdy i w niczym nie zagrażały stronie rosyjskiej.

W kontekście sprawy Azotów przypomnę fakty:

1. W kwietniu 2013 r. Donald Tusk zdymisjonował ze stanowiska szefa resortu skarbu, Mikołaja Budzanowskiego. Oficjalnym powodem dymisji miało być „wzmocnienie nadzoru nad spółkami strategicznymi, tak by interesy naszego kraju nie doznały uszczerbku”. Z żądaniem dymisji Budzanowskiego wystąpił PiS, zaś odejście ministra odnotowano jako sukces opozycji.
2. Miesiąc później alarmowano, że rosyjscy inwestorzy posiadają już w Grupie Azoty 9,7 procent głosów, podczas gdy skarbu państwa zmniejszył swoją kontrolę nad Grupą z 45 na 33 procent głosów. Wiceminister skarbu państwa Paweł Tamborski uspokajał wówczas, że jego resort nie pozwoli na przejęcie pakietu kontrolnego Grupy Azoty. Skarbu Państwa miał wówczas zabezpieczyć swoje interesy w taki sposób, że wykonywanie prawa głosu z posiadanych akcji zostało ograniczone do 20 procent.
3. W tym samym czasie „Rzeczpospolita” poinformowała o wizycie w Moskwie polskiej delegacji parlamentarnej pod kierownictwem Schetyny i Cimoszewicza. Odbędzie się w lutym 2013 r. Opisano, jak Rosjanie - z szefem Acronu Wiaczesławem Kantorem na czele, w sposób bezpośredni zażądali dymisji ministra Budzanowskiego. Gazeta przytaczała słowa szefa zagranicznej komisji Rady Federacji Michaiła Margielowa, który wypomniął Schetynie: „Dyskryminujecie rosyjski kapitał. Zablokowaliście inwestycję Wiaczesława Kantora w Azotach”. Podano również, że wieczorem polscy goście zostali zaproszeni na kolację. Byli zaskoczeni, bo obok rosyjskich polityków spotykali W. Kantora. Otwarty lobbying i domaganie się wyrzucenia ministra skarbu były głównymi tematami wieczoru.
4. Po koniec 2013 r. pojawiły się doniesienia, że Acron pośrednio posiada już ponad 15 procent akcji Grupy Azoty SA. Okazało się również, że mimo wprowadzonych w statucie Grupy zmian uprzywilejowujących skarbu państwa i ograniczających prawo

głosu innych dużych akcjonariuszy, wrogie przejęcie Azotów jest nadal możliwe, ponieważ Rosjanie mogą skutecznie zaskarżyć zmianę, jako niezgodną z prawem unijnym. Szef Acronu W. Kantor poinformował, że jego spółka będzie dążyć do uzyskania poziomu przynajmniej 20 procent akcji.

5. W maju br. minister skarbu oznajmił, że rząd chce dokonać operacji, które doprowadzą do zwiększenia wartości Grupy Azoty. Deklaracja ta padła tuż po dokonaniu olbrzymiego zakupu 1,2 mln akcji tej spółki o wartości 91 mln zł do jakiego doszło 16 maja 2014 r. Wiele wskazuje, że nabywcą był Władysław Kantor, który realizuje swoje zakupy przez wynajęte fundusze inwestycyjne.

Jest wielce prawdopodobne, że Rosjanie już dysponują lub wkrótce będą dysponowali 20 procentami akcji Grupy Azoty, co pozwoli Akronowi umieścić swojego przedstawiciela w Radzie Nadzorczej Grupy oraz uzyskać wiedzę o wszelkich jej działaniach i planowanej strategii. Po przejęciu tych udziałów, Rosjanie mogą zaskarżyć w Trybunale Sprawiedliwości UE zapisy w statucie Azotów, które uprzywilejowują pozycję ministerstwa skarbu. Jak podkreślają eksperci, firma Kantora ma realne szanse na wygranie sądowej batalii.

Warto zatem zadać pytanie: czy w kontekście obecnej sytuacji, służby Putina rozpoczynają tak ryzykowną kombinację operacyjną wymierzoną w rząd Donalda Tuska? Ryzykowną również z tego powodu, że potencjalny upadek gabinetu nie daje Rosjanom żadnej gwarancji przejęcia Grupy Azoty i wiąże się z ogromnym ryzykiem przechwycenia władzy przez opozycję. Gdyby zaś rząd Tuska ugiął się dziś pod presją i ułatwił Kantorowi przejęcie Azotów, byłoby to strategią wręcz samobójcza, a za względu na czytelne okoliczności - szyta zbyt grubymi nićmi.

Trzeba zatem przyjąć, że gra taśmami zmierzałaby jednak do destabilizacji sytuacji politycznej i przeprowadzenia przedterminowych wyborów. Wówczas decyzja w sprawie Azotów należałaby do kolejnego rządu, co oznacza, że Rosjanie musieliby zapewnić sobie nie tylko wpływ na skład nowego gabinetu, ale poparcie dla własnych projektów. Biorąc pod uwagę, że przynajmniej od 2009 roku grupa Tuska jest bezwzględnie podporządkowana interesom rosyjskim i nigdy nie wykazywała woli zerwania tych więzów, trudno sobie wyobrazić, by próbowano ją zastąpić nieznaną i wielce niepewną ekipą.

W zasadzie, te argumenty powinny być wystarczające dla obalenia tezy o „rosyjskiej grze”. Tezy szkodliwej również dlatego, że fałszuje stan rzeczywisty i zawiera implikację, jakoby Tusk był tym, który nie tylko „Rosjanom się nie kłania” ale posiada zdolności do obrony polskiej racji stanu.

Wydaje się oczywiste, że kombinację zmierzającą do zdyscyplinowania grupy Tuska lub do wymiany obecnej ekipy, może podjąć tylko taki ośrodek władzy, który dysponuje realnymi narzędziami wpływu oraz potrafi uruchomić mechanizmy bezpiecznego przeprowadzenia „nowego rozdania”. Bezpiecznego, a zatem takiego, które nie doprowadzi do niekontrolowanego upadku triumwiratu „grupy trzymającej władzę” (politycy-oligarchowie-służby) i nie zagrazi fundamentom III RP.

W tym państwie istnieje tylko jeden ośrodek posiadający takie predyspozycje i konstytucyjne umocowanie. Od dawna też wskazuje, że to ośrodek belwederski ma dostatecznie ważne powody, by nakłonić grupę Tuska do określonego zachowania oraz wymusić decyzje korzystne dla reżimu prezydenckiego. Wskażę tylko trzy z takich powodów:

- sprawę tzw. reformy służb, przeprowadzonej wprawdzie według projektu prezydenckiego BBN-u, w której jednak rząd Tuska próbuje nie dopuścić, by w nowym organie ds. kontroli służb - Komisji Kontroli Służb Specjalnych zasiadał przedstawiciel prezydenta. W konsekwencji takiego rozwiązania Komorowski zostałby pozbawiony wpływu na decyzje dotyczące służb oraz możliwości uzyskiwania istotnych informacji;

- sprawę dodatkowych pieniędzy na zbrojenia (w ramach tzw. doktryny Komorowskiego) oraz „konsolidacji przemysłu zbrojeniowego” (na ten temat pisałem w poprzednim tekście) ;

- sprawę nowelizacji ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego oraz ustawy o służbie funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służby Wywiadu Wojskowego, w której przewiduje się „*ustanowienie mechanizmów zapewniających osobom zainteresowanym odpowiednich gwarancji proceduralnych przez wprowadzenie prawa dostępu do akt, możliwości składania wyjaśnień oraz uruchomienie sądowej kontroli decyzji o podaniu do publicznej wiadomości danych osobowych objętych raportem z weryfikacji WSI*”.

Ta ustawa, w połączeniu z orzeczeniem Sądu Najwyższego, do którego trafiło zapytanie w kwestii odpowiedzialności Antoniego Macierewicza za sporządzenie raportu, mogłaby stanowić podstawę działań zmierzających do pełnej rehabilitacji byłych WSI oraz rewalidacji wpływów tego środowiska.

Gdyby partia opozycyjna oraz „nasi” publicyści zechcieli poważnie potraktować taki scenariusz, jest jeszcze szansa, że na tej „wojnie dwóch pałaców” można ugrać polski interes. Jeśli bowiem mamy do czynienia z wewnętrzną inspiracją obecnego kryzysu, hasła „obrony demokracji” itp. komunały, wpisują się jedynie w plany Belwederu i nie przynoszą żadnej nowej jakości. To nie jest walka o naszą wolność ani naszą demokrację.

Bronisław Komorowski nie jest zaś „malowanym prezydentem” i przez pierwszą kadencję potrafił zadbać o umocnienie swojej władzy. Dość prześledzić ustawowe prerogatywy w zakresie wprowadzenia stanu wyjątkowego bądź decyzji personalnych w armii i służbach oraz dostrzec wpływy Belwederu w mediach, by zrozumieć, że wizja utraty kontroli nad procesami wyborczymi jest wielce problematyczna. To ośrodek belwederski rozdaje dziś karty i będzie to robił również po wyborach. By wygrać na obecnym zamieszaniu, trzeba zdecydowanie rozszerzyć działania opozycji, wyjść poza cele wytyczone kombinacją i zaatakować tam, gdzie rezyduje prawdziwy decydujący.

LIPIEC

843. OFFSET – CZYLI JAK ZAROBIĆ NA DRUGĄ KADENCJĘ

Podpisanie przez lokatora Belwederu nowej ustawy offsetowej, to najważniejsze wydarzenie ostatnich dni. Ponieważ temat przekracza obszar medialnych wrzutek i jest bardziej skomplikowany od rezonowania kombinacji pt. afera podsłuchowa, nie został odnotowany przez „nasze” media, a tym bardziej, nie spotkał się z reakcją opozycji. To dostatecznie dobra rekomendacja, by zaprezentować go na moim blogu.

Nie chcąc zanudzać czytelników nadmiarem szczegółowym informacją, wskażę jedynie, że nowa ustawa o *niektórych umowach kompensacyjnych zawieranych w związku z umowami dostaw na potrzeby obronności i bezpieczeństwa państwa oraz niektórych innych ustaw* (jak brzmi jej pełna nazwa), dotyczy zamówień „niezbędnych dla bezpieczeństwa państwa”. Zgodnie z nowymi regulacjami, za realizację offsetu będzie odpowiedzialne Ministerstwo Obrony Narodowej, a nie (jak

dotychczas) Ministerstwo Gospodarki. Druga istotna zmiana polega na odejściu od zasady, iż offset ma wspierać rozwój polskiej gospodarki. Od dziś nowe umowy offsetowe przede wszystkim „*mają służyć ochronie podstawowych interesów bezpieczeństwa państwa*” i nie będą ograniczane interesem ekonomicznym. Oznacza to, że offset zmieni charakter z czysto ekonomicznego (jako czynnik kompensujący wydatki państwa poniesione za granicą) na obronny.

Jak wyjaśnia portal *defence24.pl*, „*od wejścia podpisanej 7 lipca w życie ustawy za offset będzie się uznawać współpracę między Skarbem Państwa a kontrahentem zagranicznym w celu zapewnienia polskiemu potencjałowi przemysłowo – obronemu zdolności „niezbędnych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa”, o charakterze produkcyjnym czy remontowym, a także transferu technologii. Wcześniej umowa offsetowa miała zapewnić udział zagranicznych dostawców w restrukturyzacji i rozwoju gospodarki Rzeczypospolitej Polskiej.*”

Zdaniem twórców, nowa ustawa ma służyć „*dostosowaniu do wymogów prawa unijnego*” i prowadzić do „*wzmocnienia sił zbrojnych i krajowego przemysłu zbrojeniowego*”. Gdyby III RP była państwem prawa i demokracji, zaś rządy sprawowali reprezentanci polskiej racji stanu - zapewne tak można byłoby interpretować niektóre zapisy ustawy. W hybrydzie PRL-u, to propagandowa mrzonka.

Ustawa offsetowa ma w zasadzie jedno, praktyczne zastosowanie. Od tej chwili MON (a właściwie ludzie zarządzający zbrojeniówką oraz grupa wyższych oficerów zajmujących się zakupami uzbrojenia) otrzyma prawo dokonywania transakcji według własnego uznania. Kryterium nazwane szumnie „*podstawowym interesem bezpieczeństwa państwa*” jest bowiem tyleż pojemne, jak nieprecyzyjne. W warunkach III RP, gdzie stanowisko szefa MON zajmuje kompletny ignorant, a o polityce zbrojeniowej decydują belwederscy „stratedzy”, ustawa offsetowa jest ogromnym prezentem legislacyjnym na rzecz lobby zbrojeniowego.

Prezentem wielce kosztownym, bo tylko w tym roku „plan modernizacji technicznej” sił zbrojnych przewiduje wydanie ponad 8 mld zł na zakup nowych rodzajów broni. Jeśli zaś Komorowskiemu uda się zdyscyplinować rząd Tuska, można liczyć, że od przyszłego roku budżet ten wzrośnie.

Prace nad ustawą trwały od 2012 roku, a jej zapisy usankcjonowały wiele z dotychczasowych praktyk MON, w tym dokonywanie zakupów bez offsetu. W ten sposób zakupiono w ubiegłym roku 307 Rosomaków czy używane czołgi Leopardy. Być może za kilka lat dowiemy się o okolicznościach, w jakich zawarto te umowy. Nie jest też tajemnicą, że przekazanie uprawnień do MON oznacza nieuchronną eliminację offsetu z umów zbrojeniowych. Stanie się tak z korzyścią dla tych, którzy sprzedają i kupują uzbrojenie, choć niekoniecznie z korzyścią dla państwa.

Ustawa otwiera ogromne pole do nadużyć i korupcji. Jeśli bowiem offset jest wkalkulowany w cenę każdego sprzętu wojskowego, a kontrahent go nie chce, oznacza to, że uczestnicy negocjacji mają „do podziału” określoną kwotę. Sprzedawca dostanie zatem premię za przygotowanie korzystnej umowy, kupujący otrzyma zaś cenne „suweniry” itp. dowody wdzięczności. Jak i do kogo one trafią, zostanie okryte tajemnicą negocjacji handlowych.

Warto zauważyć, że ustawa wchodzi w życie w tym samym czasie, gdy w ramach tzw. konsolidacji przemysłu zbrojeniowego powołano Polską Grupę Zbrojeniową. Już na początku tego roku rząd zdecydował o wniesieniu udziałów 12 spółek należących do Skarbu Państwa do nowoutworzonej spółki PGZ SA. Docelowo ma ona liczyć ok. 30 podmiotów i będzie podlegać ministrowi skarbu. Szef MON stwierdził wówczas, iż „*konsolidacja przemysłu obronnego jest konieczna, aby realizować wielkie zamówienia zbrojeniowe*”. Proces ten ma zakończyć się jesienią br.

Ponieważ po udanym przeprowadzeniu „konsolidacji” MON utraci realne wpływy na przemysł zbrojeniowy (pozbędzie się kontroli nad zakładami wojskowymi), staje się oczywiste, że zapisy ustawy offsetowej są fikcją. O zakupach broni nie będą decydowali urzędnicy ministerialni, lecz przedstawiciele lobby zbrojeniowego. Tam też trafią pieniądze przeznaczone na „modernizację sił zbrojnych” - dokonywaną według projektów Belwederu i futurystyczno-propagandowej wizji pod nazwą „doktryna Komorowskiego”. Można się spodziewać, że przy umiejętnym rozgrywaniu różnych straszaków i demagogicznych haseł, będą to największe pieniądze, jakie wypłyną z budżetu III RP w najbliższych latach. Posłużą one nie tylko umocnieniu lobby zbrojeniowego (w którym główną rolę będą odgrywali ludzie związani z byłymi WSI) i utrwaleniu władzy komunistycznych trepów nad siłami zbrojnymi, ale będą jednym z najważniejszych „grantów” stabilizujących reżim prezydencki.

844. BELWEDER IDZIE NA WOJNĘ

Po raz kolejny znajdujemy potwierdzenie, że określanie lokatora Belwederu mianem „malowanego prezydenta” lub przypisywanie mu „żyrandolowej” nieudolności, jest nie tylko aktem rażącej głupoty, ale powinno być podciągnięte pod zarzut celowej dezinformacji.

Projekt ustawy o *zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej oraz niektórych innych ustaw*, skierowany dziś przez Komorowskiego do Sejmu, to bodaj najgroźniejszy pomysł legislacyjny powstały w środowisku Belwederu, związany z budową reżimu prezydenckiego.

Jak już wielokrotnie przypominałem, od czasu objęcia stanowiska prezydenta, Bronisław Komorowski wykazuje zaangażowanie w bardzo szczególnym obszarze polityki. Obejmuje on sprawy bezpieczeństwa, wojskowości i służb specjalnych. Jedną z pierwszych inicjatyw ustawodawczych polityka PO, była *nowelizacja ustawy o stanie wojennym oraz kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych*. Na jej podstawie lokator Belwederu uzyskał prawo, by na wniosek Rady Ministrów wprowadzić stan wojenny lub stan wyjątkowy w sytuacji „*szczególnego zagrożenia dla ustroju państwa*” lub w przypadku „*działań w cyberprzestrzeni*” – przy czym definicje tych zagrożeń nie zostały nigdy sprecyzowane, co pozwala ich autorom na dowolną interpretację. Uchwalona w ekspresowym tempie nowelizacja dawała Komorowskiemu realne narzędzie, przy pomocy którego można np. anulować każdy niekorzystny werdykt wyborczy, lub zablokować zmiany groźne dla układu rządzącego.

Opiniując belwederski projekt, prof. dr hab. Andrzej Szymt, ekspert ds. legislacji w Biurze Analiz Sejmowych, wyrażał poważne wątpliwość, co do potrzeby i kształtu proponowanej nowelizacji i zwracał uwagę, że termin „działania w cyberprzestrzeni” nie został w żaden sposób zdefiniowany i jest terminem „*o nieustalonej treści normatywnej, raczej dość potocznej „zbitką pojęciową*”. Zdaniem prof. Szymta „*prawne dookreślenie tego pojęcia ma istotne znaczenie, gdyż wiąże się z konsekwencjami w sferze praw i wolności człowieka i obywatela*”.

Szereg propozycji prawnych oraz tzw. rekomendacji, zawarto w szandarowym dziele belwederskich strategów - Strategicznym Przeglądzie Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN), w ramach którego powstały koncepcje dokonywanej już

„reformy służb specjalnych” oraz „reformy systemu dowodzenia siłami zbrojnymi” i „modernizacji technicznej i finansowania sił zbrojnych”.

Kilka legislacyjnych posunięć zwiększyło wpływ Belwederu na armię (w tak newralgicznych kwestiach, jak obsada najwyższych stanowisk, rozbudowa „potencjału obronnego” i modernizacja przemysłu zbrojeniowego) oraz dało podstawę do wdrożenia prezydenckiej „koncepcji kulaka”, w której znacząco ograniczono uprawnienia cywilnego wywiadu i kontrwywiadu, utworzono nową służbę (Narodowe Centrum Kryptologii) i umocniono formacje wojskowe. Przeprowadzone w ramach tego projektu roszady personalne, polegały na zastąpieniu złych, nieudolnych (lecz powiązanych z PO) szefów służb i ministerstw, ludźmi „drugiego szeregu”, równie bezbarwnymi, jak bezwolnymi wobec dyspozycji Belwederu. Nie tylko osłabiło to władzę Tuska i jego marionetkowych ministrów, lecz pozwoliło przesunąć centrum decyzyjne w sprawach bezpieczeństwa w stronę środowiska belwederskiego.

Gdy w następnych miesiącach powstawały kolejne regulacje prawne, w których poszerzano zakres władzy Belwederu nad siłami zbrojnymi, a cały system bezpieczeństwa narodowego III RP podporządkowano tzw. doktrynie Komorowskiego, stwierdzenie szefa BBN, iż - „wojsko to nasza polisa ubezpieczeniowa”, nabierało szczególnego znaczenia.

W ostatnich miesiącach uwaga Pałacu Prezydenckiego skoncentrowana była na kilku, podstawowych kwestiach:

- dokonania „konsolidacji przemysłu zbrojeniowego” oraz zapewnienia finansowania budżetu MON na poziomie 2 proc PKB;
- przeprowadzenia nowelizacji ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego, w której zawarto procedury „uzupełnienia raportu” z Weryfikacji WSI, przewidując również środki prawne mające ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy tej służby;
- „domknięcia” reformy służb, przeprowadzonej według projektu prezydenckiego BBN, w której rząd Tuska próbował nie dopuścić, by w nowym organie ds. kontroli służb - Komisji Kontroli Służb Specjalnych zasiadał przedstawiciel prezydenta. W konsekwencji takiego rozwiązania Komorowski zostałby pozbawiony wpływu na decyzje dotyczące służb oraz możliwości uzyskiwania istotnych informacji;
- dokonania tzw. reformy dowodzenia siłami zbrojnymi, w szczególności zaś „usprawnienia systemu kierowania obroną państwa w czasie wojny”.

W kontekście kombinacji operacyjnej o nazwie „afery podsłuchowa” warto zauważyć, że poprzedziło ją pewne znamienne wydarzenie. Na początku czerwca br. doszło do spotkania Tuska i Komorowskiego, „w sprawie zwiększenia wydatków obronnych” do poziomu proponowanego przez lokatora Belwederu. Po spotkaniu gen Koziej poinformował, że „*najwięcej uwagi poświęcono kwestii zwiększenia nakładów na wzmocnienie systemu obronnego w perspektywie wieloletniej. Ustalono, że minister finansów przygotowuje analizy możliwych sposobów realizacji tego zadania*”. Gdy kilka dni później minister finansów stwierdził, że „*w przyszłym roku bardzo trudno będzie o podniesienie wydatków na obronę*” i przypomniał, że w 2015 roku Polska musi zapłacić drugą transzę należności za myśliwce F-16 (5,5 mld zł) stało się oczywiste, że „doktryna Komorowskiego” może stać się papierowym humbugiem, a rząd nie zechce pompować dodatkowych pieniędzy w „modernizację” sił zbrojnych. Sytuację lobby zbrojeniowego poprawi natomiast podpisana przed trzema dniami ustawa offsetowa, o której informowałem w poprzednim tekście.

W pozostałych kwestiach, projekty Belwederu są realizowane planowo. 1 stycznia br. weszła w życie ustawa wprowadzająca tzw. reformę dowodzenia i kierowania armią, w której m.in. zapisano, że w czasie pokoju armią dowodzi dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, a za misje i działania w czasie kryzysu jest odpowiedzialny dowódca operacyjny. Już wówczas, gen Koziej zapowiedział, że „*obecnie prowadzone prace mają na celu doprecyzowanie przepisów kompetencyjnych i zadaniowych, których przyjęcie zwiększyłoby skuteczność przygotowywania określonych organów do kierowania obroną państwa oraz usprawniałoby sam proces kierowania obroną*”.

1 lipca br. uczestnicząc w obchodach dziesiątej rocznicy powołania Dowództwa Operacyjnego, Komorowski zapowiedział skierowanie do Sejmu projektu ustawy, „*która określi kompetencje naczelnego dowódcy na czas wojny*”. W oficjalnym komunikacie MON pojawiła się zaś informacja, że prezydencki projekt trafił już do Sejmu. Informacja (jak się okazało) nieprawdziwa, bo dopiero dziś Belweder ogłosił, że skierował projekt *ustawy dotyczącej kierowania obroną państwa w czasie wojny*. Można się domyślać, że potrzebowano kilku dni, by ustalić szczegółowy zakres władzy prezydenckiej.

„*Chcemy doprecyzować kompetencje naczelnego dowódcy sił zbrojnych*” – ogłosił gen Koziej- „*Do dzisiaj mogą być one szeroko interpretowane jako przejmowanie przez naczelnego dowódcę wszelkich władczych kompetencji w stosunku do sił zbrojnych, czyli w istocie całkowite przejęcie roli i kompetencji ministra obrony narodowej*”.

Co proponuje Komorowski? Wymienię tylko rzeczy najważniejsze, w kontekście budowy reżimu prezydenckiego.

Po pierwsze – to prezydent ma określać „*w którym dniu rozpoczyna się czas wojny na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej*”. On również postanawia o „*dniu, w którym czas wojny się skończył*”. Po drugie – to on ma kierować obroną państwa (we współdziałaniu z RM) w zakresie użycia sił zbrojnych. Po trzecie – wszystkie plany obronne i organizacyjne mają podlegać zatwierdzeniu przez prezydenta. Po czwarte – Naczelną Dowódcę Sił Zbrojnych zostanie wyznaczony przez prezydenta, a organem doradczym w „procesie kierowania obroną państwa” będzie Szef Sztabu Generalnego WP (powoływany również na wniosek prezydenta).

Nietrudno zrozumieć, że projekt zgłoszony przez Komorowskiego daje mu wręcz nieograniczone kompetencje na czas wojny lub wprowadzenia stanu wojennego. Obrona państwa oraz użycie armii podczas działań wojennych zostaną całkowicie podporządkowane środowisku belwederskiemu.

Pytałem już: dlaczego od początku prezydentury Bronisław Komorowski kładzie tak wielki nacisk na rozszerzenie swoich uprawnień w tym szczególnym zakresie? Nie życzyłbym sobie, byśmy odpowiedzi na to pytanie musieli poszukiwać w przyszłych wydarzeniach.

Dzisiaj jednak pojawia się jeszcze jedno, intrygujące pytanie: skąd lokator Belwederu czerpie pewność, że to on będzie beneficjentem tych ogromnych kompetencji? Czy przedstawiając tak wyjątkowe projekty, ma już gwarancję zachowania drugiej kadencji?

845. TERRORYZM-NARZĘDZIE PUTINA

Zestrzelenie przez Rosjan malezyjskiego Boeinga, w żadnej mierze nie jest zdarzeniem przypadkowym bądź „nieszczęśliwym wypadkiem”. Wojenna logika Putina oraz działania armii rosyjskiej na Ukrainie wskazują, że mamy do czynienia z rozmyślnym zamordowaniem blisko 300 osób i aktem terrorystycznym dokonany z zimną kalkulacją.

Istnieje co najmniej kilka przesłanek na poparcie takiej tezy, przy czym najistotniejsze wydają się informacje przekazywane bezpośrednio po zamachu. Ich wagę podkreśla fakt, że już po kilku godzinach znacząco zmieniono przekaz, a w miejsce rzetelnych wiadomości pojawił się szum medialny i dezinformacja.

Przypomnę, że pierwsze doniesienia mówiły o zestrzeleniu samolotu pasażerskiego z terytorium Rosji. Taką opinię przekazywały m.in. media na Ukrainie, powołując się przy tym na "źródła w Waszyngtonie". Francuski dziennik „Le Figaro” opublikował natomiast wypowiedzi ekspertów wojskowych (m.in. płk Pierre Serventa, doradcy w Dowództwie Operacji Sił Specjalnych), z których wynikało, że malezyjski samolot zestrzeliła rosyjska armia za pomocą rakiety ziemia-powietrze o średnim bądź dużym zasięgu. Eksperci twierdzili, że tylko Rosjanie mogli dysponować raketami (np. typu Aster) zdolnymi przenosić pociski na odległość dwukrotnie wyższą od pułapu lotu MH17.

Ukraiński kontrwywiad ujawnił treść rozmów telefonicznych, jakie prowadzili ze sobą rosyjscy terroryści. Wynika z nich, że bateria Buk M-1 przybyła na Ukrainę wraz z rosyjską obsługą. To kluczowa wiadomość, bo wbrew twierdzeniom polskojęzycznych przekazników i wywodom rodzimych „ekspertów”, zaawansowane systemy raketowe nie mogą być obsługiwane przez niewykszoloną załogę. Zakładając nawet, że strzał oddano z terytorium Ukrainy, nie jest prawdą, że dokonali go „prorosyjscy separatyści” – jak w zgodzie z kremłowską nomenklaturą nazywani są żołnierze Specnazu i agenci służb rosyjskich działający na Ukrainie.

Co istotne, obsługa zestawu M-1 mogła bez najmniejszych problemów korzystać z rosyjskich stacji radiolokacyjnych i systemów identyfikacji samolotów. Wyrzutnie Buk M-1 (o ile tej właśnie użyto) posiadają wprawdzie zintegrowany system identyfikacji radiolokacyjnej „swój-obcy”, jednak wykorzystując dane z rosyjskiego centrum dowodzenia można było precyzyjnie zidentyfikować i namierzyć ostrzeliwany obiekt. To oznacza, że rosyjscy żołnierze z obsługi wyrzutni musieli doskonale wiedzieć, iż oddają strzały w kierunku samolotu pasażerskiego. Przy tak zaawansowanej technologii, o pomyłce nie może być mowy.

Zaledwie przed dwoma miesiącami na poligonie Kapustin Jar wojska rosyjskie z Zachodniego Okręgu Wojskowego intensywnie ćwiczyły odpieranie ataku z powietrza. Podczas manewrów, szczególną wagę przywiązywano do zadań wykonywanych przez obsługi kompleksów S-300, Buk-M1 i Pancir-S. Wyrzutni tych użyto następnie na Ukrainie. 16 lipca, a zatem dwa dni przed zestrzeleniem pasażerskiego Boeinga, tuż przy granicy z Rosją zestrzelony został ukraiński myśliwiec Su-25M1. Dzień później, pociskiem wystrelanym z terytorium Federacji Rosyjskiej, zniszczono ukraiński samolot transportowy AN-26. Oznacza to, że armia rosyjska w pełni kontrolowała nadgraniczną przestrzeń powietrzną nad Ukrainą i urządziła tam bandyckie „polowania”.

O intencjach Rosjan świadczy również zamknięcie czterech korytarzy powietrznych w pobliżu granicy, włącznie z tym, który przemierzał pasażerski Boeing. Korytarze zamknięto kilka godzin przed zestrzeleniem samolotu, nie informując o tym strony ukraińskiej. Taka sytuacja miała miejsce po raz pierwszy, zatem zachowanie Rosjan mogło sugerować, że już wówczas planowano atak i dla celów dezinformacyjnych próbowano zastawić pułapkę.

Przypuszczenia te znalazły potwierdzenie, gdy natychmiast po zestrzeleniu samolotu pojawiły się twierdzenia, jakoby cywilny Boeing 777 w ogóle nie powinien przelatywać nad terenem walk pomiędzy Ługańskiem a Donieckiem. W rytm rosyjskiej narracji podkreślano, że ruch powietrzny nad wschodnią Ukrainą nie został wyłączony przez międzynarodowe organizacje bezpieczeństwa, ani przez władze ukraińskie. To ewidentne kłamstwo, ponieważ przestrzeń powietrzna nad rejonem walk jest od dawna zamknięta, od poziomu ziemi do wysokości około 9,7 tys. metrów, oznaczanej jako FL330. W momencie trafienia przez pocisk rakietowy Boeing znajdował się na pułapie FL330, czyli ponad 300 metrów powyżej przestrzeni zamkniętej przez Ukrainę. Na takiej wysokości odbywa się bezpieczna, standardowa komunikacja dalekiego zasięgu, m.in. na trasach do Indii i krajów azjatyckich, ale też w stronę Rosji i Gruzji. Rosjanie doskonale wiedzieli, że na takim pułapie nie latają ukraińskie myśliwce i można tam trafić tylko na statek pasażerski.

Ważną przesłanką jest także sposób zabezpieczenia operacji przez służby rosyjskie. Podobnie, jak miało to miejsce podczas zamachu smoleńskiego, na miejscu zdarzenia natychmiast pojawili się żołnierze Specnazu, rozpoczęto zbieranie i wywożenie szczątków samolotu, zabrano czarne skrzynki, zaś ciała ofiar są transportowane w głąb Rosji. Teren, na który spadł samolot został zablokowany przez żołnierzy i kolejną dobę nie dopuszcza się przedstawicieli organizacji międzynarodowych. Tej klasycznej operacji zacierania śladów zbrodni towarzyszy zmasowana kampania dezinformacyjna, w której Moskwa chętnie wykorzystuje „zaprzysiężone” media na Zachodzie oraz polskojęzycznych „ekspertów” i funkcjonariuszy medialnych.

Gdy piszę ten tekst, upływa trzecia doba od ataku rosyjskich terrorystów. Na polach Ukrainy nadal leżą ciała ofiar, a przedstawiciele państw „wolnego świata” nie mają dostępu do miejsca tragedii. Pierwsze reakcje Ameryki i przywódców Zachodu dowodzą, że płk Putin może być pewny bezkarności. W tle zwyczajowej narracji o „sankcjach” i „wyrazach oburzenia”, troska „wolnego świata” skupia się raczej na podtrzymaniu dialogu oraz próbach skłonienia Rosji do „rozwiązań pokojowych”. W oficjalnej wersji (potwierdzonej m.in. podczas wystąpienia Obamy) zestrzelenia samolotu mieli dokonać „prorosyjscy separatyści”. To istotne rozróżnienie, ponieważ taka interpretacja zdejmuje de facto osobistą odpowiedzialność z Putina i pozwala kreować władzę Kremla jako stronę w postępowaniu śledczym. W tej sytuacji, nie ma oczywiście mowy o poważnych restrykcjach, bądź uznaniu Rosji za państwo terrorystyczne. Tym bardziej, nikt nie będzie domagał się interwencji wojsk NATO w rejonie zestrzelenia samolotu lub dozbrojenia armii ukraińskiej i siłowej rozprawy z rosyjskim okupantem.

Poczucie bezkarności kremłowskiego watażki ma trwałe, historyczne podstawy. Od czasu ustanowienia ładu jałtańskiego, polityka Rosji Sowieckiej i jej służb przyczyniła się do wyhodowania rzeszy tzw. georealistów, którzy przyznają Rosji wyjątkowe prawo do ingerowania w życie innych narodów oraz wyznają dogmat poszanowania „interesów rosyjskich”. Szczególnie, jeśli wartość tych interesów jest mierzona w dolarach lub euro. Ci ludzie i kreowana przez nich polityka UE i USA stanowią dziś śmiertelne zagrożenie dla świata. Znacznie większe niż zdezelowane ruskie tanki i zdemoralizowana armia Putina. Militarnie słaba i technologicznie zacofana Rosja, nie musi nawet udowodniać swojej siły. Robi to za nią armia tchórzliwych głupców, wspierana przez zastępy agentury wpływu. Reszty dopełnia ekspansywna sieć intryg i rosyjskiej dezinformacji oplatającej współczesny świat.

Może najtrafniej obecną sytuację charakteryzują słowa pośle PiS Janusza Wojciechowskiego o „rosyjskim kopniaku wymierzonym w światowy tyłek”. Kopniak był wprawdzie bolesny i upodlający, ale zostanie przyjęty „ze zrozumieniem” i wolą „znalezienia kompromisu”. Te czynniki decydują bowiem o światowej polityce wobec Rosji. Doświadczaliśmy ich po zamachu smoleńskim, który był pierwszym testem putinowskiej strategii zniewalania przez strach. Zamordowanie 300 obywateli „wolnego świata” stanowi logiczną kontynuację tej linii.

Jeśli zabraknie mocnej reakcji, możemy mieć pewność, że następny etap testowania słabości Zachodu pochłonie tysiące ofiar.

SIERPIEŃ

846. IN MEMORIAM

Niezdolność do skutecznych działań od dawna jest dowodem postępującej słabości opozycji. Dla tych, którzy trzeźwo oceniają rzeczywistość posmoleńską, nie jest to zaskoczeniem.

Od 2010 roku partia Jarosława Kaczyńskiego nie stworzyła sytuacji, która mogłaby zagrozić reżimowi, nie przeprowadziła ani jednej efektywnej kampanii politycznej, nie odebrała skrawka władzy i nie wykreowała wydarzeń, które uderzałyby w grupę rządzącą. Jednym pozytywnym przykładem jest zespół parlamentarny ds. zbadania przyczyn tragedii smoleńskiej, przy czym efekty jego pracy są przede wszystkim osobistą zasługą ministra Macierewicza i zebranej przezeń grupy ekspertów i współpracowników.

Ujawnienie największych afer oraz informacji dyskredytujących polityków reżimu, odbywało się zwykle bez udziału środowisk opozycyjnych i było wynikiem wewnętrznych rozgrywek, w których jedna wataha wykorzystywała służby i ośrodki propagandy do rozprawy z drugą watahą. Począwszy do tzw. afery Amber Gold, po obecne audycje belwederskie, mamy do czynienia z klasycznymi kombinacjami operacyjnymi, w których opozycji i tzw. naszym mediom przewidziano rolę komentatorów lub użytecznych rezonatorów. Nagrodą za udział w tych inscenizacjach są sondażowe „marchewki” oraz możliwość występów polityków PiS w reżimowych gadzinówkach.

Na przestrzeni ostatnich lat nie potrafiłbym wskazać jakiegokolwiek sytuacji samodzielnie wykreowanej przez opozycję; ani jednego epizodu, w którym narzuciłaby własny temat i narrację, zmusiła reżim do spektakularnych reakcji lub znaczących ustępstw.

Nie chcę zanudzać czytelników sięganiem po sprawy sprzed dwóch czy trzech lat. Dla uświadomienia skali zjawiska wystarczy wspomnieć o wydarzeniach najnowszych, w których błędy i zaniechania opozycji wytyczają miarę jej bezsilności.

Partia Jarosława Kaczyńskiego w najmniejszym stopniu nie wykorzystała sytuacji związanej z wojną na Ukrainie. Politycy unijni i opinia państw „wolnego świata”, nigdy nie usłyszała, że rządzący III RP reżim jest najwierniejszym sojusznikiem i wykonawcą woli Moskwy. Nie skorzystano z naturalnego prawa opozycji do odcięcia się od złej, wasalnej polityki zagranicznej. Nie przeprowadzono kompleksowej kampanii informacyjnej, w której „system Tuska” i polityka lokatora Belwederu zostałyby zdemaskowane i przedstawione jako zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski i Europy. Nie przypomniano przywódcom Zachodu o roli współników kłamstwa smoleńskiego, nie wypunktowano bezgranicznego podporządkowania „elit” III RP kremlowskiemu watażce.

Opozycja nie dopilnowała i kompletnie zbagatelizowała wybory do PE. Oficjalne deklaracje o „pilnowaniu wyborów” i tworzeniu „korpusów ochrony” trzeba włożyć między bajki i uznać za przejaw niebываłej arogancji lub cynizmu przedstawicieli PiS. Jedynym efektem szumnie zapowiadanej akcji „Uczciwe wybory” był kilkustronicowy „raport”, o wyglądzie wypracowania gimnazjalisty. Zawierający liczne błędy i przemilczenia, napisany w sposób niechlujny i nieprofesjonalny. Nie tylko nie wymieniono w nim wielu istotnych nieprawidłowości, nie dostrzeżono specyfiki przedwyborczych przetargów oraz treści dokumentów produkowanych przez PKW, ale nie odpowiedziano na najważniejsze pytanie: z jakiego oprogramowania i czyich serwerów korzystała PKW w trakcie tych wyborów? Gdy kilka dni później Sąd Najwyższy odrzucił protesty PiS przeciwko ważności wyborów, informacja nie została nawet ujawniona przez „nasze” media i została przemilczana przez opozycję.

Partia Kaczyńskiego nie osiągnęła najmniejszych korzyści z kombinacji operacyjnej pod nazwą „afery nagraniowa”. Wyborcom zafundowano fałsz „konstruktywnego wotum nieufności” i bełkot o „zagrożeniach demokracji”, a po postraszeniu reżimu „pakietem demokratycznym” odrąbiono sukces, zadowalając się wysypem sondażowych „marchewek”. Rozmiar kompromitacji jest szczególnie widoczny w bezmyślnym podążaniu za wrzutkami i dezinformacjami pojawiającymi się w przestrzeni medialnej. Z jednej strony mieliśmy zatem dywagacje red. Gadowskiego o „ruskiej grze” i „walce o Azoty”, z drugiej, narrację o potężnych majorach BOR i wszechmocnych biznesmenach, którzy wspólnie z kelnerami rzucili wyzwanie „systemowi Tuska”. Nikt nie zwrócił uwagi, że pomysły na „ruską grę” idealnie pracują na rzecz grupy rządzącej. Gdy D.Tusk skorzystał z tej hipotezy i wykreował na tego, co się Ruskim nie kłania, nie zapytano już pana Gadowskiego o samopoczucie, a wspomagających go kolegów o wiarygodność. Wyjątkowym dowodem tępoty „naszych” publicystów, było zaś uczynienie z ludzi WPROST „rzeczników interesu publicznego” oraz wspólna „obrona demokracji” podczas spektaklu rozegranego w siedzibie tygodnika.

PiS, który od początku kombinacji nie był zdolny zrozumieć jej celów, tym bardziej, nie potrafił wykorzystać tej wewnętrznej rozgrywki dla obalenia układu rządzącego.

Partia Kaczyńskiego nie skorzystała również na wizycie prezydenta Obamy. Nie dotarto do przedstawicieli administracji USA i nie sformułowano własnego przekazu o sprawach polskich. Co najważniejsze, nie zablokowano propagandowej kampanii „wspólnego świętowania” narodzin III RP, podczas której Obama udzielił „namaszczenia” reżimowi Komorowskiego.

Od początku wojny na Ukrainie, opozycja zaprzepaszcza historyczną szansę „wykorzystania” tragedii smoleńskiej. Jeśli za kilka dni politycy PiS będą brylowali podczas kolejnej miesięcznicy, może znajdą się odważni wyborcy, by zadać proste pytanie: co konkretnie uczynili w ostatnich tygodniach, by sprawą śmierci naszych rodaków zainteresować przywódców Zachodu i światowe media?

Temat jest praktycznie nieobecny w wypowiedziach człochów polityków PiS, nie pojawił się nawet w małym „apelu” delegacji Prawa i Sprawiedliwości w Parlamencie Europejskim, w którym wyrażono „najwyższe potępienie aktu bezprzykładnej agresji, jakim było zestrzelenie cywilnego samolotu w okolicach Doniecka we Wschodniej Ukrainie.”

Po zamordowaniu przez Rosjan 300 obywateli „wolnego świata”, polska opozycja nie skorzystała z prawa do zestawienia tej zbrodni z zamachem smoleńskim. Nie przeprowadzono kampanii informacyjnej w mediach zachodnich, nie poruszono tematu na forum międzynarodowym, nie zażądano powołania komisji, zwrotu wraku ani potępienia Rosji za wieloletnie matactwa.

Za te zaniechania, partia Kaczyńskiego poniesie polityczne konsekwencje.

Ponieważ sprawa Smoleńska nie jest kwestią „strategii” politycznej lecz polskich powinności i naszej racji stanu, partia, która chce uchodzić za reprezentację narodową ma obowiązek nieustannego przypominania o tej zbrodni. Szczególnie zaś wtedy, gdy uwaga opinii światowej skoncentrowana jest na Rosji i zbrodniach kremlowskiego reżimu. Jeśli – z jakiegokolwiek powodów opozycja tego nie czyni – popełnia więcej niż błąd i nie zasługuje na poparcie Polaków.

Nie zasługuje tym bardziej, jeśli do nieskuteczności i rażących zaniechań, dodaje zachowania bezrozumne i niegodne opozycji. Nawet „konstruktywnej”.

Wyborcom PiS nigdy nie wyjaśniono, dlaczego partia Jarosława Kaczyńskiego wspierała „wysiłki rządu w sprawie Ukrainy” oraz wyciągała „rękę do tych, którzy w nowych okolicznościach są gotowi zmienić zdanie, są gotowi stanąć po stronie prawdy”? Nie dowiedzieli się - jak to możliwe, że po siedmiu latach rządów PO-PSL, prezes PiS nadal liczył, „iż kryzys na Ukrainie wpłynie na zmianę polityki polskich władz, w tym premiera Donalda Tuska, wobec Rosji” i wyznawał w reżimowej tv - „liczyłem na zmianę i znów się zawiodłem”? W zderzeniu z realiami III RP, takich słów nie powstydzili się człowiek święty lub... pacjent szpitala dla obłąkanych. W ustach doświadczonych polityka – oznaczają totalną kompromitację.

Nie wytłumaczono wyborcom, co w partii opozycyjnej robi desantowiec z Samoobrony, deklarujący trzymanie kciuków „za wszystkich Polaków, którzy ubiegają się o stanowiska w strukturach PE. Od Anny Fotygi po kolegów z PO” i jakim cudem bryluje tam telewizyjny goguś, każąc wypatrywać „trupa Tuska płynącego Wisłą”?

Elektorat PiS pewnie chciałby zrozumieć, dlaczego politycy tej partii ostrzegają przed przejściem przez Rosjan grupy Azoty, gdy w tym samym czasie „opozycyjni” prezydent Wilk z Elbląga, w towarzystwie konsula generalnego z Sankt Petersburga odwiedza fabrykę spółki Akron w Nowogrodzie Wielkim i „w przyjacielskiej atmosferze” umacnia kontakty z przedsiębiorstwem Wiaczesława Kantora? Należałoby też wytłumaczyć wyborcom: co sprawia, że opozycja przyklaskuje „staraniom Prezydenta Bronisława Komorowskiego dotyczącym wzmocnienia bezpieczeństwa Polski w obliczu zmian w naszym otoczeniu strategicznym”, popiera belwederskie „projekty zbrojeniowe” i uczestniczy w posiedzeniach tamtejszych gremiów?

Gdyby ktoś nie rozumiał, na czym polega rażąca głupota i nieostojowość tego typu zachowań – służyć wyjaśnieniami.

Słowo wyjaśnienia jestem winien również tym czytelnikom, którzy zadadzą przytomne pytanie: po co pisać tekst o błędach i zaniechaniach opozycji, skoro nadal będą popełniane, a głos z tego bloga nie przedrze się przez zasłonę „naszych” mediów i odmętę partyjniackiej demagogii?

Odpowiedź: bo tak trzeba, zadowoliliby tylko stałych czytelników.

Wyjaśnię więc, że jestem głęboko przekonany, iż działająca jak dotychczas partia opozycyjna nie ma szans na wygranie wyborów 2015 roku. Tej opinii (której podstawy wielokrotnie tłumaczyłem), nie podważą tony sondażowych śmieci ani zalew prząsnego hurraoptymizmu.

Gdy na początku roku zamieściłem tekst „Przed Prawem”, był on formą ostrzeżenia przed wyborem złudzeń zamiast prawdy. Nawiązywał do „Długiego marszu” z października 2011 roku. Tekstu, którego nie chciano przyjąć. Każdy kolejny, z tagiem „opozycja”, precyzował zagrożenia.

Napisałem też otwarcie, że nie obchodzi mnie przyszłość polityków Prawa i Sprawiedliwości ani los tej partii po przegranych wyborach. Ludzie, którzy z taką tępotą trwają w przeświadczeniu o własnej nieomyślności i szermując hasłem „Służyć Polsce, słuchać Polaków”, wsłuchują w głos sondażowni i bełkot ćwierćinteligentów – nie zasługują na wyrozumiałość. Nie zastanawiam się też, co wywołuje ten stan i nie muszę wybierać między strachem, wyrachowaniem lub arogancją. Zakładam, że wyborca PiS potrafi zrozumieć, iż skutki przegranych wyborów nie dotkną panów Lipińskiego, Czarnieckiego czy Hofmana, lecz tych, którzy im zaufali. Klęska wyborcza nie będzie tragedią dla prezesów „patriotycznych” mediów i udziałowców „niezależnych” telewizji, lecz dla tych, którzy dają wiarę zamieszczanym tam „analizom”.

Piszę o karygodnych błędach opozycji, bo tego wymaga szacunek dla czytelników i własnej publicystyki. Oparty na przekonaniu, że zaglądamy tu ludzie zdolni do samodzielnej refleksji i pamięci dłuższej niż trzeba na lekturę „bieżączki”. Odbiorca, który nie potrafi zapamiętać, co polityk mówił przed miesiącem lub jaką diagnozę stawił publicysta – nie powinien zaglądać na mój blog. Na ludziach dotkniętych tą ułomnością pasożytuje dziś aparat propagandy, oni są podporą najgłupszych hipotez i żerowskimi medialnych szarlatanów. Niestety, również po stronie „naszych” mediów, którym niezależności kojarzy się z krytyką Tuska i wypocin TVN-u, a wolność przekazu z propagowaniem „linii redakcyjnej”. Coraz częściej też, jedynym atutem „uznanych” publicystów i polityków opozycji, staje się amnezja czytelników.

Odpowiedzialność za słowa nie pozwala sięgać do prostackiej kazuistyki, używać narzędzi manipulacji lub pisać „ku pokrzepieniu”. Każde stawianie najtrudniejszych diagnozy i najtwardsze pytania. Jeśli nie zostaną zrozumiane teraz, przypomnę je, gdy nadejdzie czas budowania prawdziwej opozycji.

847. NIE BĘDZIE „CUDU NAD WISŁĄ”

Endecki publicysta Stanisław Stroński, który w wigilię bitwy z bolszewikami skojarzył ją z francuskim „cudem nad Marną”, nawet nie marzył o tym, że określenie przetrwa dziesięciolecia i zrobi oszałamiającą karierę. Ten zadeklarowany przeciwnik Józefa Piłsudskiego wołał dopatrywać się ingerencji sił nadprzyrodzonych, niż uznać, że o zwycięstwie nad sowiecką zarzą zdecydował geniusz marszałka i odwaga jego żołnierzy.

Słowa o „cudzie nad Wisłą” zostały natychmiast podchwyczone przez publicystów endeckich i hierarchów Kościoła. Ci ostatni, nie ukrywając niechęci do Piłsudskiego, nadal zwrotowi treści religijne i połączyli dzień bitwy ze Świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polski.

Prosty zabieg propagandowy miał posłużyć umniejszeniu roli Naczelnego Wodza i utrwalić przekonanie, że nie wysiłek i bohaterstwo żołnierzy, lecz nadzwyczajny przypadek rozstrzygnął losy wojny z bolszewikami.

Większość z tych, którzy sięgają dziś po „cud nad Wisłą”, być może nie zna politycznych konotacji związanych z tym zwrotem i nie obchodzi ich konflikty sprzed kilkudziesięciu lat. Zakładam, że jeśli nawet traktują słowa literalnie, to nie z intencją lukrowania historii lub odbierania zasług polskiemu żołnierzowi. Próba zwalczania takiej manieri byłaby zresztą bezcelowa, bo (niestety) określenie na stałe weszło do naszego słownika i jest używane nawet przez tych, którzy deklarują się piewcami marszałka.

Weszło zaś tym łatwiej, że o ile z zadziwiającą prostotą dostrzegamy rękę Bożej Opatrzności i jesteśmy skłonni przypisać Jej opiekę nad polską historią, o tyle trudniej przychodzi nam zrozumieć, że za narodowe zwycięstwa trzeba w pierwszej kolejności zapłacić – czasem cenę najwyższą. Akceptacja dla „cudu” wydaje się o wiele przyjemniejsza, od świadomości ponoszenia ofiar, wyrzeczeń i ciężkiej pracy.

Nie jesteśmy społeczeństwem zdolnym do długiego marszu. Tym bardziej - do buntu i stawienia czoła wrogowi. Nikt nie akceptuje prawdy, że hybrydy komunizmu nie upadają pod ciosami demokracji. Anektują jej fasadę, by ukryć własne draństwo, jednak nie po to, by oddać władzę. Odzyskać ją można tylko w taki sposób, jak została narzucona. I nie za cenę partyjnego kuglarstwa i medialnego bełkotu, lecz poprzez twardą, bezwzględą wojnę, w której nie ma miejsca na żaden kompromis.

Zwycięstwo nad bolszewicką nawałą lepiej zatem kojarzyć z bogoojczyźnianym nastrojem i rozpamiętywaniem minionej chwały, niż dostrzec w nim wyzwanie, któremu nie potrafilibyśmy sprostać.

Bo jeśli nie Boża interwencja, lecz mądrość dowódców, odwaga żołnierzy i narodowa danina krwi zdecydowały o wyniku Bitwy Warszawskiej – jak zmierzyć tą miarą nasze dzisiejsze aspiracje i oczekiwania?

Co może wyrosnąć z „sondażowych nadziei” i paplaniny partyjnych żołnierzyków? Jakim orężem okażą się wyborcze karteczki i werbalne deklaracje? Strach przed nazywaniem rzeczy po imieniu i dychotomią My-Oni, może usprawiedliwiać wiarę w „cud”, ale nie daje szans na realne zwycięstwo.

Gdy będziemy wspominali dzień, o którym Eugeniusz Małaczewski pisał, że był *„walką na życie i śmierć o pokój dla wszystkich ludów na ziemi”*, może pora zmierzyć się z pytaniem: jaka Polska wyrośnie z tego, co gotowi jesteśmy dla niej poświęcić?

848. WYGRAĆ - BY OBALIĆ III RP

Z tekstem pani profesor Barbary Fedyszak-Radziejowskiej „Wygrać tak, by nie przegrać” (Gazeta Polska z 6.08.br.), mam pewien kłopot. Jak zawsze, gdy wypada zmierzyć się z opiniami osoby, która do realiów III RP przykłada miarę demokracji i podług jej mechanizmów próbuje definiować scenariusze polityczne. Problem polega na tym, że wprawdzie diagnoza wydaje się trafna, a wnioski brzmią sensownie – jednak tylko wówczas, gdybyśmy rozmawiali o opozycji parlamentarnej we Francji, Niemczech lub w Holandii.

Bo choć miło jest wierzyć, że przed 25 laty Polacy odzyskali wolność i na jej fundamentach budują dziś państwo prawa i demokracji, trudniej zastąpić wiarę racjonalną refleksją i rozprawić się z zastrzeżeniami na temat funkcjonowania ustroju. Jeszcze trudniej, sprostać wiedzy o genezie tego państwa i jego nieprawym pochodzeniu.

Ponieważ w III RP nigdy nie podjęto takiej refleksji, a z doświadczeń ostatniego ćwierćwiecza płyną wnioski sprzeczne z dogmatami ustrojowymi, skłaniam się ku twierdzeniu, że opisywanie dzisiejszych realiów przy pomocy pojęć właściwych dla demokracji jest nie tylko błędem metodologicznym, ale poważnym zabobonem, którego konsekwencje odczuwamy tym boleśniej, im bardziej mu ulegamy.

Nie żyjemy w państwie, w którym moglibyśmy toczyć akademicką dyskusję o narzędziach demokracji i wyższości sondaży nad zdrowym rozsądkiem. Te pierwsze okazują się nieskuteczne w starciu z aparatem reżimowym i propagandą, drugie zaś zostały po stokroć skompromitowane i poddane politycznym regulacjom.

Zdumiewać się, że reżim ignoruje głos obywateli i traktuje opozycję jako zagrożenie, może tylko ten, kto nie odrobił lekcji historii i dotąd nie zrozumiał, że „system Tuska” to nie patologia i „deformacja demokracji”, lecz logiczne zwieńczenie państwowości III RP. Ludzie PO-PSL nie pojawili się znikąd. Są „szczytowym osiągnięciem” procesu tzw. transformacji ustrojowej, w którym wyhodowano współczesną odmianę sukcesorów komunizmu, zaś sposób sprawowania przez nich władzy w niczym nie odbiega od reguł „demokracji socjalistycznej”.

Definicję dzisiejszego państwa zbudowano przed ćwierćwieczem. W „załączniku do informacji dziennej” z dnia 7 kwietnia 1989 r, SB przedstawiła komentarze różnych środowisk po zakończeniu obrad okrągłego stołu. Czytamy tam m.in.:

„Dominuje pogląd, że wynikiem rozmów jest stworzenie nowego, zreformowanego systemu społeczno- politycznego, którego podstawą będzie społeczeństwo obywatelskie, funkcjonujące w państwie socjalistycznej demokracji parlamentarnej”.

Określenie to niezwykle trafnie oddaje charakter obecnego ustroju. Posiada on fasadowe cechy parlamentarizmu, dopuszcza działalność partii politycznych i (nominalnie) niezależnych instytucji. Zachowuje szyldy praw obywatelskich, w tym wolność wypowiedzi i zrzeszania. Celebrytuje mitologię karty wyborczej oraz „rządy prawa”, oparte na niezawisłym (od rozumu) sądownictwie. Zza tej fasady działają prawdziwi decydenci, żerują grupy interesu i polityczno-agenturalne mafie. To znamienne, że właśnie byli esbecy i kapusie, członkowie kompartii oraz przedstawiciele koncesjonowanej opozycji PRL, są dziś najgorętszymi orędownikami systemu. Od kiedy „wolny świat” uwierzył w śmierć komunizmu i uznał demokrację za rodzaj lewackiego antidotum, erzac tego ustroju stanowi bezpieczną przystań dla rzeszy zamordystów, łajdaków i miernot.

Obecny reżim z niezwykłą łatwością wmówił Polakom, jakoby archaiczna konstrukcja okrągłego stołu była jedyną, na której można budować państwowość. Próba podważenie tego fundamentu jest traktowana niczym zamach na Polskę. Wywołuje histeryczne oburzenie „elit” i prowadzi do miotania najcięższych oskarżeń. Źródła tych zachowań nieomylnie zdradzają rodowód obecnej władzy. Dążeniem komunistów było tworzenie „frontów jedności narodu”, „kolektywów” i fałszywych wspólnot, w których czynnikiem integrującym miały być hasła niesione na partyjnych sztandarach. Podważenie fundamentów „socjalistycznego państwa” lub próba rewizji systemu okupacyjnego, była niedopuszczalna. Ta sama bliźniacza obsesja, wsparta kazuistyczną retoryką, towarzyszy od lat działaniom grupy rządzącej. Ujawnia ona rzeczywisty lęk przed dychotomią My-Oni, przed wytyczeniem ostrych podziałów, w których pojęcia „swój” i „obcy” nabierają elementarnego znaczenia i decydują o dokonywanych wyborach.

Prawdziwa twarz „demokracji socjalistycznej” ujawnia się w momencie zagrożenia interesów tych środowisk. Pojawia się cenzura i represje sądowo-policyjne, mnożą akty przemocy, wzmagają propaganda i dezinformacja. Jeśli to nie wystarcza, w zanadru są narzędzia stanu wyjątkowego, instytucje „seryjnych samobójców”, mordy polityczne i prowokacje. Od 2010 roku zbyt często doświadczaliśmy takich praktyk, by zamykać na nie oczy.

Opozycja, która zamierza obalić układ rządzący, nie może sankcjonować fikcji i nazywać jej demokracją. Nie może przyjmować narracji przeciwnika i legalizować jego kłamstw. Nie leży to w interesie opozycji, lecz tych, którzy wykorzystują owe mechanizmy dla własnych łajdactw. Gdy prezes Prawa i Sprawiedliwości nawołuje do „obrony demokracji”, zaś politycy jego partii dywagują o „psuciu” obecnego ustroju i „wypaczaniu” jego istoty, pojawia się pytanie: jakiej demokracji chcą bronić? Jeśli tej, stworzonej przez III RP- są to apele autoryzujące fikcję. To państwo nie zostało nagle zepsute przez reżim PO-PSL. Było chore już w chwili poczęcia, zaś dzisiejsze patologie są stanem całkowicie naturalnym dla magdalenkowej „demokracji socjalistycznej”.

Prof. Fedyszak – Radziejowska pisząc, iż *„warto się zastanowić, nie „czy”, ale „jak” wygrać najbliższe wybory*, pochyła się nad arytmetyką sondażowo-wyborczą i proponuje opozycji konsolidację, ostrożność i „ciulanie” głosów. Uważam to za program minimalistyczny i nieprzydatny. Wbrew zdaniu autorki: *„w opinii Ściosa tkwi przekonanie, że wynik demokratycznych wyborów nie jest ważny”*, ja także utrzymuję, że wybory 2015 będą najważniejszym wydarzeniem. Pod tym wszakże warunkiem, że byłyby one rzeczywście wolne i demokratyczne. W państwach realnego komunizmu (tu jest pole do definicji IIIIRP), to niemożliwe.

Realizm nakazuje oceniać szanse wyborcze w kontekście faktów, nie zaś wyobrażeń o nieistniejących zasadach ustrojowych. Fakty są zaś takie, że opozycja przegrywa wszystkie wybory, niezależnie od wcześniejszych prognoz i scenariuszy i nic nie wskazuje, by tym razem miało stać się inaczej. Faktem jest, że opozycja nie potrafi kontrolować procesu wyborczego i nie może zapewnić jego bezwzględnej uczciwości. Faktem jest również, iż ta władza wywiera propagandową presję na wyborców, pozbawia ich możliwości dokonywania świadomego wyboru, wykorzystuje instytucje i organy państwa dla celów partyjnych oraz stwarza sytuacje sprzyjające fałszowaniu wyniku wyborczego.

Realizm zmusza więc do rewizji dotychczasowych postaw: w tym rezygnacji z huraoptymizmu i pokładania nadziei w niepewnej arytmetyce wyborczej. Mądra opozycja powinna sięgnąć po oręż przeciwnika i wykorzystać go w walce politycznej. Skoro reżim chełpi się swoim demokratycznym sznytem i przed „wolnym światem” opiewa zdobycze III RP, użyjmy narzędzi skutecznych, acz niewygodnych dla rządzących.

Nie trzeba więc wezwać do "obrony demokracji" ani troski o sondażowe wyniki, lecz wezwania do obalenia układu rządzącego i zniesienia „republiki” IIIRP. To prawdziwy cel opozycji. By go osiągnąć, ma prawo stosować wszystkie środki, w szczególności zaś, odwoływać się do aktywności obywatelskiej i demokracji bezpośredniej. Mądra opozycja nie będzie traciła czasu na parlamentarne przepychanki i farsę „wotum nieufności”. Nie będzie uganiać się za mitycznym „centrum” ani nawracać wyznawców PO, lecz postawi na potencjał milionów swoich zwolenników i na nich zbuduje swoją pozycję. Oznacza to obowiązek organizowania manifestacji i ulicznych protestów, prawo do nękania reżimu strajkami i kierowania wezwań do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Tylko w ten sposób opozycja policzy szeregi zwolenników i zerwie zasłonę fałszywej demokracji.

Jeśli opozycyjność ma znaczyć więcej niż werbalny sprzeciw i prowadzić do kreowania nowej rzeczywistości, musi też odrzucać wszystko co proponuje III RP: z jej mediami, establishmentem i samozwańczymi elitami. Nie tylko ze względu na intelektualną marność i semantyczne zaprzęstwo, ale dlatego, że niemożliwe jest budowanie społeczności ludzi wolnych wraz z tymi, którzy noszą piętno niewolnictwa. Kto próbuje takiej sztuki, nie tylko nie ocali niewolników, ale zgubi ludzi pragnących wolności.

W ramach obecnej postawy opozycji, nie ma miejsca na „ostre widzenie świata”, wytyczenie granic polskości i nazwania po imieniu obcych. Nie ma miejsca na podważenie filarów, na których wspiera się karykatura obecnej państwowości.

Taka postawa - zamiast twardej negacji i bezkompromisowej walki, przynosi Polakom miraż pseudodemokracji i karmi nasze nadzieje populistycznym placebo. Nie jest ozdrowieńczym serum podawanym mieszkańcom Oranu, lecz usypiającym narkotykiem, po którym przyjdzie bolesne przebudzenie lub nastąpi śmierć.

849. UDERZENIE Z BELWEDERU

Nie próbuję dociekać, dlaczego tzw. niezależne media chcą widzieć w publikacjach tygodnika Wprost „uderzenie w prezydenta”. Taka teza, choć wygląda kusząco, nie tylko nie ma nic wspólnego z faktami, ale niepotrzebnie zaciemnia sens tej kombinacji operacyjnej.

Jest tym bardziej nierozeczna, że, podobnie, jak miało to miejsce w pierwszej odsłonie afery marszałkowej, prowadzi do tworzenia fałszywych tropów. Gdy na przełomie lat 2007-2008 rozpoczęto operację osłonową Bronisława Komorowskiego, ośrodki propagandy nadały jej nazwę „afery aneksowej”. Miała sugerować, że chodzi o nielegalne działania związane z tajnym aneksem i wyciekami informacji zawartych w tym dokumencie. Dopiero zaproponowana przeze mnie nazwa - „afery marszałkowej”, wskazywała na logikę ówczesnej kombinacji.

Dzisiejsza teza o „uderzeniu w prezydenta” okazałaby się prawdziwa tylko pod tym warunkiem, że partia opozycyjna wykorzystalaby zainteresowanie opinii publicznej i przystępując do kontraktacji sprawiła, że temat związków Komorowskiego ze środowiskiem WSI nie schodziłby przez wiele miesięcy z łam „naszych” mediów. Ponieważ brzmi to nierealnie, propagandowa nadinterpretacja nie służy rozbiciu celów kombinacji i w niczym nie przeszkadza jej autorom.

Cele te zostały precyzyjnie wykazane i ukierunkowane. Można je zawrzeć w trzech podstawowych twierdzeniach, zaczerpniętych z tekstów Wprost:

Pierwsze brzmi: *„Wprost” ma ściśle tajne dokumenty komisji Antoniego Macierewicza, która pisała raport z weryfikacji WSI. Materiały, w których negatywnie opisywany jest obecny prezydent, wyciekły już w 2007 r.* Podobnie, jak w roku 2008, ma ono wskazywać na źródła przecieku oraz sugerować, że informacje pochodzą z aneksu do Raportu z Weryfikacji WSI.

Druga teza jest również klarowna: *„Z dokumentów widać, że weryfikatorzy WSI próbowali dobrać się do skóry Bronisławowi Komorowskiemu”* - co ma dowodzić, że członkowie komisji weryfikacyjnej kierowali się intencjami politycznymi i próbowali zbierać fałszywe haki na obecnego lokatora Belwederu.

Twierdzenie trzecie ma z kolei prowadzić do zdezwauowania treści aneksu i przekonania odbiorcy, że jest on zbiorem *„publicystycznych tez Macierewicza”*. Tytuł jednej z publikacji – *„Dokument uwięziony w lochu”* oraz instrumentalne użycie wypowiedzi prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jasno wskazują na taki zamiar.

Jeśli publikacje tygodnika mamy traktować jako jeden z elementów kombinacji operacyjnej, należy przypomnieć definicję tego terminu. Tym bardziej, że bywa on fałszywie rozumiany. Kombinacja taka oznacza zatem zespół planowych działań, wzajemnie ze sobą powiązanych i podporządkowanych jednolitej koncepcji, mających na celu takie oddziaływanie na przeciwnika, aby przez wprowadzenie go w błąd lub wykorzystanie błędu, doprowadzić go do z góry zakładanych zachowań, które umożliwią wykonanie określonych zadań operacyjnych.

Prawidłowa analiza wymaga więc sprecyzowania: kim jest przeciwnik i jakie zachowania mają urzeczywistnić cele kombinacji. W przypadku niemal wszystkich operacji rozgrywanych przy udziale ośrodków propagandy, przeciwnikiem jest oczywiście odbiorca przekazu: czytelnik, telewizor, słuchacz. To on, na podstawie prezentowanych materiałów, ma utwierdzić się w błędnych opiniach i reagować zgodnie z wolą autorów kombinacji. Co i ile ma zrozumieć czytelnik „rewelacji” tygodnika Wprost, wskazałem powyżej. Nie ma wątpliwości, że wiedza odbiorcy zostanie ugruntowana również przy pomocy innych środków.

W zakresie tezy pierwszej, będzie nim reakcja prokuratury, która już kilka godzin po publikacji podjęła adekwatne działania. Ich cel (wraz z potwierdzeniem podstawowej tezy publikacji) został jasno wytyczony w wystąpieniu szefowej Kancelarii Prezydenta:

„Ujawnienie tajnych informacji jest kolejnym skandalem w tak zwanej sprawie raportu WSI. Należy oczekiwać, że prokuratura tym razem, w przeciwieństwie do wcześniejszych skandali związanych z raportem, podejmie odpowiednie działania (...) W kontekście artykułu „Wprost” jeszcze większe wątpliwości budzi bierność prokuratury w sprawach związanych z raportem WSI”.

Co oznacza określenie „odpowiednie działania” oraz, w jakim zakresie Belweder piętnuje „bierność prokuratury”, nietrudno dociec. Błyskawiczna reakcja jest prawdopodobnie efektem przyjęcia tezy, iż źródłem przecieku są ludzie związani z Antonim Macierewiczem i Komisją Weryfikacyjną WSI. Można sądzić, że w tym kierunku będzie zmierzało śledztwo. Tak zrobiono w roku 2008, dlatego więc nie powtórzyć udanej sekwencji. Najwyraźniej domyśla się tego również redaktor naczelny tygodnika Wprost, gdy bez najmniejszego oporu oddaje prokuratorom bezcennego „pendrive’a z dokumentami ws. WSI”. Przypomnę, że robi to ten sam człowiek, który onegdaj stoczył bohaterską walkę „o wolność słowa” i na oczach całej Polski przyciskał do piersi laptop z nielegalnymi „podśluchami kelnerów”. Można dywagować, czy uczestniczący w tej inscenizacji „koledzy dziennikarze”, również mają taką świadomość?

W zakresie tezy drugiej, kombinacja zmierza do rozbrojenia ewentualnych zarzutów pod adresem Bronisława Komorowskiego. Jeśli bowiem pojawia się sugestia o politycznym zamówieniu na haki, odbiorca ma powziąć przekonanie, że wszystko, co dotyczy kontaktów Komorowskiego ze środowiskiem WSI jest propagandowym humbugiem, spreparowanym na potrzeby kampanii wyborczej.

Ta myśl ma prowadzić do przyjęcia tezy trzeciej, zgodnie z którą, aneks do Raportu z Weryfikacji WSI jest dokumentem niewiarygodnym, sporządzonym pod dyktando polityczne i nacechowanym „konfabulacjami” Antoniego Macierewicza. Obecny przeciek sugeruje, że jest on używany do walki politycznej. Ponieważ odbiorca jest zdany wyłącznie na treści rzekomych przecieków, zaś wiedzę o działaniach WSI czerpie z ośrodków propagandy, twierdzenie zostanie tym łatwiej ugruntowane.

Ostatnim elementem układanki jest próba odpowiedzi na pytanie: do czego zmierza obecna kombinacja, wykonanie jakich zadań ma umożliwić?

Wprowadzenie w błąd nie jest bowiem celem samym w sobie, lecz ma służyć osiągnięciu bardziej wymiernych efektów. W tym zakresie pojawiają się różne spekulacje: jest to „materiał przykrywkowy”, mający chronić Komorowskiego przed złożeniem zeznań w procesie afery marszałkowej; chodzi o stoperdowanie książki Wojciecha Sumlińskiego na temat związków Komorowskiego z WSI; publikacja ma uzasadnić potrzebę powołania sejmowej speckomisji ws. weryfikacji WSI.

Wszystkie te domniemania brzmią wielce wiarygodnie i nie sposób odmówić im logiki. Wydaje się jednak, że cele obecnej kombinacji trzeba postrzegać w dużo szerszym kontekście i wiązać je z projektami od dawna forsowanymi w Belwederze.

Wielokrotnie wskazywałem, że od chwili objęcia stanowiska prezydenta, Bronisław Komorowski konsekwentnie dąży do budowy i umocnienia reżimu prezydenckiego. By domknąć ten proces, potrzebuje nie tylko drugiej kadencji (co przy bierności opozycji wydaje się osiągalne), ale wsparcia ze strony środowiska byłych WSI. To wsparcie ma swoją wymierną cenę i nie należy jej mierzyć wyłącznie efektem propagandowym.

Sejmowa speckomisja, czy prokuratorski spektakl wokół „nielegalnych działań Macierewicza”, nie byłyby tylko aktem ślepej zemsty, ale mają prowadzić do całkowitej rehabilitacji i rewalidacji WSI. Nie da się tego osiągnąć publikacjami ośrodków propagandy. Potrzeba ustaw i konkretnych decyzji prawnych. Te zaś mogą zostać podjęte tylko wówczas, gdy powstanie korzystna atmosfera „oczyszczenia” ludzi z zarzutów zawartych w Raporcie z Weryfikacji.

Narzędzia służące tym celom zostały już przygotowane. Należą do nich:

- „ustawa o reaktywacji WSI” – czyli nowelizacja ustawy o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego projektu MON, z 16 października 2012 roku, która jest obecnie przedmiotem zaawansowanych uzgodnień (również z żołnierzami byłych WSI ze stowarzyszenia „Sowa”). Ma ona „określić na nowo procedury weryfikacji treści raportu”, a jej zakres będzie się odnosił do „uzupełnienia raportu”. Środki prawne przewidziane w nowelizacji mają ułatwić ponowną weryfikację żołnierzy i funkcjonariuszy byłych WSI oraz przygotować ewentualne „uzupełnienia” raportu, sporządzone zgodnie z wolą „pokrzywdzonych”;

- projekt „konsolidacji przemysłu zbrojeniowego” oraz zwiększenia budżetu MON, w ramach realizacji tzw. doktryny Komorowskiego. Posłużą one generowaniu olbrzymich środków na rzecz środowisk związanych z przemysłem zbrojeniowym. Ludzie byłych WSI zostaną włączeni w procesy gospodarcze związane z tzw. modernizacją Sił Zbrojnych oraz nadzorem nad technologiami wojskowymi;

- wydawanie kolejnych aktów prawnych, w oparciu o orzeczenie Sądu Najwyższego. W czerwcu br. Sąd Okręgowy w Warszawie odroczył rozpatrywanie zażaleń „pokrzywdzonych” na umorzenie śledztwa w sprawie powstawania Raportu z Weryfikacji WSI. Przed ich rozstrzygnięciem, Sąd Okręgowy postanowił z urzędu zapytać SN o wykładnię prawa. Chodzi o rozstrzygnięcie dwóch kwestii: czy szef komisji weryfikacyjnej WSI jest funkcjonariuszem publicznym w rozumieniu kodeksu karnego oraz jak rozumieć zwroty „inny organ państwowy” oraz „inna instytucja państwowa”.

- powołanie sejmowej speckomisji ws. weryfikacji WSI - przy czym ten projekt, z uwagi na ryzyko niekontrolowanych przez reżim wydarzeń oraz groźbę ujawnienia prawdziwego oblicza „wojskówki”, wydaje się najmniej prawdopodobny.

Publikacje tygodnika Wprost wpisują się w cele służące pełnej reaktywacji układu byłych WSI. Społeczeństwo ma się dowiedzieć, że likwidacja tej służby była nie tylko ogromnym błędem, ale wiązała się z szeregiem poważnych przestępstw i zagrażała bezpieczeństwu państwa. Raport z Weryfikacji WSI oraz aneks do raportu, okażą się dokumentami niewiarygodnymi, sporządzonymi na polityczne zamówienie i opartymi na „tezach publicystycznych Macierewicza”. Publiczna eksploatacja takich wniosków zostanie wykorzystana w trakcie kampanii wyborczej i będzie służyła reelekcji lokatora Belwederu. W wyniku wielowątkowej operacji medialnej, Komorowski - obrońca i polityczny patron WSI, wyrośnie na postać „męża stanu”, zaś kolejne akty prawne umożliwią wzmocnienie fundamentów reżimu prezydenckiego.

WRZESIEN

850. BEZ ZAMAZANIA

Znaleźliśmy się w parszywym miejscu historii. Takim, w którym przekleństwo – „obyś żył w ciekawych czasach”, nabiera kolorytu dantejskiego Piekła.

Myszę, że gdyby kremlowski watażka zdobył się dziś na wyznanie: „zamordowaliśmy delegację Polaków w drodze do Katynia” – „wolny świat” zamknąłby uszy na te słowa i zaapelował do nas, byśmy nie ulegali prowokacji i nie dali się ponieść fali rusofobii. Podobny apel usłyszeliby Polacy, gdyby hordy bandytów przekroczyły otwartą granicę z Kaliningradem i zaczęły wyzwać „rosyjskich obywateli” spod jarzma polskich panów.

Trzeba mocno zaciskać oczy na realia wojny ukraińskiej, by dotąd nie rozumieć, jak zbrodniczą logiką kierują się przywódcy „wolnego świata”. Jeśli kogoś oburza używany przeze mnie zwrot *eurołajdacy* – nie odrobił lekcji historii i nie dostrzegł, że jest ona bezlitosna dla głupców.

Niezależnie, jak długo potrwa zabijanie ukraińskich dążeń do niepodległości, już dziś trzeba powiedzieć: ani upadek Związku Sowieckiego ani odzyskanie wolności przez „demoludy”, nie zmieniły fundamentów porządku jałtańskiego. Dokonany wówczas podział wpływów i relacji międzynarodowych, został z całą mocą przypomniany i narzucony.

Nie ma też powodu sądzić, że akceptacja dla zbrodni rosyjskich na Ukrainie, jest mniej znacząca niż milczenie światowych potęg podczas pierwszych podbojów Hitlera.

To akceptacja tym bardziej nikczemna, że buta agresorów nie znajduje oparcia w sile rosyjskiej armii, lecz w tchórzostwie i koniunkturalizmie przywódców Europy.

„Wielka jest zdolność rezygnacji i przystosowania do warunków, właściwa naturze ludzkiej. Ale żaden realizm nie powinien pozbawiać ludzi poczucia wyobraźni, gdyż przestanie być realizmem. Porównanie zaś obyczajów świata z roku 1912 z obyczajami r. 1962, daje nam dopiero niejaką możliwość, choć oczywiście nie w zarysach konkretnych, wyobrazić sobie do jakiego układu rzeczy ludzie będą mogli być jeszcze zmuszeni "rozsądnie" się przystosować, w roku 2012! Jeżeli do tego czasu ognisko psychicznej zarazy nie zostanie unicestwione.” – ostrzegął Józef Mackiewicz w zakończeniu „Zwycięstwa prowokacji”.

Ognisko psychicznej zarazy nie tylko nie zostało unicestwione, ale przeżywa dziś propagandowy renesans i dzięki słabości „wolnego świata” wprawia się w stan mocarstwowego upojenia. My zaś – choć wielokrotnie doświadczeni zdradą i podłością, po raz kolejny rezygnujemy z darów wyobraźni i uczymy się przystosowywać myśli do właściwej „miary rozsądku”.

Jej obszar wyznacza nie tylko zabobonna wiara w sojusze i gwarancje eurołajdaków, ale przede wszystkim - przyzwolenie na rządy obecnego reżimu.

Nie próbujemy udowodnić, że to stan naturalny, wytyczony regułami „polskiej demokracji” i ograniczeniami opozycji. Gdyby moim rodakom zależało na bezpieczeństwie ich rodzin i przyszłości dzieci, gdyby odważyli się rozegnać mrzonki i spojrzeć wokół własnymi oczami, ten reżim wraz z jego pseudoelitami – nie przetrwałby nawet tygodnia. Skoro funkcjonuje do dziś i tumani miliony Polaków, nie wolno udawać, że głupota stanowi normę polskości.

Wprawdzie ośrodki propagandy (przy mocnym wsparciu opozycji) wykreowały polityków reżimu na przeciwników Putina i rzeczników polskich interesów, taka wizja nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ci którzy z podległości Moskwie i Berlinowi uczynili fundament swojej władzy, a dziś współuczestniczą w antypolskim spisku eurołajdaków – nie zasługują na miano naszego rządu. Radość z ich „awansów”, to akt bezbrzeżnego szaleństwa, właściwy dla ludzi, którzy dotąd nie zrozumieli, że już dziś rozstrzygnięto wybory 2015 roku i rozpisano nasze sprawy na długie lata. Politycy opozycji i publicyści „wolnych mediów”, którzy wspierają ten fałszywy obraz, wyrządzają moim rodakom ogromną krzywdę.

Bezwzględny kryterium intencji i ocen pozostaje apolityczna, narodowa sprawa Smoleńska i póki w tym obszarze nie nastąpiły zmiany, nie wolno nawet wspominać o polskiej racji stanu.

Zbyt łatwo zapomnieliśmy, że świat, który wyłonił się po zamachu smoleńskim, to *„miejsce głupców niedostrzegających własnej marności i śmieszności”* (jak Leopold Tyrmand definiował „cywilizację komunizmu”). Jest także miejscem najgorszych kanalii i plugawych kreatur, które przetrwają swoje nieszczęsne „5 minut”. Zbudował ich przestrzeń, w taki sam sposób, jak mord katyński uczynił miejsce dla komunistycznych „elit”.

Doświadczenia płynące z takich wydarzeń, mają moc wyzwalającą: decydują o ocaleniu narodu lub przyspieszają jego upadek. Jednym boleśnie otwierają oczy, innym zatrzaskują drzwi do wieczność. Za sprawą takich doświadczeń dotykamy natury zła, herbertowskiej *„czystej negatywności”*, z której komunizm uczynił obszar *straszliwego zamazania*.

Po to, by ono się nie dokonało i nie pogrzebało żywych wraz z upiorami, trzeba podziału na My-Oni – o co apelowałem przed czterema laty. Trzeba wytyczenia granicy, która położy kres rozmywaniu odpowiedzialności, relatywizowaniu postaw i obdzieraniu słów z ich pierwotnych znaczeń. Na niekonsekwencji i pomieszaniu pojęć – tak charakterystycznych dla środowiska opozycji - nie można zbudować nic trwałego.

Trzeba także realizmu, na tyle wielkiego, by móc odważnie wyznaczyć: jesteśmy zdani na własne siły.

Wyznać nie po to, by siać defetyzm i podcinać skrzydła, ale po to, by nie popełniać historycznych błędów i w miejsce próżnego optymizmu wyzwołać dążenie do budowania silnego, samodzielnego państwa.

Nie zrobiono tego w roku 2010, gdy była szansa obudzenia Polaków i nie trzeba się ludzić, by dokonało się to obecnie. Nie ma w naszym kraju środowisk, które w takiej perspektywie widziałyby drogę do wolności. Ci, którzy jeszcze o niej marzą, muszą przygotować się na długi marsz. Ci, którzy marzyć przestali, niech zachowają tyle przyzwoitości, by nie macić innych nieczyszczalną wizją zwycięstwa.

Na „*czas wielkiej choroby*” pozostaje nam groteskowa opozycja i parodia wolnych mediów. Obie na tyle potrzebne, że skrojone na miarę naszej odwagi i poczucia honoru.

Ten tekst zamyka pewien rozdział w mojej publicystyce. W sposób całkowicie naturalny, bo, z szacunku dla czytelnika, nie można nadużywać ważkich słów i po wielokroć wracać do takich tematów. Muszą obronić się same.

851. ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA III RP - Zabójstwo Księdza Jerzego Popiełuszki

Już od dnia zabójstwa księdza Jerzego, komunistyczna propaganda uruchomiła dwie podstawowe dezinformacje: o politycznym charakterze mordu oraz o prowokacji wymierzonej w ekipę Jaruzelskiego. Nietrudno zauważyć, że kłamstwa te przetrwały do czasów współczesnych i w dużej mierze decydują o stosunku Polaków do zbrodni założycielskiej III RP.

Wskazywałem już, że w oświadczeniu episkopatu Polski z 1984 roku powtórzono tezę PRL-owskiej propagandy, jakoby ksiądz Jerzy tak naprawdę był działaczem politycznym, a jego porwanie stanowiło element walki politycznej. Do takiej opinii skłaniał się prymas Glemp i wielu innych hierarchów polskiego Kościoła.

Dopiero papieski dekret o męczeństwie księdza Jerzego, przeciął tę nić komunistycznego łgarstwa. Benedykt XVI, postanawiając o wyniesieniu na ołtarze Kapelana Solidarności, stwierdził, iż został On - *ucciso in odio alla Fede* - zabity z nienawiści do wiary. To niezwykle ważne sformułowanie zadawało kłam wielokrotnie podnoszonej i przez lata powielanej tezie o politycznym podłożu morderstwa.

Od czasu propagandowych seansów Urbana, postać księdza Jerzego przedstawiano jako człowieka zaangażowanego w sprawy polityczne. Koncepcja taka wynikała z założeń systemowej walki z Kościołem katolickim, prowadzonej pod sztandarem

zwalczania „rozpolitykowanego” kleru. I choć komuniści starali się przekonać społeczeństwo, że nie walczą z całym Kościołem, religią czy Bogiem, działalność duchowieństwa stanowiła dla nich zagrożenie ideologiczne, na tyle ważne, że w jednym z dokumentów SB księży nazwano wprost „nosicielami obcej nam ideologii”.

Gdy zabiegając o pozory legalizmu, władza komunistyczna stawiała duchownych przed sądami, starała się zawsze pokazać społeczeństwu, że nie represjonuje księży za głoszone przez nich prawdy wiary, za wierność Ewangelii czy za pomoc prześladowanym, lecz rozprawia się z rzekomymi przestępcami, winnymi szpiegostwa, nadużyć finansowych, działalności antysocjalistycznej. Wyraźnie można tu dostrzec analogię do metody stosowanej w latach 30. przez hitlerowców, którzy walkę z Kościołem prowadzili w myśl hasła „Nie męczennicy, lecz przestępcy”. Tym celom służyło nagłośnienie pokazowych procesów duchownych-przestępców. Obraz księdza – rozpolitykowanego agitatora, zaangażowanego w polityczne spory i podziały, służył komunistom jako doskonały pretekst do zwalczania Kościoła, do walki z wiarą i przesłaniem Ewangelii.

Ten obraz miał się wyłonić z akt śledztwa, prowadzonego przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie w roku 1983. Gdy w grudniu 1983 r. ks. Jerzy został aresztowany, bezpośrednim powodem zastosowania tej sankcji były „antysocjalistyczne” i „wybuchowe” materiały znalezione w mieszkaniu przy ul. Chłodnej. Gdy 12 lipca 1984 r. skierowano przeciwko Niemu akt oskarżenia, posłużono się artykułem 194 kodeksu karnego, który mówił o działaniu przeciwko porządkowi publicznemu.

Włączone do akt donosy tajnych współpracowników bezpieki, przedstawiały księdza jako kapłana zaangażowanego politycznie, karierowicza, żądnego politycznego przywództwa, podkreślały jego antykomunizm, mówiły o „krnąbrności” wobec władz kościelnych i państwowych, wskazywały na wypowiedzi i działania o rzekomo politycznym kontekście. Ten wizerunek, wyłaniający się z meldunków TW i KO nie był tworzony na potrzeby propagandy komunistycznej, nie stanowił projekcji życzeń esbeków. Sądzę, że tak naprawdę myśleli, tak postrzegali księdza Jerzego ludzie współpracujący z policją polityczną, w tych kategoriach widzieli rzeczywistość i dzieło Kapelana Solidarności.

„Z donosów wynika, że wielu duchownych nie było w stanie go zaakceptować, był dla nich chodzącym wyrzutem sumienia” – stwierdzał Jan Żaryn we wstępie książki „Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982–1984”, tom 1.

Według wizji powielanej przez komunistów i uznawanej przez niektórych ludzi polskiego Kościoła, ksiądz Jerzy zginął, bo: „politykował”, „nie zachował ostrożności” i „był nieposłusznym mitomanem”, który „konspirował dowartościowując jakiś manieryzm, który zawsze reprezentował”. Tak widzieli tę śmierć esbecy donosiciele, tak postrzegali liczni biskupi, tym również uzasadniali propagandą PRL.

Za najgroźniejszą uznano prawdę, że ksiądz został zamordowany, ponieważ na drodze swojej świętości spotkał ludzi, którzy postawę wierności Ewangelii odebrali jako osobiste zagrożenie. Wielu z nich, w tym ludzie tego samego Kościoła, któremu służył Kapłan z Żoliborza, nie potrafiło zaakceptować takiej postawy. Była ponad ich siły. Woleli widzieć w Nim zaangażowanego politycznie duchownego, niż dostrzec prawdziwą, przerastającą wielkość. Zbyt mocno obnażała ich własną ułomność, zbyt wyraziście kontrastowała z załganą, ograniczoną wizją świata.

Wszystko, zatem – byle nie męczeństwo, byle nie stwierdzenie, że zginął świadek prawdy, a polem bitwy było starcie dobra ze złem.

Dругa z hipotez dezinformacyjnych miała znacznie poważniejsze konsekwencje. Dotyczyła bezpośrednich mocodawców tej zbrodni i miała ich chronić przed odpowiedzialnością karną i polityczną.

Chcąc zrozumieć, skąd wzięła się teza o prowokacji wymierzonej w Jaruzelskiego i jego rzekomo „liberalne skrzydło”, trzeba cofnąć się w odległą acz niezamkniętą przeszłość PRL.

Przez kilkadziesiąt lat funkcjonowały bowiem mity o tzw. frakcjach partyjnych w łonie partii komunistycznej. W latach 50. wyodrębniano sztuczne podziały na „puławian” i „natolińczyków”, dziesięć lat później, na „grupę śląską” i „partyzantów”, w latach 80. słyszeliśmy zaś o rozbićciu na „skrzydło liberalno - „postępowe” i konserwatywny „partyjny beton”. U podłoża tych podziałów miały leżeć „różnice ideologiczne” członków PPR i PZPR, sprzeciw wobec Moskwy, chęć „wybicia na niezależność” lub „dążenia do „przeprowadzenia reform”. W rzeczywistości, chodziło zawsze o wykreowanie „nowego rozdania” (zgodnie z wolą Kremia) lub o podział łupów i likwidację jednej bandy przez drugą.

Warto natomiast pamiętać, że dzięki stosowaniu tej kłamliwej retoryki mogła wyłonić się tzw. lewicowa opozycja (zwana też rewizjonistyczną), w ramach której, członkowie PZPR, Kuroń i Modzelewski, podjęli w pewnym momencie krytykę partii za „odejście od prawdziwego socjalizmu”. Z tego nurtu zbudowano później środowisko „komandosów”, by po latach arcymistrzowskiej gry dezinformacyjnej przekonać Polaków, że ludzie, którzy byli zaledwie schizmatykami wiary komunistycznej, stali się nagle „demokratyczną opozycją” i wspólnie z robotnikami obalili ustrój komunistyczny.

Rozgrywanie rzekomych antynomii w interesie grupy rządzącej, nie jest niczym nowym w strategii sprawowania władzy. W ten sposób stworzono mitologię „twardogłowych” i „liberalnych” komunistów, by po zamordowaniu księdza Jerzego posłużyć się tezą o prowokacji tych pierwszych wobec „liberałów” Jaruzelskiego i Kiszcza i otworzyć drogę do „historycznego kompromisu” z wyselekcjonowaną opozycją.

[...]

Depozyt wiedzy o zabójstwie Kapłana, mógł stanowić jeden z najważniejszych powodów, dla których służby wojskowe nie poddano żadnej weryfikacji. Przez cały okres III RP były one nienaruszalną enklawą wpływów sowieckich i mogły liczyć na przychylność kolejnych rządów. W tym depozycie, musiała być również zawarta wiedza o agenturze ulokowanej w otoczeniu księdza Jerzego i jej udziału w doprowadzeniu do porwania i zabójstwa Kapelana „Solidarności”.

„Nie ma takich służb, które hasło „zabić księdza” wpisują do planów rocznych” – te słowa gen. Ciastonia z procesu w roku 2002 sugerują, że znalezienie dziś jednoznacznych dowodów winy oraz precyzyjne ustalenie przebiegu zdarzeń, może okazać się niezwykle trudne lub niemożliwe.

Matactwa wokół tej sprawy nie skończyły się wraz z upadkiem PRL-u. Przez ostatnie dwie dekady, wykonawcy i zakładnicy zbrodni nadal strzegli swoich tajemnic, mając do dyspozycji ogromny arsenał środków; poczynając od fizycznej eliminacji i zastraszania niewygodnych świadków, poprzez polityczne naciski, tworzenie fałszywych tropów i medialne manipulacje.

O tym, że sprawa jest nadal pilnie monitorowana, świadczą m.in. działania prokuratury podjęte wobec Wojciecha Sumlińskiego, w związku z aferą marszałkową. W dniu 15 maja 2008 roku, podczas przeszukania dokonanego w domu dziennikarza, ABW zabrało dokumenty związane ze śledztwem w sprawie zabójstwa księdza Jerzego. Mówiąc o tym w wypowiedzi dla regionalnego Radia Podlasie, Sumliński przyznał, że *„w mieszkaniu zarekwirowano trzy tysiące tajnych, poufnych i niejawnych dokumentów. Były to dokumenty dotyczące sprawy ks. Popiełuszki, którą zajmuję się od kilku lat.”* Zbierano również dokumenty związane z Wojskowym Siłami Informacyjnymi. Materiały związane ze sprawą zabójstwa, były również przedmiotem zainteresowania ABW podczas przeszukań dokonanych w mieszkaniach Piotra Bączka i Leszka Pietrzaka.

W artykule „Kto stoi za śmiercią księdza?” („Dziennik Wschodni” z 3 listopada 2006r.) Sumliński napisał:

„W zaciemnianiu tej prawdy bierze udział wiele osób: ci, którzy brali udział w zamordowaniu księdza Jerzego bądź w wydarzeniach z nią związanych; ci, którzy później zacierali ślady tej jednej z najgłośniejszych zbrodni PRL; ci, którzy obawiają się, że w toku wyjaśniania tej zbrodni wyjdzie na światło dzienne prawda o ich ponurej przeszłości. Niestety – również ludzie dobrej woli, którzy – często z jak najbardziej uczciwych, ale mylnych pobudek – obawiają się, że odkrywanie prawdy o morderstwie na księdzu Jerzym może opóźnić Jego beatyfikację. Również te środowiska, które sądzą, że postawa niektórych osób na przełomie lat 80. i 90. może zmasakrać ich wcześniejsze winy, czyli przyzwolenie na zbrodnie dokonywane przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Wreszcie – nieudolni oficerowie śledczy i prokuratorzy, z winy których w ostatnich latach śledztwo w sprawie morderstwa na ks. Jerzym ugrzęzło w martwym punkcie”.

Wszystko, co wiemy na temat zabójstwa księdza Jerzego, o czym przekonują zachowania ludzi bezpieki, opozycji i Kościoła, uprawnia do sformułowania wniosku o zbrodni założycielskiej III RP.

Tę śmierć od początku próbowano wykorzystać instrumentalnie, obciążać nią opozycję, a następnie się z nią rozprawić. Ostatecznie jednak inspiratorzy zbrodni doszli do wniosku, że zabójstwo Kapłana stanie się fundamentem, na którym zbudują porozumienie z przedstawicielami wyselekcjonowanej opozycji i hierarchiami Kościoła. Taki proces można obserwować już od roku 1985, a jego dynamika jest w sposób oczywisty związana z zabójstwem księdza Jerzego. Spotkania w Magdalence i okrągły stół – finalizowały jedynie to porozumienie.

Zaniechanie dalszego śledztwa, dwukrotne odebranie sprawy prokuratorowi Witkowskiemu, rozliczne matactwa i próby kierowania sprawą w ślepe zaułki, tworzą kolejne przesłanki wskazujące, jak bardzo temat zabójstwa księdza Jerzego jest osadzony w realiach obecnego państwa, jak wciąż jest żywy i aktualny.

Prawda o męczeństwie Kapelana Solidarności nie jest nam potrzebna, by szukać sensacji. Nawet nie po to, by stawiać sprawców przed sądem, wznawiać procesy, oskarżać i ferować wyroki. Potrzebujemy jej dlatego, by z tej śmierci wyrosło dobro - takie, którego chciał ksiądz Jerzy dla Polski i dla Polaków.

Ludzie, którzy utrzymują nas w fałszywym przeświadczeniu o przesłaniu księdza Jerzego, podkreślają często słowa: zło dobrem zwyciężaj - i nie chcą pamiętać, że poprzedza je równie ważna dyspozycja: nie daj się zwyciężyć złu.

Nie doświadczymy owoców tego męczeństwa ani darów tej świętości, jeśli nie złamiemy zмовы milczenia i fałszu ustaleń toruńskich. Nie z pragnienia zemsty i dochodzenia ludzkiej sprawiedliwości, ale po to, by nie dać się zwyciężyć złu, które zatruwa dziś życie naszej Ojczyzny.

III RP, która zaczęła się nad grobem księdza Jerzego, nadal strzeże zbrodniczej tajemnicy. Ludziom uczestniczącym w ukrywaniu prawdy, na zawsze powinny brzmieć w uszach słowa księdza Jerzego, wypowiedziane do oprawców – *Panowie, dlaczego mnie tak traktujecie...*

**

W październiku 2014 roku upłynie 30 lat od męczeńskiej śmierci błogosławionego księdza Jerzego. Prezentowany tekst zawiera fragmenty z książki „ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA III RP - Zabójstwo Księdza Jerzego Popiełuszki”. Zostanie ona wydana tuż przed rocznicą tej zbrodni, jako moje osobiste świadectwo złożone księdzu Jerzemu.

852. NUDIS VERBIS – 1 Diagnoza

„Żadnej współpracy z bolszewikami! Zasada polskiej polityki zagranicznej winno być szukanie przeciwko Niemcom sprzymierzeńców na zachodzie, nigdy na wschodzie, W praktyce międzynarodowej nie ceni się przyjaciół całkowicie oddanych. [...] Niemcy są naszym wrogiem zewnętrznym, bolszewicy i zewnętrznym, i wewnętrznym. Niemcy wojnę przegrali, bolszewicy ją wygrywają. Niemcy odchodzą, bolszewicy przychodzą” – pisał Józef Mackiewicz w roku 1944, w wydawanym przez siebie piśmie „Alarm”.

Jak dalece poglądy pisarza na sprawy polskie różniły się od opinii „autorytetów konspiracyjnych”, wyjaśniał Mackiewicz bez ogródek:

„Oto w odróżnieniu od rozpowszechnionego dziś rewizjonizmu w dziedzinie teorii oporu wobec najeźdźcy, rewizjonizmu, który często powołuje się na wzory czeskie, byłem zdecydowanym zwolennikiem zbrojnego, bezkompromisowego przeciwstawiania się Niemcom, ale – jednocześnie – równie zdecydowanym przeciwnikiem wspomaganie bolszewików. Przelewanie naszej krwi w walce z Niemcami uważałem za konieczne. Ale przelewanie tej samej krwi dla wspomaganie bolszewików i przyspieszenia zejścia Polski w jarzmo sowieckie – za zbrodnię. [...] „Strzelanie do agentów Gestapo to akt samoobrony koniecznej, Wysadzanie pociągów z amunicją przeznaczoną do walki z bolszewikami, to świadectwo niedojrzałości politycznej. [...] Podobne hasło uznane zostało przez niektóre „autorytety” konspiracyjne za – niezgodne z interesem Polski. Zważmy, że działo się to w czerwcu, lipcu 1944 r. Gdy klęska Niemiec była rzeczą przesądzoną, Gdy zamiary Sowietów w odniesieniu do Polski stały się już od dawna jawne i nie podlegające żadnej dyskusji!”

Sięgam po teksty Mackiewicza z „NUDIS VERBIS”, ponieważ nie ma w polskiej literaturze politycznej rzeczy równie uniwersalnych dla opisanie naszej obecnej sytuacji. O doniosłości tekstów pisarza świadczą nie tylko miara historycznej weryfikacji i sprawdzalności jego prognoz politycznych, ale nienawiść, z jaką dwa bliźniacze twory: PRL i III RP, traktowały i traktują spuściznę Mackiewicza. Żaden inny pisarz nie został skazany na tak długoletnie zapomnienie i marginalizację, jak człowiek, który miał odwagę udzielać Polakom „artystycznej i publicystycznej lekcji antykomunizmu” (Jacek Trznadel).

Za tę lekcję, był równie często ignorowany przez „autorytety konspiracyjne”, jak zwalczany przez zaczerpniętych komunizmem pseudointelektualistów oraz krytykowany przez małych demiurgów, którzy, jak red. Skwieciński dowodzili, iż „antykommunizm zawiódł Mackiewicza na manowce intelektualne”. Daj Boże, byśmy wszyscy znaleźli się na takich „manowcach”.

Gdzie przebiega analogia, między powojennymi diagnozami pisarza, a naszą współczesnością i co wspólnego z obecnym położeniem Polski może mieć opis realiów sprzed 60 lat ?

„Gdybym miał w obrazie odmalować ówczesną tragedię polityczną Kraju, przedstawiłbym naród w postaci pochodu, który z pieśnią na ustach, na przemian męczeńską i triumfalną, gnany jest przez siepaczy hitlerowskich w przepaść bolszewicką, a po bokach kroczące szpalery „autorytetów” konspiracji, pilnujących z pistoletami w garści, aby nikt z tego pochodu się nie wyłamał, nikt nie próbował zawrócić czy innych przed przepaścią nie ostrzegł.” – pisał Mackiewicz.

Jakkolwiek „siepaczy hitlerowskich” zastępują dziś szacowni politycy niemieccy, z pupilką Stasi na czele, a „przepaść bolszewicka” ma być zaledwie kolejną, wytyczoną politycznym „georealizmem” – obraz nakreślony przez pisarza powinien przerażać swoją aktualnością.

Wojna na Ukrainie przypomniła z całą bezwzględnością, że dwa żywioły: rosyjski i niemiecki, nigdy nie pogodzą się z istnieniem Rzeczypospolitej. Nawet obecne państwo, powstałe na fundamentach „Polski Ludowej”, jest nie do zaakceptowania dla naszych odwiecznych wrogów.

Ukraina jest zaledwie etapem, „polem doświadczalnym” nowego sojuszu Moskwy i Berlina. Akta niemieckich polityków, zgromadzone w archiwach Łubianki, dają pewność, że sojusz ten przetrwa każdą próbę. Putin doskonale odrobił lekcję najnowszej historii i zrozumiał, że nadrzędnym celem społeczeństw „wolnego świata” nie jest prawda historyczna bądź racje moralne, ale dobrobyt i spokój – i za obie te wartości gotowe są zapłacić każdą cenę.

Realizowany od siedmiu lat plan wasalizacji Polski, wkracza obecnie w kolejną fazę, w której Rosja i Niemcy mogą liczyć na wsparcie *eurolajdaków* i pełną współpracę ze strony „elit” III RP. *Projekt Prusy Wschodnie* – utrzymywanie za wszelką cenę otwartej granicy z Kaliningradem, jest symbolem trwałości nowego przymierza i już dziś prowadzi do reaktywacji historycznych demonów. Z kolei, „awans” udzielony jednemu z wysokich przedstawicieli reżimu dowodzi, że cały aparat unijny zostanie zaangażowany w utrwalenie obecnego status quo i będzie zabiegał o utrzymanie Polski w orbicie Moskwy i Berlina.

W ostatnich latach przynajmniej kilkakrotnie mogliśmy dostrzec prawdziwe intencje „wolnego świata”. Entuzjazm, z jakim na Zachodzie powitano zwycięstwo wyborcze Platformy, w roku 2007 i 2011, nie wpływał przeciw z troski o polskie sprawy i nie był efektem wysokiej oceny przymiotów politycznych i intelektualnych przedstawicieli rządu Tuska. Podkreślano przede wszystkim, że pragmatyzm nowej władzy pozwoli poprawić relacje z Rosją i wygasić „polską rusofobię”. To dlatego, natychmiast po tragedii smoleńskiej pojawiły się na Zachodzie głosy nawołujące do pojednania polsko-rosyjskiego, zaś niemieckie media nie ukrywały, że *„napięcia pomiędzy Polską a Rosją oznaczają dla Berlina kłopoty”*. Życzliwość komisarzy i polityków Zachodu, a w szczególności serdeczności Angeli Merkel, mają bardzo konkretny wymiar. W równym stopniu dotyczy on świadomości, że reżim III RP jest tworem wyjątkowo słabym i podatnym na unijne naciski, jak przekonania, że nie będzie on przeciwstawiał się Rosji ani tworzył przeszkód w realizacji polityki pojałtańskiej.

Warto sobie uświadomić, że po roku 1939, 1945 i 1989, kolejna data w polskiej historii nie przyniesie przełomu w łańcuchu dyplomatycznych draństw, zdrady i zawiedzionych nadziei. Żadna z „zachodnich demokracji” nie będzie umierać za Polskę, tak jak dziś nikt nie chce nadstawić głowy za wolną Ukrainę.

Byłoby fatalnie, gdyby Polacy odrzucili tę lekcję historii.

Zbyt łatwo zapomnieliśmy, że postawę Zachodu wobec Sowietów/Rosji wyznaczyły słowa Churchilla o gotowości *„sprzymierzenia się z diabłem, żeby tylko wypędzić szatana”*. Tym diabłem był wówczas Stalin, mający obronić Europę przez Hitlerem-szataniem. Gdy „diabeł” wykrwawił „szatana” na ziemiach oddalonych od europejskich stolic, przyjęto dogmat, iż każdy, kto występuje przeciwko diabłu, będzie odtąd wrogiem cywilizowanej Europy. Rok 1989 i propagandowe ogłoszenie „upadku komunizmu” stanowił naturalną kontynuację tej mitologicznej postawy wobec „diabła”. Jego przejście na „stronę światłości” powitano jako ostateczne zwycięstwo nad szatanem totalitaryzmu i konsekwencję wspólnej walki z demonem – Hitlerem. Przyczyną tej zbiorowej mistyfikacji była m.in. konieczność moralnego usprawiedliwienia sojuszu z międzynarodowym komunizmem. Bez tego usprawiedliwienia, ideowa wykładnia wojny z Hitlerem, nie byłaby możliwa, albo co najmniej utrudniona. Dzięki niej, dokonano rozgrzeszenia hańby „ładu jałtańskiego”, zaaprobowano farsę procesu w Norymberdze i zapomniano o zbrodni ludobójstwa, przy których błędną wyczynił Hitlera.

„W jednej, wielkiej tragedii Polski zawarły się trzy klęski: klęska militarna, klęska polityczna i klęska moralna. Przyczyny pierwszych dwóch omówione były dokładnie i są nadal dyskutowane z niewątpliwym pożytkiem dla naszej przyszłości. Klęska moralna kraju wydaje się wszakże najbardziej zasadnicza. Widmo „radzieckiej” Polski, nie tylko w jej sowieckiej formie i zewnętrznych granicach, ale wewnętrznej treści, straszne widmo sparaliżowanego bolszewizmem narodu stoi u progu” – ostrzegł Mackiewicz w roku 1944. Niewielu wówczas rozumiało to niebezpieczeństwo, a jeszcze mniej potrafiło ocenić rozmiar owej „moralnej klęski” – skutkami przewyższającej wszystko, czego dokonał niemiecki faszyzm. Dopiero z perspektywy półwiecza okupacji sowieckiej i społecznych następstw 25 lat istnienia hybrydy PRL-u, można dostrzec trafność refleksji Mackiewicza, ale też przeprowadzić istotną gradację zagrożeń.

Gdyby ktoś zdobył się na wywód z historii alternatywnej i wykazał - jak wyglądałby nasz świat bez „czynnika rosyjskiego”, zrozumiałby, jak prawdziwe były słowa Józefa Mackiewicza zapisane w „Zwycięstwie prowokacji”: *„Katastrofa, to nie śmierć połowy ludzkości w wojnie atomowej. Katastrofa, to życie całej ludzkości pod panowaniem ustroju komunistycznego”* - przy czym określenie „ustrój komunistyczny” bez wątplenia wolno dziś zastąpić „rosyjskim mirem”, narzuconym światu przez kremlofskich bandytów.

Ponieważ Europa jest zbiorowiskiem społeczeństw wyjątkowo prymitywnych i słabych, nie ma innych możliwości zrzucenia „ładu jałtańskiego”, jak poprzez wydarzenie podobnej miary, jak to, które ten ład stworzyło. Rosja, przy wsparciu Niemiec, musi więc wywołać totalną zawieruchę ... a następnie zniknąć z mapy świata. To państwo nie jest zdolne do pokojowej egzystencji i nie powinno znajdować miejsca wśród cywilizowanych narodów. Dopiero dzień upadku Rosji, będzie prawdziwym triumfem wolności.

Nim to nastąpi, trzeba, byśmy potrafili pokonać jeden z najgorszych mitów pustoszących nasze myślenie o polskiej racji stanu: przekonanie, że bezpieczeństwo naszego kraju opiera się na sojuszu z państwami europejskimi i musi być wynikiem wypracowania *georealitycznego konsensusu* między Rosją, a Niemcami. To rozumowanie doprowadziło Polaków do zguby w wieku XVIII, zdecydowało o narzuceniu okupacji sowieckiej w roku 1945 i do dziś niweczy wszelkie próby wybicia na Niepodległość.

Józef Mackiewicz pisał wprost o *„zasłepieniu społeczeństwa, zasłepieniu w trzech kardynalnych błędach: 1) bezkrytycznym optymizmie (nazywało się „podnoszeniem na duchu”), 2) onnipotencji Anglii i jej bezwarunkowo dobrej woli, 3) usypianiu niebezpieczeństwa sowieckiego”*.

Owczesne „autorytety konspiracyjne” zgrzytały zębami, gdy pisarz przywoływał słowa Józefa Goebbelsa, który twierdził, że: *„1) Polskę czeka marny los na wypadek zwycięstwa aliantów, 2) Anglia okaże się w rezultacie słaba i Polskę sprzeda, 3) bolszewicy Polskę zabiorą i zrobią z niej 17 republikę.”*

Wprawdzie historia przyznała rację Mackiewiczowi i obnażyła cynizm i nielojalność aliantów, to przeciw pisarza skazano na zapomnienie i marginalizację. Tryumf zaś święcą mitomani, deliberyjący o „zwycięstwie Polski w II wojnie światowej” oraz umacnianiu sojuszu z państwami Zachodu. Niezależnie – czy mówią dziś o *„zakopywaniu Polski aż po sam czubek głowy, razem z tym czakiem ułańskim, razem z czapką krakuską”*, czy postulują *„pogłębianie integracji europejskiej i budowanie*

polskiej pozycji w Unii Europejskiej” – reprezentują tę samą sektę utopistów i mistyfikatorów, którzy od dziesiątków lat niszczą nasze marzenia o niepodległości.

Trzeba wielkiego zaślepienia, by po doświadczeniach zaborów, wojen i 50-letniej okupacji - nie dostrzec klęski podobnych koncepcji.

Ich twórcy, nie tylko nie wierzą w potencjał Polaków i możliwość zbudowania silnej państwowości, ale porażeni własną niemocą, uczynili z naszego położenia geograficznego, najtrwalsze kajdany. Bo jeśli nie „współpraca” z Rosją, to wizja ekonomicznej kolonii niemieckiej. Jeśli nie "zbliżenie" z Zachodem, to moskiewski jasyr.

Przekleństwo georealizmu będzie nam ciążyć tak długo, jak długo dajemy wiarę, że Polska musi być proniemiecka bądź prorusyjska. Albo nie istnieć w ogóle.

cdn.

853. NUDIS VERBIS – 2 Terapia

Realizm wykuty z doświadczeń historii, nakazywałby budować państwowość w oparciu o własną, polską drogę. Bez oglądania na Wschód i na Zachód, bez liczenia na zachodnioeuropejskie gwarancje i współpracę z Rosją.

Polska nie ma najmniejszego interesu w popieraniu prorusyjskiej i proniemieckiej polityki przywódców UE. Od czasu „ładu jałtańskiego”, polityka ta stanowi największą barierę dla naszych dążeń niepodległościowych i wszędzie tam, gdzie uwzględnia priorytety Berlina i Moskwy – ignoruje lub podważa nasze.

Istota tej polityki nie polega na zapewnieniu bezpieczeństwa i równego rozwoju państwom Europy Wschodniej, lecz na zabezpieczeniu potrzeb ekonomicznych najbogatszych graczy Unii (ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec) oraz zagwarantowaniu Rosji „miejsca wśród narodów świata”. W oczach Zachodu, koegzystencja z Rosją jest możliwa, jeśli państwo to otrzyma „należną” strefę wpływów i zaspokoi swoje mocarstwowe ambicje.

Każda forma akceptacji tej polityki, wyrażana przez czynniki polskie, jest aktem głupoty, ocierającym się o zdradę i tak powinna być traktowana przez ludzi świadomych obecnych zagrożeń.

Niedawna wypowiedź wicekanclerza Niemiec Sigmara Gabriela: „*To jest tak, że Europa potrzebuje Rosji. Jesteśmy bezpośrednimi sąsiadami i dobre sąsiedztwo jest niezbędne*” – ukazuje, jak bardzo priorytety niemieckie i unijne są sprzeczne z naszymi interesami.

Polska nie potrzebuje bowiem - ani Rosji ani Niemiec. Sąsiedztwo tych państw jest dla nas źródłem nieustannych konfliktów, wojen i ograniczeń państwowości. Jeśli syta i próżna Europa „potrzebuje Rosji” – niech brata się z nią na własny rachunek. Nigdy zaś kosztem Polski i naszej niepodległości.

Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że w najwyższym interesie Polaków leży, by Rosja została rozbita i zniknęła z mapy świata, Niemcy zaś stały się krajem słabym militarnie i gospodarczo.

Jeśli taka teza wydaje się niektórym kontrowersyjna lub obrazoburcza, dowodzi to, jak bardzo zatraciliśmy instynkt zachowawczy i jak obce jest myślenie w polskich kategoriach.

Doświadczenia historyczne aż nadto udowadniają, że budowanie dobrosąsiedzkich relacji z tymi państwami, musi być skazane na klęskę. Podejmowane po roku 1989 próby prowadzenia takiej polityki, dowodzą (w najlepszym przypadku) skrajnego infantylizmu i nieznamośności historii. Nie powiodło się to w okresie międzywojennym, gdy mieliśmy autentyczną suwerenność i polityków na miarę mężów stanu. Tym bardziej jest nierealne dziś, gdy hybrydą PRL-u rządzą miernoty i tchórze. Podobne mrzonki kosztowały nas zbyt wiele, by można sobie pozwolić na kolejne eksperymenty w ramach „dobrosąsiedzkich kontaktów”.

Niezależnie, ile pustych deklaracji zostanie złożonych, ile umów podpisanych, Moskwa i Berlin zawsze będą wrogami polskości. Historycznym dążeniem tych państw jest ustanowienie na Wiśle granicy rosyjsko-niemieckiej i wymazanie Polski z mapy świata. To, czego nie sformułuje dziś żaden polityk niemiecki, jest już realizowane na mocy sojuszu Merkel-Putin i dokonywane przy współudziale „elit” III RP. Różnica między obecną sytuacją, a rokiem 1939 polega jedynie na odwróceniu ról i modyfikacji akcentów: dziś konflikt zbrojny ma wywołać Rosja, zaś Niemcom przewidziano funkcję politycznego i ekonomicznego wspornika. Udawać, że tego nie widzimy – byłoby szaleństwem.

Prawdziwy *georealizm* nie polega zatem na *myśleniu dostosowawczym* i akceptacji ambicji rosyjskich i niemieckich, lecz na ich zanegowaniu i odrzuceniu.

Dopiero taka refleksja może być punktem wyjścia dla poszukiwania skutecznej terapii.

Mamy dostateczny potencjał, by polską rację stanu oprzeć się na dwóch filarach: silnej armii i gospodarce i wśród odwiecznych wrogów wywalczyć pozycję autentycznego mocarstwa. Jeśli Polacy ze wzruszeniem ramion przyjmują takie wizje – zawiadzamy to ludziom, którzy przez dziesięciolecia zabijali w nas dumę z polskości i wmówili moim rodakom, że tylko zależność od sąsiadów oraz kultywowanie mitologii „niepodważalnych sojuszy” pozwoli zachować szczątki państwowości.

Trzeba jednak przyjąć, że ta droga – budowania samodzielnego, niezależnego państwa, jest dziś dla Polski zamknięta. Nie tylko dlatego, że nie mamy społeczeństwa zdolnego do walki ani mężów stanu gotowych podjąć takie wyzwanie. Ostatnie dwie dekady stracono bezpowrotnie na powielanie błędów przeszłości i proces tzw. integracji z państwami Unii Europejskiej. W praktyce, proces ten został sprowadzony do narzucenia nam dyktatu ekonomiczno-politycznego, ze szczególnym uwzględnieniem interesów niemieckich. Przeprowadzono go według wzorców „ładu jałtańskiego” - nie przecinając wpływów sowieckich, lecz zabierając Polakom te dobra, które pozostały jeszcze po półwieczu okupacji. Osłabiona, zdeintegrowana i zdegenerowana Polska – ma stanowić tym łatwiejszy łup.

Nasza obecność w strukturach UE nie daje zatem żadnych gwarancji bezpieczeństwa i nie ma wpływu na status III RP. Ten bowiem nie jest zależny od papierowych umów i werbalnych deklaracji, lecz od stopnia samowystarczalności i siły militarnej państwa.

Doświadczenia płynące z wojny na Ukrainie powinny potwierdzać, że przywódcy UE nadal kierują się niewolniczą logiką i są gotowi do najpodlejszych ustępstw na rzecz Rosji. Dlatego tysiące Ukraińców, którzy minionej zimy demonstrowali wolę podążania „europejską drogą” – zostało zdradzonych przez pupilkę Stasi, a ich państwo oddane kremlowskiemu bandycie.

Kto wierzy, że podobny los nie spotka Polaków – nie zasługuje na poważne traktowanie.

Nadal natomiast osiągalny jest projekt, o którym Józef Mackiewicz napisał: „*Żadnej współpracy z bolszewikami! Zasadą polskiej polityki zagranicznej winno być szukanie przeciwko Niemcom sprzymierzeńców na zachodzie, nigdy na wschodzie*”.

Jest oczywiste, że takich sprzymierzeńców nie znajdziemy wśród państw Unii Europejskiej, w której Niemcy odgrywają rolę decydenta, zaś Rosja jest postrzegana jako partner, posiadający prawo do ingerowania w sprawy innych narodów. Z ujawnionej niedawno rozmowy Putin-Poroszenko, warto zauważyć fragment, w którym rosyjski satrapa ostrzega prezydenta Ukrainy, by ten nie liczył na pomoc UE. Putin zapewnia, że Rosja jest w stanie utworzyć szeroką koalicję państw europejskich, która zablokuje niekorzystne wobec Kremla decyzje. W tym zakresie, można mu całkowicie wierzyć.

Realizm nakazywałby zatem poszukiwać sprzymierzeńca w państwie, które w równym stopniu jest przeciwnikiem imperialnych dążeń Rosji, jak zagraża politycznym interesom Niemiec w Europie. Możemy mówić wyłącznie o jednym państwie, nie zaś o międzynarodowych paktach i sojuszach, których polityka jest naznaczona wpływami Niemiec lubi Rosji.

George Friedman w opublikowanym niedawno artykule „Strategia dla Polski” napisał wprost:

„*Członkostwo w organizacjach międzynarodowych jest rozwiązaniem wątpliwym także z tego względu, że zakłada, iż NATO i Unia Europejska są instytucjami stabilnymi. Jeżeli Rosja stanie się agresywna, zdolność paktu do wystawienia sił zdolnych powstrzymać Rosjan będzie w większym stopniu zależać od Amerykanów niż od Europejczyków.*”

Nie przypadkiem, od kilku lat obserwujemy przekształcanie NATO z sojuszu obronnego w polityczną organizację bezpieczeństwa. Jaki udział w tym procesie ma agentura rosyjska (o jej działaniach informowano już w roku 2009), dowiemy się zapewne po upadku Rosji. Uczestnictwo niektórych państw członkowskich w zbrojeniu rosyjskiej armii i policji, okrojenie budżetów na obronę, umacnianie osi Moskwa-Berlin, wstrzymanie procesu rozszerzania Sojuszu – to tylko niektóre dowody erozji spójności NATO i zaniku więzi euroatlantyckich. Obrazu dopełnia rezygnacja USA z postrzegania Starego Kontynentu jako centralnego punktu geostrategicznych interesów oraz zwijanie parasola ochronnego nad Europą.

Największy udział w dezintegracji i osłabieniu NATO mają bez wątpienia Niemcy i Francja, ale warto pamiętać, że w tym dziele współuczestniczy również reżim III RP. Wiele z działań rządu PO-PSL, by wspomnieć utworzenie pod patronatem Niemiec i Francji tzw. Wyszehradzkiej Grupy Bojowej, jako reakcji państw „zawiedzionych i niezadowolonych” z dotychczasowej współpracy w ramach Sojuszu - służyło temu właśnie celowi. Zawarty w tzw. doktrynie Komorowskiego zamysł „*usamodzielnienia systemu bezpieczeństwa narodowego*” oraz mrzonki o „*polskiej tarczy antyrakietowej*” od dawna sygnalizowały zmianę dotychczasowych preferencji i wpisywały się w plany marginalizacji USA w NATO. Zapewne niewiele osób pamięta, że największym orędownikiem projektu „europejskiej tarczy” była Angela Merkel, która już przed przyjazdem do Polski w roku 2007 namawiała nas do „*budowania tarczy antyrakietowej w ramach NATO*” i zabiegała o „*otwartą dyskusję z Rosją*”.

Wśród tzw. priorytetów belwiderskiego SPBN na pierwszym miejscu stawiano zatem surrealistyczny postulat „*utrzymywania i wykorzystywania zdolności, gotowości i determinacji do samodzielnego reagowania na wszelkie zagrożenia*” oraz „*wzmocnienia Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa UE*”. Wskazanie na ostatnim miejscu – „*partnerstwa strategicznego z USA*”, odzwierciedlało hierarchię zawartą w jednej z wcześniejszych rekomendacji SPBN, w której zalecano Polsce „*odejście od polityki bezwarunkowego, a wręcz bezrefleksyjnego popierania wszystkich działań tego mocarstwa.*”

Jeśli NATO przypomina bardziej pacyfistyczny klub dyskusyjny niż pakt militarny i nie jest w stanie powstrzymać zakusów Putina, zawdzięczamy to w równej mierze słabości przywódców Zachodu, jak działaniom rosyjskiej agentury i konsekwentnej polityce Niemiec, której celem była dezintegracja Paktu i wyparcie USA z obszaru europejskiego.

Przynależność Polski do sojuszu, w którym warunki użycia siły dyktuje sprzymierzeniec Putina, zaś o zasadach bezpieczeństwa decydują *czynniki geopolityczne* oraz obawa przed „drażnieniem Rosji” – nie daje nam żadnych gwarancji. Ostatni szczyt NATO potwierdził to wyraźnie. Przesłanie skierowane do Polaków: radźcie sobie sami, jest aż nadto czytelne i powinno przywołać analogie z rokiem 1939.

W tej sytuacji, jedynym racjonalnym rozwiązaniem, byłby militarny sojusz polsko-amerykański, zawiązany poza strukturami NATO. W praktyce miałyby prowadzić do: instalacji amerykańskiej tarczy antyrakietowej (bez dodatkowych warunków), trwałej obecności wojsk USA na terytorium Polski oraz zreformowania (poprzez opcję zerową) wszystkich formacji specjalnych. Efektywna współpraca służb USA z najbardziej nieudolnymi służbami Europy, nie jest możliwa.

Ponieważ Stany Zjednoczone nie mają najmniejszego interesu we wspieraniu państwa słabego, zależnego od Moskwy i Berlina, warunkiem zawarcia układu byłoby wyrugowanie z naszej przestrzeni politycznej sił, które wspierają tzw. integrację z UE lub działają na rzecz „porozumienia” z Rosją. Sojusz z USA jest możliwy wówczas, gdy Polska wykaże, że stać ją na rolę państwa działającego aktywnie przeciwko interesom Berlina i Moskwy. Dla Ameryki, sprawy polskie staną się ważne tylko wtedy, gdy będziemy silnym i nieodzownym partnerem, nie zaś wówczas, gdy jesteśmy kłopotliwym ciężarem. Polska słaba, infiltrowana przez agenturę i poddana wpływom sąsiadów, nie może liczyć na wsparcie Ameryki.

Sięgając po istniejące analogie, można byłoby powiedzieć (jeśli nawet porównanie to nie znajdzie akceptacji), że w naszym interesie leży, byśmy byli „Izraelem w Europie”, krajem otoczonym wprawdzie przez wrogów i skazanym na ciągłą walkę, lecz znajdującym oparcie w największym mocarstwie świata. Analogia jest tym bardziej uprawiona, że kwestie energetyczne, odgrywałyby niemałą rolę również w polskim przypadku.

Jeśli nasi sąsiedzi są szczególnie zainteresowani osłabieniem więzi amerykańsko-europejskich, chcieliby wyprzeć USA z przestrzeni Starego Kontynentu i zminimalizować wpływy amerykańskie w NATO - należy czynić wszystko, by pokrzyżować te plany. To, co nie służy Niemcom lub byłoby szkodliwe dla Rosji – leży jak najbardziej w polskim interesie.

Polska powinna zatem budować swoją strategię bezpieczeństwa na najgorszym możliwym scenariuszu, a to oznacza, że antyniemieckość i antyrosyjskość musi stać się polską racją stanu i decydować o naszych wyborach politycznych.

854. O KLUCZENIU I KUŁACZENIU

Gdyby reżim III RP (jak twierdziła opozycja) opierał się na „systemie Tuska”, a spójność koalicji zależała od osoby partyjnego lidera, dezercja premiera wywołałaby polityczne trzęsienie ziemi lub doprowadziła do wcześniejszych wyborów. Gdyby służby specjalne były podporządkowane Bartłomiejowi Sienkiewiczowi (o czym zapewniali nas publicyści i eksperci opozycji), zdymisjonowanie tak wszechwładnego ministra spowodowałoby nadzwyczajny wstrząs, lub, z uwagi na zakres tej władzy, okazałoby się niemożliwe.

Z każdym dniem, upływającym od powołania tzw. rządu Ewy Kopacz, publicystyczne tezy o potężnym premierze i jego wpływowych ministrach doznają kompromitacji i tylko amnezja czytelników sprawia, że ludzie głoszący te banialuki mogą nadal kreować się na analityków i zwodzić opinię publiczną.

Z zainteresowaniem będę śledził zabiegi „niezależnych mediów”, które już rozpoczęły pogoń za nowym królikiem, a chcąc usprawiedliwić fałszywe tropy, będą zmuszone również namaścić kolejnych decydentów. W przypadku obecnego rozdania, nie będzie to rzeczą łatwą, bo nawet średnio rozgarnięty odbiorca z nieufnością przyjmie zapewnienia o władztwie pani premier i może powątpiewać w kompetencje absolwentki ATK na stanowisku ministra spraw wewnętrznych. Problem będzie tym większy, że zgodny chór publicystów i polityków PiS zapewnia nas o wyjątkowej słabości i ułomności tego rządu, co wśród nazbyt dociekliwych obserwatorów, może wywołać niebezpieczną refleksję: jeśli ów rząd jest tak wątpliwy i niekompetentny, jak słaba musi być opozycja, która nie potrafi go obalić?

Pojawia się zatem szansa, że mimo wytężonej pracy ekspertów kojarzonych z opozycją, pytanie: kto jest rzeczywistym decydem i rozdaje karty - zostanie jednak postawione, zaś środowiska te będą zmuszone do udzielenia sensownej odpowiedzi. Mam nadzieję, że nawet pokraczna dialektyka zaprezentowana niedawno przez W. Gadowskiego – „*Komorowski to zbyt słaba osobowość i intelekt, aby na nim opierać koncepcje utrzymania władzy. Co innego tzw. ośrodek prezydencki - tak tam rodzą się koncepcje dalszej totalizacji życia społecznego w Polsce*” – okaże się niewystarczająca dla wyjaśnienia fenomenu budowy reżimu prezydenckiego, bez udziału Komorowskiego.

Im częściej zaś, będzie widoczna rola Belwederu w kreowaniu polityki III RP, tym większe prawdopodobieństwo pojawienia się innych, intrygujących pytań: jak to możliwe, że przez tyle lat wszystkie siły medialne skupione wokół opozycji, były ovladnięte pasją Don Kichota i wielkim zaangażowaniem walczyły z politycznymi wiatrakami? Dlaczego największa partia opozycyjna rezygnuje dziś z podjęcia realnej batalii o prezydenturę, skoro na firmamencie politycznym tak wyraźnie zajaśniało nowe, a zaskakujące wszystkich zjawisko – władzy prezydenckiej?

Najbliższe miesiące mogą upłynąć na próbach pokonania tych niewygodnych antynomii oraz znalezienia „złotego środka”, który pozwoli odsunąć nieczne podejrzenia od Pałacu Prezydenckiego oraz zapewni modus vivendi do czasu wyborów parlamentarnych.

Największy kłopot będzie jednak dotyczył służb specjalnych i wytłumaczenia odbiorcy logiki dokonywanych tam zmian. Już niedawne przecieki z tajnego raportu NIK, na temat nadzoru nad służbami, powinny otworzyć oczy tym, którzy wierzyli w silną władzę premiera, a nawet posądzali panów Cichońskiego i Sienkiewicza o autorstwo tzw. reformy służb.

Z raportu wynikało, że premier nie tylko nie miał pełnej wiedzy na temat procedur wewnętrznych obowiązujących w poszczególnych służbach, ale nie posiadał też wiedzy na temat poprawności podejmowanych przez nie działań operacyjno-rozpoznawczych w konkretnych sprawach. Mówiąc kolokwialnie: był politycznym słupem, który swoim stanowiskiem firmował samowolę służb. Dostrzeżono także, że tzw. Kolegium ds. Służb, na którego czele stał Donald Tusk, jest tworem całkowicie nieefektywnym i nie ma realnej możliwości sprawdzenia, czy i w jakim stopniu służby wprowadziły w życie polecenia premiera. Poważne problemy następcza również interpretacja noweli ustaw o ABW i AW, których autorami mieli być wszechwładni ministrowie rządu Tuska. Nadal nie wyjaśniono: dlaczego rząd miałby dążyć do ograniczenia uprawnień ABW i wzmacniania kompetencji służb wojskowych? Jaki cel miałyby reforma degradująca służbę podległą premierowi? Czemu w autorskim projekcie ministrów zawarto zapisy, dzięki którym szefowie służb zostali obdarzeni taką władzą, iż pozwolono im nawet ukrywać przed zwierzchnikami tożsamość tajnych źródeł informacji? Dlaczego Donald Tusk miałby rezygnować z nadzoru nad ABW i powierzyć Agencję ministrowi spraw wewnętrznych? Jeśli przez ostatnie lata byliśmy świadkami procesu głębokiej *bondaryzacji* służb i ciągłego poszerzania uprawnień ABW, dlaczego w okresie wzmożonych problemów rządu Donalda Tuska, doszło do nagłej dymisji polityka Platformy K. Bondaryka i przestawienia „wajchy” na rozbudowę kompetencji służb wojskowych?

Gdy przed ponad rokiem twierdziłem, że mamy do czynienia z „antyuskową” reformą służb, która zakończy się odejściem premiera i rozpisaniem nowego rozdania – nie byłem zaskoczony przemilczeniem tej tezy. Obecnie, pytania związane z ową reformą oraz dotyczące rzeczywistych decydentów w obszarze służb specjalnych, powracają nieubłagane i nie da się ich rozstrzygnąć kilkoma frazesami.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że Ewa Kopacz będzie sprawowała nadzór nad służbami, że może nimi dysponować minister Piotrowska lub nowo namaszczone „koordynator służb specjalnych” Jacek Cichoński. Dzisiejsza nominacja nie daje Cichońskiemu żadnej realnej władzy i jest raczej zapowiedzią, że stanie on na czele tzw. Komitetu Rady Ministrów ds. Bezpieczeństwa Państwa (KRMdsBP), który wkrótce zastąpi kolegium ds. służb.

Ten kolegialny twór, w którym (według obecnego rozdania) zasiądą: Siemoniak, Schetyna, Cichoński, Piotrowska i Szczurek, ma służyć nie tylko rozmyciu odpowiedzialności za zarządzanie służbami, ale stanowi rodzaj instytucjonalnej zasłony, z której będzie działał faktyczny decydem.

Z historii PRL znamy inny organ partyjno-rządowy, o nazwie Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego (KdsBP), który miał doprowadzić do reorganizacji komunistycznego aparatu bezpieczeństwa według wzorców sowieckich i posłużyć m.in. włączeniu organów wojskowych pod nadzór administracji centralnej. Dzięki działalności KdsBP doszło w istocie do zalegalizowania sowieckich organów kontrwywiadu wojskowego (działających pod nazwą Głównego Zarządu Informacji) i uznaniu ich za polskie służby wojskowe.

Niecałe 30 lat później (w roku 1981), Moskwa powierzyła nadzór nad ministerstwem spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczakowi – oficerowi Informacji Wojskowej, szefowi WSW i II Zarządu Sztabu Generalnego. Zadanie Kiszczaka polegało na skonsolidowaniu wojskowych i cywilnych formacji policji politycznej PRL do walki z opozycją oraz rozbudowie sieci agenturalnej. Jak twierdzi Antoni Macierewicz: „*Celem tego zjednoczenia służb była walka z opozycją. W gabinecie Kiszczaka byli ludzie z WSW, którzy nadzorowali zarówno wywiad cywilny, jak i wojskowy oraz kontrwywiad. Krótko mówiąc, Kiszczak dokonał scalenia wszystkich służb i od tego czasu w istocie postępował proces ich ujednoczenia, mimo pewnego zróżnicowania i mimo pewnej odrębności siłowej.*”

Zaszczepiona wówczas sowiecka „koncepcja kułaka” – zaciśnięcia służb wokół jednej formacji, miała doprowadzić do dominacji wojskowej bezpieki, a w rezultacie – do wprowadzenia stanu wojennego i długoletnich rządów junty Jaruzelskiego.

Jestem przekonany, że obecne działania w obszarze służb specjalnych zmierzają w kierunku podobnej konsolidacji i mają na celu wyłonienie takiego modelu służb, który pozwoli ugruntować władzę reżimu prezydenckiego. Na skutek likwidacji WSI oraz wzmocnienia kompetencji ABW, model ten został mocno zachwiany. W tekstach publikowanych od 2012 roku wyjaśniałem główne założenia tego projektu.

Słowo „konsolidacja” jest dziś kluczem do stworzenia uwspółcześnionej „koncepcji kułaka” i pozwala rozpoznać intencje decydentów. Przed dwoma laty, w wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej”, szef BBN gen. Stanisław Koziej wyznał, że

zdaniem ośrodka prezydenckiego „*koordynacja i integracja służb jest konieczna*”. „*Nasze propozycje – zapewnił Koziej – mieszczą się w dotychczasowym systemie konstytucyjnym. Z konstytucji wynika, że są dwa ośrodki władzy wykonawczej – rządowy i prezydencki. Bierzemy jednak pod uwagę, że w przyszłości może się pojawić wola zmiany konstytucji i na przykład przejście na system prezydencki albo gabinetowy*”.

To stwierdzenie – nie tylko w perspektywie ostatnich wydarzeń, można odczytać jako zapowiedź ewolucji w stronę reżimu prezydenckiego, w którym „*zintegrowane i koordynowane*” służby wojskowe będą odgrywały rolę strażnika interesów Belwederu.

Staby i bezwolny rząd Kopacz, na którym skupia się cała energia marionetkowej opozycji, daje gwarancje, że „koncepcja kułaka” zostanie pomyślnie zrealizowana.

PAŹDZIERNIK

855. PRZECIWKO MITOLOGOM DEMOKRACJI

Jedno z największych nieszczęść tzw. środowiska patriotycznego polega na rozpaczliwym kreowaniu *autorytetów*, których wypowiedzi i płynące z nich konkluzje miałyby prowadzić do umocnienia wiary w *mechanizmy demokracji*, a w konsekwencji do „*pokrzepienia ducha*” i „*wzbudzenia nadziei*”.

To wartości same w sobie dobre i potrzebne. Prowadzą do mobilizacji społecznej, budują pozytywne myślenie, dają poczucie bezpieczeństwa. Są niezbędne na czas walki i historycznych doświadczeń.

Dla tych jednak, którzy stoją w obliczu zagłady i ze wszystkich sił nie chcą dostrzec grozy własnego położenia - stają się zabójcze i prowadzą w przepaść całkowitego zniewolenia.

Dążność do poszukiwania podobnych impulsów, dotyczy bowiem społeczności słabej i zdezorientowanej, która nie doczekała się autentycznej elity i próbuje znaleźć jej namiastkę w ludziach mówiących to, co większość chciałaby usłyszeć. W realiach III RP – w ten sposób koi się lęki i uspokaja sumienia. Znosi wymóg własnej aktywności i usprawiedliwia łaskę niewiedzy. Tworzy złudne poczucie spokoju lub oddala myśl o rzeczywistych zagrożeniach.

Wielu z nas ulepiło sobie medialnych „cielców” i na granitowych piedestałach postawiło rozmaitych polityków, publicystów, ludzi nauki i pióra. Z ich wypowiedziami utożsamiamy własne przekonania, na ich ocenach budujemy obraz polskiej rzeczywistości. Oni są politycznym drogowskazem lub punktem odniesienia w kwestiach historycznych, stanowią moralny wzorzec i powszechnie akceptowane źródło mądrości.

Nie byłoby w tym nic złego, gdyby owa mądrość nie została sprowadzona do jakiejś pokracznej „narracji sienkiewiczowskiej” i zastąpiona kuracją uśmierzającą, w której *przekaz pozytywny* pełni rolę uspokajającego medykamentu.

Pytanie – jak to możliwe, że tylko opowieści o rychłym zwycięstwie, wsparte na rachubach *demokracji* i wynikach tzw. sondaży, mogą dziś liczyć na akceptację i poklask większości – nie zostanie nigdy zadane. Również dlatego, że tam gdzie odmienna narracja odkrywa niewygodne prawdy lub wymaga rewizji postaw – jest ona odrzucana i powszechnie przemilczana.

Niezrównany logik, ojciec Józef Bocheński w „Lewica, religia, sowietologia” napisał: „*Zwalczając komunizm trzeba najpierw pobudzić ludzi do myślenia, aby widzieli rzeczywistość, a tym samym wyzwolić ich spod władzy emocji. Jest to jednak często zadanie trudne, zwłaszcza w wypadku ludzi prymitywnych, powodujących się uczuciem i nie wprawionych w myśleniu krytycznym*”.

Bocheński pisał o tych, którzy brali komunizm „*nie za to, czym jest, ale za coś zgodnego z ich własnymi poglądami*”, a ta przypadłość dotyczyła niemal wszystkich intelektualistów, którzy zetknęli się z owym tworem i jego mutacjami.

O ile więc trudniejsze musi być *pobudzanie ludzi do myślenia*, gdy mamy do czynienia z rzeczywistością, w której większość Polaków wyznaje wiarę, że komunizm umarł bezpotomnie, a III RP jest wolnym państwem prawa i demokracji.

Pytając - „*jak jest możliwe, że ludzie wykształceni i myślący stali się zwolennikami ruchu opartego na tak prymitywnym uproszczeniu?*” - Bocheński odpowiadał - „*jest tak albo dlatego, że nieświadomi są, czym naprawdę jest komunizm, albo też dlatego, że powodują nimi emocje wykluczające wszelki rozsądek*”.

Wprawdzie wielu *arbitrów* środowiska patriotycznego dostrzega wyjątkowy prymitywizm „elit” III RP oraz patologiczne uproszczenie, jakim podawane są wszelkie obszary życia publicznego, wprawdzie mówią oni o „powrocie do PRL-u” i dywagują nad „pensum postkomunizmu”, w żaden sposób refleksja ta nie prowadzi do konkluzji, w której dostrzega się nierozzerwalną więź łączącą komunizm z dzisiejszym państwem.

Ten poznawczy dysonans rozwiązano w sposób prosty, acz niewybredny, wymyślając na potrzeby obecnej państwowości termin „postkomunizm” - jako definicję przejściowego okresu, który nastąpił po upadku komunizmu i nie ma bezpośredniego związku z niechlubnej pamięci tworem Marksa i Stalina. Mówiąc o *rzeczywistości postkomunistycznej*, zakłada się bowiem, że komunizm w istocie umarł, a obecnie doświadczamy jego niektórych, zmodyfikowanych oznak. Wywodzą się one z komunizmu, mogą mieć związek z jego „ideologią” lub tradycją, są jednak tylko rodzajem aberracji, rysy, powstałej na zdrowym fundamencie państwowości.

Jarosław Marek Rymkiewicz doskonale dostrzegał ten problem, gdy pisał – „*Kiedy mówimy: postkomuna, postkolonializm, państwo postnarodowe czy posteuropskie, a społeczeństwo pohistoryczne – w tym miejscu wychodzi też na jaw nasza rozpaczliwa bezradność językowa (a zatem i duchowa) wobec tego, co stało się w ostatnich trzech dziesięcioleciach i co teraz dzieje się w Polsce. Nie potrafimy nazwać obecnej Polski, ustalić, co to jest za twór, opowiedzieć, jaka jest nasza tutejsza sytuacja.*”

Nie potrafimy zaś, bo *mitologia demokracji* i powiązana z nią *pokrzepiająca narracja*, wykluczają myśl o siostrzanej więzi PRL i III RP i każą nam pokładać wiarę w mirażach i niedorzecznościach.

Podobnie jak komunizm był kompletną niedorzecznością - nawet w swojej strukturze formalnej, tak jego hybryda, zwana III RP, jest niedorzecznością w obszarze zjawisk politycznych, etycznych bądź prawnych. Nie da się ich zdefiniować przy pomocy racjonalnej metodologii, bo przedstawiciele tego państwa traktują demokrację, moralność i prawo w identyczny sposób, jak złodziej używa wytrychu do otwarcia zamkniętych drzwi, zaś morderca korzysta z noża do zadźgania ofiary. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie jednak twierdził, że sięgając po wytrych złodziej staje się ślusarzem, a posługujący się nożem bandyta wykonuje zawód kucharza.

Tym większa wina owych *mitologów*, którzy zgrają cwaniaków ubrali w szaty demokratów, a agresywnych, twardogłowych typów obdarzają przymiotami rozumu.

To, co środowiskom patriotycznym proponują ludzie korzystający dziś z miana *autorytetów*, sprowadza się w istocie do uwierzytelnienia owych niedorzeczności miarą własnych wyobrażeń: na temat demokracji, moralności i prawa, a w konsekwencji musi prowadzić do fałszowania i manipulowania rzeczywistością.

W efekcie, mamy do czynienia z fuzją postawy, której nawet Józef Bocheński nie mógł przewidzieć: nieświadomością, czym naprawdę jest komunizm i emocjami wykluczającymi zdrowy rozsądek.

Ponieważ „zarządzanie” emocjami należy do najbardziej skutecznych technik komunistycznej indoktrynacji, ta grupa *mitologów demokracji*, nigdy nie będzie postrzegana jako przeciwnicy reżimu, za to zawsze może liczyć na upowszechnianie swoich myśli.

Wielokrotnie podkreślałem, że moje teksty nie są i nie będą pisane „*ku pokrzepieniu*” i kto poszukuje takiej narracji, nie powinien zaglądać w to miejsce. Odpowiedzialność za słowa nie pozwala mi sięgać do prostackiej kazuistyki ani opisywać spraw polskich według *jedynie słusznych dogmatów*.

Kto chce budować gmach nadziei na wywodach *mitologów demokracji* lub prognozować z fusów i słów polityków opozycji – jego sprawa i nie do mnie należy prostowanie ścieżek wiodących na manowce. Kto jednak chciałby odmówić moim poglądom cech racjonalności lub sprowadzić je do epitetu „mieszania ludziom w głowach” – niech ma odwagę zmierzyć się z logiką prezentowanych tu ocen i stawić w szranki rzeczowej dyskusji.

To bowiem, co proponują dziś *autorytety* środowiska opozycyjnego, nie może być dłużej okrywane płaszczem patriotycznych hasel, chronione tytułem naukowym lub pustym przymiotnikiem „nasze”. Każdy dzień przedstawiania realiów III RP poprzez projekcję niedorzecznych bredni na temat demokracji, jest nie tylko stracony, ale przybliży nas do nieuchronnej klęski.

Być może są tacy, w których moje pisanie „*zabija nadzieję*”. Jeśli ma być to nadzieja oparta na regułach owej mitologii i wyobrażeniach o rzeczywistości - niech zginie. Nie jest nic warta i nie przybliży nas do wolnej Polski.

Wystarczy, że pozostaną ludzie, którzy nadziei nie muszą szukać w słowach polityków i mętnych wywodach *autorytetów*. Wystarczy, że będą tacy, których nie przeraża diagnoza, lecz złe lekarstwo, nie przygniata ich prawda, lecz jej brak.

856. NIEDYSKRETNY UROK REŻIMU PREZYDENCKIEGO

Utworzenie tzw. nowego rządu otwiera kolejny rozdział budowy reżimu prezydenckiego. Tym razem, działania Belwederu były na tyle jawne, że nawet piewcy „Żyrandolowej prezydentury” dostrzegli poważną rolę Bronisława Komorowskiego i uznali, że ma on udział w stworzeniu tej groteskowej konstrukcji. Jednak tylko pozornie wydaje się ona pozbawiona sensu.

Marionetkowy premier i niekompetentni ministrowie, dają gwarancję, że nikt nie będzie przeszkadzał w realizacji planów Belwederu. Dotyczy to szczególnie obszarów: zarządzania armią, zwiększenia nakładów na przemysł zbrojeniowy, polityki zagranicznej oraz kontroli nad służbami specjalnymi. Nominacja Schetny, pozostawienie Siemoniaka oraz powierzenie MSW osobie całkowicie przypadkowej, dowodzi, że lokator Belwederu zapewnił sobie realny wpływ na najważniejsze resorty i stał się faktycznym decydującym w sprawach bezpieczeństwa. Jeśli nie musi już tego ukrywać, oznacza to, że zbliżamy się do momentu, w którym reżim prezydencki przechodzi do ofensywy.

Taka sytuacja nie powinna zaskakiwać. Odsunięcie nadto skompromitowanego Donalda Tuska i kilku innych osób, szczególnie zaangażowanych w sprawę kłamstwa smoleńskiego, jest zabiegiem od dawna planowanym i korzystnym dla triumwiratu III RP. O strategii „nowego rozdania” pisałem już przed dwoma laty. W tle obecnej roszady znajdziemy bez wątplenia interesy środowiska belwederskiego, ale ma ona również szerszy wymiar dotyczący interesów rosyjskich i niemieckich.

Dotychczasowa ekipa nie tylko traciła poparcie Polaków, ale stawała się coraz bardziej nieskutecznym i uciążliwym przedmiotem w rozgrywkach europejskich. Ludzie Donalda Tuska współdziałali z Putinem przeciwko polskiemu prezydentowi i stali się zakładnikami kłamstwa smoleńskiego. Wiedza o tych działaniach, dawała Rosjanom potężne narzędzia nacisku i mogła być wykorzystana w rozgrywkach międzynarodowych. Informacje o spotkaniach z wysłannikami Putina, czy ustalenia dotyczące współpracy w obszarze służb specjalnych, są jednak mocno niewygodnym depozytem. Oczywiście - nie dlatego, iżby Tusk i spółka odważyli się wykorzystać tę wiedzę lub próbowali uwolnić od kurateli Moskwy. Jest to raczej kłopot, jaki sprawia skompromitowany i wyeksploatowany współnik, dla przestępcy, który potrzebuje nowych twarzy i ludzi nieobarczonych „błędami przeszłości”.

W takiej konfiguracji – szef rządu III RP, rozdarty między moskiewskimi powinnościami, apetytem na unijną posadę i rolę „chłopca do poklepywania” dla Merkel – był nie tylko kłopotliwym, ale mało wydajnym pomocnikiem. Odsunięcie go na pozycję unijnego figuranta, pozwoliło zadowolić ambicje pani Merkel i zagwarantowało nienaruszalność wpływów rosyjskich.

Błędem jednak byłoby sądzić, że mamy do czynienia z „rosyjską grą”, w której ekipa Tuska odgrywa rolę ofiary. W takiej koncepcji, chętnie wspieranej przez niektórych publicystów, kryje się szczególnie wredna sugestia. Bo jeśli za obecną hucpą stoi Moskwa, w doskonałym świetle stawia to ekipę Tuska, jako tych, którzy byliby niewygodni dla Putina. Tymczasem Rosja, wprawdzie miesza w naszym politycznym kotle, to gry i kombinacje operacyjne są dokonywane rękami rodzimych kreatorów. Wymiana jednej grupy na mniej skompromitowany model, nie wymaga angażowania moskiewskich przyjaciół. Dość, by akceptowali takie działania.

W rozdaniu obowiązującym po 10 kwietnia 2010 roku, to lokator Belwederu i budowany przezeń reżim, mają stać się najmocniejszym gwarantem interesów rosyjskich. Hierarchia została ustalona na początku 2010 roku, zaś ówczesna rezygnacja Tuska z ubiegania o prezydenturę, nadal determinuje ten podstawowy podział. Bez uwzględnienia roli Belwederu, jako ośrodka decyzyjnego – nie można odczytać logiki dzisiejszych zmian.

Mocnym preludium, zapowiadającym te roszady była bez wątpienia tzw. afera podsłuchowa, w której ludzie bliscy kręgom belwederskim wystawili figurantów mających uwiarygodnić pochodzenie kompromatów. Ich dozowanie powierzono środowiskom medialnym działającym na rzecz Komorowskiego. Opowieści o odważnych biznesmenach i kelnerach rzucających wyzwanie „systemowi Tuska”, trzeba włożyć między bajki. Rzecz wyglądała na klasyczną kombinację, w której kierowany przez jedne służby biznesmen miał podżywiać pochodzenie nagrań, a następnie wiedzą na ten temat obciążyć ludzi z konkurencyjnych formacji. Taka zagrywka zapewniała bezpieczeństwo faktycznym decydującym i nie groziła kontrakcją ze strony dotychczasowego „zbrojnego ramienia” partii rządzącej.

Odejście Tuska oraz schemat tzw. rządu pani Kopacz, są dowodem, że groźba ujawnienia dalszych nagrań, została właściwie zrozumiana.

Prezydentura Komorowskiego to rzecz bez wątpienia najgorsza, jaka mogła przydarzyć się Polakom w czasie zagrożenia rosyjską agresją. Chodzi nie tylko o stan polskiej armii (obezwładnionej już reformą dowodzenia i poczynaniami „czerwonej” generalicji) czy prorosyjskie sympatie środowiska Belwederu, ale o zasadnicze cele tej prezydentury oraz działania służące zabezpieczeniu kolejnej kadencji.

Umocnienie reżimu prezydenckiego będzie możliwe wówczas, gdy w powszechnym przekonaniu, środowisko to stanie się gwarantem naszego bezpieczeństwa. Skierowanie przez Komorowskiego projektu ustawy o „kompetencjach naczelnego dowódcy na czas wojny”, stanowi istotny element tych zabiegów. Po pierwsze – to prezydent ma odtąd określać „w którym dniu rozpoczyna się czas wojny na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej”. On również postanawia o „dniu, w którym czas wojny się skończy”. Po drugie – prezydent ma kierować obroną państwa (we współdziałaniu z RM) w zakresie użycia sił zbrojnych. Po trzecie – wszystkie plany obronne i organizacyjne mają podlegać zatwierdzeniu przez prezydenta. Po czwarte – Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych zostanie wyznaczony przez prezydenta, zaś organem doradczym „w procesie kierowania obroną państwa” będzie Szef Sztabu Generalnego WP (powoływany również na wniosek Belwederu).

Według podobnych zasadach skonstruowano także „reformę służb”, której wykonawcą był rząd Donalda Tuska. Komunikat BBN z czerwca br. głosił, iż „w zakończonym w 2012 r. Strategicznym Przeglądzie Bezpieczeństwa Narodowego wskazano pożądane kierunki reform służb specjalnych w Polsce(...). Proponowane [przez rząd- dop.mój] przepisy w przeważającej części są zbieżne z tymi rekomendacjami, z wyjątkiem proponowanego modelu koordynacji służb”.

Ów wyjątek dotyczył aktu pewnej niesubordynacji ze strony ówczesnego premiera. Projekt rządowy przewidywał, że w nowym organie ds. kontroli służb - Komisji Kontroli Służb Specjalnych, przedstawiciel prezydenta powoływany byłby w zależności od woli premiera. W konsekwencji takiego rozwiązania, Komorowski zostałby pozbawiony możliwości wpływu na niektóre decyzje oraz uzyskiwania istotnych informacji o funkcjonowaniu służb specjalnych.

Z chwilą utworzenia rządu Kopacz ta przeszkoda przestała istnieć.

Umocnieniu reżimu prezydenckiego służą także rozliczne zabiegi ośrodków propagandy, w tym sączenie w umysły Polaków lęku przed rosyjską siłą i bliską agresją militarną. Przed tym zagrożeniem ma nas chronić „doktryna Komorowskiego” i pomysły jego świątynnych strategów. Rozgrywanie „strachów na Lachy” powierzono nie tylko „niezależnym publicystom” i domorosłym analitykom, ale grupie ekspertów i generałów, których rozprawki o rychłym „konflikcie zbrojnym na terytorium Polski”, konkurują z poradami udzielanymi Ukrainie, by racjonalnie przyjęła „cichą kapitulację”.

Efektami tych zabiegów ma być m.in. zwiększenie środków na zbrojenia (kto w tej sytuacji zaprzeczy, że armia potrzebuje pieniędzy?) oraz poszerzenie uprawnień służb wojskowych. Dokonywana według projektu Belwederu tzw. konsolidacja przemysłu zbrojeniowego oraz powiązane z nią zapisy ustawy offsetowej pozwolą na odsunięcie MON od decyzji dotyczących zakupów i przeniesienia tych uprawnień na przedstawicieli zbrojeniówki. Tam też trafią pieniądze przeznaczone na modernizację sił zbrojnych i surrealistyczne pomysły w ramach „doktryny Komorowskiego”. Można się spodziewać, że przy umiejętnym rozgrywaniu rozmaitych straszaków i demagogicznych haseł, będą to największe pieniądze, jakie wypłyną z budżetu III RP w najbliższych latach. Posłużą one nie tylko umocnieniu lobby zbrojeniowego (w którym główną rolę będą odgrywali ludzie związani z byłymi WSI), ale staną się jednym z najważniejszych „grantów” stabilizujących reżim prezydencki.

857. ZA WSZYSTKICH KTÓRZY NIE DAJĄ SIĘ ZWYCIĘŻAĆ ZŁU

Długi czas zadawałem sobie pytanie – co napisać w 30 rocznicę śmierci księdza Jerzego, jakimi słowami wyrazić myśli towarzyszące tym szczególnym dniom?

Rzecz tym trudniejsza, że podczas obecnej rocznicy jesteśmy świadkami wyjątkowo nikczemnego spektaklu, który winien raczej wywołać ostry sprzeciw niż skłaniać do wyważonej refleksji. Czy zatem reagować na słowa hierarchów i fałszywe gesty lokatora Belwederu, czy też zignorować je, ze świadomością, że beneficjenci tego państwa nie mogą już spługawić świętości księdza Jerzego? Polemizować z tezami usłużnych historyków i ludzi mieniących się dziennikarzami, czy zlekceważyć to marne tchórzostwo, które dla własnych celów próbuje zdeptać prawdę o zabójstwie Kapelana Solidarności?

On, nawet dziś wybaczyłyby tym ludziom... Ja nie potrafię.

Nie próbuję nawet pytać – jak ten, który zbudował swoją pozycję na nienawiści i rozpętał walkę z krzyżem, może dziś zawłaszczając postać Kapłana i ma czelność przywoływać Jego świętość? Jaki dekalog wyznaje kardynał, który gnębi przyjaciela księdza Jerzego i wspiera rzeczników „pojednania” z moskiewskimi bandytami?

Nie wiem również, jak miałbym uzasadnić haniebny wymiar tego spektaklu, skoro większość moich rodaków widzi w takich postaciach godnych przedstawicieli państwa i Kościoła, a wydarzenia sprzed 30 lat traktuje jako zamknięty „temat historyczny”? Bezmiar fałszu sączonego dziś Polakom, skłania raczej do postawienia innych pytań: po co nam świadomość, że poprzez zabójstwo księdza Jerzego władcy PRL-u zrealizowali plan, którego zwieńczeniem był okrągły stół i tzw. transformacja ustrojowa? Kto zaakceptuje prawdę, że komunistyczne kłamstwo o śmierci Kapelana Solidarności jest fundamentem na którym zbudowano III RP, a ci wszyscy, którzy od trzech dekad strzegą tajemnic mordy założycielskiego i utwierdzają Polaków w farsie „procesu toruńskiego”, są zakładnikami sprawców i przyjęli brzemię zbrodniczej odpowiedzialności?

„Biada społeczeństwu, którego obywatele nie rządzą się męstwem!” – wołał ksiądz Jerzy w homilii wygłoszonej 8 października 1984 r. w kościele OO. Kapucynów w Bytomiu i cytując dalej słowa prymasa Wyszyńskiego, przestrzegał: „Przestają być wtedy obywatelami, stają się zwykłymi niewolnikami. Jeżeli obywatel rezygnuje z cnoty męstwa, staje się niewolnikiem i wyrządza największą krzywdę sobie, swej ludzkiej osobowości, rodzinie, grupie zawodowej, narodowi, państwu, Kościołowi; chociaż byłby łatwo pozyskany dla lęku i bojaźni, dla chleba i względów ubocznych...”.

Kto twierdzi, że z męczeństwa księdza Jerzego wyrosło „dobro” III RP, a nie rozumie tych słów – niczego nie pojął z otaczającej nas rzeczywistości.

„Ale i biada władcom – mówił dalej święty Jerzy - którzy chcą pozyskać obywatela za cenę zastraszenia i niewolniczego lęku!... Jeśli władza rządzi zastraszonymi obywatelami, obniża swój autorytet, zubaża życie narodowe, kulturalne i wartości życia zawodowego...”.

To –biada- rzucone przed trzydziestu laty, niech będzie komentarzem do obecnych wydarzeń. Ich skala dorównuje jedynie szatańskim zamysłom ludzi, którzy dokonali tego mordu.

Zawsze utrzymywałem, że III RP zaczęła się nad grobem księdza Jerzego i skończy wówczas, gdy tajemnica tej zbrodni zostanie ujawniona. To ona dawała gwarancję bezkarności komunistycznym oprawcom, z niej uczyniono depozyt wiedzy łączący funkcjonariuszy bezpieki, ludzi Kościoła i „demokratycznej opozycji”. Ona sprawiła, że członkowie sowieckiej formacji, nazywanej *siłkami wojskowymi PRL*, stali się właścicielami nowego państwa i do dziś czerpią profity ze zbrodni założycielskiej. Ujawniając - *kto naprawdę Go zabił* i kim byli ludzie towarzyszący esbeckim porywaczom – III RP zburzyłaby fundament, na którym wspiera się triumwirat morderców, tchórzów i donosicieli.

Podczas Mszy Świętej za Ojczyznę, 27 maja 1984 roku ksiądz Jerzy wygłosił kazanie, którego treść doprowadziła do wściekłości władców PRL-u. Powiedział m.in.:

„W dużej mierze sami jesteśmy winni naszemu zniewoleniu, gdy ze strachu albo dla wygodnictwa akceptujemy zło, a nawet głosujemy na mechanizm jego działania. Jeżeli z wygodnictwa czy lęku poprzemy mechanizm działania zła, nie mamy wtedy prawa tego zła piętnować, bo my sami stajemy się jego twórcami i pomagamy je zalegalizować”.

Święty Jerzy nigdy nie oskarżał, nie wypominał i nie potępiał nikogo. Czy można jednak nie dostrzec, że wypowiedziane wówczas słowa sprowadzają na nas najdotkliwszy akt oskarżenia?

Za państwo, jakie zbudowaliśmy po 1989 roku i za zło, które zatryumfowało w Smoleńsku. Za miernoty, których nazywamy *mężami stanu* i za arcycygarzy wystrójonych w purpurę i ziemską pychę. Za to, że dając posłuch słowom - *zło zwycięża nad dobrem*, nie mamy odwagi pamiętać - *nie daj się zwyciężyć złu*. Za nadzieję, że można wygrać nie płacąc najwyższej ceny i za wiarę, że Polska kosztuje tak niewiele.

Za to wreszcie, że nie chcieliśmy świętości księdza Jerzego. Bo zbyt wymagająca.

„Ojciec Święty Jan Pawła II 23 czerwca 1982 roku zwrócił się do Pani Jasnogórskiej w następujących słowach modlitwy: „O Matko mojego Narodu! Dopomóż, ażeby nie dał się zwyciężyć złu – ale zło dobrem zwyciężał [por. Rz 12, 21]. Na tym polega współczesna próba dziejów. Nie pierwsza. W każdej z nich doświadczane jest sumienie, doświadczane jest serce i wola; aby nie dać się zwyciężyć złu, ale – zło zwyciężać dobrem”.

Dziękuję Ci, o Matko, za wszystkich, którzy tak postępują, którzy w swoim sumieniu, sercu i woli znajdują siły, aby wśród doświadczeń i udręk pomnażać i umacniać dobro. Dziękuję Ci, o Matko, za wszystkich, którzy pozostają wierni swemu sumieniu, którzy sami walcząc ze słabością, umacniają innych. Dziękuję ci, Matko, za wszystkich, którzy nie dają się zwyciężyć złu, ale zło zwyciężają dobrem”.

858. SZPIEDZY TACY JAK MY...

Kampania medialna towarzysząca tzw. aferze szpiegowskiej, to jedna z podstawowych przesłanek wskazujących na propagandowy wymiar „akcji kontrwywiadowczej”. Upatrywanie w tym wydarzeniu jakiejś zmiany jakościowej w pracy służb III RP, lub nadawanie mu rangi „walki z rosyjską agenturą”, byłoby poważnym nadużyciem.

W przypadku aresztowania dwóch osób współpracujących ze służbami Putina, nie może być również mowy o jakimkolwiek „sukcesie”. Pośpiech, z jakim kontrwywiad przeprowadził operację świadczy raczej o kompletnej amatorszczyźnie i pozwala przypuszczać, że mamy do czynienia z widowiskiem obliczonym na potrzeby sceny krajowej i zagranicznej.

Wybrano bowiem moment, w którym inscenizacja mająca potwierdzić skuteczność i profesjonalizm SKW, stała się wyjątkowo potrzebna.

Pod koniec września br. sejmowa komisja ds. służb specjalnych (przy głosach wstrzymujących posłów PiS) przegłosowała dezyderat w sprawie zwiększenia o 23 mln zł budżetu SKW w roku 2015. Przewodniczący komisji stwierdził wówczas, że propozycja większych pieniędzy dla kontrwywiadu wojskowego „*ma związek z sytuacją na Wschodzie*” i „*z aktywnością różnych służb specjalnych na terenie Polski*. (...) *Musimy budować system zabezpieczenia w ten sposób, byśmy byli przekonani, że będzie zrobione wszystko, co możliwe. To wiąże się z pieniędzmi przede wszystkim na cele operacyjne*”.

Nie można wykluczyć, że w tak pomyślnej perspektywie, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, mogła być szczególnie zainteresowana ogłoszeniem spektakularnego sukcesu. Tym bardziej potrzebnego, że mamy do czynienia z formacją, której szef, tuż po zamachu smoleńskim podpisał tajną umowę o współpracy z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Umowę obowiązującą do dziś, o czym może świadczyć pozytywna opinia sejmowej speckomisji, wydana w maju br. Stwierdzono w niej, iż „*zdaniem Komisji, na podstawie posiadanej przez nią wiedzy, współpraca Służby Kontrwywiadu Wojskowego, na wzór współpracy krajów NATO ze służbami specjalnymi innych krajów, w tym Federacji Rosyjskiej, jest zgodna z polskim prawem i polską racją stanu*”.

Złapanie „rosyjskich szpiegów” byłoby zatem kombinacją wyjątkowo korzystną dla SKW. Wprawdzie nadal współpracuje ona z FSB, ale w chwili zagrożenia „*naszych interesów*” okazała się zdolna do działań „*zgodnych z polską racją stanu*”. Sukces odtrąbiony we wszystkich ośrodkach propagandy i nagłośniony przez polityków reżimu, stanowiłby dostateczny argument za zwiększeniem budżetu kontrwywiadu. Jestem przekonany, że już dziś szefostwo SKW może planować wykorzystanie tych dodatkowych milionów.

Warto przy tym zauważyć, że osłona propagandowa „*afer szpiegowskiej*” jest wyjątkowo szczelna i w żadnym ze środowisk tzw. fachowców od służb nie pojawiły się opinie podważające ów „*niebywały sukces kontrwywiadowczy*”. Tymczasem wytypowanie i aresztowanie dwóch (zapewne niewiele znaczących) osób, świadczy co najmniej o braku profesjonalizmu, a w najgorszym wypadku może być uznane za niezwykle groźny w skutkach błąd.

O efektywności działań moglibyśmy mówić tylko wówczas, gdyby zlikwidowano całą grupę (siatkę) wywiadowczą, wraz z jej kierownictwem, lub wtedy, gdyby doszło do przewerbowania agentów pracujących na rzecz Rosji. Jeśli aresztowanie następuje już po dwóch miesiącach obserwacji i nie prowadzi do zatrzymania wszystkich osób współpracujących z rezydentami GRU, w żaden sposób nie może być nazwane sukcesem. Takie działanie powinno być ocenione raczej jako rażący błąd, skutkujący m.in. ostrzeżeniem agentury rosyjskiej i zmianą zasad pracy operacyjnej obcego wywiadu. Konsekwencją błędu może być zatem utrudnienie lub nawet zablokowanie działań kontrwywiadowczych w przyszłości.

Mówiąc wprost: po tak „udanej” akcji, rosyjscy szpiedzy mogą spokojnie prowadzić swoją działalność, zaś służby III RP spocząć na „*zasłużonych laurach*”. Bardzo trafnie ów „*sukces kontrwywiadowczy*” podsumował Antoni Macierewicz, mówiąc, iż „*prawdziwym, większym zagrożeniem, są ci szpiedzy, którzy nie zostali złapani, a o których organy państwa dowiedziały się i to lekceważą*”.

Jest wielce prawdopodobne, że „*afera szpiegowska*” ma jeszcze jedno dno, o którym nie wspomną reżimowi decydenci i ich media.

Zatrzymanie „rosyjskich szpiegów” poprzedziły bowiem wydarzenia związane z wrześniowym szczytem NATO oraz zapowiedzią kontraktów zbrojeniowych i sprzedażą Polsce amerykańskiego uzbrojenia.

Byłoby oczywiście nonsensem uważać, że obiecana nam „szpica NATO” jest czymś więcej niż symbolicznym gestem. Prawdziwe oblicze NATO ma dziś twarz lewaka Jensa Stoltenberga, którego kontakty z majorem KGB Borysem Kiriłowem zaowocowały nadaniem norweskiemu politykowi kryptonimu „Stiekłow”. Organizacja militarna, która w obliczu agresji rosyjskiej powołuje na swojego szefa „przyjaciela KGB”, nie może być uznana za wiarygodną.

Nie sposób natomiast wykluczyć, że podczas szczytu NATO, na którym III RP występowała w tradycyjnej roli petenta, doszło do rozmów na temat zabezpieczenia kontrwywiadowczego wschodniej flanki. Dotychczasowa, prorosyjska polityka reżimu oraz nieudolność służb III RP, stawiają bowiem pod znakiem zapytania kwestię obecności wojsk sojuszników, a tym bardziej zaangażowania na naszym terytorium zaawansowanych technologii wojskowych. Nie sądzę, by wyżsi dowódcy NATO nie wiedzieli o zachowaniach funkcjonariuszy służb w sprawie Smoleńska, lub nie byli w stanie ocenić zagrożeń związanych z obecnością rosyjskiej agentury i katastrofalnym stanem wojskowego kontrwywiadu.

Jeśli nawet sugestia „oczyszczenia” sił zbrojnych III RP z osób współpracujących z Rosją, nie wyszła z kręgu natowskich generałów, z całą pewnością politycy reżimu mogli ją usłyszeć od Amerykanów.

Od wielu miesięcy, w ramach tzw. modernizacji sił zbrojnych, prowadzone są rozmowy na temat wielomiliardowych kontraktów zbrojeniowych. Głównym partnerem w tych przedsięwzięciach, byłaby administracja amerykańska i firmy ze Stanów Zjednoczonych. Również w sprawie tarczy przeciwlotniczej (programu wartego ponad 16 mld zł) - MON wskazuje firmy pochodzące z USA. Jeden z największych kontraktów dotyczy zaś zakupu pocisków manewrujących dalekiego zasięgu.

M.in. o tych sprawach, podsekretarz stanu Robert Kupiecki rozmawiał podczas wizyty w USA, w sierpniu br. z amerykańskim wiceministrem obrony Derekiem Cholletem. Z kolei we wrześniu br. minister Tomasz Siemoniak spotkał się z sekretarzem sił lądowych USA Johnem McHugh'em. Z komunikatu wynikało, że rozmowa dotyczyła „zaangażowania Stanów Zjednoczonych w podnoszenie poziomu bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO poprzez lokowanie stałych rotacji komponentów armii amerykańskiej w Polsce.”

Dwa tygodnie przed ogłoszeniem tzw. afery szpiegowskiej, Departament Stanu USA zatwierdził sprzedaż Polsce 40 pocisków manewrujących dalekiego zasięgu powietrze-ziemia typu JASSM. Zezwolono także na sprzedaż oprogramowania do samolotów F-16, oprzyrządowania, części zamiennych, pakietu szkoleń i wsparcia logistycznego. Wartość zamówienia ma wynieść 500 mln USD.

To nie byle jaki kontrakt i niepospolita transakcja. Pociski JASSM są uważane za broń strategiczną, a ich eksport wymaga zgody rządu i Kongresu. Decyzję Kongresu poprzedziło też wydanie specjalnego certyfikatu przez amerykańską Agencję ds. Współpracy Obronnej (DSCA). Po tych rozstrzygnięciach, nowoczesne pociski dalekiego zasięgu mogą trafić do polskiej armii już za kilkanaście miesięcy.

Nie można wykluczyć, że podczas rozmów z amerykańskimi partnerami, padły sugestie dotyczące zabezpieczenia kontrwywiadowczego transakcji zbrojeniowych. Zapewne Amerykanie chcieliby mieć pewność, że sprzedawane dla armii III RP technologie nie trafiają w niepowołane ręce. Niewykluczone również, że obserwując rekonstrukcję układu WSI i powrót ludzi związanych z tymi służbami, przypomnieli sobie nie tylko o moskiewskich szkoleniach szefów WSI, ale o innych dokonaniach owych „wybitnych fachowców”.

Jak choćby z roku 2004, gdy żołnierze WSI „wyprzedzając terrorystów” kupili w Iraku 17 rakiet wypełnionych rzekomo gazami bojowymi. Kiedy szefostwo służb i politycy SLD odrzucili już „ogromny sukces wywiadu wojskowego”, Amerykanie ustalili, że rakiety były puste lub nie zawierały niebezpiecznych ładunków. Rok wcześniej, profesjonalści z WSI błędnie odczytali oznaczenia na odnalezionych w Iraku raketach „Roland2” i na podstawie liczby 2003 przypisali ich produkcję Francuzom. Gdy rozpętała się dyplomatyczna burza, okazało się, że rakiety wyprodukowano w 1984 roku, zaś liczba 2003 oznaczała... rok przeglądu technicznego w instytucie w Mosulu.

Służby amerykańskie mogły więc z dużym niepokojem odnotować informację, podaną przed dwoma laty przez sekretarza stanu w MON Czesława Mrocza, z której wynikało, że w okresie od października 2006 r. do 31 grudnia 2011 r. na stanowiska służbowe w jednostkach organizacyjnych MON wyznaczono 195 byłych żołnierzy WSI, spośród których 141 nadal pełni służbę. W tym samym czasie do Służby Wywiadu Wojskowego skierowano 264, a do Służby Kontrwywiadu Wojskowego - 461 byłych żołnierzy WSI. Łącznie na stanowiska służbowe wyznaczono lub skierowano w celu wyznaczenia 920 byłych żołnierzy WSI.

W tej sytuacji, kontrwywiad III RP potrzebowałby jakiegoś efektownego sukcesu, którego wydzźwięk nie tylko utwierdziłby Amerykanów w profesjonalizmie polskich służb, ale dał dowód prowadzenia walki z rosyjską agenturą ulokowaną w siłach zbrojnych.

Jeśli służby wojskowe, wzorem rządzącego reżimu, postawiły w tej kwestii „na pijar”, nie sądzę, by udało się przekonać amerykańskich kontrahentów. Fachowa analiza działań SKW w ramach „afery szpiegowskiej” ujawni zapewne błędy lub zaniechania wojskowego kontrwywiadu, a „wielki sukces” może okazać się niewystarczający dla zabezpieczenia kolejnych kontraktów zbrojeniowych.

O wiele lepiej perspektywy takiego sukcesu kształtują się na scenie krajowej, gdzie wsparcie ośrodków propagandy i tradycyjny rezonans „naszych” mediów, pozwalają wykreować dowolne mity i wyobrażenia.

859. JAKIE WOLNE MEDIA?

Wyobraźmy sobie bitwę, podczas której taktyka bojowa jednej ze stron ogranicza się do wpatrywania w gesty dowódców wrogiej armii i reagowania na ruchy przeciwnika. Atak piechoty, wyprowadzony z prawej flanki, skutkuje wysłaniem wojsk na tę stronę pola, ostrzał armatni doprowadza do oddania salwy z dział, zaś szturm konnicy przeciwnika uruchamia beczynne dotąd oddziały kawalerii. Nietrudno zrozumieć, kto kontroluje przebieg takiej potyczki i po czyjej stronie leży inicjatywa. Historia zna bitwy, o których wyniku decydowała błędna taktyka spóźnionych reakcji lub oddanie pola przeciwnikowi. Dwie najważniejsze bitwy Powstania Listopadowego: wygrana pod Olszynką Grochowską w lutym 1831 roku i stoczona trzy miesiące później, przegrana bitwa pod Ostrołęką, doskonale ilustrują tę zasadę. O ile pierwsza, mimo przewagi Rosjan, była sukcesem armii polskiej (dzięki przewidującej strategii gen. Chłopiczkiego), o tyle druga okazała się fatalną w skutkach porażką, której można było uniknąć, gdyby wojska polskie próbowały wyprzedzić ruchy armii rosyjskiej.

Obserwacja współczesnej „batalii” o sprawy polskie, musi prowadzić do wniosku, że strategia „wolnych i niezależnych” mediów bardziej przypomina dziś bitwę pod Ostrołęką, niż doprowadzi nas do wiktoria grochowskiej.

Jeśli w swoich tekstach konsekwentnie stosują cudzysłów na określenie mediów kojarzonych z opozycją, znajduje to uzasadnienie w fakcie, iż niemal cały przekaz tych ośrodków pozbawiony jest treści, które można uznać za w pełni autonomiczne i wartościowe. Nie tworzy on nowej jakości i nie buduje obszaru wolnej myśli, lecz wyłącznie rezonuje obcą taktykę i z reakcji na bodźce reżimu czyni jedyną normę opozycyjności. W żadnym zakresie nie są to działania prowadzące do przełamania monopolu propagandy. Przypominają raczej smętną pogoń za popłuczynami „głównego nurtu” i nie powinny być kojarzone z niezależnym dziennikarstwem.

Jeśli odmawiam znaczenia wytworom „uznanych” tuzów tzw. niezależnej publicystyki, to nie tylko z tej przyczyny, że ludzie ci nie próbują uwolnić się od konotacji towarzyskich i podległości informacyjnej i zdobyć na świeżą refleksję, ale również dlatego, że ich aktywność dziennikarska odbywa się wyłącznie w kontrakcji do tzw. mainstreamu, z którego najczęściej się wywodzą i do którego gorąco tęsknią. Ci ludzie dotąd nie pojęli, że rzetelne informowanie Polaków, budowanie nowych obszarów zainteresowań i niezależności od obcej narracji, wymaga porzucenia podglądactwa i samodzielnego spojrzenia na świat.

Gdy w dziesiątkach miejsc, przynajmniej sobie miano „wolnych mediów” czytam polemiki z teżami TVN-u, krytykę kłamstw „GW” lub rozważania nad bełkotem propagandy- ćwierćinteligenta- zadają pytanie: co wspólnego z niezależnością ma tak żalosna praktyka i jaki jest jej związek z budowaniem wolnej myśli? Skąd u ludzi wypisujących te brednie bierze się przekonanie, że recenzowanie tego, co powiedzieli w reżimowych przekaznikach jest szczytem opozycyjności i służy polskim sprawom? Zastanawiam się również - jak ludzie „naszych” mediów muszą nisko cenić swoich odbiorców, jeśli w ramach tak pojmowanej rzetelności serwują im ekstrakt najnikczemniejszych łgarstw i bezmiernej głupoty?

Odpowiedz na to pytanie, wydaje się akurat prosta, bo zdecydowana większość słuchaczy i czytelników akceptuje podobne praktyki i nawet im do głowy nie przyjdzie, że lektura 187 „analizy” na temat Sikorskiego, lub oglądanie w „republikańskiej” telewizji twarzy reżimowych polityków, jest kpina z wolności słowa i nie ma nic wspólnego z opozycyjnością. Wskazując na analogię z czasami komuny (do czego chętnie odwołują się niektórzy żurnaliści), dość wspomnieć, że gdyby autorom „Solidarności Walczącej” czy „Głosu” przyszło do głowy opierać swoje teksty na partyjnych biuletynach, analizować bełkot Toeplitza lub polemizować z wywodami Siwaka, nie tylko straciliby prestiż i odbiorców, ale nikt przy zdrowych zmysłach i nie nazwałby tych wydawnictw wolnymi mediami.

Dzisiejsi odbiorcy „niezależnych” byliby zapewne oburzeni, gdyby powiedzieć im, że zarządcy tych mediów marnotrawią pieniądze zwolenników opozycji i zamiast tworzyć przekaz nieskrępowany wyziewami propagandy, budują własną mitologię, a nierzadko własne fortuny.

Widząc zachwyty nad „pryncypialnością” niektórych żurnalistów i redaktorów naczelnych, przypomina mi się opowieść Tyrmanda z jego „Cywilizacji komunizmu”. Warta przytoczenia, bo również dziś bezbłędnie definiuje mechanizmy rządzące tą mitologią. Autor „Złego” przedstawiał przypadek młodego człowieka z Rumunii, który w czasach głębokiej komuny otrzymał tzw. legitymację korespondenta terenowego jednej z centralnych gazet. Tyrmand pisał:

„Z legitymacją tą udał się na zapadłą wieś, gdzie zgłosił się do gminnej rady narodowej, w której przedstawił się jako dziennikarz ze stolicy. Nazajutrz wypadła swięto państwowe, więc tak wybitny gość zaproszony został do prezydium uroczystej akademii, gdzie wygłosił grzmiące przemówienie o urokach socjalizmu i wielkości partii. Wieśniacy, oszołomieni rozmiarami jego dewocji i pryncypialności, doszli do wniosku, że musi on być człowiekiem potężnym i wpływowym, toteż w ciągu następných dni młody człowiek wrywany był sobie przez miejscowych notabli, spiął ich najstarsze trunki i kochał ich córki. Początkowo odmawiał przyjmowania drobnych podarunków, ale gdy go niemal na klęczkach błagali ażeby pomógł ludowi pracującemu, zdecydował się uciszyć w sobie głos idealistycznego sumienia i przyjął pokaźną sumę pieniężną dla dokonania zakupu nawozów sztucznych, o które chłopci daremnie walczyli od lat. Po czym, żegnany czule, zniknął.”

Odnoszę wrażenie, że łatwość, z jaką odbiorcy „naszych” mediów namaszczają dziś różne postaci, publicystów i redaktorów naczelnych na rzeczników środowisk patriotycznych, mocno przypomina wiarę owych rumuńskich wieśniaków. Wystarczy sama obecność w środowisku kojarzonym z opozycją, plus kilka krytycznych uwag na temat obecnej rzeczywistości, by zostać okrzykniętym „niepokornym” autorytetem i otworzyć sobie drogę do umysłów i kieszeni Polaków.

Skąd bierze się taka tendencja, nietrudno zgadnąć. Dążność do identyfikacji i potwierdzenia własnych poglądów oraz jeszcze silniejsza potrzeba znalezienia autorytetów mocno usprawiedliwia łatwowierność odbiorców, a jednocześnie napędza tryby wielu manipulacji. Nie dostrzega się przy tym specyfiki „polityki redakcyjnej” niektórych gazet i portali, nie widzi stosowania cenzury ani omijania tematów nazbyt niewygodnych. Nie pamięta o błędnych prognozach przedwyborczych, naciąganych „analizach”, straconych nadziejach i niewykorzystanych szansach.

Opozycyjność sprowadzona do krytyki kasty rządzącej, wsparta na wierze w tzw. sondaże i mechanizmy demokracji, karmiona bełkotem reżimowych półgłówek lub polemikami z propagandą – święci dziś największe trumfy i jest wyznacznikiem postawy patriotycznej.

Druga przyczyna wydaje się bardziej złożona, bo jej genezy trzeba szukać w powszechnym przeświadczeniu, że III RP jest państwem wolnym i na tyle normalnym, by sprawy rządzących stanowiły ważny składnik przekazu publicznego, nieodzowny w budowaniu świadomości społecznej lub prognoz politycznych. Nad umocnieniem tego przekonania pracowały nie tylko dwa pokolenia propagandystów z GW, ale cała rzesza użytecznych, „naszych” wolontariuszy – od partii opozycyjnej poczynając, na blogerach kończąc.

„Niezależni” żurnaliści i redaktorzy, podejmując polemikę z wytworami propagandy lub traktując z atencją pospolitých idiotów i drani, dają nam zatem do zrozumienia, że widzą w nich reprezentantów autentycznych mediów i legalnej, demokratycznej władzy. Czy można się dziwić, że stosują *cywilizowane normy* dla opisanía jakże cywilizowanej rzeczywistości? Wystarczy, że owi publicyści są święcie przekonani o istnieniu w grupie rządzącej *pluralizmu politycznego* i funkcjonowaniu *naturalnych procesów politycznych*, by stali się nosicielami jednej z najgroźniejszych mitologii, znakomicie ułatwiającej rządzącej obecnemu reżimowi. Wystarczy, że sugerują, że sędziowie w partii rządzącej są ludzie o rozmaitych poglądach, dzieląc jej członków na „lepsze” i „gorsze” postaci, lub wyznają wiarę, że życie publiczne III RP jest porządkowane według magicznych „reguł demokracji” - by przyjmowali wdzięczną rolę wsporników w rozmaitych kombinacjach dezinformacyjnych.

Sięgając ponownie po analogię z czasami komuny, należałoby powiedzieć, że jest to opozycyjność wyznająca zasadę, iż rozgrywki w łonie partii rządzącej, wypowiedzi kacyków oraz materiały zamieszczane w „Trybunie Ludu”, stanowią istotny punkt odniesienia w sprawach polskich i powinny decydować o strategii opozycji i przekazie wolnych mediów. Po dostrzeżeniu tej analogii, dochodzimy do najciekawszej konkluzji, bo oto odbiorcy „niezależnych” i „niepokornych” muszą w istocie wyznawać taki sam pogląd i w identyczny sposób oceniać realia III RP.

Wprawdzie miło jest czasem pogderać, wystroić się w szaty antykomunisty lub wrzeszczeć o „powrocie komuny”, to pogląd wyrażany w akceptacji bełkotu czerpiącego natchnienie z reżimowej propagandy, aż nadto obnaża prawdziwe przekonania.

Jeśli nawet wiemy, że III RP coraz mocniej zwraca się ku swoim korzeniom, a technologia kłamstwa sięga po kolejne ofiary – zgoda na uprawianie fikcji „wolnych mediów” ujawnia tu głęboką schizofrenię.

Należałoby się bowiem zdecydować: albo III RP jest sukcesorem komunistycznego zaprzaństwa i atrapą państwa stojącego nad przepaścią, a wówczas trzeba odrzucić jej przekaz i traktować miarą właściwą dla takiego tworu - albo jest to diagnoza fałszywa i demagogiczna, stworzona przez politycznych hochsztaplerów. Albo mamy do czynienia z ludźmi kupczącymi polskością, zakładnikami obcych reżimów i kłamstwa smoleńskiego, a wtedy nie wolno przyznawać im praw honorowych ani traktować z przyjazną atencją - albo szermujemy zarzutami, w których sens sami nie wierzymy.

Ponieważ przedstawiciele „niezależnych” mediów oraz ich odbiorcy nie są w stanie rozstrzygnąć podobnych dylematów, czeka nas dalsza mistyfikacja *opozycyjności* i dalsze pozorowanie walki. Dramat takiej „batalii” nie polega na klęsce opozycji w przyszłorocznych wyborach, lecz na przegranej ludzi, którzy zawierzali taktyce świątliwych żurnalistów i uwierzyli w mitologię „wolnych” mediów. Nie będzie to dramat udziałowców bądź redaktorów naczelnych, ale porażka milionów Polaków, którzy poniosą koszty kolejnych lat upodlenia.

LISTOPAD

860. STRATEDZY BEZBRONNOŚCI

Pod względem sporządzania rozmaitych „planów”, „doktryn” i „strategii”, obecny reżim zdecydowanie wyprzedza swoich peerelowskich protoplastów. Radosna twórczość planistów i samozwańczych strategów (zwykle po moskiewskich uczelniach), ujawnia się szczególnie w dziedzinie obronności i prowadzi do produkowania kolejnych ton beзуżytecznej makulatury. Gdyby poziom bezpieczeństwa III RP oceniać podług tej miary lub testować ilością przeróżnych narad, odpraw itp. nasiadówek, byłibyśmy już światową potęgą i militarnym mocarstwem.

Rządowy Program Ochrony Cyberprzestrzeni, Program Profesjonalizacji Sił Zbrojnych RP, Plan modernizacji technicznej Sił Zbrojnych, Strategia rozwoju systemu bezpieczeństwa narodowego RP 2022, Strategiczny Przegląd Bezpieczeństwa Narodowego, Strategia Bezpieczeństwa Narodowego RP, itp. dokumenty dowodzą, że aparat urzędniczy III RP wykazuje wielkie „zdolności koncepcyjne” i doskonale opanował „zasady centralnego planowania”.

Wspólną cechą wyżej wymienionych planów jest ich całkowita jałowość i ogólnikowość, oparta na pseudonaukowym żargonie i wieloznaczności. Ujawnia to nie tylko proveniencję autorów owych dzieł, ale jest zabiegiem zamierzonym i w pełni świadomym. Przy pomocy takich instrumentów propagandowych można bowiem zakamuflować prawdziwe intencje, uzasadnić każde działanie w sferze bezpieczeństwa i forsować dowolne rozwiązania.

Jest to cecha szczególnie ważna dla środowiska belwederskiego, które inspirowe i nadzoruje powstawanie kolejnych „doktryn”. Dzięki tym zabiegom, uwadze opinii publicznej umyka fakt, że obecna *pronatowska i proamerykańska* orientacja Belwederu jest zjawiskiem całkowicie nowym i równie wiarygodnym, jak zapał, z jakim neofici z PZPR przeistoczyli się w *piewców integracji i demokracji europejskiej*.

Zmasowana kampania propagandowa, podjęta na skutek agresji rosyjskiej na Ukrainę sprawiła, że nikt dzisiaj nie wspomni, iż nad sztandarowym dokumentem określającym „doktrynę bezpieczeństwa narodowego” pracowali tak wybitni specjaliści od bezpieczeństwa, jak: Adam Rotfeld, Dariusz Rosati, Krzysztof Kozłowski, Janusz Onyszkiwicz, Leon Kieres, Roman Kuźniar, Aleksander Smolar, Paweł Świeboda, Janusz Reiter, Maria Wągrowa, Jerzy Nowak, Marek Goliszewski, Tadeusz Chabiera, Piotr Gulczyński czy Marek Siwiec. Na czele sztabu Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego (SPBN) stał zaś minister Zdzisław Lachowski, zidentyfikowany przez „Gazetę Polską” jako tajny współpracownik SB o pseudonimie „Zelwer”.

W ramach prac tego gremium powstawały „konceptje bezpieczeństwa”, nad którymi środowisko Belwederu chciałyby dziś opuścić zasłonę milczenia. To w tzw. rekomendacjach, zawartych w ekspertyzie prof. dr hab. Ryszarda Zięby i dr Justyny Zajac - „*Budowa zintegrowanego systemu bezpieczeństwa narodowego Polski*”, można było przeczytać tezę leżącą u podstaw polityki reżimu w latach 2008-2013:

„Warunkiem jaki musimy zaakceptować, co wymaga kroku do przodu ze strony Polski i całej wspólnoty atlantyckiej, jest porozumienie z Rosją taką jaka ona jest i chce być. [...] Polska w tym scenariuszu musi zdecydować się na pojednanie z Rosjanami i traktowanie ich państwa nie jako tradycyjnego przeciwnika, lecz istotnego gwaranta bezpieczeństwa europejskiego, w tym naszego bezpieczeństwa.”

Tam również postulowano „*redefinicję dotychczasowej tezy polityki polskiej, mocno opowiadająca się za dalszym rozszerzaniem NATO*”, proponowano „*odejście od polityki bezwarunkowego, a wręcz bezrefleksyjnego popierania wszystkich działań USA*”, zalecano „*odpolitycznienie kwestii importu gazu z Rosji i traktowanie jej w kategoriach biznesowych*” oraz wyłożono „doktrynalne” przesłanki polityki „*pojednania polsko-rosyjskiego*”:

„Aby przezwykroczyć nieufność, która utrudnia percepcję Rosji przez polskich polityków i media należałoby podjąć zorientowaną na przyszłość politykę normalizacji stosunków wzajemnych i pojednania polsko-rosyjskiego. Warunki ku temu powstały już jesienią 2009 r., po udziale premiera FR Władymira Putina w obchodach 70-tej rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte, a zostały wzmocnione zbliżeniem polsko-rosyjskim po katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Jednak czołowa partia opozycyjna w Polsce – Prawo i Sprawiedliwość podjęła kilka miesięcy później działania na rzecz ponownego konflikutowania z Rosją, sugerując odpowiedzialność tego państwa za katastrofę. W tej sytuacji rząd Polski powinien szybko podjąć działania na rzecz ratowania szansy jaka szybko może zniknąć.”

W opublikowanym w styczniu 2013 roku dokumencie, zatytułowanym „*Główne ustalenia i rekomendacje Strategicznego Przeglądu Bezpieczeństwa Narodowego*”, belwederscy stratedzy popisali się całkowicie błędnymi prognozami i przedstawili kompromitującą (już wówczas) koncepcję „*strategicznych warunków bezpieczeństwa w najbliższym dwudziestolecu*”. Założono bowiem realizację „*scenariusza ewolucyjno-realistycznego*”, ogłoszono „*spadek znaczenia klasycznych zagrożeń militarnych*” i prognozowano brak poważnych konfliktów zbrojnych w sąsiedztwie Polski. Unia Europejska miała „*przetrwąć jako rynek zjednoczony wspólną walutą*” i „*zachować elementy spójności*”, zaś NATO - „*pozostać podmiotem zdolnym wspierać i wzmacniać bezpieczeństwo państw członkowskich oraz interweniować wszędzie tam, gdzie zagrożone są żywotne interesy.*”

W zakresie ówczesnych „ustaleń i rekomendacji” SPBN całkowicie przemilczano militaryzację Rosji i ani razu nie wspomniano o zagrożeniach wynikających z położenia geopolitycznego III RP. We wnioskach zawartych w rozdziale „zadania operacyjne dla Sił Zbrojnych RP” umieszczono postulat „budowania zaufania w stosunkach z Rosją przez rozszerzenie współpracy w dziedzinie wojskowej w ramach istniejących możliwości wynikających z członkostwa w NATO”, a jedyną refleksją nad działaniami kremlowskich siłowików została ograniczona do stwierdzeń w rodzaju - „w Rosji potrzebne są reformy”.

Gen. Stanisław Koziej, który tak chętnie bryluje dziś w mediach i zaszczepia Polakom populistyczne „strachy na Lachy”, nie dostrzegał wówczas zagrożeń wynikających z nadzwyczajnej aktywności służb rosyjskich, nie wspominał o skutkach nowej doktryny wojskowej Kremla, wzroście nakładów na zbrojenia, wrogich posunięciach militarnych w obwodzie kaliningradzkim, ani o agresywnej i konfrontacyjnej polityce propagandowej Moskwy. W sztandarowym opracowaniu *strategii bezpieczeństwa narodowego* przemilczano następstwa procesu integracji na obszarze poradzieckim, zignorowano skutki stosowania „miękkiej siły”, jako narzędzia rosyjskiej polityki zagranicznej i nie dostrzegano zagrożeń związanych z perspektywą szantażu energetycznego czy cyberataku ze strony wschodniego sąsiada.

W innym ze „strategicznych” dokumentów, tzw. „Strategii Rozwoju Systemu Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej 2022” z kwietnia 2013 r. stwierdzono, iż „W horyzoncie obowiązywania strategii prawdopodobieństwo konwencjonalnej agresji zbrojnej na Polskę jest niewielkie”. Politykę obronną państwa miała potwierdzać „społeczna percepcja bezpieczeństwa narodowego”, w której wiodące było założenie, iż „większa grupa Polaków bardziej ceni sobie utrzymanie dobrych relacji z Rosją niż bliską współpracę z krajami dawnego ZSRR”.

Gdyby III RP była normalnym państwem prawa, w którym urzędnicy ponoszą konsekwencje swoich błędów, zaś politycy są oceniani i rozliczani przez społeczeństwo – kompromitacja SPBN i zależnych odeń „doktryn” zakończyłaby się dymisjami i całkowitą utratą zaufania do lokatora Belwederu. Nie można dokonać bardziej błędnej analizy ani wyprodukować równie niedorzecznych wniosków, jak uczynili to „stratedzy” z otoczenia Komorowskiego. Jest to blamaż nie tylko w wymiarze politycznym, ale naukowym i kompetencyjnym. Ci ludzie i to środowisko nigdy nie powinno zbliżać się do spraw bezpieczeństwa narodowego i na zawsze winno zostać odsunięte od jakichkolwiek decyzji związanych z obronnością. Tak postąpiono by w każdym państwie, które ceni bezpieczeństwo obywateli i dba o narodowe interesy.

Niestety, szczelna osłona propagandowa, brak wolnych mediów i tchórzostwo opozycji oraz potężny deficyt zdrowego rozsądku sprawiły, że ludzie z otoczenia Komorowskiego mogli dokonać bezbolesnej transformacji i z pozycji piewców „pojednania polsko-rosyjskiego” znaleźć się w awangardzie antyputinowskich „sił postępu”.

Ogromną winę za ten stan rzeczy ponosi partia opozycyjna, której politycy nie tylko nie przywiązują wagi do tematów związanych z obronnością, nie tylko wspierają niektóre z niedorzecznych pomysłów „doktryny Komorowskiego”, ale wykazują zdumiewającą obojętność wobec poczynań Belwederu i nie próbują ukazać Polakom zagrożeń związanych z aktywnością tego ośrodka.

W prezentowanych obecnie „dokumentach strategicznych” próżno szukać śladów minionych ocen i rekomendacji. Nikt nie wspomina, że całą „konceptję bezpieczeństwa narodowego” budowano dotąd w oparciu o pozytywny i wyjątkowo demagogiczny obraz Rosji. W tym obszarze, podobnie, jak miało to miejsce w czasach „Polski Ludowej”, nad myśleniem o bezpieczeństwie własnego kraju dominowała samobójcza idea „obrony zdobyczy pojednania polsko-rosyjskiego”. Powszechnie milczenie wokół woty wykonanej przez ludzi reżimu, każe sądzić, że nasi rodacy akceptują rządy niedoszłych samobójców i bez szemrania powierzają bezpieczeństwo rodzin ludziom „jednąjącym” nas z Putinem. Gdyby miało być inaczej, nikt o zdrowych zmysłach nie pogodziłby się z obecną sytuacją.

Fantastyczne opowieści o „doktrynie Komorowskiego” oraz bajki o „nowoczesnej strategii” utwierdzają błędne przeświadczenia i podtrzymują miraże bezpieczeństwa. Rozliczne imprezy wojskowe, setki narad, posiedzeń, paneli dyskusyjnych, itp. form marnotrawienia publicznych pieniędzy, budują zaś przekonanie, że posiadamy silną armię, dzielnych dowódców i wybitnych strategów. Środowisko Belwederu sprawnie wykreowało się na jedyne rzeczników bezpieczeństwa i z każdym miesiącem zawłaszcza kolejne obszary. Zatwierdzona wczoraj, z propagandową pompą tzw. nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego jest wyrazem tych dążeń, a jednocześnie wskazuje na ogromne pokłady cynizmu i konformistycznej „mądrości etapu”. Ludzie, którzy rozbroili polską armię i uczynili z niej skansen twardegołowych trepów, nie próbują nawet zachować pozorów wiarygodności.

Obok błędnych „konceptji i strategii” przeprowadzono bowiem szereg konkretnych decyzji służących osłabieniu polskiego potencjału. Począwszy od rezygnacji z powszechnego poboru i odrzuceniu „amerykańskiej tarczy antyrakietowej”, po fatalne w skutkach decyzje dotyczące uzbrojenia i modernizacji armii. Na skutek świadomych działań reżimu, Polska, która w latach 2003-2007 zajmowała 15 miejsce na liście eksportu cięższej broni konwencjonalnej, w latach 2008-2012 spadła na pozycję 23. W zakresie importu broni zanotowano natomiast w latach 2008-2012 spadek aż o 47 proc. w porównaniu z latami 2003-2007. Drastycznie również obniżył się realny udział wydatków obronnych w wykonanym PKB. W latach 2005,2006 i 2007 wzrastał sukcesywnie i wynosił odpowiednio: 1,99, 2,00 i 2,04 proc. by natychmiast po przejęciu władzy przez reżim PO-PSL obniżyć się do 1,71 proc. W roku 2012, gdy ogłaszano pierwsze „plany modernizacyjne”, udział w PKB wynosił zaledwie 1,76 proc. i taką samą wartość wykazano w roku następnym.

Jak podaje portal defence24.pl - „w latach 2002 – 2007 średni udział wydatków obronnych w wykonanym PKB roku poprzedniego był wyższy niż 2 % i wynosił 2,01 %. W latach 2008 – 2013 z kolei średni udział nakładów na obronę w PKB kształtował się na poziomie 1,81 %. Jest to równoznaczne z obniżeniem wskaźnika o około 10 % w ciągu ostatnich sześciu lat, w stosunku do okresu 2002 – 2007.”

W ogólnym aplauzie związanym z „modernizacją armii”, nie wspomina się również, że ministerstwo zarządzane przez człowieka bodaj bardziej niekompetentnego niż był szef MON Komorowski, nie potrafiło w roku ubiegłym wykorzystać środków w wysokości ponad 10,5 mld zł, w stosunku do funduszy, jakie mogły zostać przeznaczone na obronność.

O realnej wartości „Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2013-2022” świadczy m.in. ocena sporządzona w grudniu 2013 roku, z której wynikało, że w najważniejszych obszarach tego planu (np. zakupie zestawów rakietowych średniego i krótkiego zasięgu oraz przenośnych zestawów przeciwlotniczych) istniały opóźnienia sięgające ponad półtora roku.

Jest oczywiste, że powierzanie temu reżimowi dodatkowych pieniędzy na zbrojenia, lub zwiększanie (ogromnych już) prerogatyw ośrodka prezydenckiego, jest gigantycznym marnotrawstwem i nieodpowiedzialnością. Ci ludzie nie mogą i nie potrafią obronić Polaków przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Ich niekompetencja i doktrynalny obskurantyzm doprowadziły polski system bezpieczeństwa do stanu paraliżu. Produkcja kolejnych „strategii”, mnożenie zbędnych struktur

oraz uprawianie ordynarnej propagandy, zastępują realne działania i prowadzą do jeszcze większego niedowład. Ponieważ po stronie opozycji nie ma zainteresowania sprawami obronności, brakuje woli walki i odwagi uświadomienia Polakom skali dzisiejszych zagrożeń, jesteśmy zdani na łaskę rozmaitych kuglarzy i „fachowców od bezpieczeństwa”. Jak długo, zdecyduje Putin.

861. „RUSKIE SERWERY” I SWOJSKA GŁUPOTA

Nigdy nie czytałem tyłu banialuk na temat „zagrożeń procesu wyborczego” i nie słyszałem tyłu niedorzecznych wypowiedzi, których autorzy prześcigają się w kreśleniu wizji sfałszowanych wyborów.

Wielki musi być deficyt zdrowego rozsądku, jeśli nikomu nie przyjdzie do głowy, że lament nad kontr-działaniami przeciwnika jest oczywistym nonsensem, nie tylko niegodnym człowieka rozumnego, ale niewartym poważnego traktowania. Nawet średnio rozzgarnięty odbiorca powinien wiedzieć, że przeciwnik jest po to, by przeszkadzać, psuć szyki, oszukiwać i kłamać i jeśli po siedmiu latach doświadczeń kogoś zaskakują postępkami reżimu, niech nie zawraca sobie głowy polityką i zajmie bardziej pożytecznym zajęciem.

Odnoszę wrażenie, że ten powszechny harmider ma usprawiedliwić lenistwo opozycji i przygotować elektorat na gładkie przełknięcie kolejnej porażki.

Najbardziej absurdalnie brzmią dziś tezy, w których działaniom PKW związanym z testowaniem oprogramowania wyborczego przypisuje się nieudolność lub obdarza je mianem błędu. Tymczasem w kombinacjach opartych na kreowaniu „mętnej wody” nie może być mowy o jakiegokolwiek przypadkowości. Im więcej zamieszania, nieokreśloności i chaosu – tym lepiej dla tych, którzy kontrolują procesy wyborcze. Jestem przekonany, że starsi panowie z szacownej instytucji PKW doskonale wiedzą na czym polega zabawa z „awariami systemu” i nie po to przez wiele miesięcy selekcjonowali firmy administrujące ten system, by udzielać dziś rzeczowych wyjaśnień lub obawiać się konsekwencji. W sukurs ich odczuciom idą opowieści „naszych” mediów o indolencji „leśnych dziadków” i równie miłe dla ucha insynuacje o możliwych nieprawidłowościach i błędach. Głoszone w przeddzień wyborów zdają się usprawiedliwiać własne nieróbstwo i niekompetencje.

Póki trwa ten szum, nikt nie zada pytania – co przez wiele miesięcy robiła opozycja i wtórujący jej dziennikarze „wolnych mediów”, by zapobiec takim scenariuszom i zapewnić wyborcom udział w uczciwych wyborach? Ile pieniędzy przeznaczono na kontrolowanie procesu wyborczego, jak informowano opinię publiczną na Zachodzie o przypadkach fałszowania wyników, ilu niezależnych obserwatorów ściągnęła dziś opozycja?

Zamiast dziwić się, że przeciwnik robi swoje, może od takich pytań należy zacząć refleksję nad farsą wyborczą?

Wprawdzie zapowiedzi kontrolowania procesu wyborczego słyszymy od wielu polityków PiS i ludzi środowisk opozycyjnych, to poza wymiarem propagandowym nie mają one najmniejszego znaczenia. Od roku 2010, w podobnym tonie deklarowano nadzór nad wszystkimi wyborami. Niestety, na deklaracjach się kończyło, bo mimo wsparcia udzielanego przez wyborców, np. w ramach akcji „Uczciwe wybory.pl”, nigdy nie udało się znaleźć dostatecznej liczby wolontariuszy ani powołać mężów zaufania w większości komisji wyborczych. Wina leżała zwykle po stronie struktur PiS-u i miała związek z postawą tzw. lokalnych działaczy.

W ostatnim roku opozycja nie dopilnowała i kompletnie zbagatelizowała kampanię referendalną oraz wybory do PE. Oficjalne deklaracje o „pilnowaniu” i tworzeniu „korpusów ochrony” trzeba włożyć między bajki i uznać za przejaw niebywałej arogancji lub cynizmu przedstawicieli PiS. Jedyнным efektem szumnie zapowiadanej akcji „Uczciwe wybory” był kilkustronicowy „raport” o treści przypominającej wypracowanie gimnazjalisty. Zawierający liczne błędy i komunały, napisany w sposób niechlujny i nieprofesjonalny. Nie tylko nie wymieniono w nim wielu istotnych nieprawidłowości, nie dostrzeżono specyfiki przedwyborczych przetargów oraz treści dokumentów produkowanych przez PKW, ale nie odpowiedziano na najważniejsze pytanie: z jakiego oprogramowania i czyich serwerów korzystała PKW w trakcie tych wyborów? Gdy kilka dni później Sąd Najwyższy odrzucił wszystkie protesty PiS, informacja na ten temat nie została nawet ujawniona przez „nasze” media i została przemilczana przez opozycję.

Gdy w kwietniu br. informowałem o pierwszych rozstrzygnięciach przetargów PKW, a miesiąc później, o korzystaniu z certyfikatów firmy Unizeto, wiadomości te zostały zignorowane przez „nasze” środowiska. Choć od wielu miesięcy procedury przetargowe powinny wzbudzać szereg wątpliwości, żaden polityk opozycji nie zwrócił się w tej sprawie z interpelacją i nie zażądał przeprowadzenia kontroli. Nic nie wiemy na temat przedwyborczych pozwów w kwestii niedopełnienia obowiązków przez członków PKW lub zawiadomień o nieprawidłowościach związanych z funkcjonowaniem systemu informatycznego. Europosłom PiS nawet do głowy nie przyjdzie, by skonfrontować obecne procedury z unijnym dokumentem o nazwie „Zalecenia Komitetu Ministrów Rady Europy dla państw członkowskich dotyczące prawnych, praktycznych standardów głosowania elektronicznego” lub zainteresować europejskie instytucje i niezależnych obserwatorów praktykami PKW i stanem przygotowania wyborów samorządowych.

Najbardziej bulwersuje jednak uprawianie nachalnej demagogii i zapewnienia o „pilnowaniu wyborów”. Wzorem lat ubiegłych próbuje się zwołać „pospolite ruszenie” i przy udziale wolontariuszy oraz ręcznego liczenia głosów kontrolować proces wyborczy. Autorzy tej akcji nie chcą pamiętać, że są to działania połowiczne i skazane na porażkę. Nie tylko z powodu niedostatecznej obsady komisji wyborczych i ułomności tej metody, ale z uwagi na istnienie nieprzekraczalnej bariery - głównego strażnika interesów reżimu, jakim jest Sąd Najwyższy, do którego trafiają protesty wyborcze. Nie zdarzyło się jeszcze i nie zdarzy, by organ ten orzekł o nieważności wyborów, z tak błahej przyczyny jak fałszerstwo wyborcze. Ponieważ partia opozycyjna szczególnie dba o „demokratyczny wizerunek” III RP na arenie międzynarodowej, nawet najbardziej ordynarne oszustwa nie są w stanie podważyć tej praktyki.

Takie akcje *pilnowania wyborów* muszą tym mocniej bulwersować, że w przekazie „naszych” środowisk doskonale funkcjonuje pojęcie „ruskich serwerów” i świadomość zagrożeń związanych z elektronicznym przesyłaniem danych. Co zatem zrobiono, by w tym (najważniejszym) obszarze zapewnić prawidłowość procesu wyborczego?

Dziwię się, że nikt dotąd nie zechciał zadać politykom PiS podstawowych pytań: ilu informatyków zatrudniała partia opozycyjna do kontrolowania sieci elektronicznej PKW, ile stanowisk pełnomocników ds. obsługi informatycznej zostało obsadzonych przez ludzi opozycji, jak nadzorowana będzie praca operatorów obsługujących obwodowe komisje wyborcze, czy i jak rejestrowane będą błędy systemu przekazywania danych z poszczególnych komisji, czy prowadzona będzie obserwacja sieci DNS-ów, biorących udział w agregacji danych, czy sprawdzono bezpieczeństwo certyfikatów domeny kbw.gov.pl (Krajowego Biura Wyborczego) wystawionych przez Certum Level (Unizeto Technologies S.A), czy zadbano o monitorowanie procesu wprowadzania, przechowywania i aktualizacji danych?

Gdyby opozycja miała zamiar realnie kontrolować proces wyborczy, elektorat PiS musiałby poznać odpowiedzi na te pytania.

W przeciwnym wypadku – jesteśmy świadkami ponurej inscenizacji, której efektem będą przegrane wybory. Jeśli w tak ważnej kwestii wyborcom mają wystarczać puste deklaracje polityków lub zapewnienia redaktorów naczelnych – nikt nie będzie miał prawa podważać legalności procesu wyborczego. Już dziś można uznać, że „pilnowanie” polegające na pracy wolontariuszy i oparte na aktywności obywatelskiej, będzie działaniem nieskutecznym i zaledwie pozorującym prawdziwą kontrolę. I choć zabieg ten pozwoli „naszym” deliberować nad sfałszowanymi wyborami i zrzucić odpowiedzialność na „onych” i „ruskie serwery” – w żadnym stopniu nie uchroni opozycji przed kolejną porażką.

862. W PERSPEKTYWIE MECHANIZMÓW OSZUSTWA

Wegetując w realiach III RP nie chcemy dostrzec, że draństwa związane z fałszem wyborczą przesuwają granicę reakcji społecznych poza krawędź zniewolenia. Nie jest rzeczą naturalną, jeśli po otrzymaniu tak dotkliwego policzka, Polacy nie próbują odeprzeć agresji napastnika i tłumaczą sobie, iż jest ona wyrazem słabości i nieudolności reżimu. Nie jest rzeczą naturalną, jeśli zwolennicy partii opozycyjnej przetykają ten upokarzający akt pogardy i nie próbują zmusić swoich reprezentantów do godnego zachowania.

Płynące z „wolnych” mediów nawoływanie do *nieulegania prowokacji* oraz reakcje ograniczone do *konstruktywnych postulatów* i żądań w ramach *demokracji parlamentarnej*, zbyt mocno przypominają taktykę koncesjonowanej opozycji z lat 80., by warto było poświęcać im uwagę. Pora zrozumieć, że to środowisko nie zerwie z mitologią III RP i nie odważy na myślenie w kategoriach antysystemowych. Ludziom, których zadawała logika: *popelniono fałszerstwo wyborcze, zatem wzywamy do uczestnictwa w II turze wyborów i kierujemy postulaty do oszustów* – nie mam nic do powiedzenia.

Nie można bowiem akceptować postawy, w której regularnie podważana jest legalność wyborów przeprowadzanych pod auspicjami obecnej koalicji (zarzuty opozycji z lat 2010, 2011 i 2014), regularnie doświadczamy bezkarności władzy i lekceważenia prawa przez najwyższe sądy, a jednocześnie podtrzymujemy fikcję demokracji wyborczej i odrzucamy tezę o totalitarnym obliczu III RP.

Nie odczuwam też najmniejszej satysfakcji, że na oczach zdumionych wyborców rozgrywa się scenariusz nakreślony w poprzednim tekście. Przyznaję, że perfidia tego planu przerosła moje rachuby, a w kontekście braku reakcji opozycji, narzuca refleksje dalekie od optymizmu.

Po tym, co zobaczyliśmy w wykonaniu PKW, po wystąpieniach reprezentantów reżimu i arogancji lokatora Belwederu – byłoby szaleństwem kreślić prognozy zwycięstwa. Kto próbuje wmówić Polakom, że ten ponury spektakl wytycza drogę do wygranej w wyborach 2015 roku, zasługuje po stokroć na pogardę. Są reguły dowodzenia i analizy politycznej, których nie wolno łamać – nawet w obronie partyjnych interesów lub w trosce o dochody „niezależnych” mediów.

Jednolita i w pełni skoordynowana reakcja reżimu na skandaliczny przebieg tzw. wyborów samorządowych, potwierdza tezę, że mamy do czynienia z zamierzoną kombinacją i spektaklem wyreżyserowanym przez ośrodek władzy. Decyzji związanych z przygotowaniem wyborów – począwszy od regulacji prawnych i rozstrzygnięć poszczególnych przetargów, poprzez nieudane próby systemu informatycznego, po procedurę liczenia głosów i elektronicznego przekazywania danych – nie można uznać za przypadkowe lub powstałe na skutek nieudolności i błędu.

Tylko ci, którzy posiadają realną władzę i z rozmysłem kształtują procesy polityczne, mogą dokonywać owocnych połówów w „mętnej wodzie” *polskiego akwarium*. Prawdziwi decydenci odbierając ludziom prawo do decydowania o wolnym wyborze, czynią to w tak wyrafinowany sposób, by podawany Polakom erzac wydawał się samą prawdą.

Jeśli od wielu lat, organ odpowiedzialny za przeprowadzenie wyborów selekcjonuje firmy powiązane z Rosją lub wybiera podmioty niedoświadczone i niezdolne do sprostania obowiązkowi – należy to uznać za postępowanie w pełni celowe i zmierzające do wywołania określonego efektu. Jeśli od wielu lat, organ odpowiedzialny za rozpoznawanie protestów wyborczych i stwierdzanie ważności wyborów, sankcjonuje ewidentne przestępstwa i z *mocy prawa* aprobejuje bezsporne oszustwa – trzeba w tym widzieć celową praktykę i patologiczną normę.

Cechą wyróżniającą rozstrzygnięcia tych organów jest okoliczność, iż służą one interesom reżimu i sprawiają, że rządząca III RP grupa zachowuje „demokratyczny mandat” na kolejne kadencje. Nie może się zdarzyć, by powyborszy zamęt, wywołany przez instytucje odpowiedzialne za przebieg wyborów, doprowadził do utraty władzy przez ludzi reżimu lub skutkował konsekwencjami dla przedstawicieli tych instytucji.

Mechanizm oszustwa wyborczego jest od kilku lat perfekcyjny, a zarazem prosty i opiera się na wytworzeniu chaosu oraz wywołaniu przeświadczenia, iż jest on zaledwie efektem pomyłek i systemowej nieudolności. Przedstawiciele reżimu odrzuca więc jakiegokolwiek podejrzenia o fałszowanie wyborów, choć w pewnych okolicznościach potwierdzą (co może mieć miejsce obecnie), iż *popelniono błędy* lub *nie dopilnowano obowiązków*. Konstrukcja takiego mechanizmu może wymagać wskazywania „kozłów ofiarnych” oraz fingowania procesów „naprawy” i „modernizacji” systemu wyborczego. Działania te będą obliczone na wywołanie efektu propagandowego i m.in. posłużą wytrąceniu argumentów opozycji.

Ponieważ ta ostatnia uporczywie wspiera mitologię *demokracji III RP* i jest niezdolna do działań wykraczających poza normę *konstruktywnego parlamentaryzmu*, mechanizm oszustwa wyborczego staje się fundamentem komunistycznej hybrydy i skutecznie chroni interesy reżimu.

Od ponad tygodnia jesteśmy świadkami testowania odporności Polaków oraz tworzenia podwalin pod kolejne wybory 2015 roku. Reżim już wie, że naszych rodaków nie stać na reakcje Rosjan czy Ukraińców, zaś partia opozycyjna i „wolne” media uważnie pilnują, by nikt nie ważył się poddawać nastrojom *prowokacji*. Irracjonalne i z góry skazane na porażkę *postulaty* opozycji dopełniają obrazu kłęski i potwierdzają jej niezdolność do sprzeciwu. To ważne doświadczenie zostanie z całą pewnością spożytkowane w przyszłości i prócz poczucia bezkarności, utwierdzi wiarę reżimowych macherów w skuteczność mechanizmów oszustwa.

Ogromną rolę w tym procederze będzie miała aktywność lokatora Belwederu, który nie tylko odgrywa życiową rolę *opatrznościowego męża stanu*, ale rozpoczął właśnie zwycięski pochód po drugą kadencję. Jest wielce prawdopodobne, że środowisko Belwederu (jak uczyniono to w wielu innych obszarach) zainicjuje szereg pozorowanych *procesów naprawczych*, a jednocześnie wykorzystysta zaistniałą sytuację do przeprowadzenia zmian legislacyjnych, korzystnych dla reżimu prezydenckiego. Gotowe projekty tzw. „*Doktryny Cyberbezpieczeństwa RP*” mają wielką szansę na przeformowanie, szczególnie w atmosferze powstałej po chaosie wyborczym. Działania podjęte przez Komorowskiego, na siedem miesięcy przed wyborami prezydenckimi, mogą też wpływać na kształt prawa wyborczego i ugruntować uprawnienia prezydenckie w

zakresie powoływania członków organów wyborczych. Ponieważ skandaliczne wypowiedzi polityka PO nie wywołują żadnej reakcji (nawet ze strony zatroskanych *obrońców demokracji*), a „nasze” środowiska godzą się z *przewodnią rolą* przysiorocznego kandydata, nie dostrzegam dziś najmniejszych przeszkód na drodze ku drugiej kadencji.

W kontekście sytuacji wywołanej mechanizmem oszustwa wyborczego, nie sposób pominąć reakcji dwóch naszych zewnętrznych wrogów. Wczorajsze, (pozornie zaskakujące) stwierdzenie Putina, iż „Polska i Rosja powinny przenieść relacje na nowy poziom i rozwiązać problemy działając na podstawie wzajemnego szacunku i pragmatyzmu”, całkowicie odpowiada planowanej linii zbliżenia z Rosją i wychodzi naprzeciw oczekiwaniom przywódców Zachodu. Zaledwie przebrzmiały słowa kremłowskiego watażki, gdy identyczny głos usłyszeliśmy ze strony Angeli Merkel, która w 25. rocznicę tzw. pojednania polsko-niemieckiego powróciła do projekt uczynienia z III RP „pomostu” między Rosją i Unią Europejską i wyznała: „Tylko wspólnie z Rosją możemy na dłuższą metę zabezpieczyć bezpieczeństwo Europy; dlatego musimy prowadzić dialog z Moskwą”.

To „historyczne” zadanie faktycznej likwidacji polskiej państwowości i uczynienia z nas pokracznego kondominium, przywódcy Europy i ich bracia na Kremlu, mogą powierzyć tylko obecnemu reżimowi. Casus Ukrainy oznacza przyzwolenie na rozszerzenie wpływów Rosji – a zatem, sięgnięcie po Polskę. Jeśli nawet nie grozi nam otwarta konfrontacja militarna (tej Rosja boi się najbardziej i nie jest jej ona do niczego potrzebna) lecz gra obliczona na prowokacje, rozbrojenie Polski i eliminację ostatnich środowisk opozycyjnych, finał jest łatwy do przewidzenia. W tym dziele Putin może liczyć na bliską współpracę Niemiec i współudział „polskich przyjaciół”, dlatego otwarta granica z obwodem kaliningradzkim jest dziś warunkiem powodzenia projektu *Prusy Wschodnie* i zostanie wykorzystana jako symbol odbudowy relacji rosyjsko-niemieckich.

Głosy Putina i Merkel oznaczają wsparcie dla obecnych działań reżimu i są formą zachęty dla kontynuowania mechanizmów oszustwa wyborczego. Przed kilkoma miesiącami pisałem, iż cała machina światowej dyplomacji jest nastawiona na „szukanie porozumienia” z Putinem, co w konsekwencji musi doprowadzić do poddania Ukrainy i zgody na dalszą ekspansję. To oznacza, że ta sama machina już dziś pracuje na kolejne zwycięstwo wyborcze reżimu Komorowskiego. Pracuje zaś, bo obecny układ nigdy nie sprzeciwi się antypolskiemu paktowi Moskwy i Berlina, zadba o „spokój nad Wisłą” i zagwarantuje zatroskanym przywódcóm Zachodu, że Polsce nie zagrazi „epidemia rusofobii”.

Realizowany dziś scenariusz przynosi zapowiedź działań planowanych w przyszłym roku. Nie tylko w obszarze polityki krajowej, całkowicie zdominowanej przez Belweder, ale na gruncie znacznie szerszym. Najważniejsze będą zatem wybory prezydenckie. Poprzedzając tzw. wybory parlamentarne i decydując o „zabezpieczeniu” interesów reżimu (rola prezydenta w powołaniu nowego rządu), rozstrzygną również o powodzeniu misji „pojednania” Europy z Putinem.

Zakreślona tu perspektywa, nie może napawać optymizmem. Nie jest też obliczona na partyjny oportunizm i koniunkturę *linii redakcyjnych*. Oznacza, że obalenie układu rządzącego nie jest żadnym *wyzwaniem demokracji* ani *wyborczym pojedynkiem*, lecz powinnością, od której zależy los Polski i Polaków.

863. O UWOLNIONYCH OD ILUZI

U podstaw nieskutecznych i nieracjonalnych działań zawsze leży błąd poznawczy. Nie można podjąć trafnych decyzji ani osiągnąć wytyczonych celów, jeśli towarzyszy im błędna diagnoza rzeczywistości. To stwierdzenie tylko pozornie wydaje się banalne. Wydarzenia ostatnich dni dowodzą bowiem, że następstwa błędu poznawczego mogą wywołać potężny wstrząs społeczny i przygnębiające poczucie chaosu i zagubienia.

Wiarygodność naszych rodaków jest całkowicie przekonana, że przed 25 laty nastąpiła jakościowa zmiana państwowości: Polska odzyskała atrybuty suwerenności i na gruzach komunizmu powstało nowe państwo prawa i demokracji. Przeświadczenie to zostało wykreowane na podstawie jednolitego przekazu medialnego, wsparte na werbalnych deklaracjach nowej elity III RP, ugruntowane obserwacją procesów politycznych i ekonomicznych. Od 25 lat jest ono składnikiem nauczania historii i decyduje o treściach przekazywanych młodemu pokoleniu. Jeśli nawet zdecydowana większość Polaków nie potrafiłaby wskazać historycznych przesłanek ani racjonalnie uzasadnić opinii na temat *demokracji III RP*, wiara w istnienie wolnego państwa doskonale zastępuje wszelkie normy epistemologii.

Jest to wiara tym mocniej zakorzeniona, iż podsycana przez wszystkie środowiska polityczne i umacniana nauczaniem hierarchów Kościoła. Kto chciałby się jej przeciwstawić, musi liczyć się z ogromnym sprzeciwem społecznym i kontrakcją ze strony całego establishmentu. Nie przypadkiem, grono obrońców demokracji III RP za największą zbrodnię uważa podważanie mitu założycielskiego, zaś próbę rewizji państwowości wyrosłej z PRL, uznaje za rokosz i zamach na interesy narodowe. Z niezwykłą łatwością narzucono pogląd, jakoby archaiczna konstrukcja „okrągłego stołu” była jedyną, na której można budować nowoczesną państwowość.

Potęga owej mitologii nakłada na nas tak skuteczne ograniczenia, że przez ostatnie ćwierćwiecze nie powstało żadne środowisko intelektualne, a tym bardziej partia polityczna, które kwestionowałyby demokratyczne atrybuty III RP. To sprawia, że mamy do czynienia z nietykalnym dogmatem, podobnym w swojej logice do peerelowskiej normy art. 1 konstytucji, w którym stwierdzono, iż „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej.”

Wielka inscenizacja z 1989 roku stała się podstawą wszystkich procesów politycznych „nowego” państwa i już na początku III RP zastąpiła autentyczną demokrację agenturalno-esbeckim erzacem. Nawiażywała wprost do tradycji sfałszowanych wyborów roku 1947, z których komunistyczni bandyci wywodzili swoje prawo do rządzenia Polakami. Podobnie więc, jak pierwsze powojenne wybory stały się najważniejszych elementów mitu założycielskiego PRL, tak farsa z roku 1989 jest do dziś fundamentem legitymizacji układu „okrągłego stołu”.

Historyk Maciej Korkuć w artykule „Wybory 1947 – mit założycielski komunizmu” (Biuletyn IPN 1-2/2007) pisał: „*Niepodległe państwo polskie nie uporowało się dotychczas pod względem prawnym z dziedzictwem komunizmu w Polsce. Dokonana w dniu 31 grudnia 1989 r. przez ostatni, „kontraktowy” Sejm PRL zmiana nazwy państwa i jego godła miała znaczenie przede wszystkim w wymiarze symboli. Mimo że w roku 1991 odbyły się pierwsze wolne wybory parlamentarne, w sensie prawnym została podtrzymana w sposób niezakończony ciągłość w porządku prawnego zapoczątkowanego utworzeniem PKWN w Moskwie w 1944 roku. Od 1989 roku potwierdzały to także kolejne nowelizacje wywodzącej się z 1952 roku stalinowskiej konstytucji, przekształcające Polskę w państwo demokratyczne, ale nie podważające expresis verbis legalizmu władzy komunistycznej z lat 1944–1989, której faktycznym i najważniejszym źródłem były jednoosobowe decyzje Józefa Stalina.*”

Od wielu dni jesteśmy świadkami zjawiska, które w sposób zasadniczy ujawnia antydemokratyczny i antyspołeczny charakter reżimu i demaskuje mit założycielski „nowego państwa”. Skandale związane z przebiegiem tzw. wyborów samorządowych nie są bowiem efektem *wadliwego funkcjonowania organów III RP* lub *niewydolności systemu wyborczego*, lecz całkowicie rozmyślną i normatywną praktyką, uwidaczniającą intencję kontynuowania fałszerstwa założycielskiego. Nie mamy do czynienia z „błędem ludzkim”, „kryzysem państwa” bądź wyjątkowym zaburzeniem w ramach demokracji, lecz prawidłowością wynikającą z fundamentów dzisiejszej państwowości. Narastająca od roku 2010 dynamika tzw. incydentów wyborczych, pokazuje, że obrona reżimu III RP wymaga sięgania po coraz bardziej jawne i zuchwałe mechanizmy. Reprezentanci tej władzy, począwszy od osoby lokatora Belwederu, po członków rządu i urzędników PKW, nie czynią „zamachu na demokrację”, nie popełniają „błędów” i nie „tracą wiarygodności”. Ci ludzie i prezentowane przez nich postawy stanowią racjonalny „produkt” procesu tzw. *transformacji ustrojowej*, podczas którego wyhodowano współczesną odmianę sukcesorów komunizmu. Sposób sprawowania przez nich władzy, gigantyczna buta i pogarda dla zasad państwa prawa, nie są zatem wyrazem jakiegś wyjątkowej aberracji, lecz logiczną regułą „demokracji socjalistycznej” ciężącą od ćwierćwiecza nad naszą państwowością. Prawdziwa twarz III RP ujawnia się w momencie zagrożenia interesów sukcesorów komunizmu. Pojawiają się fałszerstwa wyborcze i akty cenzury, mnożą represje sądowo-policyjne, wzmagają propaganda i dezinformacja. Jeśli to okaże się niewystarczające, w zanadru są narzędzia stanu wyjątkowego, wyrafinowane metody pacyfikacji nastrojów społecznych, mordy polityczne i prowokacje.

Zarysowana powyżej diagnoza jest powszechnie odrzucana przez środowiska polityczne III RP, w tym przez jedyną partię opozycyjną. Lekceważą ją przedstawiciele „wolnych mediów” i intelektualiści skupieni wokół opozycji. W oficjalnym przekazie dominuje wiara w *zdobycze demokracji* i nawoływanie do jej *obrony*, kwitnie alogiczny populizm i ufność w potęgę karty wyborczej. Stan permanentnego błędu poznawczego oraz ucieczka przed refleksją pokonującą ograniczenia systemowe, sprawiają, że każde działanie partii opozycyjnej będzie nieskuteczne i skazane na porażkę. W postawie, która ignoruje obowiązek usunięcia źródła choroby i koncentruje na zwalczaniu jej objawów, nie może być mowy o sukcesie. Wynikające stąd zagubienie i kompletny zamęt myślowy, jest szczególnie widoczny w sferze decyzji politycznych dotyczących reakcji na oszustwo wyborcze.

Wielokrotnie zwracałem uwagę, że reżim PO-PSL znając doskonale preferencje polityków opozycji, zastosował perfidną pułapkę z tzw. sondażem exit poll i ugruntował wśród sympatyków PiS-u wiarę w zwycięstwo wyborcze. W efekcie, partia Jarosława Kaczyńskiego i związane z nią media weszły gładko w fatalną narrację i obwieściły tryumf czegoś, co chwilę później same musiały zakwestionować. Uwadze zwolenników opozycji umyka refleksja, że jeśli głosi się zarzut fałszerstwa, a jednocześnie twierdzi, iż „*PiS wygrał wybory*”, mamy do czynienia nie tylko z grubym błędem politycznym (bo jaką wartość ma wygrana w sfalszowanych wyborach), ale znacznie poważniejszym błędem logicznym (nie można wygrać tam, gdzie rezultat jest efektem oszustwa). Konsekwencją pierwszego, niedostrzeżonego błędu, muszą być błędy następne. Obecnie środowisko opozycji brnie w jeszcze większą pułapkę, bo utrzymując zarzut fałszowania wyborów, namawia jednocześnie do uczestnictwa w II turze, zaś krytykując organizację procesu wyborczego i działania reżimowych instytucji, żąda powtórzenia przez nie farsy wyborczej. W tym obszarze nieefektywność i niedorzeczność reakcji jest już wyjątkowo rażąca i jeśli bywa niedostrzegana, zawdzięczamy to autocenzurze lub ograniczeniom samodzielnego myślenia.

Ze względów oczywistych, reżim zignoruje wszystkie postulaty opozycji, bo nie po to wywołano stan kontrolowanego chaosu, by poddawać go niekontrolowanemu modyfikacjom. Cel obecnej kombinacji został już osiągnięty: przetestowano reakcje społeczne, w tym potencjał mobilizacyjny elektoratu opozycji, przesunięto granicę odporności na kolejne akty bezprawia i przygotowano grunt pod fałszerstwa w przyszłorocznych wyborach.

Skutki dzisiejszych błędów będą jednak znacznie poważniejsze i wykrócą poza sferę konwalidacji reżimu III RP.

W najbliższych miesiącach nastąpi odpływ najbardziej „twardego” elektoratu opozycji, ujawnią się postawy roszczeniowe i krytyczne, pojawi zniechęcenie i apatia wyborców. Mimo propagandowych zabiegów „wolnych” mediów i sztucznego podtrzymywania atmosfery akceptacji, efektem obecnego kryzysu musi być spadek poparcia dla partii opozycyjnej. Przekroczono bowiem (i tak) niezwykle elastyczną granicę nieudolności i partyjniackiej zachowawczości. Udowodniono nieprzydatność narzędzi „*demokracji parlamentarnej*” w starciu z rozbastwioną dyktaturą, wykazano nonsensowność wiary w *potęgę karty wyborczej*, pokazano również, że priorytety partyjne będą górowały nad oddolnymi reakcjami społeczeństwa i decydowały o odmowie poparcia dla autentycznej demokracji bezpośredniej.

Przez najbliższe tygodnie politycy partii opozycyjnej będą podejmowali kolejne nietrafne decyzje i kontynuowali działania pozorowane. Błąd poznawczy nie został bowiem naprawiony i nic nie wskazuje, by chciano podjąć odważną refleksję.

Wkrótce też wyczerpie się zainteresowanie sprawą fałszerstw wyborczych, pojawią nowe, stylizowane przez „niezależne” media tematy, nastąpi wyciszenie lub pacyfikacja nastrojów społecznych. Nie warto wierzyć, by partia odwołująca się do nieistniejących *mechanizmów demokracji* i formułująca wewnętrznie sprzeczne komunikaty, była zdolna pokonać obecną dyktaturę. Z każdym dniem maleje prawdopodobieństwo sięgnięcia po potencjał wyborców i zorganizowania milionowego zgromadzenia w Warszawie. Jedyne racjonalne postulaty – obalenia reżimu i odebrania władzy beneficjentom „*transformacji ustrojowej*” – nie zostanie postawiony.

Muszę jednak przyznać, że wydarzenia ostatnich dni mogą mieć moc „*przełomu kopernikańskiego*” i przynieść zapowiedź przerwania kręgu niemożności i mitologizacji życia publicznego. Nawet wbrew intencjom partii opozycyjnej i naukom „naszych” intelektualistów. Jest to szansa całkowicie nieokreślona, wymykająca się jeszcze precyzyjnej diagnozie.

Wydarzenia te ukazały bowiem prawdziwą twarz reżimu, obnażyły oblicze państwa bezprawia i represji, ujawniły zachowania skrywane dotąd za maską propagandy. Przyniosły autentyczną wiedzę o państwie zwanym III RP i – choćby na chwilę - otworzyły oczy tym, którzy trwali dotąd w fatalnym błędzie poznawczym. Ludzie, którzy dostrzegli ów akt dekonspiracji staną wkrótce wobec poważnego dylematu: mają nadal wierzyć w miraż *demokracji* i podtrzymywać mitologię kłamstwa założycielskiego, czy próbować pokonać stan schizofrenii politycznej i odważyć się na samodzielne myślenie?

Jestem przekonany, że takich osób będzie odtąd przybywać, bo staczający się ku przepaści reżim, będzie coraz śmielej sięgał po narzędzia dyktatury i obnażał swoją zamordystyczną naturę. W czekającej nas perspektywie *dlugiego marszu*, ludzie wyleczeni z iluzji i uwolnieni od imperatywów systemowej opozycji, mogą stać się siłą, która zmiecie hybrydę komunizmu.

864. DYKTATURA

Jeśli lokator Belwederu tak szybko przyswoił literackie określenie i systematycznie piętnuje Polaków za „odmęty szaleństwa”, mamy do czynienia z sytuacją poważną i niebezpieczną. W swojej politycznej karierze Bronisław Komorowski tylko raz sięgnął po zarzut „szaleństwa”, co pozwala przypuszczać, że waga obu spraw musi być podobna.

19 lutego 2007 roku, w wywiadzie dla radia TokFM ówczesny wicemarszałek Sejmu nazwał sporządzenie Raportu z Weryfikacji WSI oraz proces likwidacji tej służby „szaleństwem politycznym”. W tym samym dniu, jego partyjny kamrat D. Tusk powtórzył w wywiadzie dla PR: „*autorzy raportu o WSI mają szaleństwo w oczach*”.

Nietrudno zauważyć, że już po dwóch dniach od opublikowania Raportu, politycy Platformy biegle przyswoili wspólny „gryps” i umiejętnie powtarzali wyuczone formułki.

Ponieważ lokator Belwederu nie należy do mocarzy intelektu i toczy, zwykle przegrane, potyczki ze słowem (może dlatego z sieci znikają wywiady radiowe BK z lat 2005-2008), domyślą się, że szereg bardziej złożonych pojęć i określeń używanych w wystąpieniach tego pana, jest efektem wyłożonej pracy sztabu doradców i kancelistów.

Tak nerwowa, a zarazem arogancka reakcja Komorowskiego na zarzut fałszowania wyborów, nie jest z pewnością dziełem przypadku i nie podzielam opinii, w których mówi się o efekcie „strachu i paniki” w obozie władzy. Od 2010 roku nie było powodu, by reżim musiał okazywać takie emocje.

Jeśli polityczny patron WSI sięga po epitet „*odmętów szaleństwa*”, nazywa zarzuty o fałszowaniu wyborów „*podkładaniem ładunku wybuchowego*”, a narrację tę natychmiast powiela jego doradca – wskazuje to raczej na rozmyślne budowanie atmosfery zastraszenia i kreowanie przekazu, który posłuży do rozstrzygnięcia konfrontacyjnych.

Przyjmując, że nie mamy do czynienia z irracjonalnym słowotokiem, lecz reakcją w pełni kontrolowaną, trzeba wziąć pod uwagę, że konsekwencją zarzutu „*szaleństwa politycznego*” z roku 2007, była m.in. zapowiedź „rozliczenia” za likwidację WSI. Padła ona z ust Komorowskiego w kwietniu 2007 roku, gdy w rozmowie z J. Osieckim polityk PO wyznał: „*Po zmianie władzy rozliczymy za raport o WSI*”.

Zapowiedź została zrealizowana, o czym świadczyły czystki w służbach specjalnych, nagonka na członków Komisji Weryfikacyjnej, reaktywacja wpływów środowiska WSI, procesy i oskarżenia wobec Antoniego Macierewicza, a wreszcie – afera marszałkowska i jej tragiczne następstwa.

Dzisiejsze słowa Komorowskiego trzeba odczytywać w kontekście umacniania reżimu prezydenckiego – nie tylko poprzez kreowanie rozlicznych kombinacji operacyjnych, czy tworzenie tzw. rządu E. Kopacz, ale narzucanie rozwiązań legislacyjnych w obszarze bezpieczeństwa oraz oddziaływanie na ośrodki propagandy. To, co płynie z Kancelarii Prezydenta staje się obowiązującym „prawem” i głównym przekazem reżimu i przez najbliższe lata będzie decydowało o konkretnych posunięciach władzy.

Warto zauważyć, że swoimi wystąpieniami lokator Belwederu nie tylko potwierdza zamiśl dyktatury prezydenckiej, ale odsłania jej rolę w zdarzeniach związanych z przebiegiem wyborów samorządowych. To nie przypadek, że kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi, właśnie z Belwederu dochodzi najgłośniejszy zgiełk i niewybredne połajania. Zastraszenie Polaków i zmuszenie do milczenia w sprawie fałszerstw wyborczych leży w interesie tych, którzy z mamideł „demokracji III RP” uczynili fundament swoich rządów i chcą je kontynuować przez kolejne lata.

Dzisiejsza „odwaga” Komorowskiego w piętnowaniu Polaków, ma oczywiście swoje uzasadnienie, bo polityk PO doskonale wie, że nie spotka się z mocną reakcją środowisk opozycyjnych, a tym bardziej, nie będzie atakowany przez „wolne” media.

Choć środowiska te mogłyby przeprowadzić skuteczną kampanię i przez najbliższe miesiące pokazać Polakom prawdziwy obraz lokatora Belwederu (a tym samym zablokować mu drogę do drugiej kadencji), spodziewam się raczej trwożliwego milczenia lub krytyki na poziomie „merytoryczności” kandydata Dudy. Nie warto wierzyć, byśmy poznali kulisy procesu w sprawie afery marszałkowej lub dowiedzieli się o przyczynach odmowy przekazania prokuraturze aneksu do Raportu z Weryfikacji WSI. Nie ma też polityków ani publicystów, którzy powiedzieliby Polakom, że tylko pozbawienie Komorowskiego prezydentury daje cię szansy na zwycięstwo wyborcze i autentyczną demokrację. Nie słaby i bezwolny „rząd” E. Kopacz jest przeszkodą na tej drodze, lecz lokator Belwederu i ludzie wokół niego skupieni.

W ramach działalności opozycji, mamy tu do czynienia z kolejnym paradoksem. Bo choć hasło - „Komorowski musi odejść”, powinni dziś głosić wszyscy piewcy i naprawiacze „demokracji III RP” – próżno oczekiwać takiego postulatu. Stwarza to sytuację nie tylko mętną i politycznie dwuznaczną, ale ujawnia zakres owej opozycyjności i pokazuje, z jak niebezpiecznym zjawiskiem mamy do czynienia.

Brak takiego postulatu może sugerować, że skrojona na miarę III RP opozycja i wtórujące jej „wolne” media, nie muszą obawiać się zarzutu „szaleństwa” i „podkładania bomby”. Antydemokratyczna dyrektywa Belwederu wytycza dość wyraźną granicę: tego, co dozwolone do czasu wyborów prezydenckich i tego, co zakazane przez kolejne pięć lat.

865. PUŁAPKA DEMOKRACJI

Gdy ucichnie szum wywołany fałszerstwem wyborczym, a „nasze” i obce media podążą za kolejnymi tematami, gdy upadną projekty opozycji składane w ramach *demokracji parlamentarnej* i chór *niezależnych* publicystów wyrazi swój sprzeciw wobec *aktów niszczenia demokracji*, zostaniemy z pytaniem – co dalej? Pytaniem tak trudnym, a zarazem niebezpiecznym, że nikt nie ma odwagi udzielić nań odpowiedzi, lub zastępuje ją demagogicznym bełkotem.

Czytając ten tekst, będą Państwo w sytuacji lepszej niż autor, który pisząc artykuł nie zna jeszcze wyników tzw. II tury wyborów. Mam jednak prawo sądzić, że nikła frekwencja i kontrolowany przebieg „*święta demokracji*” sprawią, iż wyniki te nie wniosą nic nowego do obrazu polskiej rzeczywistości i nie wywołają nadmiernego zaskoczenia.

Podobnie, jak zaskakujące nie mogą być wydarzenia z pierwszej tury wyborów, gdy reżim, z godną podziwu precyzją przetestował reakcje społeczne i dokonał bezcennych obserwacji o zachowaniu Polaków i sprawności partii opozycyjnej. Nie mogły one zszokować tych, którzy wyciągnęli wnioski z dynamiki tzw. incydentów wyborczych (regularnie rozgrywanych od 2010 roku) i rosnącego poczucia bezkarności reżimowych graczy. Nie były niespodzianką dla tych, którzy śledzili aktywność legislacyjną środowiska belwederskiego i chcieli dostrzec konsekwencje gier przetargowych PKW.

Suma tych obserwacji musiała prowadzić do konkluzji, że skandale związane z przebiegiem wyborów samorządowych nie były efektem *wadliwego funkcjonowania organów państwa* lub *niewydolności systemu wyborczego*, lecz całkowicie rozmyślną, normatywną praktyką, uwidaczniającą intencję kontynuowania fałszerstwa założycielskiego III RP. W trakcie tych wydarzeń

nie mieliśmy do czynienia z „*błędem ludzkim*”, „*kryzysem państwa*” bądź *nadzwyczajnym zaburzeniem w ramach demokracji*, lecz z prawidłowością wynikającą z fundamentów dzisiejszej państwowości.

Antoni Macierewicz w referacie wygłoszonym w grudniu 2009 roku, podczas sejmowej konferencji zorganizowanej przez Annę Walentynowicz, niezwykle trafnie zdefiniował przyczyny, dla których fałszerstwo wyborcze stanowi naturalne narzędzie sprawowania władzy przez obecną ekipę:

„*Dla ludzi Platformy Obywatelskiej wywodzących się z ugrupowania powstałego przy okrągłym stole i z niego czerpiących swoje siły fikcja demokracji u źródeł III RP jest przesłanką usprawiedliwiająca ograniczenie, a nawet likwidację demokracji obecnie. Platforma wychodzi bowiem z założenia, że społeczeństwo, które nie potrafiło wywalczyć demokracji i niepodległości, a następnie pogodziło się z ich fikcją da sobie odebrać istniejące wciąż namiastki demokratycznych instytucji*”.

Mitologia założycielska III RP, na którą m.in. składa się fikcja „*pierwszych wolnych wyborów*” oraz miraż „*państwa prawa i demokracji*” leży u podstaw wydarzeń rozgrywanych podczas farsy wyborów samorządowych. Nie były one dziełem przypadku, lub systemowej aberracji, bo w państwie powołanym na mocy paktu magdalenkowego nigdy nie istniały fundamenty autentycznej demokracji i niepodległości. Ich erzac podawano Polakom przez ostatnie ćwierćwiecze – tak długo, jak długo można konserwować truchło komunizmu i traktować naród z największą pogardą.

Próba zmierzenia się z pytaniem: „*co dalej?*” musi zatem prowadzić do wniosku, że nie wolno dłużej podtrzymywać fikcji *wolnych wyborów* ani kultywować *mitologii demokracji*. Nie leży to w interesie oszukanych i zniewolonych. To nie demokracja w III RP jest chora, ale państwo, które z tej wartości uczyniło oręż przeciwko obywatelom. Nie demokrację trzeba „*naprawić*”, ale obalić system powstały przy Okrągłym Stole. W terapii, która ignoruje źródło choroby i koncentruje na zwalczaniu jej objawów, nie może być mowy o zwycięstwie.

Po tym, co zobaczyliśmy podczas *wyborów samorządowych*, nie ma sensu dłużej ubolewać nad stanem III RP lub rozdzierać szat nad „*pogwałceniem zasad demokracji*”. Rozstanie ze zgubną mitologią to punkt wyjścia każdej racjonalnej analizy.

Gdy Jarosław Kaczyński mówi „*wybory zostały sfałszowane*”, mam prawo oczekiwać, że po tych słowach nastąpi istotna zmiana w narracji partii opozycyjnej i usłyszymy stwierdzenie, iż nie da się obalić reżimu na drodze wyborów powszechnych. Bo co jeszcze musimy wiedzieć o funkcjonowaniu tego państwa i jakich doświadczyć upokorzeń, aby odrzucić taką konkluzję?

Nie ma powodów wierzyć, że przyszłoroczne wybory prezydenckie i parlamentarne nie zostaną sfałszowane. Przeciwnie – logika dotychczasowych praktyk wskazuje, że mamy do czynienia ze stałą tendencją i zapowiedzią kolejnych, coraz bardziej zuchwałych fałszerstw. Nie powstrzymają ich sądowe protesty ani działania „*w ramach demokracji parlamentarnej*”.

Na ludziach tego reżimu ciąży ogrom odpowiedzialności za zbrodnię smoleńską i za setki najpoważniejszych afer. Nie da się pogodzić tej wiedzy z wiarą w moc karty wyborczej i perspektywą dobrowolnej rezygnacji z władzy.

Tym bardziej, że reżim nigdy nie ukrywał swoich intencji i wciąż udowadnia, że gotów jest bronić „*zdobyczy III RP*” za cenę represji i ograniczenia wolności obywatelskich. Centrum decyzyjne ulokowane w Pałacu Prezydenckim od dawna przygotowuje się na takie rozstrzygnięcia. Jeśli jedną z pierwszych inicjatyw legislacyjnych lokatora Belwederu była nowelizacja ustawy o stanie wojennym, a kolejne akty prawne (m.in. rozporządzenie RM w sprawie zasad użycia oddziałów i pododdziałów wojska w czasie stanu wyjątkowego) rozszerzają uprawnienia prezydenckie – zasadne jest domniemanie, że narzędzia te mogą być użyte w przypadku zagrożenia interesów reżimu.

Taka sytuacja może mieć miejsce po sfałszowanych wyborach 2015 roku, gdy protesty społeczne zostaną odebrane jako „*rokosz*” i „*zamach na demokrację*” i spacyfikowane przy użyciu rozwiązań siłowych. Można uniknąć takiego scenariusza tylko wówczas, jeśli Polacy poznają oblicze reżimu i odrzuca mrzonki o „*potędze karty wyborczej*”.

Prawdziwy potencjał opozycji to cztery miliony wyborców i odwołanie do demokracji bezpośredniej. To prawo do organizowania manifestacji i ulicznych protestów oraz wezwanie do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Jest to prawo do odrzucenia fałsu III RP – z jej ośrodkami propagandy, establishmentem i samozwańczymi elitami.

Rezygnacja z takiego potencjału i podtrzymywanie *mitologii demokracji* oznacza działanie wbrew narodowym interesom, stanowi formę uwiarygodnienia bezprawia, wiedzie do legalizacji oszustw i współuczestnictwa w zniewoleniu Polaków. Każdy dzień uprawiania tej fikcji oddala nas od perspektywy zwycięstwa. Od nas zależy, czy opinia ludzi Platformy o społeczeństwie, *które nie potrafił wywalczyć demokracji i niepodległości* i godzi się z ich namiastką, będzie prawdziwa.

Niezależnie od tego, jakie intencje przyświecają dziś opozycyjnym „*obrońcom demokracji*” i jak „*wolne*” są środowiska powielające taką narrację – wiodą nas w pułapkę, z której wkrótce nie będzie wyjścia.

866. DLACZEGO W III RP NIE MA MIEJSCA DLA ANTYSYSTEMOWEJ OPOZYCJI

„*Z istotą państwa dyktatury proletariatu nie da się pogodzić konkurencyjna walka partii politycznych, a więc istnienie politycznej partii opozycyjnej, działającej w ramach wolnej gry sił. W państwie budującym socjalizm nie ma miejsca dla takiej partii, gdyż byłaby ona reprezentacją sił wstecznych, hamujących nasz rozwój*” – stwierdzono w partyjnej broszurze „*Wspólny program, wspólna lista. Materiały pomocnicze dla aktywu propagandowego*” z lutego 1972 roku.

Ten utrwalony w doktrynie komunistycznej pogląd, został szybko zaadoptowany w realia „*państwa socjalistycznego nowego typu*” – jak w dokumencie z 1989 roku Służba Bezpieczeństwa nazwała twór wytłaniający się z porozumień okrągłego stołu. Wybory kontraktowe z czerwca 1989 roku ustaliły zatem taki układ sił, który musiał odpowiadać potrzebom „*socjalistycznej demokracji parlamentarnej*”. Nie było w niej miejsca na działalność opozycji antysystemowej – czyli takiej, która dążyłaby do obalenia magdalenkowego bytu.

Wybory te były przy tym największym zwycięstwem koncepcji legalizacji komunizmu, bo w odróżnieniu od spektaklu z 1947 roku stworzyły mit założycielski oparty na „*porozumieniu*” koncesjonowanej opozycji z przedstawicielami reżimu. Warto pamiętać, że dwa lata po zakończeniu wojny, agentom komunistycznym nie powiódł się podobny kontrakt wyborczy. Wbrew ich rachubom, Stanisław Mikołajczyk odrzucił propozycję stworzenia „*wspólnego bloku wyborczego*”, w którym PSL miałoby „*przydzielone*” 20 procent mandatów, podobnie jak PPR i współpracujące z komunistami SL i PPS.

Wybory kontraktowe, były dla wysłanników Stalina najprostszym rozwiązaniem i mogły dawać najmocniejszy argument na rzecz legalizacji okupacji sowieckiej. Sprzeciw PSL-u zmusił komunistów do sięgnięcia po rozwiązania sowieckie i zorganizowania ponurego spektaklu, zwanego wyborami powszechnymi. W świadomości Polaków zapisały się one jako akt historycznego fałszerstwa i na kolejne dziesięciolecie zdecydowały o tym, że jedynym źródłem władzy rządów komunistycznych była wola Józefa Stalina i jego decyzje podjęte w latach 40. i 50.

Rok 1989 przyniósł zatem całkowicie *nową jakość* w procesie konwalidacji komunizmu. Porozumienie samozwańców „przywódców opozycji” z grupą esbeków i partyjnych dygnitarzy, stworzyło fundament, o jakim 50 lat wcześniej wysłannicy Stalina mogli tylko pomarzyć. Dokonana w dniu 31 grudnia 1989 roku przez kontraktowy Sejm PRL zmiana nazwy państwa i jego godła, miała wymiar wyłączenie symboliczny. III RP nigdy bowiem nie zerwała formalnoprawnej łączności z okresem komunizmu i przez ostatnie ćwierćwiecze usilnie podtrzymuje doktrynalną spuściznę „państwa socjalistycznego nowego typu”. I choć w roku 1991 odbyły się pierwsze, bez kontraktowe wybory, to narzucony dwa lata wcześniej schemat polityczny, w którym wykluczono działalność „sił wstecznych, hamujących rozwój”, stał się obowiązującą regułą. Na jej straży stoi cały establishment III RP, ośrodki propagandy oraz partie polityczne, dopuszczone na mocy magdalenkowego szalbierstwa do praktykowania szczególnej formy „socjalistycznej demokracji”.

Dlatego powszechnie dziś stosowany argument, jakoby wybory powszechne stanowiły „święto” wolnego państwa lub miały świadczyć o demokratycznym charakterze III RP – jest oczywistym nonsensem. Jeśli na początku obecnej państwowości stworzono reguły wykluczające istnienie antysystemowej opozycji – każde kolejne wybory stanowiły taką samą farsę, jaką władze komunistyczne odgrywały w okresie PRL-u. Wystarczy bowiem zbudować stabilny i kontrolowany mechanizm, oprócz go na działaniach reżimowych instytucji (PKW, sądy), otoczyć osłoną wszechobecnej propagandy i ukazać Polakom, jako jedyną metodę kształtowania rzeczywistości –by pozwolić sobie na organizowanie dowolnych plebiscytów i wyborów.

Póki o ich przebiegu decydują ludzie z komunistycznym rodowodem oraz przedstawiciele koncesjonowanej opozycji, póki ludzie ci wywodzą swoje prawa z mitologii założycielskiej III RP – żaden z aktów wyborczych nie może być uznany za wolny i demokratyczny.

Podobnie bowiem, jak skaza pierworodna PRL-u nie została zmasakrowana przez półwiecze prób legalizacji sowieckiej okupacji, tak defekt systemowy III RP nie może zniknąć na skutek upływu czasu, wrzasku propagandystów czy masowego uprawiania fikcji wyborczej. Zapewnienia reżimowych graczy, wsparte oracjami polityków opozycji i głosami niedouczonego żurnalistów, nie zmieniają faktu, że twór powstały w Magdalence nie ma demokratycznego rodowodu i swoje pochodzenie wywodzi wprost z sukcesji komunistycznej. To państwo nie zdobyło się na odwagę zerwania z dziedzictwem PRL-u, nawet w postaci ustawy o restytucji państwa polskiego i formalnego przywrócenia mocy ostatniej Konstytucji II Rzeczypospolitej z 1935 roku.

Utrzymywanie zaś zakazu „działań antysystemowych” (wyrażanego dziś w rozmaitej formie przez przedstawicieli reżimu) oraz praktyka wyborów opartych na „kontrakcie” z roku 1989, aż nadto dowodzi, że III RP nigdy nie była i nie może być państwem wolnym i demokratycznym.

Istotny rys podobieństwa owej „demokracji socjalistycznej nowego typu” do tworu zwanego PRL, znajdziemy w obszarze technologii fałszerstw wyborczych. W roku 2007 w periodyku IPN „Pamięć i Sprawiedliwość” ukazało się interesujące opracowanie Krzysztofa Kolasy zatytułowane - „*Mechanizmy fałszerstw wyborczych w latach osiemdziesiątych XX wieku na terenie województwa łódzkiego w świetle solidarnościowej prasy bezdebitowej*”.

Autor podkreślał, że w celu uzyskania legalizacji reżim PRL „*musiał raz na kilka lat decydować się na sprawdzian wyborczy. Począwszy od referendum z 1946 r. i wyborów do Sejmu z 1947 r., aż do wyborów do rad narodowych z 1988 r., wszystkie zorganizowane plebiscyty zostały sfalszowane.*”

Mechanizm fałszerstw nie był nadto skomplikowany, choć z każdym rokiem doskonalony i stosowany z większym rozmachem. „*Zabezpieczanie wyborów*” stosowano już od szczebla centralnego, kompletując odpowiedni (formalnie pozapartyjny) skład PKW oraz dbając o obsadę komisji terenowych. W tym zakresie, obecny reżim w niczym nie ustępuje protoplastom, bo obsadzenie organów wyborczych sędziami z komunistycznym rodowodem doskonale potwierdza stałość peerelowskiej praktyki.

Cały aparat propagandowy oraz przedstawiciele komunistycznych „elit” (w tym tzw. artyści, pisarze i publicyści) był zaprzęgnięty do namawiania Polaków do uczestnictwa w „wyborach”. Celebrowany przez komunistów wskaźnik frekwencji sprawiał, że „*starano się również zastraszyć uprawnionych do głosowania, aby zmusić ich do przyścia na wybory. Działania takie były podejmowane zarówno przed wyborami, jak i w ich trakcie, głównie za pośrednictwem aktywu partyjnego*”.

W III RP ten aspekt „*zabezpieczenia wyborów*” jest regulowany w zależności od bieżących potrzeb i planowanej formy fałszerstw. Raz zatem zachęca się wyborców i prowadzi nachalne, zmasowane kampanie propagandowe (rok 2007), innym razem celowo bojkotuje lub zniechęca do uczestnictwa (referendum warszawskie 2013 r.)

W pozostałym zakresie, praktyki „incydentów wyborczych” z lat 80. opisane w opracowaniu Krzysztofa Kolasy, w niczym nie ustępują przypadkom odnotowanym w latach 2007-2014.

Autor przywołuje relacje niezależnej prasy, w których informowano o otwartych workach z kartami wyborczymi, urnach bez plomb i takich, w których znajdowano więcej kart niż wydała komisja, przedstawia obserwacje o dowożeniu „wyborców” do lokali, niewyjaśnionych „zaginięciach” protokołów i pojawiających się nagle nowych zestawieniach, wspomina o przerabianiu znaków na kartach wyborczych i dopisywaniu nowych.

Katalog „incydentów” z lat 80. jest zawężony do działań na poziomie lokali wyborczych i z oczywistych względów nie obejmuje fałszerstw na poziomie systemu informatycznego. Ponieważ w III RP skonstruowano „elektroniczną obsługę wyborów”, a powierzając ją wyselekcjonowanym firmom, wyjęto całkowicie spod kontroli społecznej, ten obszar jest idealnym miejscem do sprawdzenia nowatorskich metod kreowania „socjalistycznej demokracji parlamentarnej”.

Warto przy tym odnotować, że stosowanie owych metod na skalę tak masową, jak miało to miejsce podczas tegorocznych wyborów samorządowych, świadczy o postępującym rozkładzie reżimu i kolejny raz potwierdza, że hybrydy komunizmu są zawsze słabsze od pierwowzoru. Od czasu rządów PO-PSL mamy do czynienia nie tylko z rosnącą dynamiką tzw. incydentów wyborczych (jak nazywa się oszustwa rozgrzeszane przez sądy III RP), ale z praktyką, której reżim nie musiał stosować przed rokiem 2010. Konieczność utrzymania władzy po zamachu smoleńskim wymusza bowiem zmianę dotychczasowej doktryny „kontraktowej”. Do roku 2010 obowiązywała ona w formie przytoczonej na początku tego tekstu i dotyczyła zwalczania każdej, antysystemowej opozycji. Obecnie, zagrożeniem staje się nawet partia działająca w ramach systemu i uprawiająca wspólną mitologię demokracji.

To sprawia, że rezultaty „*modyfikacji wyborczych*” muszą być kształtowane w taki sposób, by z jednej strony - uniemożliwić przejęcie władzy przez (dotąd legalną) opozycję parlamentarną, z drugiej zaś - wykreować alternatywne koligacje polityczne, zdolne zastąpić dotychczasowy, skompromitowany układ.

Źródła:

Maciej Korcuć – „*Wybory 1947 – Mit założycielski komunizmu*” w Biuletynie IPN 1-2/2007,

867. STAN GOTOWOŚCI

Z prezydenckiego projektu ustawy z dnia 30 sierpnia 2011 r. o zmianie ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych i zasadach jego podległości konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej oraz niektórych innych ustaw - przyjętego przez Sejm 27 września 2011r:

W ustawie z dnia 21 czerwca 2002 r. o stanie wyjątkowym (Dz. U. Nr 113, poz. 985, i Nr 153, poz. 1271, z 2003 r. Nr 228, poz. 2261 oraz z 2006 r. Nr 104, poz. 711) w art. 2:

1) ust. 1 otrzymuje brzmienie:

1. W sytuacji szczególnego zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego, w tym spowodowanego działaniami o charakterze terrorystycznym lub działaniami w cyberprzestrzeni, które nie może być usunięte poprzez użycie zwykłych środków konstytucyjnych, Rada Ministrów może podjąć uchwałę o skierowaniu do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej wniosku o wprowadzenie stanu wyjątkowego.

Z obwieszczenia Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 31 lipca 2014 r. w sprawie ogłoszenia jednolitego tekstu ustawy o stanie wyjątkowym:

Art. 3. 1. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej niezwłocznie rozpatruje wniosek, o którym mowa w art. 2 ust. 1, a następnie wydaje rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego na czas oznaczony nie dłuższy niż 90 dni lub postanawia odmówić wydania takiego rozporządzenia. Rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej przedstawia Sejmowi w ciągu 48 godzin od jego podpisania.

Art. 10.

Prezes Rady Ministrów jest obowiązany do informowania na bieżąco Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o skutkach wprowadzenia stanu wyjątkowego oraz o rodzaju i rezultatach działań podejmowanych w celu przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa.

Art. 10a.

1. Jeżeli użycie lub wykorzystanie środków przymusu bezpośredniego przez pododdział zwarty Policji okazało się niewystarczające do osiągnięcia celów tego użycia lub wykorzystania lub nie jest możliwe ze względu na okoliczności zdarzenia, pododdział zwarty Policji może użyć lub wykorzystać broń palną.

2. Polecenie użycia lub wykorzystania broni palnej przez pododdział zwarty Policji wydaje komendant wojewódzki (Stołeczny) Policji lub Komendant Główny Policji, a w przypadku gdy wszelka zwłoka groziłaby bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia lub zdrowia funkcjonariusza wchodzącego w skład tego pododdziału lub innej osoby – dowódca pododdziału zwartego.

Art. 11. 1. W czasie stanu wyjątkowego Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, na wniosek Prezesa Rady Ministrów, może postanowić o użyciu oddziałów i pododdziałów Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej do przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa, jeżeli dotychczas zastosowane siły i środki zostały wyczerpane.

3c.6) Oddziały i pododdziały Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej mogą użyć broni palnej lub ją wykorzystać.

3d.6) Zgody na użycie lub wykorzystanie broni palnej przez oddział lub pododdział Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej udziela przełożony służbowy, a w przypadku gdy wszelka zwłoka groziłaby bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia lub zdrowia żołnierza wchodzącego w skład tego oddziału lub pododdziału lub innej osoby – dowódca pododdziału zwartego.

Art. 16. 1. W czasie stanu wyjątkowego mogą być zawieszony prawa do:

- 1) organizowania i przeprowadzania wszelkiego rodzaju zgromadzeń;
- 2) organizowania i przeprowadzania imprez masowych oraz prowadzonych w ramach działalności kulturalnej imprez artystycznych i rozrywkowych, niebędących imprezami masowymi;
- 3) strajków pracowniczych i innych form protestu w odniesieniu do określonych kategorii pracowników lub w określonych dziedzinach;
- 4) strajków i innych niż strajki form akcji protestacyjnych rolników;
- 5) akcji protestacyjnych studentów organizowanych przez studenckie samorządy, stowarzyszenia lub organizacje;

Art. 17. 1. W czasie stanu wyjątkowego może być odosobniona osoba mająca ukończone 18 lat, w stosunku do której zachodzi uzasadnione podejrzenie, że pozostając na wolności będzie prowadziła działalność zagrażającą konstytucyjnemu ustrojowi państwa, bezpieczeństwu obywateli lub porządkowi publicznemu albo gdy odosobnienie jest niezbędne dla zapobieżenia popełnienia czynu karalnego lub uniemożliwienia ucieczki po jego popełnieniu. Nie narusza to immunitetów wynikających z odrębnych przepisów.

2. Odosobniona może być również osoba, która ukończyła 17 lat, jeżeli przeprowadzona uprzednio z nią rozmowa ostrzegawcza okazała się nieskuteczna.

3. Odosobnienie następuje na podstawie decyzji wojewody właściwego ze względu na miejsce pobytu stałego lub czasowego osoby odosobnionej i jest wykonywane przez właściwego komendanta wojewódzkiego Policji, w drodze zatrzymania tej osoby i przymusowego doprowadzenia do ośrodka odosobnienia podległego Ministrowi Sprawiedliwości.

Art. 20. 1. W czasie stanu wyjątkowego może być wprowadzona:

- 1) cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu obejmująca materiały prasowe w rozumieniu ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. — Prawo prasowe (Dz. U. Nr 5, poz. 24, z późn. zm. 13)), z zastrzeżeniem ust. 7;
- 2) kontrola zawartości przesyłek, listów, paczek i przekazów przekazywanych w ramach usług pocztowych o charakterze powszechnym lub usług kurierskich;
- 3) kontrola treści korespondencji telekomunikacyjnej i rozmów telefonicznych lub sygnałów przesyłanych w sieciach telekomunikacyjnych;
- 4) emisja sygnałów uniemożliwiających nadawanie lub odbiór przekazów radiowych telewizyjnych lub dokonywanych przez urządzenia i sieci telekomunikacyjne, których treść może zwiększyć zagrożenie konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego.

Z rozporządzenia rady Ministrów z dnia 20 grudnia 2013 r. w sprawie szczegółowych zasad użycia oddziałów i pododdziałów Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w czasie stanu wyjątkowego:

§ 1. Rozporządzenie określa szczegółowe zasady użycia oddziałów i pododdziałów Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w czasie stanu wyjątkowego do przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa, jeżeli zastosowane siły i środki zostały wyczerpane.

§ 2. 1. Minister Obrony Narodowej, w celu wykonania postanowienia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, o którym mowa w art. 11 ust. 1 ustawy z dnia 21 czerwca 2002 r. o stanie wyjątkowym, niezwłocznie kieruje oddziały i pododdziały Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej do realizacji zadań w czasie stanu wyjątkowego.

§ 4. 1. Oddziały i pododdziały Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej użyte do wykonywania zadań w czasie stanu wyjątkowego pozostają w strukturze organizacyjnej i w systemie dowodzenia Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

2. Działania oddziałów i pododdziałów Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej mogą być prowadzone samodzielnie albo wspólnie z innymi formacjami uzbrojonymi niewchodzącymi w skład Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej lub służbami bezpieczeństwa i ochrony porządku publicznego.

§ 5. Dowódca oddziału lub pododdziału Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej decyduje o szczegółowym sposobie wykonania zadań określonych przez Ministra Obrony Narodowej w uzgodnieniu z organami, o których mowa w § 2 ust. 3 pkt 4, oraz ze współdziałającymi z nim dowódcami formacji uzbrojonych niewchodzącymi w skład Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej lub służb bezpieczeństwa i ochrony porządku publicznego.

Z prezydenckiego projektu ustawy o zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej oraz niektórych innych ustaw, „której celem jest usprawnienie kierowania obroną państwa w czasie wojny”, zgłoszonego do Sejmu 10 lipca 2014 r.:

W razie zbrojnej napaści na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej [Prezydent] postanawia na wniosek Rady Ministrów, o dniu, w którym rozpoczyna się czas wojny na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. W tym samym trybie postanawia o dniu, w którym czas wojny kończy się;

[Prezydent] kieruje obroną państwa we współdziałaniu z Radą Ministrów, z chwilą mianowania Naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych i przejęcia przez niego dowodzenia;

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej kieruje obroną państwa w zakresie dotyczącym użycia Sił Zbrojnych przy pomocy Szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

868. DLACZEGO MILCZELIŚCIE ?

Jak to możliwe, że całe środowisko intelektualne, politycy i media kojarzone z opozycją, tak zgodnie przemilczały decyzję hierarchów o wycofaniu z Komitetu Honorowego wczorajszego marszu? W mediach, przyznających sobie miano wolnych i niezależnych próżno szukać komentarzy lub próby wyjaśnienia tej niezwyklej sytuacji. Milczenie jest tym bardziej niepojęte, że w wywiadzie Jarosława Kaczyńskiego dla niezależna.pl pojawiła się mocna i niepokojąca sugestia – „PO chce Kościół zastraszyć, pokazać, że ma stać po stronie władzy. Bo przy tej dynamice politycznej nie jest to trudne. Wystarczy by Kościół nie krytykował władzy, a już część społeczeństwa może odnieść wrażenie, że ją wspiera.”

Jeśli przywódca partii opozycyjnej mówi wprost o próbie zastraszenia Kościoła i zmuszenia hierarchów do „stania po stronie władzy”, dlaczego ten arcyważny temat nie staje się przedmiotem głębokiej refleksji wszystkich, którzy chcą bronić „wolności i demokracji III RP” ?

Zdaję sobie sprawę, że pytania dotyczące postaw polskich hierarchów pozostaną bez odpowiedzi. W środowisku związanym z opozycją nie ma woli zmierzenia się z tym problemem ani odwagi postawienia rzetelnej diagnozy. Jedyne, na co można liczyć poruszając dziś taki temat, to oskarżenie o „walkę z Kościołem” i zarzut „szkodzenia opozycji”.

Przed dwoma laty, gdy doświadczyliśmy „pojednania” z cerkwią Putina, mogłem jeszcze napisać: *Nie ma dziś sprawy ważniejszej dla Polaków, jak głośne wykrzyczenie sprzeciwu wobec tego fałszywego aktu. Nie da się bowiem walczyć o prawdę bez wsparcia przywódców polskiego Kościoła i nie da się zachować polskości bez jej najważniejszego gwaranta. „Pojednanie” podpisane przez Kościół z wysłannikiem Putina - skazuje nas na przerażającą samotność. Tak wielką, jak zagrożenie, przed którym stoimy.*

Dziś to słowa nieaktualne, bo wyrok samotności już zapadł i zagrożenie zmienia się w stan rzeczywistości.

Jeśli w niedalekiej przyszłości pojawi się pytanie – kto ponosi winę za polską „drogę do Cerkwi”, za stworzenie „kościółka belwederskiego” i pogardliwe pomieszanie dobra ze złem, trzeba pamiętać o tych, którzy z tchórzliwego milczenia uczynili cnotę rozważli, a własny koniunkturalizm nazwali troską o Kościół.

Przyjdzie czas, gdy moi rodacy zapytają przedstawicieli patriotycznej opozycji i luminarzy wolnych mediów:

- dlaczego milczeliście, gdy hierarchowie polskiego Kościoła nie reagowali na rozpętanie kampanii nienawiści wobec Lecha Kaczyńskiego, gdy przyzwalali na ordynarne ataki i kłamstwa reżimowych gadzinówek;

- dlaczego milczeliście, gdy tuż po dojściu do władzy PO-PSL rozpoczęło się błyskawiczne „zbliżenie” hierarchów Kościoła z putinowską Cerkwią i nawiązanie kontaktów inspirowanych przez członków tzw. Grupy ds. Trudnych i dyplomatów z moskiewskiej ambasady;

- dlaczego milczeliście, gdy za zgodą polskich hierarchów na miejscu kaźni naszych oficerów w Katyniu stanął „Zespół Memorialny” i Cerkiew Zmartwychwstania Chrystusa, zbudowane za pieniądze koncernu Rosneft, zarządzanego wówczas przez oficera KGB - Sieczina ;

- dlaczego milczeliście, gdy ludzie mieniący się pasterzami nie odważyli się żądać wyjaśnienia przyczyn zamachu smoleńskiego, nie zabiegali o szacunek dla ofiar i obronę pamięci tych, którzy zginęli za Polskę;

- dlaczego milczeliście, gdy chwilę po narodowej tragedii ci sami hierarchowie nawoływali do „pojednania” i podążając za retoryką Turowskiego „z krwi naszych rodaków” chcieli budować fundamenty „nowych relacji z Rosją”;

- dlaczego milczeliście, gdy prymas Muszyński znosił granice między katem i ofiarą i wołał, że „niewinnie przelana krew ofiar tego samego, nieludzkiego systemu, która wsiąkała w tę samą ziemię i dzieliła nas przez pokolenia, nie musi koniecznie dzielić, a może także łączyć”, gdy abp. Życiński życzył – „Krew naszych rodaków, która wsiąkała w ziemię rosyjską, na tym terenie, gdzie przedtem wsiąkała krew bohaterów rozstrzelanych za miłość do ojczyzny – niech z tej gleby wyrosną dojrzałe kłosa

rodzące chleb pojednania”, gdy kard. Dziwisz kłamał – „ukrywanie prawdy o niewinnie przelanej krwi nie pozwalało zabić się bolesnym ranom. Tragedia sprzed ośmiu dni wyzwoliła wiele pokładów dobra, tkwiących w osobach i narodach”;

- dlaczego milczeliście, gdy hierarchowie Kościoła ślali do Putina podziękowania „za życzliwość i wrażliwość rosyjskiego ludu”, a w tym samym czasie rosyjscy żołdacy niszczyli wrak samolotu, zacierali ślady po zamachu i kłamliwie oskarżali polskich pilotów? Milczeliście, gdy sekretarz Konferencji Episkopatu Polski bp Budzik perorował, że „wspólne przeżywanie katastrofy, jaka wydarzyła się pod Smoleńskiem będzie nowym otwarciem, kamieniem milowym na drodze porozumienia i pojednania polsko-rosyjskiego” i przypomniał, że pasterze polskiego Kościoła „zinterpretowali tragiczne wydarzenia pod Smoleńskiem jako okazję do pogłębienia dialogu polsko-rosyjskiego”;
- dlaczego milczeliście, gdy rządowa instytucja powołana dla zadekretowania „przyjaźni polsko-rosyjskiej”, tzw. Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia otrzymała od Archidiecezji Warszawskiej luksusową siedzibę w warszawskim biurowcu Centrum Jasna;
- dlaczego milczeliście, gdy Prezydium Konferencji Episkopatu Polski, nawiązując wprost do obcej Polakom tradycji patriarchów moskiewskich, wystosowało do Bronisława Komorowskiego czołobitne homagium? Nigdy wcześniej w polskim Kościele nie było tak serwilistycznego aktu pochlebstwa, jaki zawarto w liście z dnia 5 lipca 2010 roku, gdy biskupi napisali do następcy Lecha Kaczyńskiego - „Wyrażając uznanie dla odniesionego sukcesu, pragniemy życzyć, aby podjęta odpowiedzialność owocowała działaniami realizowanymi w duchu najwyższych wartości. Niech dobry Bóg daje Panu Prezydentowi potrzebne siły i konieczne łaski dla owocnego wypełnienia tego szacowanego zadania. Polecamy Bogu osobę Pana Prezydenta, Jego Rodzinę i wszystkich współpracowników, życząc obfitości Bożych darów na lata szczególnej odpowiedzialności za Ojczyznę i wszystkich jej obywateli.”
- dlaczego milczeliście w pamiętnym sierpniu 2010 roku, gdy podczas konfliktu wywołanego przez Belweder, hierarchowie potępiali „fanatyczną sektę broniącą krzyża”, mówili o szkodach „wyrządzanych przez tych którzy podawali się za obrońców Kościoła”, zaś wiernych, atakowanych i bitych przez sforę degeneratów, nazywali „zadymionymi PiS-em”? Ci, którzy miesiąc wcześniej stali homagium do Komorowskiego, mieli czelność pouczać Polaków w liście z 12.08.2010 r., że Krakowskie Przedmieście „stało się terenem gorszących manifestacji, wywołujących niepokój w całym kraju i zdumienie międzynarodowej opinii publicznej” i zgodnie z przekazem reżimowych mediów twierdzili, że „to nie jest spór religijny, tylko polityczny”, w którym obrońcy krzyża „są politycznym punktem przetargowym stron konfliktu”;
- dlaczego milczeliście, gdy w pierwszą rocznicę zamachu smoleńskiego, Polacy otrzymali od prymasa przestrożę, że nie zgadza się „na żadne upolitycznienie tego wydarzenia” i równie haniebne pouczenie, iż „na śmierci brata, siostry czy ojca nie możemy zbijać pseudokapitału politycznego”;
- dlaczego milczeliście, gdy hierarchowie zapewniali wiernych, że „współpraca rządu i Kościoła układa się znakomicie”, gdy deliberowali o „wzajemnej autonomii i oparciu współpracy na zasadach demokracji”, by chwilę później, gdy reżim ujawnił zamiar likwidacji Funduszu Kościelnego, zaproponował wprowadzenie odpisu podatku na rzecz Kościołów oraz płatność składek na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne duchownych, ogłosić, że „rząd prowadzi wojnę z Kościołem”, wyzwać Polaków do „obrony chrześcijańskich wartości” i krzyczyć o „zmasowanym ataku na Kościół, który tchnie PRL, jakimś szukaniem wroga ludu”;
- dlaczego milczeliście, gdy w sprzeczności z faktami i prawdą historyczną, wspólny dokument rosyjskiej Cerkwi i Episkopatu Polski, był przedstawiany jako „akt historyczny, nawiązujący do Listu biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku”;
- dlaczego milczeliście, gdy polscy hierarchowie nie ustawiali w peanach na cześć Cyryla- Gundiajewa i nazywali wysłannika Putina - „mężem opatrnościowym dla świata, Kościoła prawosławnego i naszych wspólnych kontaktów” oraz „świadkiem i prorokiem”, z którym Kościół podejmie wspólne dzieło ewangelizacji Europy”, gdy w sprzeczności z wiedzą o roli stalinowskiej Cerkwi i w oderwaniu od przeszłości agenta KGB „Michajłowa” gloryfikowali tę postać, według wzorca z wypowiedzi T. Turowskiego z 23 marca 2010 r.: „Nie do przecenienia jest rola, jaką w wymiarze pojednania narodów pełni obecnie Rosyjski Kościół Prawosławny, a zwłaszcza Cyryl I, patriarcha Moskwy i Wszechrusi. To osobowość charyzmatyczna”;
- dlaczego milczeliście, gdy 17 sierpnia 2012 roku na Zamku Królewskim w Warszawie, wysłannik Putina Cyryl – Gundiajew oraz przewodniczący KEP abp Józef Michalik podpisali akt polityczny inspirowany przez środowisko Belwederu - „Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji”, nazwane następnie przez Episkopat „najważniejszym wydarzeniem 2012 roku”;
- dlaczego milczeliście, gdy ten szalibyczny dokument, uwłaczający pamięci milionów naszych rodaków, zrównujący katów z ofiarami i zacierający granice dobra i zła - hierarchowie nakazali odczytać we wszystkich polskich kościołach;
- dlaczego milczeliście, gdy abp. Michalik, przeciwników „pojednania polsko-rosyjskiego” i krytyków paktu z Cyrylem nazywał pogardliwie „marginesem”.
- dlaczego milczeliście, gdy we „wspólnym stanowisku” Episkopatu i Belwederu, ludobójstwo na Wołyniu nazwano „czystką etniczną” i w czerwcu 2013 roku podpisano „polsko – ukraińską deklarację o pojednaniu”, w której zawarto prośby o wybaczenie „za postawy tych Polaków, którzy wyrządzali zło Ukraińcom i odpowiadali przemocą na przemoc.”;
- dlaczego milczeliście, gdy w śpiewniku uczestników Orszaku Trzech Króli w Warszawie, hierarchowie dozwolili umieścić treść „Przesłania” lokatora Belwederu i zaprosili go na XVII Spotkanie Młodych Lednica 2000;
- dlaczego milczeliście w listopadzie 2013 roku, gdy Episkopat Polski wykonał „kolejny krok na drodze polsko-rosyjskiego pojednania” i wspólnie z Belwederem ogłosił „nowy etap wzajemnych relacji”? W tym samym czasie cerkiewny „Światowy Rosyjski Sobór Ludowy”, kierowany przez Cyryla-Gundiajewa fałszował historię stosunków polsko-rosyjskich i oskarżał nas o „patologiczną nienawiść do Rosjan”;
- dlaczego milczeliście, gdy w przededniu agresji Putina na Ukrainę polscy hierarchowie w porozumieniu z Komorowskim zorganizowali wielodniowy spektakl propagandowy pod nazwą - „Katolicko-prawosławna konferencja o roli Kościołów w Polsce i Rosji w budowaniu przyszłości chrześcijaństwa w Europie”? W tym samym czasie Cyryl I odznaczał przywódcę Kremla za „bezprzykładne zasługi w odbudowie mocarstwa Rosji”;
- dlaczego milczeliście, gdy pasterze polskiego Kościoła otwierali wówczas „nowy etap dialogu polsko-rosyjskiego i katolicko-prawosławnego” i domagali się, by „przenieść go z oficjalnego hierarchicznego szczebla na poziom wspólnot kościelnych i społeczeństw”;
- dlaczego milczeliście, gdy zaledwie przed rokiem polscy biskupi twierdzili, że „przyszłość chrześcijaństwa zależy od narodów oraz Kościołów polskiego i rosyjskiego” i wspólnie z wysłannikami Putina chcieli prowadzić „misję ewangelizacyjną”, by „dawać wspólne świadectwo wartości chrześcijańskich w Europie i na świecie”;
- dlaczego milczeliście, gdy postać sowieckiego agenta i prześladowcy Polaków, hierarchowie nazywali „dramatyczną, czasami tragiczną”, gdy zapewniali o swoich modlitwach i zalecali Polakom „ducha współczucia”? Ludzie, którzy nigdy nie

upomnieli się o godne pochówki rodaków zamordowanych w Smoleńsku, o cześć dla zbezczeszczonych i pozamienianych ciał - w obliczu śmierci sowieckiego arcyłotra kazali nam okazywać „szacunek dla śmierci, dla pogrzebu”;

Dlaczego milczeliście... mógłbym zapytać po wielokroć. Nie oczekując, że padnie odpowiedź.

Każdy dzień, jaki upływał od haniebnej daty 17 sierpnia 2012 roku utwierdzał mnie w przekonaniu, że za milczenie w obliczu historycznego zaprzaństwa, za setki wcześniejszych zaniechań - przyjdzie kiedyś zapłacić. Cena musi być o tyle wyższa, że milczenie to jest zjawiskiem stokroć groźniejszym niż decyzje reżimowych decydentów, niż kłamstwa propagandy, fałszowanie wyborów i wszystkie przykłady niszczenia iluzorycznej „demokracji III RP”.

Cena musi być o tyle wyższa, że nie zapłaci jej nasze pokolenie, lecz ci, którym na gruzach „kościółka belwederskiego” przyjdzie odbudowywać wspólnotę narodu.

869. CZYM BYŁA AFERA MARSZAŁKOWA. ROLA B.KOMOROWSKIEGO

Afera marszałkowa – bo tak (od ówczesnej funkcji Bronisława Komorowskiego) nazwałbym cykl wydarzeń z lat 2007-2008 jest „matką” wszystkich afer z czasów rządów PO-PSL. Powstały wówczas układ, oparty na relacjach służby-media-politycy stanowił fundament kolejnych patologicznych zdarzeń i do dnia dzisiejszego decyduje o przebiegu wielu procesów publicznych.

Kulisy afery marszałkowej nigdy nie zostały wyjaśnione i zdecydowana większość Polaków nie posiada żadnej wiedzy o jej przebiegu. Autor słów „*muszę zobaczyć aneks przed publikacją*” skutecznie uchylał od udzielenia odpowiedzi na pytania posłów Prawa i Sprawiedliwości, odmawiał stawienia przed Komisją Weryfikacyjną i wielokrotnie wykorzystywał swoją pozycję, by uciec od składania rzeczowych wyjaśnień.

Nad sprawą zaciągnięto tak szczelną zasłonę milczenia, że opinia publiczna nie miała możliwości zapoznać się z tematem nawet w trakcie kampanii prezydenckiej 2010 roku. Można przypuszczać, że gdyby afera marszałkowa została wyjaśniona, a jej mechanizmy ujawnione, zablokowałoby to dalszą karierę polityczną Komorowskiego i uniemożliwiło mu start w wyborach prezydenckich. Jest wiele prawdopodobne, że odsonięcie patologicznych relacji już w roku 2008 uchroniłoby nas od niebezpieczeństw wywołanych wpływem „czynnika rosyjskiego” na życie polityczne, zapobiegło knowaniom w ramach konfliktu rząd-prezydent, a w rezultacie utrudniło lub wręcz udaremniło możliwość zastawienia pułapki smoleńskiej.

Przed ośmioma laty rząd Prawa i Sprawiedliwości podjął historyczną decyzję o likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, zaś Sejm zatwierdził prawo umożliwiające weryfikację oświadczeń żołnierzy tej służby. Pozwoliło to sporządzić dokument o nazwie „Raport o działaniach żołnierzy i pracowników WSI” opublikowany następnie w Monitorze Polskim, na mocy postanowienia Prezydenta Lecha Kaczyńskiego z dnia 16 lutego 2007 r.

W Raporcie, korzystającym z wagi dokumentu urzędowego, zawarto opis dziesiątków wydarzeń, jakie miały miejsce na przestrzeni 15 lat istnienia WSI. Dokument wymienia setki nazwisk żołnierzy i funkcjonariuszy tej służby, nazwiska polityków, dziennikarzy i innych osób publicznych oraz wskazuje na stopień ich odpowiedzialności wobec prawa.

Nazwisko Bronisława Komorowskiego pojawia się na kartach Raportu blisko 60 razy i wymieniane jest w kontekście wielorakiej odpowiedzialności tego polityka.

Nakreślony w Raporcie wizerunek Bronisława w niczym nie przypomina obrazu „spokojnego konserwatysty” i „męża stanu”, jaki próbują narzucić nam ośrodki propagandy III RP. To wizerunek człowieka, który od początków swojej politycznej kariery wspierał ludzi komunistycznych służb, generałów po moskiewskich uczelniach, żołnierzy wojskowej bezpieki, kursantów GRU oraz osoby oskarżane o korupcję lub współpracę z obcymi służbami. Jako wiceminister i szef resortu obrony Komorowski ponosił odpowiedzialność nie tylko za afery z udziałem ludzi WSI, nieudolność i brak profesjonalizmu tej służby, ale także za realizację polityki kadrowej, która pozwalała na zachowanie w strukturach Wojska Polskiego dominacji wyższych oficerów tzw. Ludowego Wojska Polskiego. Antoni Macierewicz podsumował kiedyś postawę Komorowskiego słowami: „*Marszałek Komorowski przez lata chronił ludzi z WSI i powinien za to ponieść odpowiedzialność.*”

Likwidacja WSI – tego „*peryskopu, za pomocą którego Rosjanie pozyskiwali wiedzę o mechanizmach funkcjonowania naszego państwa*” (jak określił tę służbę prof. Andrzej Zybortowicz) sprawiła, że funkcjonujący dotąd triumwirat III RP oparty na relacji służby-biznes – politycy został mocno zdeorganizowany i osłabiony.

Z tej przyczyny, jednym z priorytetów rządu Donalda Tuska stało się przywrócenie wpływów środowiska WSI i powrót do wzorca służb ustalonego w roku 2004. Z chwilą przejścia władzy przez PO, wszelkie działania rządu zostały ukierunkowane na zablokowanie procesu weryfikacji żołnierzy WSI, przejście nowopowstałych służb wywiadu i kontrwywiadu wojskowego oraz pełną reaktywację komunistycznego układu. Tuż po powstaniu rządu nastąpiły czystki w służbach specjalnych, szykany wobec ich szefów, przesłuchania i represje wobec nowych funkcjonariuszy kontrwywiadu wojskowego. Kolejne miesiące przyniosły szereg zawiadomień do prokuratury przeciwko członkom Komisji Weryfikacyjnej oraz zawiadomień i pozwów wymierzonych w Antoniego Macierewicza.

W czerwcową noc 2008 roku, Sejm głosami obecnej koalicji uchwalił nowelizację ustawy o SKW i SW, która faktycznie zakończyła proces weryfikacji. W uzasadnieniu noweli napisano wprost: „*Projektowane przepisy generalnie otworzą drogę żołnierzom zawodowym zniesionych Wojskowych Służbach Informacyjnych do „zagospodarowania ich” niezależnie od faktu czy Komisja Weryfikacyjna wyda, czy też nie, swoje stanowisko.*”

Jednocześnie, na wszelkie sposoby utrudniano pracę Komisji Weryfikacyjnej, dyskredytowano i zastraszano jej członków, pomawiano szefa komisji, a wokół procesu likwidacji WSI wytworzono medialną atmosferę oskarżeń i klimat działań nielegalnych.

Pod koniec 2007 roku rozpoczęto *kombinację operacyjną* z udziałem ośrodków propagandy, ludzi WSW/WSI, szefostwa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego - nazwaną przeze mnie aferą marszałkową.

Warto podkreślić, że przez pierwsze miesiące rozgrywania sprawy w obszarze publicznym funkcjonowała ona pod nazwą „afery aneksowa”. Wszystkie ośrodki propagandy, blogerzy oraz media kojarzone z opozycją zgodnie używały określenia, które było głównym przekazywaniem dezinformacji. To określenie miało bowiem sugerować, że aneks do Raportu z Weryfikacji WSI stał się przedmiotem działań aferyalnych, korupcyjnych. Takiej tezy dotyczyła „sztandarowa” publikacja gazety „Dziennik” z 19 listopada 2007 r. zatytułowana „*Aneks do raportu o WSI na sprzedaż*” i opatrzoną nagłówkiem „*Każdy może kupić tajne dokumenty*”. Kolejne publikacje umacniały takie przeświadczenie i stanowiły jeden z podstawowych elementów dezinformacji. Medialnym zwieńczeniem rzekomej „afery aneksowej” była publikacja Anny Marszałek, Michała Majewskiego i Pawła Reszki z

kwietnia 2008 roku zatytułowana – „Kto gra aneksem Macierewicza?”. „Handel aneksem Macierewicza”, w której alarmowano: „Po Warszawie od wielu miesięcy biega przeszkolony w Moskwie oficer służb wojskowych, który oferuje sprzedaż aneksu o weryfikacji”.

Zadane z kłamstw rozpowszechnianych przez funkcjonariuszy medialnych nie znalazło potwierdzenia. Nigdy nie było „afery z aneksem”, nigdy też nie wykazano, by nastąpił przeciek z tego dokumentu. Wszelkie oskarżenia i rzekome dowody, o których miesiącami zapewniali nas żurnaliści i rezonujący im „specjaliści” z WSI okazały się fałszywe.

Określenie *kombinacja operacyjna*, zaczerpnięte z arsenału służb specjalnych, nie jest tu przypadkowe. Chodzi bowiem o cały zespół planowych działań, wzajemnie ze sobą powiązanych i podporządkowanych jednolitej koncepcji. Miały one na celu takie oddziaływanie na przeciwnika, aby przez wprowadzenie go w błąd lub wykorzystanie błędu doprowadzić go do z góry zakładanych zachowań, które umożliwią wykonanie określonych zadań operacyjnych.

Afera marszałkowa polegała zatem na działaniach zmierzających do uzyskania dostępu do tajnego uzupełnienia (aneksu) z Raportu z Weryfikacji WSI, a gdy okazało się to niemożliwe, na skompromitowaniu członków Komisji Weryfikacyjnej oraz dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Działania te miały również na celu dezawuowanie treści zawartych w aneksie oraz uprzedzenie ewentualnych zarzutów dotyczących powiązań polityków PO ze środowiskiem byłych WSI. Priorytetem kombinacji pozostawała osłona politycznego „patrona” wojskowych służb - Bronisława Komorowskiego.

18 października 2007r. „Gazeta Polska” zamieściła artykuł Leszka Misiaka zatytułowany „Komorowski i WSI”, w którym nawiązywano do wcześniejszej publikacji tygodnika „Wprost”. W artykule mogliśmy przeczytać o tajemniczym przyjacielu Komorowskiego, który w marcu 2004r. informował Leszka Misiaka o wypadku samochodowym, jakiemu uległ syn Komorowskiego. Dziennikarz napisał:

„W tamtym czasie nie wiedziałem kim jest ów informator, jego nazwisko nic mi nie mówiło. Przedstawiał się jako lobbysta, mówił, że często bywa w Sejmie, kiedyś nawet spotkałem go przed Sejmem. Prawie dwa lata później dowiedziałem się, że to pułkownik WSI, były szef Zarządu I Szefostwa WSW Aleksander L.”

Ujawniając fakt wieloletniej znajomości Komorowskiego z ptk L. dziennikarz zakończył pytaniem: „Jaki interes miał wysoki rangą oficer WSI, by występować jako rzecznik Bronisława Komorowskiego? Co łączy czy łączyło obu panów? Czy była to znajomość prywatna czy też miała inny charakter? Te pytania chcieliśmy zadać marszałkowi Komorowskiemu.”

Komorowski nie znalazł wówczas czasu, by rozmawiać z "GP", zaś asystent marszałka kilkakrotnie przekładał termin wywiadu, odsyłając dziennikarza do sejmowego sekretariatu.

Kilkanaście dni później, 27 października 2007r. „Wprost” powiadomił że „Aneks do raportu komisji weryfikacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych trafił już do prezydenta”. Poinformowano również, że „na najbliższy poniedziałek przed komisję został wezwany były minister obrony narodowej Bronisław Komorowski. Jego wezwanie ma związek z nielegalnymi podsłuchami stosowanymi przez funkcjonariuszy WSI w latach 2000-2001.”

W odpowiedzi na to doniesienie, Komorowski oświadczył: „są to próby podważenia mojej wiarygodności. Nie tylko próbuje się stworzyć sprawę nieistniejącą, bo żadnej inwigilacji opozycji, w czasach gdy ja byłem ministrem, w moim najgłębszym przekonaniu, nie było, ale również próbuje się stworzyć wrażenie, że jest o co mnie przesłuchiwać”.

30 października 2007r. w „Rzeczpospolitej” napisano: „Nazwiska Komorowskiego, Onyszkiewicza, Kalisza, Szmajdzińskiego i Rusaka znajdują się w aneksie do raportu o Wojskowych Służbach Informacyjnych”.

Antoni Macierewicz, pytany wówczas o powód wezwania przez Komisję tych osób, uzasadnił to następująco: „Ustalenia, które są w aneksie do raportu o WSI, wymagają, aby ci panowie się do nich ustosunkowali. Jeśli tego nie zrobią, to trudno, aneks i tak zostanie opublikowany”. Jednocześnie Macierewicz przypominał, że po opublikowaniu Raportu z Weryfikacji WSI pojawiły się zarzuty, iż szereg osób nie miało możliwości złożenia wyjaśnień, a gdyby ją miały, to „sprawy byłyby inaczej opisane”. Macierewicz zaznaczył więc, że „wszyscy wezwani przez komisję będą się mogli odnieść do dokumentów i informacji, na podstawie których aneks został napisany.”

Następnego dnia, po ukazaniu się informacji o wezwaniu Komorowskiego przed Komisję, kandydat PO na marszałka Sejmu oświadczył: „Pan Macierewicz powinien zniknąć ze swojej instytucji. Kwestia odwołania ministra Macierewicza wydaje się być kwestią oczywistą” i zapowiedział: „Przyjdzie nowy minister, zostaną przeprowadzone zmiany personalne i jedną z pierwszych decyzji będzie odsunięcie pana Macierewicza od wpływów na tak niewralgiczny obszar państwa”. Komorowski wyjaśnił też, że Komisja Weryfikacyjna WSI, „zachowuje się bardzo dziwnie”: „Komisja próbuje wzywać na przesłuchania kandydata na marszałka Sejmu. Tu może chodzić o chęć zepsucia atmosfery i mojego wizerunku, a nie o dojście do prawdy”.

Niewiele dni później, 19 listopada 2007r. „Dziennik” przyniósł sensacyjną informację, opatrzoną nagłówkiem – „Každy może kupić tajne dokumenty, pt. „Aneks do raportu o WSI na sprzedaż”. Dziennikarze gazety donosili: „DZIENNIK zdobył kolejne potwierdzenie, że tajne archiwa WSI oraz dokumenty komisji weryfikacyjnej zostały skopiowane. Ale to jeszcze nie wszystko. Gazeta ustaliła, że aneks Antoniego Macierewicza do raportu o WSI można kupić na czarnym rynku.”

W kontekście rzeczywistego przebiegu afery marszałkowej, ta i wiele innych publikacji (zwykle autorstwa A. Marszałek i P. Reszki) mają istotne znaczenie. Jedne z nich mogły wywołać określone reakcje Komorowskiego, inne zaś świadczyły o włączeniu ośrodków propagandy w przebieg kombinacji operacyjnej.

Z treści zeznań złożonych przez Bronisława Komorowskiego w prokuraturze (protokół z dn24.07.2008 link załączony pod tekstem) wynika, że spotkał się on z ptk. Aleksandrem L. „około 19 listopada 2007 roku”. Już przed spotkaniem Komorowski wiedział zatem, że znajomością z pułkownikiem WSW/WSI interesują się dziennikarze. Powstała sytuacja mogła zagrozić interesom obu rozmówców: L. który działał wśród dziennikarzy i chciał uchodzić za wiarygodne źródło informacji, z możliwością dostępu do aneksu oraz Komorowskiemu, któremu groziło wezwanie przed Komisję Weryfikacyjną oraz ujawnienie związków z oficerem WSW/WSI podejrzanym o kontakty z obcymi służbami. Nadto, pojawiły się sygnały, że prezydent Lech Kaczyński będzie chciał ujawnić aneks do Raportu.

Z zeznań Komorowskiego jednoznacznie wynika, że spotkał się on z L. i przystał na propozycję uzyskania nielegalnego dostępu do informacji stanowiących ścisłą tajemnicę państwową, a następnie umówił się z L. w kwestii dalszych kontaktów.

W czasie obrad sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka 23 września 2008 roku, Antoni Macierewicz pytał:

„Czy prokuratura ma informacje, że poza panem L. i panem Tobiaszem, w tym okresie, przed poinformowaniem kogokolwiek o czymkolwiek, pan marszałek Komorowski spotykał się z dwiema innymi jeszcze osobami związanymi z byłą WSI. Czy tę wiedzę posiada prokuratura?[...] Przecież równolegle, też 19 listopada, a więc w tym czasie, kiedy pan L. przychodzi zaanonsonowany przez Buczyńskiego do Komorowskiego, rozpoczyna się wielka nagonka prasowa mówiąca o tym, że jest wyciek aneksu, że można go kupić gdzieś na ulicy, na bazarze. Ta nagonka towarzyszy spotkaniom pana marszałka Komorowskiego z oficerami byłej WSI i byłego WSW.”

Komorowski przyznał również, że spotykał się z byłym oficerem Zarządu III WSI płk Leszkiem Tobiaszem, wobec którego prokuratury prowadziły w tym czasie postępowanie karne w sprawach o fałszowanie dokumentów i złożenie nieprawdziwego oświadczenia weryfikacyjnego. Tobiasz miał skontaktować się z Komorowskim, by powiadomić go o rzekomej korupcji w Komisji Weryfikacyjnej – chodziło o pozytywną weryfikację żołnierzy WSI w zamian za łapówkę.

Z dalszego przebiegu afery marszałkowej można wnioskować, że płk Tobiasz miał zająć się uzyskaniem „materiałów dowodowych” obciążający członków Komisji oraz dziennikarza Wojciecha Sumlińskiego. Dla uwiarygodnienia tych zarzutów było konieczne, by „ofiara” stał się także Aleksander L., z którym rozmowy Tobiasz miał nagrywać. Nie przypadkiem, w wielu publikacjach z tego okresu pojawiają się absurdalne twierdzenia o znajomości L. z Antonim Macierewiczem.

Na początku listopada 2007 r., z inicjatywy Komorowskiego doszło z kolei do spotkania Tobiasza z szefem ABW Krzysztofem Bondarykiem, płk. Grzegorzem Reszką (p.o. szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego) oraz Pawłem Grasiem (ówczesnym zastępcą przewodniczącego sejmowej komisji ds. służb specjalnych). Na spotkaniu poczyniono ustalenia w zakresie działań dotyczących członków Komisji Weryfikacyjnej.

Warto podkreślić, że o tym spotkaniu Komorowski nie poinformował podczas przesłuchania przed prokuratorem.

W efekcie zawartych wówczas ustaleń, płk Tobiasz, w oparciu o zgromadzone kompromisy miał złożyć zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu korupcji wokół Komisji Weryfikacyjnej, obciążając Aleksandra L. i Wojciecha Sumlińskiego. Jednocześnie uruchomiono zmasowaną kampanię dezinformacyjną, mającą na celu wytworzenie fałszywego przekonania, iż doszło do handlowania aneksem przez ludzi związanych z Komisją Weryfikacyjną.

Momentem kulminacyjnym kombinacji był dzień 15 maja 2008 r. gdy ABW dokonała przeszukania w domach Sumlińskiego, Bączka i Pietrzaka, licząc zapewne na znalezienie dowodu potwierdzającego tezę o „wycieku” aneksu. Aresztowanie płk L. miało zaś uwiarygodnić wersję, iż oficer ten współpracował z ludźmi Komisji.

Jak wiemy, podjęto również próbę „aresztu wydobywczego” wobec Wojciecha Sumlińskiego, licząc prawdopodobnie na zastraszenie dziennikarza i uzyskanie materiałów obciążających członków Komisji. Ponieważ do aresztowania dziennikarza nie doszło, zaś prezydent Lech Kaczyński ogłosił, iż nie opublikuje aneksu, zdecydowano o zakończeniu kombinacji.

W listopadzie 2008 roku, Antoni Macierewicz komentując zachowania Bronisława Komorowskiego, zauważył: *„Ostatnio kilkakrotnie widziałem marszałka w stanie silnego podenerwowania. Pierwszy raz, gdy pytano go o związaną z WSI spółkę „Pro civili”. Drugi raz niedawno, gdy pytano go o kontakty z Leszkiem Tobiaszem i Aleksandrem L.”*

Zdenerwowanie Komorowskiego wydaje się zrozumiałe, jeśli dostrzec liczne rozbieżności w zeznaniach byłego marszałka Sejmu z zeznaniami Tobiasza, a nawet z zeznaniami byłego szefa ABW Krzysztofa Bondaryka. Dotyczą one dat oraz okoliczności, w jakich doszło do współpracy Tobiasza z ABW.

Z zeznań Bondaryka wynikało, że Komorowski wezwał szefa ABW 23 listopada 2007 roku, zaś spotkanie z Tobiaszem odbyło się tego samego dnia na terenie Sejmu. Tobiasz – zdaniem Bondaryka, miał mieć przy sobie dowody na korupcję w Komisji Weryfikacyjnej WSI. W tym samym dniu, Bondaryk swoim samochodem przewiózł Tobiasza do siedziby Agencji na Rakowiecką, zaprowadził do pokoju, po czym wezwał „funkcjonariusza pionu śledczego panią Fetke”. Tobiasz został przesłuchany i przyjęto od niego zawiadomienie o przestępstwie.

Tymczasem Bronisław Komorowski zeznawał, iż jego pierwsze spotkanie z Tobiaszem miało miejsce 21 listopada 2007r., podkreślając: *„tej daty jestem pewien, w kalendarzu niestety nie zapisano dnia spotkania z L., ale mogło to być około dzień lub dwa przed rozmową z Tobiaszem.”* Dalej Komorowski oświadczył: *„Tobiasz chciał mi okazać zdobyte dowody w postaci nagrań i na kolejne spotkanie, 3 grudnia 2007 r. – przyniósł je. Widziałem kamerę, dyktafon, kasetę video i kasety do dyktafonu.”* „O ile pamiętam – oświadczył Komorowski prokuratorowi - następnego dnia przekazałem powyższą informację Ministrowi Koordynatorowi Pawłowi Grasiowi oraz szefowi SKW płk. Reszce. Minister Graś następnie powiedział mi , że jest to sprawa, którą powinien zająć się ABW z uwagi nie tylko na korupcję, ale również na zagrożenie państwa. Po kilku dniach przeprowadziłem rozmowę z szefem ABW panem Bondarykiem. Po pewnym czasie, myślę że po około dwóch tygodniach, Tobiasz stawiał się w umówionym miejscu i czasie do dyspozycji ABW, która zajęła się tą sprawą.”

Zeznaniom Komorowskiego zaprzeczył także Leszek Tobiasz. Według jego zeznań, do spotkania z Komorowski doszło prawie miesiąc wcześniej, niż twierdził marszałek Sejmu. Choć Tobiasz nie potrafił podać dokładnej daty pierwszego spotkania, to pytany przez prokuraturę wskazał ścisły przedział czasowy. Oświadczył, że do spotkania doszło między 20 października a 2 listopada 2007 r., to zaś oznacza, że o blisko miesiąc poprzedziło ono spotkanie Komorowskiego z płk Aleksandrem L.

Należy podkreślić, że jeśli do spotkania z Tobiaszem doszło między 20 października a 2 listopada 2007r., burzy to całkowicie logikę zeznań Komorowskiego. W swoich zeznaniach marszałek Sejmu podkreślał bowiem- *„Pod koniec rozmowy z Tobiaszem powiedziałem mu, że do mnie próbował docierać płk. L.”*

Dowodziłoby to, że Komorowski spotkał się z L. przed 20 października 2007r., a zatem skłamał prokuratorowi twierdząc, że do spotkania doszło „około 19 listopada”.

Gdyby przyjąć wersję Komorowskiego, jak wówczas wyjaśnić twierdzenie marszałka zawarte w treści zeznań, iż płk L. przyszedł do niego, gdy było już wiadome, że polityk PO obejmie fotel marszałka Sejmu?: *„Ja fotel Marszałka objąłem z dniem 5 listopada 2007r. więc L. po raz pierwszy docierając do mnie wiedział, że będę miał dostęp do aneksu”*.

Jeśli L. był u Komorowskiego przed Tobiaszem (a taka jest logika zeznań Komorowskiego) musiałyby to nastąpić przed 20 października. Ale wówczas, skąd miałby wiedzieć, że Komorowski zostanie marszałkiem i będzie miał potencjalny dostęp do aneksu?

Istotne rozbieżności dotyczą także terminu i okoliczności poznania płk Tobiasza. Komorowski zeznał bowiem przed prokuratorem, iż to posłanka PO Jadwiga Zakrzewska przekazała mu informację, że chce się ze z nim spotkać pułkownik z WSI, „który jest jej sąsiadem”. Tymczasem Zakrzewska występując 16 września 2008 roku w programie „Misja specjalna” zdecydowanie zaprzeczyła sąsiedzkiej znajomości z Tobiaszem.

Gdy w styczniu 2009 roku Bronisław Komorowski złożył ponowne zeznania w tej sprawie, utrzymywał już, że Zakrzewska tylko pośredniczyła w organizacji spotkania, bo miał ją o to prosić starosta powiatowy z jej okręgu wyborczego i to on miał być sąsiadem oficera WSI, który szukał kontaktu z Komorowskim.

W pierwszych zeznaniach złożonych w Prokuraturze Krajowej, Komorowski oświadczył także: *„nazwisko Wojciecha Sumlińskiego kojarzę jedynie z prasy. Nie znam go osobiście”*. Tymczasem w listopadzie 2008 roku Wojciech Sumliński składając wyjaśnienia przed sejmową komisją ds. służb specjalnych przypomniał, że spotykał się z Komorowskim w roku 2007, a tematem ich rozmów był przygotowywany dla programu „30 minut” w TVP Info materiał o Fundacji Pro Civili.

Nie można wykluczyć, że właśnie ta okoliczność spowodowała włączenie Sumlińskiego w zakres ówczesnej kombinacji. Obok byłego oficera WSW/WSI, dziennikarz piszący o WSI i mający kontakty z jednym z członków Komisji Weryfikacyjnej (Leszkiem Pietrzakiem) wydawał się właściwym kandydatem dla uwiarygodnienia konstrukcji prowokacji. Być może podczas

przeszukania w domu Sumlińskiego liczono również na przejście niewygodnych dla Komorowskiego materiałów dotyczących fundacji Pro Civili.

Kolejne istotne rozbieżności można zauważyć konfrontując zeznania Komorowskiego z zeznaniami Pawła Grasia. Wynika z nich, że sprawa zaczęła się znacznie wcześniej niż twierdzi Komorowski. Graś zeznał bowiem, że jeszcze przed wyborami w 2007 r., w czasie gdy był szefem komisji ds. służb specjalnych, skontaktował się z nim Komorowski i powiadomił, że posiada jakieś ważne informacje dotyczące bezpieczeństwa państwa. Doszło wówczas do spotkania, w którym brali udział Graś, Komorowski oraz płk. Leszek Tobiasz. Graś oświadczył również, że Komorowski poinformował go, iż płk L. jest powiązany z rosyjskimi służbami. Z zeznań Grasia wynikało, że po powołaniu rządu Donalda Tuska ówczesny marszałek Komorowski skontaktował się z nim ponownie, mówiąc, że znów jest u niego płk Tobiasz. Dopiero po tej informacji Graś zadzwonił do Krzysztofa Bondaryka, który kilka dni wcześniej został p.o. szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wówczas dopiero Tobiasz miał złożyć zawiadomienie o przestępstwie.

Śmierć tego głównego świadka (w lutym 2012 roku) przekreśliła szansę na skonfrontowanie jego zeznań z oświadczeniami Komorowskiego. Zeznania Tobiasza, w wielu miejscach sprzeczne z wersją Komorowskiego, mogły mieć kluczowe znaczenie dla sprawy i być może pozwoliłyby usunąć liczne wątpliwości związane z rolą ówczesnego marszałka Sejmu.

Wojciech Sumliński podkreślał, że „*jak udało się wykazać, że L. kłamał, tak samo bez problemu wykazałbym to odnośnie Tobiasza*”. obrońcy dziennikarza planowali złożenie wniosku o przeprowadzenie konfrontacji, pomiędzy płk. Tobiaszem, płk. L. i Bronisławem Komorowskim

870. POLSKIE WIGILIE

I

To było w sobotę 23 grudnia 1939 roku w Wigilię Bożego narodzenia, zgodnie z prawem kanonicznym, jeśli dzień Wigilii przypadła na niedzielę, przesuwano go na sobotę. Skuleni i otuleni czym się dało więźniowie szybko schodzili z nakazanego spaceru. W celach od rana trwały przygotowania do wieczornej, wigilijnej kolacji. [...] Na dziedzińcu Niemcy ustawili dużą choinkę — więc i oni przygotowawali się do świąt. Wysunęliśmy na środek stół, nakryliśmy czymś białym, było sianko i opłatek. [...] O godzinie 17.00 wywołanych z cel dziesięciu więźniów wyprowadzono bez rzeczy osobistych i cieplejszego odzienia do ciężarowego auta. Podróż w eskorcie nie trwała długo. Do kirkutu było zaledwie kilkaset metrów. Podprowadzono ich do wcześniej wykopanych dołów. Egzekucję oświetlały reflektory ciężarowego samochodu. Echa wystrzałów dotarły nie tylko do Zamku, ale i gmachów starego miasta. Nazajutrz rano polscy strażnicy nie ukrywali prawdy. Wśród przetrzymywanych zakładników powiało grozą. Prawie już nikt nie miał nadziei na ocalenie...

Ksiądz Michał Słowikowski

Na placu apelowym hitlerowcy ustawili choinkę oświetloną elektrycznymi lampkami. Pod drzewkiem zostały złożone ciała więźniów zmarłych w czasie pracy oraz zamrożonych na apelu. Lagerführer Karl Fritsch określił leżące pod choinka zwłoki mianem "prezentu" dla żyjących i zabronił śpiewania polskich kolęd.

Karol Świątorzecki – Wigilia w Auschwitz - 24 grudnia 1940 roku

II

Szykowaliśmy się do wieczery wigilijnej, gdy prawie równocześnie z serią karabinową i dźwiękiem sygnaturki usłyszeliśmy ujadanie psów i podejrzane hałasy w pobliżu naszego domu. [...] Chciałem uciekać przez pokój na wschód, ale okazało się, że drzwi do pokoju były zamknięte. Matka wcześniej odruchowo zamknęła je na klucz, który schowała w kieszeni, o czym w panice zapomniała. A na stole w zamkniętym pokoju leżała moja broń ...

O naszym życiu decydowały sekundy. Mordercy szli od południa więc szybko otworzyłem okno w kuchni wychodzące na północ. Wypychałem wszystkich kolejno. Zdążyliśmy. Wskoczyłem jako ostatni i jeszcze przymknąłem za sobą okno. Z naszego podwórka uciekliśmy przez dziurę w płocie do obejścia sąsiada Ukraińca. Bez jego wiedzy skryliśmy się na strychu obory. Gdy wszyscy znaleźli się już na górze, wciągałem za sobą drabinę. [...]

W tej samej chwili wszystko się wyjaśniło. Łomem i siekierami napastnicy zaczęli rozbijać drzwi domu. Wdarli się do środka i szukali przede wszystkim domowników. Uratowało nas zamknięte okno, bo szukali tylko wewnątrz budynku. Słyszeliśmy ich głosy:

- Zdień ich niet i zdień ich niet.

Słyszalność tego wieczoru była doskonała. Słowa, odgłosy, strzały niesły się daleko z powodu zmrożonej pokrywy śnieżnej i kilkustopniowego mrozu. Słyszeliśmy jak bandyci szukając nas na strychu w sianie zaczepiali o blachę dachu, jak do siebie mówili.

W tym czasie z plebani dochodziły do nas wyraźne odgłosy rozbijanych drzwi i okien. Walenie siekierami przeplatało się z trzaskiem wyłamywanego drewna. Po jakimś czasie usłyszeliśmy straszliwy lament kobiet od Białowosów „Głębów”. Była tam babcia, matka, trzy córki i mieszkająca z nimi zaprzyjaźniona nauczycielka z Cebrowa. W czasie napadu uciekły na strych zamykając za sobą właz. Teraz paliły się żywcem, gdyż Ukraińcy podpalili ich dom. Tego wołania Boga i ludzi o pomoc opisać nie potrafię. To był jakiś koszmar. Chwilami dłońmi zatykałem uszy. Do końca życia nie zapomnę ich przerażonych, wręcz oszalałych z bólu krzyków. Kobiety te doznały piekła na ziemi.

Mieczysław Albert Krąpiec O.P. - Krwawa Podolska Wigilia w Ithrowicy w 1944 roku.

III

W nocy z 23/24 grudnia po ostrym pukaniu, ojciec otworzył drzwi naszego domu. Weszło dwóch uzbrojonych żołnierzy i UB-owiec w mundurze wojskowym. Doskoczyli do mnie, krzycząc, że jestem "bandziorem". Kazali się ubierać. Pożegnałem się z

rodzicami i wyprowadzono mnie na drogę. Wtedy dopiero zobaczyłem, że dom otaczało kilkunastu żołnierzy. Do "Riwiery" byłem prowadzony pod lufą rewolweru UB-owca, za którym podążali żołnierze. Gdy mnie doprowadzono zauważyłem pilnowanego przez wartownika Szymka Stasika. Po pewnym czasie wzięli go na przesłuchanie. Po nim miałem iść ja. Przed wejściem zapytałem go czy biją. Odpowiedział mi tylko: "co sie bois, kiedyś po misjak!".

Na wstępie pouczone mnie, że mam trzymać ręce na kolanach i siedzieć spokojnie. Po spisaniu personaliów UB-owiec rozpoczął od pytania kto przylepił ulotkę i po co. Po kilku pytaniach ponownie wrócił do sprawy, ale już sugerując, że zrobiłem to ja. Zaprzeczyłem. Począł się odgrażać. Zza pieca wyciągnął "brocoka" czyli obłupionego z kory kija, kazał zrzucić kożuch i kłaść się na podłogę. Zawiązał mi głowę w kożuch i wsadził ją między swoje nogi. Zaczął mnie okładać kijem od kolan w górę. Nie pamiętam dokładnie, ale było około 15 uderzeń. Kiedy mnie uwolnił ponownie groził, że dostanę jeszcze lepiej, jak nie przyznam się do zarzutu. Jeden z żołnierzy śmiał się. "Masz ty twardą dupę" - powiedział. Leżałem potem na brzuchu, na gołej podłodze i nie mogłem zasnąć do rana. Tak rozpoczęła się moja Wigilia.

Franciszek Chowaniec Suchowion – Bukowina Tatrzańska 1946

IV

Po pochmurnym poranku rozbłysnęło cudnie nad więzienną warownią jasno popołudnie. Zimne, grudniowe słońce, rozgarnąwszy chmury złoci zamczyste bramy, niedostępne mury, szare plamy dziedzińców. I krwią strop pstrokaty zbrojny wieżyczkami, uzbrojony w kraty – posępnych tłum budynków mokotowskiej kaźni. Dziś wigilia... Wigilia! Cała mocą jaźni wybiegam poza kraty, mury, poza strażę w świat wspomnień. Wkoło siebie widzę drogie twarze, choinkę w cackach, słyszę kolędowe pienia... „Masz tytoń?” – pyta sąsiad, i ploszy wspomnienia. Pierzchają spod powieki obrazy kochane, jestem w celi, przy kracie... Oparty o ścianę chłonę obraz nieszczęścia, ryję go w pamięci. – Pośrodku tłum skłębiony w kieracie się kręci, huczy stugębny pogwar rozmów i stunogi łoskot drewnianych trepów o deski podłogi. Cisza! Przerwać kolędę! tam w oknie Dziesiątki światło – śledczy odprawia wigilijne świątki. Narożna cela, blisko. – Widzicie? – otwiera okno. Gwiżdże wesoło melodię szlagiera. Przejmujący szczęk klucza w barierę. Ktoś z dołu na badanie. Gwiżdż ustał. Słychać szurgot stołu i krzesła. Rozmawiają. Podniesione głosy. To – kobieta „Aaa” – krzyczy. Ciągnie ją za włosy! Rynsztok z ust oficera. Znów głośna rozmowa. Znów krzyk. Razy uderzeń! Męskie kroki. Słowa: „Oddziałowy” – i – „karcer”. Pchnięte okno trzasło. Szczęk klucza o barierę. Cisza. Światło zgasło. I w tamtym oknie widno. Czy też przesłuchanie? Nie. Głos jeden. Mężczyzna. Półgłośnie wołanie, nieprzytomne spazmem: „Mamo, mamo!”. To – ze stójki. Na mrozie, nago, w wilię samą... Którą noc stoisz, bracie? – Pod oknem na śniegu skrzyp kroków. Przeszło kilku w mundurach. Ten z brzegu – naczelnik. Reszta – obcy. Pewno mróz na dworze, bo kryją twarz w kołnierze. „Śpieszą chyłkiem. Boże!! Znamy ten orszak. To – mordercy! Dzisiaj z celi wzięci Zygmunt i Lucjan. Obaj KS mieli sto dni już minęło... Bracia! Między nami – Śmierć! Wpijam chciwie oczy w półmrok za oknami. zza chmur błysnęła pierwsza gwiazda. Teraz w domu biorą w rękę opłatek... Ścieram po kryjomu niemęską łzę z policzka. Huknął strzał! Tam, w tyle, przy szpitalu, „Trzynastka”, gdzie zawsze. Za chwilę strzał drugi! Głucha cisza mózgu do bólu wierci. Nad więzieniem ku miastu przemknął Anioł Śmierci, Rodzinom wigilijny niesie upominek – od Moskwy. Szepczę prędko „Wieczny odpoczynek”.

Tadeusz Maciński - Mokotów 1947 – Wigilia w celi śmierci.

V

Na mocy dyrektywy nr 001 z 30 maja 1951 r., wydanej przez szefa Głównego Zarządu Politycznego WP gen. Naszkowskiego w sprawie *"polepszenia metod walki z naciskiem klerykalizmu w wojsku, w sprawie pracy nad krzewieniem naukowego światopoglądu wśród żołnierzy oraz postępowania w stosunku do wierzących żołnierzy"* – zdjęto krzyże z sal żołnierskich, nie wydawano żołnierzom przepustek w niedziele i święta, zakazano urządzania wigilii, śpiewania kolęd, stawiania choinek w czasie świąt Bożego Narodzenia.

VI

Grudzień 1970 roku był pełen napięć i nerwowej atmosfery. Od 14 do 22 grudnia, w całej Polsce mamy apogeum wieców, strajków i demonstracji. W Polsce trwa bunt robotniczy. Główne centrum strajków to Szczecin, Gdynia i Gdańsk. Wszelkie wyjazdy i przepustki już dawno zostały wstrzymane. Około 20 grudnia, w WAT pojawiła się kolumna ciężarówek wojskowych przygotowana do przewozu wojska. Docierają do nas informacje, że mamy zadanie ochraniać obiekty ośrodka Telewizji Polskiej w Warszawie. Opiekun naszej grupy szkoleniowej, kpt. Ryszard Kurnatowski, przeprowadza z niektórymi z nas dziwne testy i zadawał dziwne pytania. Zadawał szereg pytań sytuacyjnych takich jak: „Co byście zrobili, gdy ochraniać most i zbliżają się robotnicy”. Najwyraźniej sondował nasze nastroje. Po pierwszych przesłuchaniach, pytania były coraz mniej drastyczne. Wyczuwał wyraźną niechęć z naszej strony do tej formy sondażu nastrojów podchorążych. Ostatecznie wycofał się z dalszego prowadzenia tego typu rozmów z nami.

Czekamy z godziny na godzinę na kolejne wydarzenia. Wreszcie przełom, 20 grudnia Władysław Gomułka zostaje odsunięty od władzy. Pierwszym sekretarzem KC PZPR zostaje Edward Gierek. W WAT nastąpiła odwilż w napiętej atmosferze i wypuszczono nas do domu. Zdażyliśmy na Wigilię 1970 roku.

płk rez. Zbigniew Przęzak

VII

Upychają nas do cel. Znalazłem się wraz z dwoma kolegami z Fadromy (Stagraczyński i Mikula) i Markiem z młyna Różanka, w małej czteroosobowej celi. Cella nr 7 na parterze. Usiadłem na pryczy i zaczęło się rozmyślanie. Co to dalej będzie ... Po chwili jednak zwróciłem się do współtowarzyszy niedoli. „Panowie, toż to przecież wigilia, (była godzina około 20:00) - więc czas na wieczerzę”. Ale jak zrobić wieczerzę w takich warunkach, nic nie mając ? Jeden z nas postawił pustą aluminiową miskę na stole. Sięgnąłem do kieszeni i znalazłem tam dwa małe okruszki od opłatka, który przyniosła mi żona, i który zostawiłem kolegom wychodząc z celi na Kleczkowskiej, a okruszki w kieszeni zostały. Inny kolega znalazł w kieszeni kawałek chleba. Położyliśmy więc te okruszki opłatka i ten chleb na misce. Więcej niestety nic nie było. "Czas zaczynać wieczerzę" - rzekłem. Pomodliliśmy się, podzielili opłatkiem składając sobie życzenia, wyściskaliśmy się, podzieliliśmy się tym małym kawałkiem chleba. "Po wigilii czas na kolędy" - powiedział któryś z nas. I zaczęliśmy śpiewać. Po chwili okazało się, że nie tylko my śpiewamy kolędy, ale także inni koledzy w celach, też zaczęli śpiewać. Śpiewaliśmy głośno aż do północy, a dookoła więzienia zebrał się tłum ludzi, który idąc na pasterkę zatrzymał się, żeby posłuchać kto tak pięknie w więzieniu śpiewa. Tego bowiem jeszcze nie słyszeli. Piękna to była wigilia w więzieniu w Grodkowie roku Pańskiego 1981.

Jerzy Malinowski – Wigilia w Grodkowie.

VIII

W pierwszą Wigilię stanu wojennego przyszli do nas z parafii św. Stanisława Kostki, że wszędzie szukają księdza Jerzego. Co się okazało: Jurek wziął opłatki i jeździł po Warszawie, dzielić się z żołnierzami, którzy klękali na śniegu, spowiadali się, płakali, całowali po rękach, że ich nie potępia, tylko przychodzi z dobrym słowem...

Anna Szaniawska

Mówię - słuchaj teraz w październiku może byś pojechał do Koszarzysk, odpowiedział - Październik mam strasznie zajęty, ale w grudniu na święta, to bym bardzo chciał przyjechać. Na Wigilię on zawsze musiał być sam, nigdy nie przyjął żadnego zaproszenia, powiedział, że Wigilię spędza tylko sam. Miał ukochaną siostrę Jadzię, która zmarła; od tej pory we Wigilię nie chciał być z nikim, nie wiem dlaczego, czy ona zmarła właśnie w tym dniu?

Danuta Szafarska - wspomnienia o księdzu Jerzym -miesięcznik „Znad Popradu”

– Pogodziłam się z tym cierpieniem... Widocznie tak Bóg chciał. Jako młoda dziewczyna przed zamążpójściem miałam sen, który zrozumiałam dopiero po męczeńskiej śmierci Księdza Jerzego. Widziałam w nim dwie lilie. Pierwszą z nich była moja córeczka Jadwiga, która zmarła w wigilię Bożego Narodzenia mając rok i 10 miesięcy. Druga z lilii to męczeńska ofiara życia syna-Kapłana. Widziałam w trumnie Jego umęczone ciało... –

Marianna Popiełuszko

IX

21-letni Damian Lecyk spod Lubina nie spędzi świąt Bożego Narodzenia razem z rodziną. Na podstawie zeznań dwóch policjantów Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście skazał go na trzymiesięczny areszt zapobiegawczy „za czynną napaść na policjanta”. Świadczenie wydarzeń z 11 listopada 2014 roku: przyjaciele, organizatorzy marszu i kierowca autokaru, z którego policja wyciągała osoby, przybyłe do stolicy by uczcić Narodowe Święto Niepodległości, są przekonani, że Damian jest niewinny. W wyniku zeznań policjantów Damian pozostanie w areszcie do lutego. Prokurator Tomasz Kuziak z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Praga-Południe odmówił Damianowi widzenia z najbliższą rodziną.

– Prokurator nie wziął pod uwagę tego, że Damian jest poważnie chory i musi przestrzegać restrykcyjnej diety, na luty ma wyznaczony termin operacji – mówi Bogusława Lecyk, mama zatrzymanego chłopaka.

„Gazeta Polska Codziennie” z 23 grudnia 2014r.

Wielka tajemnica Bożego samouniżenia, dzieło odkupienia rozpoczynające się w słabości — ta prawda nie jest łatwa. Zbawiciel narodził się w nocy — w ciemności, w ciszy i ubóstwie betlejemskiej groty. „*Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło*” — ogłasza prorok Izajasz (9, 1). To miejsce zaznało „jarzma” i „pręta ciemności”. Ileż razy krzyk niewinnych rozlegał się na tych ulicach? Nawet wielka świątynia zbudowana na miejscu narodzin Zbawiciela wznosi się niczym forteca nękana przez dziejowe burze. Żłóbek Jezusa leży zawsze w cieniu krzyża. Milczenie i mrok betlejemskich narodzin zlewają się w jedno z mrokiem i cierpieniem śmierci na Kalwarii. Żłóbek i krzyż należą do tej samej tajemnicy odkupieńczej miłości; ciało, które Maryja złożyła w żłobie, jest tym samym ciałem, które zostało złożone w ofierze na krzyżu.

Jan Paweł II - Msza św. na Manger Square — Betlejem 2000

Tekst „Polskie Wigilie” zamieściłem na blogu przed sześcioma laty – życząc wszystkim, byśmy nigdy więcej, podczas Świąt Bożego Narodzenia nie musieli przeżywać polskich, narodowych tragedii. Przypominam go dziś i ze smutkiem uzupełniam o informację, która wstrząśnie każdym, kto pamięta, czym jest Wigilia spędzona poza rodzinnym domem. Przypominam, bo chciałbym, żebyśmy na przekór czasom hańby wytrwali w nadziei płynącej z *tajemnicy Bożego samouniżenia*. Nikt lepiej nie powinien rozumieć słów świętego Jana Pawła II - *Żłóbek Jezusa leży zawsze w cieniu krzyża* - jak ci, którzy w dziejach narodu wciąż doświadczają *tej samej tajemnicy odkupieńczej miłości*.

Wszystkim, którzy odwiedzają mój blog życzę błogosławionych darów Bożego Narodzenia – radości, pokoju w sercu, ducha wiary i światła nadziei.

Niezlomnej pewności, że *„choćby ciemność zdawała się nieprzenikniona, jeszcze silniejsza jest nadzieja na zwycięstwo Światłości, która w Świętą Noc zajaśniała w Betlejem”*.

Życzę Państwu szczęśliwych chwil w rodzinnym gronie, we wspólnocie bliskich, przyjaznych osób.

Życzę przeżywania zdrowych, spokojnych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Bóg się rodzi – moc truchleje !

871. ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Wyborcom Prawa i Sprawiedliwości życzę, by umieli wymagać „więcej” od siebie i od tych, którzy mają ich reprezentować.

Politykom partii opozycyjnej życzę odwagi przed długim marszem, ciężkiej pracy i ducha walki, kontrowersyjności w słowach i czynach - tak wielkiej, by poplątała drogi do kompromisów.

Zacnym profesorom i ludziom nauki wspierającym dziś polskie sprawy życzę zdolności do odrzucenia zabobonów, zwątpienia w „mechanizmy demokracji”, wiary w moc słowa i prymat prawdy nad poprawnością.

Publicystom "wolnych" mediów, by stali się głusi na przekaz propagandy, nauczyli mówić własnym głosem i zasmakowali w autentycznej niezależności.

Blogerom i internautom, by umieli odsiewać plewy od ziarna, nie ulegli głosom stada i potrafili spojrzeć na świat własnymi oczami.

Puczymbordom i małym demiurgom życzę, by stanęły im w gardle *„papawerdy zakrapiane oblikatoryjnymi fąframi”*, a na końcu swojej drogi zostali *„starymi błaznami pełnymi fazdrygulstwa i gnypalstwa”*.

Funkcjonariuszom ośrodków propagandy (nazywanych nie wiadomo dlaczego dziennikarzami), by każde kłamstwo i wyrządzona przez nich podłość obróciły się przeciwko nim, sprowadziły na nich gniew i pogardę, a ich życie zamieniły w piekło.

Rządowym artystom, tzw. celebrytom i samozwańczym „autorytetom”, by utracili dary, których nie potrafili docenić, by pozbawiono ich mowy, zabrano talent i pomieszano zmysły.

Piewcom "pojednania" polsko – rosyjskiego, by nie musieli dłużej odczuwać tęsknoty i odnaleźli swoje miejsce na niehumanitarnej ziemi.

Wyborcom PO i apatrydom, by nikt się nad nimi nie pochylał, niczego im nie tłumaczył i nie otwierał im drzwi.

Tym zaś, których „nawet nazywać nie warto” - by się bali.

Ludziom dobrym życzę - by potrafili się dobrem dzielić.

Prawym - by nigdy nie zmienili kierunku.

Uczciwym – by nie rezygnowali z bezcennego daru, nawet, gdy dla innych jest głupotą.

Mądrym życzę pokory, a pokornym – hardości serca.

Odważnym – rozwagi, rozważnym zaś – krzty szaleństwa.

Nam wszystkim – byśmy za rok mogli powiedzieć, że przeżyliśmy ten czas godnie.